

MARY BALOGH

NIE DO WYBACZENIA

Przełożyła: Maria Głowacka

1

Czas do łóżka. - Nathaniel Gascoigne ziewnął szeroko i, uniósłszy do góry kieliszek, z żalem zauważył, że nie było w nim już ani kropli brandy. - Jeśli, oczywiście, nogi będą w stanie mnie utrzymać i zaprowadzić do domu.

- I jeśli, oczywiście, będziesz w stanie przypomnieć sobie, gdzie ten twój dom jest - dodał z ironią Eden Wendel, baron Pelham. - Jesteś wstawiony, Nat. Wszyscy zresztą jesteśmy. Co jednak nie znaczy, że nie możemy wypić jeszcze po jednym.

Kenneth Woodfall, hrabia Haveford, podniósł kieliszek, w którym wciąż było jeszcze trochę alkoholu i spojrzał na swych dwóch kompanów, niedbale rozpartych w fotelach ustawionych po obu stronach kominka. On sam stał z boku, opierając się o marmurowy gzyms.

- Na zdrowie - powiedział.

- Na zdrowie - powtórzył Gascoigne i zaklął dosadnie, gdy stwierdził, że jego kieliszek jest pusty. - Nie mam czym spełnić toastu, Ken.

Kenneth Woodfall czekał cierpliwie, podczas gdy Eden Wendel, zataczając się, ruszył w stronę kredensu. Po chwili wrócił z prawie pustą karafką brandy i ku zdumieniu przyjaciół, napełniając kieliszki, nie uрониł ani kropli drogiego płynu.

- No to na zdrowie - powtórzył Kenneth. - Nasze kawalerskie.

- Nasze kawalerskie - powtórzyli uroczyście Gascoigne i Wendel.

- Wypijmy za to, że wreszcie jesteśmy wolni i szczęśliwi - rzekł lord Pelham, ponownie wznosząc do góry kieliszek. - I za to, że wciąż mamy tyle wigoru.

- I za to, że wciąż mamy tyle wigoru - powtórzył Kenneth.

- Na złość staremu Boneyowi - dodał Gascoigne.

Wypili więc za wolność, którą odzyskali po Waterloo, sprzedając swoje patenty oficerskie w kawalerii. Wypili za beztróski czas po powrocie do Londynu. W końcu za to, że śmierć oszczędzała ich przez lata walk z Napoleonem Bonaparte, najpierw w Hiszpanii i Portugalii, a potem w Belgii.

- Do diabła! Nic już jednak nie będzie takie, jak wtedy, gdy towarzyszył nam stary Rex - westchnął Gascoigne.

- Niech odpoczywa w pokoju - dodał lord Pelham i wszyscy pochylili głowy w pełnym czci milczeniu.

Kenneth chętnie by usiadł, ale najbliższy wolny fotel stał tak daleko od kominka, że

nie był pewien, czy dotrze tam o własnych siłach. Pił wraz z przyjaciółmi podczas obiadu u White'ów, pił w teatrze podczas antraktów i w garderobie u artystek, pił też w salonie madame Louise, zanim poszli na górę z trzema dziewczętami. W końcu, gdy zgodnie uznali, że jest stanowczo za wcześnie, aby iść spać, wylądowali w garsonierze Edena, gdzie od kilku godzin kolejnym toastom nie było końca.

- Rex dobrze zrobił - stwierdził nagle Kenneth, ostrożnie stawiając na kominku do połowy opróżniony kieliszek. Skrzywił się z niesmakiem na myśl o koszmarnym bólu głowy, z jakim obudzi się gdzieś koło południa, a może nawet jeszcze później. Od kilku tygodni ten sam scenariusz powtarzał się niemal codziennie. A wszystko to w imię nieograniczonej wolności i upajania się życiem.

- Co ty opowiadasz? - Gascoigne ziewnął głośno. - Wyjechał do Stratton, chociaż przysięgał, że spędzimy razem zimę w Londynie.

- Cóż go tam może czekać poza powszechnym szacunkiem, pracą i niewyobrażalną nudą - zauważył lord Pelham, rozluźniając i tak już mocno rozluźniony fular. - Obiecaliśmy sobie wiele uciech tej zimy.

Jesień spędzili bardzo wesoło, oddając się wszystkim możliwym rozrywkom i ekscesom. Lecz oczekiwali, że sezon zimowy, słynny ze wspaniałych przyjęć i balów, wcale nie będzie gorszy, i że okazji do flirtów i przelotnych romansów nie zabraknie.

- Rex dobrze zrobił - powtórzył z uporem Kenneth. - Takie życie z czasem staje się nudne.

- Za mało wypiełeś, Ken. - Gascoigne spojrział na niego z niepokojem, po czym sięgnął po stojącą przy fotelu karafkę. - Zaczynasz wygadywać jakieś herezje.

Kenneth pokręcił głową. I chociaż wyznawał zasadę, że po pijanemu nie powinno się filozofować, sam często postępował inaczej. Przypomniał sobie, jak toczył z przyjaciółmi niekończące się rozmowy, co będą robili po wojnie, chociaż wydawało się mało prawdopodobne, że tę wojnę przeżyją. Przyjaźnili się od lat i w szwadronie kawalerii, w którym służyli, zawsze widziano ich razem. Jeden z oficerów za odwagę i szaleńczą brawurę podczas walki nazwał ich nawet Czterema Jeźdźcami Apokalipsy. Wszyscy czterej marzyli o powrocie do Anglii. Marzyli, że sprzedadzą patenty oficerskie i że w Londynie rzucają się w wir życia, nadrabiając stracony czas.

Rex pierwszy doszedł do wniosku, że życie wypełniane tylko rozrywkami nie daje satysfakcji i ku zaskoczeniu przyjaciół, tuż przed sezonem zimowym, postanowił opuścić Londyn. Rex Adams, wicehrabia Rawleigh, wyjechał do swojej posiadłości w Kent, aby zacząć nowe życie.

- Ken mówi zupełnie jak Rex - odezwał się lord Pelham. - To chyba zaraźliwe. Ktoś musi go, do diabła, powstrzymać. Za chwilę zacznie gadać o wyjeździe do domu w Kornwalii. W Kornwalii! To przecież na końcu świata. Nie rób tego, Ken. Nie rób tego, przyjacielu. Umrzesz z nudów już po kilku dniach.

- Niech ci to nie przyjdzie do głowy, Ken - zawołał Gascoigne. - Potrzebujemy ciebie, stary druhu, chociaż nie potrzebujemy twojej cholernej gęby, która sprawia, że wszystkie dziwki gapią się wyłącznie na ciebie. Mam rację, Ed? - W Hiszpanii często się na niego boczyli, ponieważ, ze swoimi blond włosami, miał u hiszpańskich piękności znacznie większe szansę. - Po zastanowieniu stwierdzam, że powinniśmy okazać się na tyle mądrzy, aby pozwolić ci odejść. Jedź więc do domu, Ken. A kysz! Wracaj do swojej Kornwalii. Będziemy ci opisywać w listach wszystkie ślicznotki, które zjadana święta do Londynu.

- I które będą do nas ciągnąć jak pszczoły do miodu - dodał lord Pelham, śmiejąc się od ucha do ucha. - Jesteśmy w końcu bohaterami.

Kenneth również się roześmiał. Lubił swoich przyjaciół, chociaż w tej chwili ich wygląd pozostawiał wiele do życzenia.

Nie myślał poważnie o powrocie do domu, jednak zdawał sobie sprawę, że kiedyś będzie musiał to zrobić. Dunbarton Hali w Kornwalii należał do niego już od siedmiu lat, od śmierci ojca, a mimo to nie był tam od ponad ośmiu lat. Nawet wtedy, gdy ciężko ranny w jednej z bitew znalazł się w Anglii, nie zdecydował się pojechać do domu. Kiedy opuszczał go dawno temu, przysiągł sobie, że już nigdy tam nie wróci.

- Moglibyśmy wybrać się razem - rzekł. - Boże Narodzenie na wsi to chyba niezły pomysł. Tam też można znaleźć wiele atrakcji. - Podniósł do góry rękę i skrzywił się, widząc, że nie trzyma w niej kieliszka.

Gascoigne jęknął.

- Wiejskie dziewczyny? - Lord Pelham uniósł brwi.

- Wiejskie matrony i ich wiejscy mężowie - dodał Gascoigne. - I wiejska moralność. Na Boga, nie rób tego, Ken. Cofam to, co powiedziałem. Przeżyjemy jakoś tę twoją niebezpiecznie atrakcyjną powierzchowność, prawda, Ed? Będziemy walczyć o względy kobiet za pomocą naszego niezaprzeczalnego uroku i niebieskich oczu Eda. Mężczyzna może wyglądać jak maskara, a kobiety w ogóle tego nie zauważą, jeśli ta maskara ma niebieskie oczy.

Nie ma powodu, dla którego nie miałbym wrócić, pomyślał Kenneth. Osiem lat to szmat czasu. Wszystko mogło się zmienić. On sam też się przecież zmienił. Nie był już pełnym ideałów młodzieńcem, z głową nabitą romantycznymi marzeniami. Już sama myśl o

tym wydała mu się teraz zabawna. Mimo to żałował, że tyle wypił, i żałował, że był u Louise. Po raz kolejny. Dosyć już miał budzenia się w coraz to innym łóżku. Dosyć hazardu i pijaństwa. Nie mógł uwierzyć, że życie, jakie prowadził od kilku miesięcy, kiedyś było dla niego szczytem marzeń.

- Mówię poważnie - powtórzył. - Jedźcie ze mną. Boże Narodzenie w Dunbarton zawsze było najradośniejszym czasem w roku. Dom wypełniali goście, odbywała się ogromna liczba przyjęć i wielki bal tuż po świętach.

Gascoigne znowu jęknął.

Matka byłaby zachwycona, pomyślał Kenneth. Większość czasu spędzała teraz w Norfolk u hrabiostwa Ainsleigh. Wicehrabia Ainsleigh poślubił Helen, siostrę Kennetha. Matka z pewnością chętnie przyjedzie do Dunbarton. Kilka razy pisała do niego, pytając, kiedy ma zamiar wrócić i kiedy ma zamiar się ożenić. Ainsleigh, Helen i ich dzieci mogliby również przyjechać, chociaż Kenneth podejrzewał, że Helen zrobiłaby to bez specjalnego entuzjazmu. Zjawią się także tłumy krewnych, pomimo iż do świąt pozostało już niewiele czasu. Kilka osób mógłby zaprosić sam. Jeśli zaś chodzi o pozostałych gości, zostawiłby matce wolną rękę.

Naprawdę nie było żadnego powodu, żeby dłużej zwlekać z wyjazdem do Dunbarton. A może jednak był? Zmarszczył brwi. Powód, który przyszedł mu właśnie na myśl, nie miał już jednak osiemnastu lat, a prawie o osiem więcej. Do licha! Szybko dodał w pamięci. Dwadzieścia sześć? Aż trudno uwierzyć. Pewnie dawno już ma męża i gromadkę dzieci. W to również trudno mu było uwierzyć. Wyciągnął rękę po stojący na kominku kieliszek i opróżniwszy jego zawartość, skrzywił się z niesmakiem.

- On mówi poważnie, Nat - rzekł lord Pelham. - Naprawdę jedzie.

- On mówi poważnie, Ed - potwierdził Gascoigne. - Wszystko wskazuje na to, że dziś w nocy mówi poważnie, A może to już rano? Do licha, która to godzina? Jutro - a może raczej powinienem powiedzieć dziś? - on jeszcze zmieni zdanie. Trzeźwość zawsze przywraca rozsądek. Pomyśl, ile straci, jeśli wyjedzie do tej swojej Kornwalii.

- Ból głowy po przepiciu - powiedział Kenneth.

- Racja, ból głowy po przepiciu - dodał lord Pelham. - W Kornwalii z pewnością nie wiedzą co to przepicie, Nat.

- W Kornwalii w ogóle nie mają alkoholu, Ed - odrzekł Gascoigne.

- A przemytnicy? - zaprotestował Kenneth. - Jak myślicie, gdzie trafiają najlepsze alkohole z przemytu? Powiem wam - do Kornwalii. - Nie miał jednak zamiaru rozmawiać teraz ani o przemytnikach, ani o alkoholu. - Wyjeżdżam, przyjaciele. Wyjeżdżam na święta.

Jedziecie ze mną?

- Na mnie nie licz, Ken - odparł lord Pelham. - Mimo wszystko wolę londyńskie rozrywki.

- A ja muszę wreszcie trafić do jakiegoś łóżka - mruknął Gascoigne. - Najchętniej do własnego. Kornwalia jest stanowczo za daleko.

Tak więc pojedę sam, zdecydował Kenneth. W końcu Rex również pojechał sam do Stratton. Czas wracać do domu. Najwyższy czas. Stało się już zwyczajem, że każdą decyzję podejmował pod wpływem impulsu albo kiedy był zbyt pijany, by ją przemyśleć. Tyle było przecież powodów, dla których nie powinien wracać do domu. Nie, nie było żadnych. Dunbarton należało do niego. To był jego dom. A ona miała dwadzieścia sześć lat i gromadkę dzieci. A niby skąd on to wie?

- Chodź, Nat - rzekł nagle, rezygnując bohatersko z oparcia, jakim był dla niego kominek. - Przekonajmy się, czy zdołamy dotrzeć do naszych domów. Rex pewnie już od kilku godzin jest w łóżku i obudzi się skoro świt z lekką głową i dobrym samopoczuciem. Spryciarz.

Przyjaciele skrzywili się z dezaprobatą. Gascoigne wstał, nie kryjąc zdumienia, że jest jeszcze w stanie utrzymać się na nogach, choć nie czuje się na nich zbyt pewnie.

Tak. Rex postąpił mądrze, pomyślał Kenneth. Czas wracać do domu. Do rodzinnego gniazda. Do Dunbarton.

* * *

Jak na początek grudnia, dzień był piękny. Co prawda chłodny, ale jasny i słoneczny. Promienie słońca, odbijając się od powierzchni morza, skrzyły się i mieniły jak tysiące małych brylantów, a wiejący w stronę lądu wiatr, który tak często nękał mieszkańców, tym razem był ledwo wyczuwalny.

Kobieta, która siedziała na skraju stromego urwiska, w niewielkim, porośniętym trawą zagłębieniu, obejmowała ramionami kolana, z rozkoszą wdychając słone powietrze. Czowała wewnętrzny spokój, a jednocześnie ekscytację tym, co przyniosą najbliższe dni.

Wkrótce wszystko w jej życiu miało się zmienić - oczywiście na lepsze. Jak mogło być inaczej, skoro jeszcze dwa dni temu uważała, że przekroczyła wiek, w którym wychodzi się za mąż - miała już przecież dwadzieścia sześć lat - a oto teraz czekała na przyjazd przyszłego małżonka. W ciągu ostatnich kilku lat wciąż powtarzała sobie, że nie ma ochoty wychodzić za mąż, że jest szczęśliwa, iż może mieszkać ze swoją niedawno owdowiałą matką w Penwith Manor i cieszyć się wolnością, o której większość kobiet nie ma nawet pojęcia. Ta

wolność była jednak bardzo iluzoryczna. Od ponad roku żyła w niepewności, co ją czeka, ale starała się o tym nie myśleć, ponieważ nic nie mogła na to poradzić. W końcu była tylko kobietą.

Penwith Manor należał do jej ojca, a przedtem do ojca jej ojca i tak było od sześciu pokoleń. Teraz majątek wraz z tytułem baroneta przeszedł na dalekiego kuzyna, sir Edwina Bailliego. Przez czternaście miesięcy, jakie upłynęły od śmierci ojca, wciąż mieszkała tu wraz z matką. Obydwie panie zdawały sobie jednak sprawę, że sir Edwin Baillie w każdej chwili może przejąć Penwith Manor, sprzedać go lub wynająć. Co się wtedy z nimi stanie? Gdzie się podzieją? Sir Edwin prawdopodobnie nie zostawi ich bez środków do życia, będą jednak musiały przenieść się do znacznie mniejszego domu, mając do dyspozycji bardzo skromne środki. Z pewnością nie była to zbyt wesoła perspektywa.

Stało się jednak inaczej. Sir Edwin podjął wreszcie decyzję i napisał do lady Hayes długi list, w którym poinformował ją, że w najbliższym czasie ma zamiar się ożenić, aby, doczekawszy się męskich potomków, zabezpieczyć dziedzictwo oraz byt matce i trzem siostram na wypadek swojej przedwczesnej śmierci. Jego intencją jest rozwiązać jednocześnie obydwa problemy poprzez poślubienie swojej kuzynki w trzeciej linii, panny Moiry Hayes. W ciągu tygodnia przybędzie do Penwith Manor, aby tę propozycję złożyć osobiście i poczynić przygotowania do ślubu, który winien się odbyć na wiosnę.

Najwyraźniej zakładał, że Moira Hayes będzie szczęśliwa, mogąc przyjąć jego ofertę. I właściwie niewiele się mylił. Po chwilowym szoku, a następnie oburzeniu, że był tego aż tak bardzo pewien, Moira uznała, że przyjęcie propozycji sir Edwina było w jej sytuacji jedynym sensownym rozwiązaniem. Miała dwadzieścia sześć lat i niepewną przyszłość. Sir Edwina Bailliego spotkała tylko raz. Było to wkrótce po śmierci ojca, kiedy nowy właściciel Penwith Manor przyjechał wraz z matką, żeby obejrzeć swoją nową posiadłość. I chociaż wydał jej się nudny i pompatyczny, to jednak był młody - nie wyglądał na więcej niż trzydzieści pięć lat - poważny i dosyć przystojny, chociaż nie nazbyt urodziwy. Poza tym Moira powtarzała sobie, że uroda nie jest najważniejsza, szczególnie dla takiej jak ona starej panny, która marzenia o romantycznej miłości dawno już miała za sobą.

Oparła brodę na kolanach i w zadumie patrzyła na morze szumiące u stóp stromego urwiska. Tak, kiedyś miała marzenia. Z biegiem lat tyle się jednak zmieniło. Nie była już beztroskim podlotkiem, lecz bardzo zwyczajną, bardzo nudną i bardzo stateczną osobą. Uśmiechnęła się smutno. Z jednego tylko wciąż nie potrafiła zrezygnować - z samotnych spacerów, chociaż doskonale wiedziała, że szanująca się kobieta nie powinna wychodzić z domu bez osoby towarzyszącej. To miejsce nad skalistym urwiskiem było ulubionym celem

jej wędrówek. Nie przychodziła tu jednak od dawna i nie potrafiła wytłumaczyć sobie, dlaczego zrobiła to właśnie dziś. Czyżby miało to być jej pożegnanie z marzeniami? Ta myśl przepełniła ją smutkiem.

Po chwili pomyślała, że chociaż małżeństwo z sir Edwinem nie było szczytem szczęścia, to jednak nie było również dramatem. Od niej przecież w znacznej mierze zależy, co to małżeństwo jej przyniesie. Sir Edwin chce mieć dzieci, szczególnie synów. Doskonale, ona również tego pragnie. A jeszcze dwa dni temu była przekonana, że już nigdy nie będzie miała dzieci. Ani męża.

Drgnęła nagle, słysząc gdzieś za sobą szczekanie psa. Odruchowo zacisnęła dłonie na kolanach i podkurczyła palce stóp. Na szczęście to nie był bezpański pies. Ktoś ostrym głosem wydał polecenie i zwierzę uspokoiło się. Moira czekała w napięciu, ale poza szumem morza, wiatrem i krzykiem krążących w górze mew, nie dobiegał do jej uszu żaden inny dźwięk. Najwyraźniej człowiek i pies już odeszli. Odetchnęła z ulgą.

W tej samej niemal chwili poczuła, że ktoś ją obserwuje. Niezadowolona z pojawienia się intruza gwałtownie podniosła głowę. Stał na skarpie. Nie widziała jego twarzy. Promienie słońca oświetlały wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, w eleganckim płaszczu, kapeluszu z bobrowej skóry i wysokich, czarnych butach. Przyjechał wcześniej, niż zapowiadał, pomyślała. Z pewnością nie będzie zachwycony, że jego narzeczona wybrała się na takie odludzie bez przyzwoitki. Skąd wiedział, że tu jest? Do domu było ponad pięć kilometrów. Pewnie to pies go tu przyprowadził. Ale co stało się z psem?

Nagle przyszło jej na myśl, że to wcale nie jest sir Edwin Baillie. I chociaż wciąż nie widziała twarzy mężczyzny, to jednak nie miała już wątpliwości, kim był.

. Nie potrafiła powiedzieć, jak długo patrzyli tak na siebie: ona - siedząc na trawie z ramionami obejmującymi kolana, on - stojąc na skraju skarpy. Miała wrażenie, że trwało to parę minut, ale prawdopodobnie były to zaledwie sekundy.

- Witaj, Moiro! - powiedział w końcu.

* * *

Kenneth przybył do Kornwalii sam, jeśli nie liczyć lokaja, stangreta i psa. Nie udało mu się namówić Edena i Nata, żeby skorzystali z jego zaproszenia. Im natomiast nie udało się skłonić go do zmiany planów, chociaż decyzję o wyjeździe podjął, gdy był kompletnie pijany. Od tamtego pamiętnego dnia, w którym podjął nagłą decyzję o opuszczeniu rodzinnego gniazda, często działał pod wpływem impulsu.

Teraz wracał do domu, by spędzić w nim Boże Narodzenie. Jego matka, Ainsleigh i

Helen, liczni krewni i kilku przyjaciół matki wkrótce mieli również się zjawić. Eden i Nat obiecali przyjechać na wiosnę, jeśli, oczywiście, Kenneth wytrzyma tu aż tyle czasu. Być może Rex także do nich dołączy.

Pomysł wydawał się zupełnie szalony. Zima to nie był najlepszy czas na podróżowanie w tak odległe rejony kraju. Jednak gdy Kenneth ruszył w drogę, pogoda okazała się dla niego wyjątkowo łaskawa, a w miarę jak krajobraz stawał się coraz bardziej znajomy, Kenneth, na przekór sobie, poczuł, że jego serce bije coraz mocniej. Na dwa dni przed końcem podróży zostawił powóz, służbę i bagaż, i ruszył w dalszą drogę jedynie w towarzystwie Nelsona. Zastanawiał się, o ile dni wyprzedził go list wysłany do pani Whiteman, gospodyni zarządzającej domem w Dunbarton. Wyobrażał sobie, jakie zamieszanie wywołał wśród służby ten list. Zupełnie niepotrzebnie. On sam przyzwyczajony był do spartańskiego trybu życia, a pozostałe osoby nie zjawią się w Dunbarton wcześniej niż za dwa tygodnie.

Droga, którą podróżował, wiodła wzdłuż wysokiego klifu i tylko czasem opadała ku leżącym w dole wioskom rybackim, po czym znowu wznosiła się ku górze, skąd podziwiać można było złote plaże, kamieniste nabrzeża i podskakujące na fali łodzie rybackie.

Jak kiedykolwiek mógł pomyśleć, że już nigdy tu nie wróci?

Kiedy po pewnym czasie droga ponownie zaczęła opadać ku dolinie rzeki, Kenneth wiedział, że niebawem ujrzy przed sobą Tawmouth. To jednak nie Tawmouth było dziś celem jego podróży. Dunbarton leżało po tej samej stronie doliny, jakieś pięć, sześć kilometrów w głąb lądu. Czuł, jak ogarnia go wzruszenie. Przypominał sobie chłopięce lata, ludzi, z którymi się spotykał, i miejsca, w których niegdyś tak często bywał. Jedno z nich powinno znajdować się gdzieś w pobliżu.

Coś ścisnęło go za gardło. Odruchowo ściągnął lejce. Ten wykrot... to jedno z jego ulubionych miejsc. Tu, z dala od wścibskich oczu można było siedzieć sam na sam z przyrodą i własnymi myślami. Sam na sam z nią. Nie chciał jednak pozwolić, aby myśli o niej zdominowały myśli o domu rodzinnym. Tak czy inaczej, dzieciństwo i lata chłopięce to był najszczęśliwszy okres w jego życiu.

Już miał ruszyć w dalszą drogę, gdy Nelson, zwróciwszy łeb w stronę wykrotu, zaczął gwałtownie ujadać. Czyżby kogoś tam wyczuł?

- Siad, Nelson! - zawołał Kenneth, zanim pies zdążył rzucić się w stronę zarośli.

Pies usiadł posłusznie i podniósłszy do góry łeb, czekał na dalsze rozkazy swego pana. Kenneth zatrzymał konia. Zwierzę, pochyliwszy głowę, zaczęło skubać trawę. Wszystko wyglądało tak, jakby czas zatrzymał się przed ośmiu laty.

Kenneth zeskoczył z konia i wolno ruszył w stronę wykrotu. Miał nadzieję, że nikogo tam nie ma. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

Zerknął do wnętrza kryjówki, starając się jednocześnie pozostać w ukryciu. Ktoś jednak tam był. Jakaś skromnie ubrana kobieta w szarym płaszczu i kapeluszu siedziała na trawie, obejmując rękami kolana. Przez chwilę uważnie się jej przyglądał. Nie widział jej twarzy, ukrytej pod rondem kapelusza, ale w jej sylwetce było coś niepokojąco znajomego. Nagle poczuł, że jego serce gwałtownie przyśpiesza. Nieznajoma podniosła raptownie głowę i wtedy słońce oświetliło jej twarz.

Ten strój i upływ lat sprawiły, że wyglądała znacznie poważniej, niż wtedy, gdy Kenneth widział ją po raz ostatni. Jej ciemne włosy były teraz gładko zaczesane do tyłu i ukryte pod kapeluszem. Jednak twarz... Prawie wcale się nie zmieniła. Wciąż wyglądała jak twarz renesansowej Madonny. I te ogromne, ciemne oczy. Nie była ładna, jednak jej twarz nawet w największym tłumie zawsze przyciągała wzrok.

W wyobraźni ujrzał tamtą bosonogą dziewczynę, w zwiewnej kolorowej sukience i z włosami luźno opadającymi na ramiona.

Nie potrafił określić, jak długo przyglądali się sobie w milczeniu.

- Witaj, Moiro - powiedział.

Pomyślał, że nie powinien był zwracać się do niej po imieniu, ale nie wiedział przecież, jak ma teraz na nazwisko.

- Kenneth - powiedziała tak cicho, że właściwie odczytał to jedynie z ruchu jej warg. Z trudem przełknęła ślinę. - Nie wiedziałam, że zdecydowałeś się wrócić do domu.

- Sprzedałem patent oficerski parę miesięcy temu.

- Naprawdę? Ach tak, rzeczywiście. Mówiło się o tym w miasteczku. Takie wiadomości zawsze budzą sensację.

Wstała, ale nie zrobiła najmniejszego kroku w jego kierunku. Była bardzo szczupła i bardzo wysoka, zdążył już zapomnieć jak bardzo. Zawsze podziwiał jej prostą, smukłą sylwetkę i sposób poruszania się z wysoko podniesioną głową, jakby to, że była wyższa od większości mężczyzn, w ogóle jej nie przeszkadzało. Podobało mu się, że prawie mu dorównywała wzrostem. I chociaż kobiety, które sięgały mu zaledwie do ramienia - a tak było w większości przypadków - budziły w nim instynkty opiekuńcze, to tak naprawdę przeszkadzało mu, że musi się pochylać, aby spojrzeć im w oczy.

- Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku - powiedział.

- Tak, dziękuję.

Dlaczego tu przyszła? - zastanawiał się. Czyżby w ciągu tych ośmiu lat uczyniła to miejsce swoją świątynią dumania, zapominając, że kiedyś przychodzili tu razem?

Nie zdarzało się to zbyt często. Jednak ich spotkania wiązały się z tak wielkim poczuciem winy i niosły ze sobą tak wielkie ryzyko, że wydawało się, jakby było ich znacznie więcej. Dlaczego jest sama? Wychodzenie z domu bez towarzystwa - choćby służącej - nie należało przecież do dobrego tonu.

- A sir Basil i lady Hayes? - zapytał chłodno. Pamiętał, że ich rodziny były zwaśnione od kilku pokoleń i od niepamiętnych czasów nie utrzymywały ze sobą żadnych stosunków. Kiedyś miał nadzieję, że łączące jego i Moirę uczucia sprawią, iż skłócone rodziny w końcu się pogodzą. Jednak wypadki potoczyły się tak, że wzajemne animozje stały się jeszcze silniejsze.

- Papa zmarł rok temu - odparła.

- Ach tak - powiedział. - Przykro mi.

Nic o tym nie wiedział. Wiadomości z Dunbarton przychodziły tak rzadko. Jego matka nie mieszkała już w rodzinnym majątku, a Kenneth nie korespondował z żadnym z dawnych

sąsiadów. Z rządcą majątku natomiast wymieniali jedynie listy dotyczące interesów.

- Mama czuje się dobrze.

- A... - Kenneth zawahał się. Tytuł mógł ulec zmianie. - A sir Sean Hayes? - dodał po namyśle.

- Mój brat nigdy nie odziedziczył tytułu - powiedziała cicho. - Zmarł kilka miesięcy przed papą. Zginął w bitwie pod Tulużą.

O tym również nie słyszał. Sean Hayes, jego rówieśnik, opuścił dom na krótko przed nim. Jego ojciec kupił mu patent oficerski w pieszym regimencie prawdopodobnie dlatego, że na więcej nie było go stać. Sean Hayes, niegdyś jego najbliższy przyjaciel, a w końcu najzagorzalszy wróg, nie żyje?

- Przykro mi - powiedział.

- Czyżby? - rzuciła chłodno. Jej ciemne oczy patrzyły na niego obojętnie, a mimo to czuł bijącą od niej niechęć, prawie wrogość. Osiem lat nie zmieniło więc niczego. Nie zmieniło, chociaż straciła w tym czasie i ojca, i brata. A ona i jej matka...

- A twój małżonek? - zapytał.

- Nie jestem jeszcze zamężna - odparła. - Wkrótce zaręcę się z sir Edwinem Bailliem, dalekim kuzynem, który odziedziczył po moim ojcu tytuł i majątek.

Nie była jeszcze mężatką? Nikt więc, jak dotąd, nie potrafił jej okiełznać? Patrząc na nią, można by przysiąc, że komuś się to jednak udało. Wyglądała inaczej, a jednocześnie tak samo. Dlaczego zdecydowała się poślubić kuzyna? Z rozsądku? A może w grę wchodziło uczucie? To jednak nie była jego sprawa. Osiem lat to szmat czasu.

- Wygląda na to, że wróciłem do domu w samą porę, aby złożyć ci moje najlepsze gratulacje - zauważył.

- Dziękuję.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Odwrócił się w stronę drogi, żeby uzyskać potwierdzenie tego, o czym właściwie dobrze już wiedział.

- Jak tu dotarłaś? - zapytał. - Nie widzę ani powozu, ani konia.

- Przyszłam pieszo.

A przecież Penwith Manor znajdowało się dobrych kilka kilometrów w dół doliny, a później jeszcze prawie trzy kilometry w głąb łądu. Czy ona się już nigdy nie zmieni?

- Pozwól więc, że odwiozę cię do domu - powiedział. Zastanawiał się, co to za typ ten Edwin Baillie, że toleruje jej samotne wędrówki po okolicy. A może nic o nich nie wie. Może po prostu jej nie zna, biedaczysko.

- Wrócę do domu, tak jak przyszłam - sama. Dziękuję, milordzie.

Pomyślał, iż nie postąpił najmądrzej, składając tę propozycję. Jakby to wyglądało, gdyby nagle zjawiał się w Tawmouth po raz pierwszy od ponad ośmiu lat z Moirą Hayes, narzeczoną właściciela Penwith? I gdyby potem odwiózł ją do Penwith, gdzie od niepamiętnych czasów żaden z przedstawicieli jego rodu nie postawił stopy.

Nie wolno mu zapomnieć, że pomiędzy Penwith i Dunbarton od dawna toczy się wojna i że nie ma nadziei na szybkie jej zakończenie. On sam nie chciał już o to zabiegać, chociaż jeszcze parę dni temu myślał o tym, że ta wojna, którą zaczęli jeszcze ich pradziadowie, wciąż musi trwać, wydałaby mu się absurdalna. Nie chciał też mieć nic wspólnego z Moirą Hayes. Z jej zachowania wywnioskował, że ona z nim również.

Skłonił głowę i dotknął czubkami palców runda kapelusza.

- Jak sobie życzysz - rzekł chłodno. - Życzę miłego dnia, panno Hayes.

Nie odpowiedziała. Patrzyła w milczeniu, jak Kenneth odwraca się i jak wolno idzie do miejsca, gdzie zostawił konia. Wierny Nelson poderwał się na widok pana, oznajmiając szczekaniem, że jest gotowy do dalszej drogi. Kenneth skierował się w głąb łądu, pozostawiając za sobą główną drogę, która, opadając ku dolinie, wiodła do Tawmouth. Czuł niepokój i miał zamęt w głowie. Spotkanie z Moirą i wspomnienia, jakie wywołało, zrobiły swoje. Co za sentymentalizm, pomyślał ze złością. Lecz ze zdumieniem stwierdził, że cieszy go powrót do domu po tylu latach.

Właściwie nie było w tym nic dziwnego. Jego i Moirę łączyło kiedyś coś, co w swojej naiwności nazywał miłością. Moira była pierwszą dziewczyną, w której się zakochał. I jak dotąd jedyną. Kiedy zaczął się z nią spotykać, edukację seksualną dawno już miał za sobą. Tak naprawdę, niewiele się wówczas zdarzyło: jedno spotkanie przypadkowe i kilka zaplanowanych - wszystkie wywoływały w nim ogromne poczucie winy, ponieważ wiedział, że nie powinien widywać się z nikim z rodziny Hayesów, a już na pewno nie powinien przebywać sam na sam z dorastającą panną. Oczywiście spotykał się z bratem Moiry, Seanem, i przez długie lata łączyła ich wielka przyjaźń, ale to było coś zupełnie innego. Spotkania z Moirą ekscytowały go i coraz bardziej utwierdzały w przekonaniu, że to, co do niej czuje, to najprawdziwsza miłość. Właściwie dopiero teraz tak jasno to sobie uświadomił. Zrozumiał, że to właśnie spotkanie z nią tak bardzo wytrąciło go z równowagi, chociaż zupełnie się tego nie spodziewał. Był przecież zupełnie innym człowiekiem: zahartowanym przez życie, twardym i cynicznym.

Spojrzał w dół, na porośniętą lasem dolinę, na zakola rzeki toczącej niezmiennie swoje wody w stronę morza. Wkrótce ujrzy Dunbarton. Nie, nie żałował, że wraca. Wprost przeciwnie. Czuł miłe podniecenie, które rosło, w miarę jak zbliżał się do celu podróży. Eden

i Nat teraz by już z pewnością z niego nie kpili.

Przez jakiś czas Ken jechał przez rozległy płaskowyż, a w pewnej chwili, kiedy zaczął go już nudzić dosyć monotony krajobraz, ujrzał malowniczą dolinę, porośniętą bujną zielenią, tak bardzo kontrastującą z ubogimi w roślinność okolicznymi zboczami. A w środku tej zielonej oazy Dunbarton Hall - zbudowany na planie czworoboku imponujący trzyskrzydłowy pałac z granitu, z wysokim ogrodzeniem i bramą z kutego żelaza dopełniającymi całość. Ten widok zawsze zaskakiwał, zawsze zapierał dech w piersiach, nawet temu, kto spędził tu prawie całe życie.

- Jesteśmy w domu, Nelson - powiedział Kenneth. Jego rozdrażnienie ulotniło się bez śladu. To był dom, jego dom. Po raz pierwszy od siedmiu lat tak jasno zdał sobie z tego sprawę. Dunbarton był jego.

Nelson zaszczeakał i popędził w kierunku widniejącego w oddali domu.

* * *

Moira długo stała bez ruchu, patrząc na ścieżkę, którą odjechał Kenneth. Słyszała zamierający w oddali odgłos końskich kopyt, mimo to wciąż czekała, jakby chciała się upewnić, że znowu jest sama.

Od dawna nie myślała o nim z taką nienawiścią. Nawet wtedy, gdy zginął Sean. Po jego śmierci długo nie mogła dojść do siebie, a przecież zaledwie parę miesięcy później straciła ojca i musiała zająć się tysiącem różnych spraw. Jej życie uległo tak zasadniczej zmianie, że zapomniała o tamtej dziewczęcej miłości.

Oczywiście powinna była przewidzieć, że Kenneth wróci, i jakoś się na to przygotować, chociaż tak naprawdę nie bardzo wiedziała, na czym to przygotowanie miałoby polegać. Prawda była taka, że od kiedy do Tawmouth dotarła wiadomość, że młody hrabia Haveford sprzedał swój patent oficerski, najważniejszym tematem wszystkich spotkań towarzyskich było, czy hrabia przyjedzie do Dunbarton. W tej kwestii w zasadzie nie było różnicy zdań. Wszyscy twierdzili, że hrabia wkrótce się tu zjawi. Wszyscy poza Moirą. Wyjeżdżając przed laty z Dunbarton, Kenneth oświadczył, że nigdy tu już nie wróci, i ona mu wierzyła.

Cóż za wzruszająca naiwność! Oczywiście, że wrócił. Był przecież hrabią Haveford, właścicielem Dunbarton, lordem i panem prawie całej tej części Kornwalii. Jak mógłby z tego wszystkiego zrezygnować? Odkąd sięgała pamięcią zawsze lubił władzę. Przez osiem lat miał szansę poczuć jej smak i Moira nie miała wątpliwości, że tej szansy nie zmarnował. Wciąż jeszcze brzmiał jej w uszach jego chłodny, nawykły do wydawania rozkazów głos.

Gorycz i nienawiść, które nagle przepełniły jej serce, zaskoczyły ją. Odetchnęła głęboko, starając się odzyskać spokój. Młody hrabia miał pełne prawo tu wrócić, tak jak ona miała pełne prawo robić wszystko, żeby go unikać. Hayesowie i Woodfallowie we wzajemnym unikaniu się doszli przecież do prawdziwej perfekcji.

Podczas rozmowy słońce, które świeciło jej w oczy, uniemożliwiało dokładne przyjrzenie się jego twarzy. Widziała jednak dostatecznie dużo, aby ocenić, że był wspaniale zbudowany. Już jako młody chłopak był wyjątkowo przystojny, chociaż może w stosunku do swojego wzrostu nieco za szczupły. Jego twarz wciąż miała delikatne rysy, a jasne włosy, których kosmyk wysuwał się spod kapelusza, miały ten sam fascynujący odcień. Moira pomyślała, że teraz wyglądał jeszcze wspanialej niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni.

A jej brat, Sean, leżał w bezimiennej mogile gdzieś w południowej Francji. Nie czuła wtedy goryczy. Ból i smutek - tak, ale nie gorycz. Żołnierze walczą i żołnierze giną. Sean był żołnierzem, porucznikiem piechoty i zginął w bitwie.

Teraz jednak przepełniała ją gorycz. I lodowaty chłód i nienawiść. Sean nigdy nie wstąpiłby do wojska, gdyby nie zmusiły go do tego okoliczności. Nie miał wyjścia. Zadrzała z zimna. Spojrzała w niebo i ze zdumieniem stwierdziła, że słońce jest jeszcze dość wysoko.

Nie powinna go nienawidzić i wcale tego nie chciała. Nienawiść to zbyt silne uczucie. Nie chciała wracać do przeszłości. Nie chciała ponownie przeżywać tamtej zarliwej miłości, która tak bardzo skomplikowała jej życie. Minęło tyle lat. Była już zupełnie inną osobą. On z pewnością również. Musi o nim zapomnieć, przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe w sytuacji, gdy on miał zamiar mieszkać zaledwie kilka mil od Penwith. Czy zatrzyma się tu na długo? - zastanawiała się. Jakież to jednak mogło mieć znaczenie? Wkrótce rozpocznie nowe życie, które zapewni jej właściwą pozycję społeczną. I spełnienie. Pomyślała o dzieciach i uśmiechnęła się.

Wyszła z ukrycia i rozejrzała się uważnie. Nikogo jednak nie dostrzegła. Zastanawiała się, jak to się stało, że Kenneth znalazł ją w tym wykrocie. Nie mógł jej przecież widzieć z góry. Dlaczego się więc zatrzymał? I dlaczego ona wybrała właśnie ten dzień na przechadzkę? Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy była tu po raz ostatni. To jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności. W pewnej chwili przyszło jej na myśl, że może jednak dobrze się stało. Może, gdyby wiedziała o jego powrocie, bałaby się spotkania z nim. Teraz tę trudną próbę miała już za sobą.

Szybkim krokiem ruszyła w kierunku domu. Nie powinna była wybierać się tak daleko o tej porze roku, bez względu na to, jak przyjemny wydawał się dzień. Czuła, że dojmujący chłód zaczyna przenikać ją na wskroś.

* * *

Mieszkańcy Tawmouth i okolicznych majątków od wielu lat nie byli świadkami tak ekscytujących wydarzeń.

- Nikt przecież nie może uważać za ekscytujące wydarzenie pogrzebu sir Basila Hayesa przed czternastoma miesiącami - powiedziała cicho panna Pitt, pijąc herbatę w towarzystwie pastora i jego małżonki, pani Meeson oraz pani i panny Penallen.

Ledwie wszyscy zdolali dojść do siebie po wiadomości, że hrabia Haveford przybył do Dunbarton Hali tak szybko, iż pani Whiteman, gospodyni jego lordowskiej mości, miała tylko jeden dzień na przygotowania, kiedy dotarła do nich kolejna sensacyjna wiadomość, iż na Boże Narodzenie należy spodziewać się przyjazdu lady Haveford oraz całego tłumu gości. Matki posiadające córki na wydaniu z nadzieją myślały o przybyciu wielu młodych mężczyzn. Natomiast te, które posiadały synów w kawalerskim stanie, z taką samą nadzieją myślały o znalezieniu dla nich dobrej partii.

Panowie zaczęli składać wizyty jego lordowskiej mości. Panie natomiast z niecierpliwością czekały, kiedy on sam zjawi się u nich osobiście, ponieważ, jak stwierdziła pani Trevellas, od powracających z Dunbarton panów niewiele można się było dowiedzieć. Wszyscy, jak jeden mąż, powtarzali tylko, że młody hrabia rzeczywiście walczył pod Waterloo i że na własne oczy widział księcia Wellingtona. Jakby to było takie interesujące!

- Niczego nie można się od nich dowiedzieć - ciągnęła z oburzeniem pani Trevellas. - Ani o tym, jak jego lordowska mość wygląda, ani jak się ubiera. Pan Travellas, wyobraźcie sobie, nawet nie pamiętał, co jego lordowska mość miał na sobie, choć rozmawiał z nim przez dobre pół godziny.

Pozostałe panie z niedowierzaniem pokręciły głowami.

Kiedy panowie przestali dyskutować o tym, czego każdy z nich dowiedział się o wojennych przeżyciach hrabiego, a panie zastanawiać się, czy młody człowiek jest tak samo przystojny, jak wtedy, kiedy był chłopcem, wszyscy zaczęli snuć domysły, jakich to atrakcji można oczekiwać z okazji zbliżających się świąt. Za czasów starego hrabiego tuż po świętach Bożego Narodzenia w Dunbarton zawsze organizowano wielki bal.

- I za czasów ojca starego hrabiego również - zauważyła panna Pitt. Należała do tych nielicznych, którzy pamiętali jeszcze dziadka obecnego hrabiego. - On również był bardzo przystojnym mężczyzną - dodała z westchnieniem.

- Prawdopodobnie i w Penwith odbędzie się parę spotkań - powiedziała pani Meeson, pijąc herbatę w towarzystwie pani Trevellas. - Sir Edwin Baillie przybędzie tu lada dzień.

Przyjazd sir Edwina Bailliego nikogo w Tawmouth już nie ekscytował, chociaż przed nieoczekiwanym powrotem hrabiego Haveford, na liście najbardziej ekscytujących wydarzeń zajmował zdecydowanie pierwsze miejsce. Oczywiście osoba sir Edwina wciąż budziła emocje, a spekulacjom na temat celu jego wizyty w tym tak bardzo szczególnym okresie, nie było końca. Czyżby miał się oświadczyć drogiej pannie Hayes? I, czy jeśli to zrobi, panna Hayes go przyjmie? Wszyscy byli ogromnie zaskoczeni, gdy przed czterema miesiącami odrzuciła oświadczyzny pana Deveralla. Z drugiej jednak strony dla nikogo nie było tajemnicą, że panna Hayes była osobą niezależną i czasem jej postępowanie wydawało się zupełnie niezrozumiałe.

Kilka pań zwróciło się do pani Harriet Lincoln z prośbą o wyrażenie swojej opinii na ten temat, ponieważ, jak sama twierdziła, z panną Hayes łączyła ją szczególna przyjaźń. Pani Lincoln powiedziała jedynie, że jeśli sir Edwin rzeczywiście się oświadczy, a Moira Hayes te oświadczyzny przyjmie, to z pewnością wszyscy szybko się o tym dowiedzą.

Była jeszcze jedna kwestia, która budziła powszechne zainteresowanie: Jak, po przyjeździe sir Edwina Bailliego, ułożą się stosunki między Penwith i Dunbarton? Czyżby odwieczna nienawiść miała być kontynuowana przez następne pokolenie?

Oczywiście, jeśli lady Hayes lub jej córka znajdowały się w pobliżu, nigdy o tym nie rozmawiano. Najbezpieczniejszymi tematami były wówczas pogoda lub zdrowie.

- Biedna dziewczyna - zauważyła pewnego razu panna Pitt, gdy w towarzystwie nie było Moiry. - Lady Hayes również - dodała po chwili. - Jeśli nienawiść między tymi rodzinami nie ustanie, nie będą mogły uczestniczyć w bożonarodzeniowym balu w Dunbarton. Jeśli, oczywiście, jego lordowska mość taki bal zorganizuje.

- Och, nie mam co do tego żadnych wątpliwości - dodała pani Finley - Evans. - Wielebny Finley - Evans obiecał porozmawiać o tym z jego lordowska mością.

- Biedna Moira - powtórzyła panna Pitt.

* * *

Sir Edwin Baillie zjawił się w Penwith Manor w osiem dni po powrocie hrabiego Haveforda do Dunbarton Hali. Przed udaniem się do pokoi pana domu, które lady Hayes opróżniła jeszcze przed przybyciem nowego gospodarza, siedział w salonie i pił herbatę w towarzystwie lady Hayes i Moiry. Musi osobiście dopilnować rozładunku bagaży, ponieważ nikomu, nawet swojemu służącemu, nie pozwalała tego robić, jeśli nie jest przy tym obecny, wyjaśnił, po czym przez pół godziny przeproszał lady Hayes za nieobecność swojej matki, która, gdyby nie przeziębienie, towarzyszyłaby mu w tak wyjątkowej chwili. Tu z

szacunkiem skłonił głowę w kierunku Moiry. To oczywiście nic poważnego, ale przezorność kazała mu nalegać, aby pozostała w domu. Tak długa podróż powozem o tej porze roku mogłoby nadwerężyć jej delikatne zdrowie.

Lady Hayes zapewniła go, że postąpił bardzo rozsądnie i że ta decyzja świadczy jedynie o jego godnym najwyższego uznania przywiązaniu do matki. Jutro z samego rana wyśle do drogiej kuzynki Gertrudy list z zapytaniem, jak się czuje. Ma nadzieję, że stan zdrowia panien Baillie nie budzi żadnych obaw.

Rzeczywiście nie budził, chociaż najmłodsza z nich, Annabella, zaledwie kilka tygodni wcześniej nabawiła się zapalenia ucha po przejażdżce powozem w wyjątkowo wietrzny dzień. Teraz z niepokojem czekać będą na wiadomość, czy ich brat szczęśliwie dotarł do Penwith Manor. Wszyscy odradzali mu długą podróż w grudniu, ale on tak bardzo chciał zrealizować swoje plany - ponownie skłonił głowę w kierunku Moiry - że zdecydował się podjąć ryzyko jazdy po zasypanych śniegiem drogach. Jego matka doskonale to rozumiała i sama namawiała go, żeby nie odkładał wyjazdu jedynie z uwagi na jej nie najlepsze samopoczucie. Jeśli rzeczywiście jest troskliwym synem - ukłon w kierunku lady Hayes - to nauczył się tego od najlepszej pod słońcem matki.

Moira z uwagą przysłuchiwała się temu, co mówił, nie biorąc udziału w rozmowie, ale sir Edwinowi do szczęścia w zupełności wystarczało jakieś zdawkowe słowo czy uśmiech. Przynajmniej, pomyślała Moira, będzie miała męża, dla którego rodzina jest najwyższą wartością. Mogła trafić znacznie gorzej.

Podczas obiadu sir Edwin oznajmił, że jego pragnieniem jest spędzić święta w Penwith Manor, chociaż rozłąka z matką i siostrami będzie dla niego bolesna. Nadszedł jednak czas, aby dokładniej zapoznać się z majątkiem, który odziedziczył po śmierci sir Basila Hayesa - ma nadzieję, że lady Hayes i panna Hayes wybaczą tę otwartość, oddzielny ukłon w kierunku każdej z pań - i złożył wizytę sąsiadom, aby mogli poznać nowego baroneta Penwith. Oczywiście, z przyjemnością dotrzyma towarzystwa podczas świąt swoim drogim kuzynkom - kolejny ukłon - z których jedna, ma nadzieję, zdecyduje się jutro na bliższy z nim związek. Jego skierowany do Moiry uśmiech był niemal kokieterystyczny.

W salonie po obiedzie sir Edwin poprosił Moirę, żeby dla swojej drogiej mamy i oczywiście dla niego zagrała coś na fortepianie. Najwyraźniej nic nie sprawiało mu większej przyjemności, jak słuchanie gry w wykonaniu wytwornej damy o wyrafinowanym smaku. Kiedy Moira zaczęła grać, podniósł nieco głos i wyjaśnił lady Hayes, że jego trzy siostry również świetnie grają na fortepianie, chociaż największym talentem Cecyli jest jej głos, który odziedziczyła po swojej matce. Gra panny Hayes może się podobać, powiedział,

choć Christobel ma lżejsze uderzenie. Tym niemniej lady Hayes może być dumna ze swojej córki.

Tak, lady Hayes była dumna.

On także będzie dumny z panną Hayes - zapewnił, pochylając ku niej głowę - kiedy tylko uzyska do tego prawo. Do tego czasu, uśmiechnął się konspiracyjnie, ona już nie będzie panną Hayes, lecz kimś, kogo pozycja towarzyska w istotny sposób wzrosnie.

Nowy właściciel Penwith Manor, udając się na spoczynek, pożegnał panie, zapewniając, że następny dzień będzie najważniejszym i zapewne najszczęśliwszym dniem w jego życiu.

To będzie najważniejszy dzień również i w moim życiu, myślała Moira, leżąc w łóżku podczas długiej, bezsennej nocy. Nie sądziła jednak, żeby był najszczęśliwszy. Nie chciała wychodzić za mąż za sir Edwina. Teraz wydał jej się jeszcze bardziej pompatyczny, nudny i nieznośny niż wtedy, gdy go widziała po raz pierwszy. Oczywiście nie patrzyła wówczas na niego jak na przyszłego małżonka. Obawiała się, że życie z nim będzie ciężką próbą. Gdyby chodziło tylko o nią, to może znalazłoby się jakieś wyjście. Niestety, musiała zabezpieczyć byt matce. W tej sytuacji jedyną pociechą była myśl o przyszłych dzieciach.

Nazajutrz rano usiadła do stołu z pogodną twarzą. Prawda jest taka, że nie ma wyboru, powtarzała sobie. Musi zaakceptować propozycję, która, jak należało oczekiwać, zostanie jej wkrótce złożona. Ani ona, ani jej matka nie miały żadnych własnych dochodów. W wieku dwudziestu sześciu lat nie mogła też liczyć na żadne propozycje matrymonialne. W tej sytuacji odrzucenie sir Edwina Bailliego byłoby w najwyższym stopniu nierozważne. Pocieszała się, że jej przyszły mąż przynajmniej nie ma żadnych nałogów. Mogła przecież trafić na jakiegoś hazardzistę, pijaka czy kobieciarza. Sir Edwin bez wątpienia jest człowiekiem przyzwoitym i powszechnie szanowanym.

Tak więc, kiedy po śniadaniu przeszli do salonu i sir Edwin, po serii ceremonialnych ukłonów i wygłoszeniu kilku pompatycznych frazesów, złożył jej wreszcie propozycję małżeństwa, Moira z ulgą ją przyjęła, po czym wysłuchała, jak jej narzeczony nazywa siebie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi i pozwoliła pocałować się w rękę.

Gdyby to od niego zależało, powiedział z uśmiechem podczas lunchu, wzięliby ślub jutro lub nawet jeszcze dziś. Trzeba go będzie jednak odłożyć do wiosny, kiedy stan zdrowia jego matki nieco się poprawi i kiedy pogoda umożliwi, zarówno matce, jak i jego siostrom, odbycie tej dosyć uciążliwej podróży. Tymczasem on sam z radością pozostanie w Penwith Manor przez całe święta, po czym wróci do domu, żeby uporządkować swoje sprawy.

Moira odetchnęła z ulgą. Będzie miała więc jeszcze kilka miesięcy, aby przygotować

się do nowego życia. Lady Hayes wyciągnęła do córki rękę w serdecznym geście i uśmiechnęła się do niej. Sir Edwin wyraził zadowolenie, że jego przyszła teściowa tak bardzo cieszy się szczęściem swojej córki. Jednak Moira nie miała wątpliwości, co ten gest znaczył. Jej matka chciała w ten sposób powiedzieć, że doskonale rozumie poświęcenie córki, chociaż to określenie nie było tu chyba najwłaściwsze. Jej małżeństwo nie będzie gorsze od większości małżeństw zawieranych każdego dnia, a od wielu z pewnością nawet lepsze.

Sir Edwin poruszył podczas lunchu jeszcze jeden temat, który zdawał się interesować go bardziej niż własne małżeństwo. Wypytyując lokaja o sąsiadów, którym, z uwagi na ich pozycję towarzyską, winien był złożyć wizytę, dowiedział się czegoś, co najwyraźniej ogromnie go zaintrygowało. Niewątpliwie lady Hayes i panna Hayes musiały już o tym wiedzieć, powiedział, ponieważ fakt ten miał miejsce już ponad tydzień temu. Powrócił hrabia Haveford i zamieszkał w swojej rezydencji w Dunbarton Hall.

- Tak, drogi kuzynie - odparła lady Hayes. - Słyszałyśmy o tym. Ale...

Okazało się, że sir Edwin umilkł jedynie dla nabrania tchu.

- Gdybym był małym chłopcem, madam, mógłbym się poczuć dotknięty, że nie jestem traktowany jak inni sąsiedzi - powiedział. - Tym niemniej czuję się zaszczycony, że mogę uważać hrabiego Haveford za sąsiada. I to sąsiada wyjątkowego. Czyż jego lordowska mość nie jest bohaterem? Śmiem twierdzić, iż gdyby działania wojenne trwały jeszcze przynajmniej rok, mógłby nawet zostać generałem. Teraz jeszcze bardziej żałuję, że, z uwagi na stan zdrowia, moja matka nie mogła dotrzymać mi towarzystwa. Jednak z pewnością będzie bardzo szczęśliwa, przez wzgląd na mnie i na panią, madam. Na panią również, panno Hayes. To osoba o wyjątkowym sercu.

- Ależ kuzynie... - lady Hayes ponownie usiłowała mu przerwać.

Moira wiedziała, że to bez sensu. Od czasu, gdy tamtego pamiętnego dnia po powrocie ze spaceru oznajmiła o przyjeździe hrabiego, w Penwith nie wspomniano o nim ani słowem. Nie wspominało się również o nim podczas wizyt u sąsiadów, czy też wizyt, które sąsiedzi składali im, chociaż zarówno Moira, jak i jej matka nie miały wątpliwości, że kiedy tylko nie było ich w pobliżu, wszyscy rozmawiali wyłącznie na jeden temat. Moiry to nie dziwiło. W końcu hrabiego Haveford nie było w Dunbarton ponad siedem lat. Z prawdziwą ulgą słuchała teraz, jak sir Edwin otwarcie porusza ten zakazany temat.

- Mam zamiar zostawić dziś w Dunbarton mój bilet wizytowy - oznajmił sir Edwin. - Zdaję sobie, oczywiście, sprawę, że hrabia Haveford może mnie dzisiaj nie przyjąć. Wierzę jednak, że stanie się inaczej. Poza tym jego lordowska mość będzie z pewnością szczęśliwy, kiedy odkryje, iż jego sąsiadem jest ktoś z wyższych sfer, z kim może utrzymywać kontakty jak równy z równym. Prawdopodobnie został już poinformowany, że w Penwith rezydują jedynie damy, z których tylko jednej przysługuje tytuł. - Skłonił głowę w stronę lady Hayes. - Drugiej, natomiast, przysługiwać będzie już za kilka miesięcy. - Uśmiechnął się do Moiry. -

Cóż za niezwykle przypadek sprawił, że obydwaj znaleźliśmy się w Kornwalii w tym samym czasie. Pojadę do Dunbarton jeszcze dziś. Panno Hayes, czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zechce mi towarzyszyć?

Moira słuchała go w milczeniu. W zasadzie akceptowała jego plany. Bez wątpienia byłoby dobrze, gdyby stosunki między obydwoima panami ułożyły się poprawnie. Zaniepokoiła się dopiero wtedy, gdy zaproponował, aby zechciała w tym uczestniczyć. Spojrzała na matkę, która wyprostowała się w fotelu, a z jej twarzy zniknął uprzejmy uśmiech.

- Nie bywamy w Dunbarton, sir - odparła Moira. - Nasze rodziny od niepamiętnych czasów nie utrzymują żadnych stosunków towarzyskich.

- Doprawdy, panno Hayes? - zawołał sir Edwin. - Zdumiewa mnie pani. Czyżby jego lordowska mość był aż tak wyniosły? To zaskakujące u arystokraty, szczególnie gdy demonstruje tę wyniosłość w stosunku do kogoś z towarzystwa. Udowodnię więc, że mój rodowód jest równie dobry, jak rodowód hrabiego Haveford. Poinformuję go, że moja matka wywodzi się z Grafionów z Hugglesbury. Graftonowie, jak pani dobrze wie, to najszlachetniejsza krew w Anglii. W prostej linii pochodzą od pewnego rycerza, który walczył u boku samego Wilhelma Zdobywcy.

- Kilka pokoleń wstecz miało miejsce pewne bardzo tragiczne wydarzenie - wyjaśniła Moira. - Mój pradziadek i pradziadek obecnego hrabiego wplątani byli w kontrabandę, która w tamtych czasach kwitła na wybrzeżu.

- Wielki Boże! - zawołał z przerażeniem sir Edwin.

Moira z rozbawieniem zastanawiała się, czy nigdy nie pił wina z przemytu, a jego matka i siostry herbaty, która trafiała na rynek nielegalną drogą. Jednak, nawet jeśli tak było i on zdawał sobie z tego sprawę, to i tak w żaden sposób nie wiązał tego z kontrabandą. Jak zresztą większość ludzi.

- Hrabia Haveford występował raczej w roli sponsora i nabywcy przemyconych towarów i bezpośrednio w przemyśle nie uczestniczył - ciągnęła Moira - podczas gdy mój pradziad był szefem przemytników. Wychodził nocą z pomalowaną na czarno twarzą, pistoletem za pasem i nożem w zębach. - Starła się unikać pełnego wyrzutu spojrzenia matki.

- Nie miałem pojęcia, że na godności baroneta Hayesów jest taka plama - rzekł sir Edwin, najwyraźniej mocno tą informacją poruszony. - Przemytnicy? Pistolety i noże? Bardzo proszę, panno Hayes, aby pani nigdy nie wspominała o tym mojej matce. Mogłoby to przyprawić ją nawet o atak serca.

- Kiedy przybrzeżna straż schwytała mojego pradziadka - ciągnęła Moira - i postawiła

przed urzędnikiem sprawującym władzę sędziowską, hrabią Haveford, ten skazał go na siedem lat galer.

Sir Edwin odetchnął z wyraźną ulgą.

- To straszne, ale mogło być znacznie gorzej - powiedział. - Gdyby ktoś z pani rodziny, panno Hayes, został powieszony... - wzdrygnął się.

Moira z trudem ukryła rozbawienie. Wiedziała, że było ono nie na miejscu, natychmiast jednak sama się z niego rozgrzeszyła. Sir Edwin ani słowem nie skomentował obrzydliwej hipokryzji hrabiego.

- Wrócił po siedmiu latach - dodała Moira. - Ciężkie przeżycia zmieniły go jednak nie do poznania. Jeszcze przez dwadzieścia lat był dla swego sąsiada niczym wyrzut sumienia. Od tamtej pory nasze rodziny nie utrzymują ze sobą żadnych kontaktów. - No, może niezupełnie, chociaż teraz ogromnie tego żałowała.

- Przestępców zawsze należy karać - zauważył surowo sir Edwin. - Oburza mnie jednak, że kobiety tak delikatne i subtelne - skłonił głowę przed lady Hayes, następnie przed Moirą - muszą ponosić konsekwencje tak straszego łajdactwa. Ale to już przeszłość. Jestem tu, żeby wziąć panie w obronę. Chociaż nigdy nie skalam uszu mojej matki opowiadaniem jej tak ponurej historii, to jestem pewien, iż gdyby ją znała, podpowiedziałyby mi, co powinienem z tym zrobić. Tak jak planowałem, złożę wizytę hrabiemu dziś po południu i szczerze przeproszę go za wszystkie niegodne czyny mojego przodka.

To, co w tej chwili czuła Moira, było mieszaniną zakłopotania, oburzenia, rozbawiania, i... lęku.

- Drogi kuzynie... - powiedziała nieśmiało lady Hayes, unosząc rękę do ust.

- Nie musi mi pani dziękować, madam - przerwał jej sir Edwin. - Jako obecny baronet Penwith Manor, odziedziczyłem nie tylko tytuł i majątek, ale również przyjąłem odpowiedzialność za czyny wszystkich moich poprzedników. I za bezpieczeństwo ich żon i córek. - Skłonił się przed lady Hayes. - Zrobię wszystko, aby doprowadzić do pojednania, i jestem pewien, że jego lordowska mość doceni moją pokorę i to, że wziąłem na siebie całą winę za wszystko, co się kiedyś wydarzyło.

Moira patrzyła na niego z niedowierzaniem. To już nie było zabawne. Co hrabia Haveford o nich pomyśli? Jakże gardziła sobą za tę milczącą zgodę.

- Wbrew powszechnemu przekonaniu - ciągnął sir Edwin - duma i pokora wcale nie muszą wzajemnie się wykluczać. Przepraszając jego lordowska mość, nie narażę mojej dumy na najmniejszy uszczerbek. Zapewniam panie, że nie ma powodu do obaw. Zechce mi pani towarzyszyć, panno Hayes?

- Proszę o wybaczenie, sir - odparła pospiesznie Moira. - Wydaje mi się jednak, że lepiej będzie, jeśli tę wizytę złoży pan sam, jako że hrabia Haveford przybył do Dunbarton również sam.

- Podobno - dodała lady Hayes - jego matka wraz z innymi gośćmi ma także przyjechać do Dunbarton na święta. O ile mi jednak wiadomo, sir, nie ma ich tam jeszcze. - Zdumiewające, czego ktoś może się dowiedzieć od sąsiadów, nawet wtedy, gdy ci starają się o tym w jego obecności nie mówić. - Pan hrabia z pewnością jest w Dunbarton sam. Moira i ja wybieramy się dziś na herbatę do Tawmouth.

Sir Edwin nie miał jednak zamiaru ustąpić.

- Uważam, że jako moja narzeczona, panna Hayes powinna mi towarzyszyć. Będzie to wyrazem wyjątkowej kurtuazji z mojej strony, jeśli po raz pierwszy w tej roli zaprezentuję panią właśnie hrabiemu Haveford, który, jak mi wiadomo, jest czołową postacią lokalnej społeczności. Wreszcie będziesz pani mogła podnieść głowę wysoko po tym, gdy przez całe życie opuszczałaś ją ze wstydu. Chyba jakiś dobry anioł przywiódł mnie tu właśnie teraz. Mogę tylko dodać, że tego anioła wspierała moja matka, nalegając, abym tu przyjechał, zamiast pozostać z nią i pielęgnować ją w chorobie.

Lady Hayes nie powiedziała już nic więcej. Spojrzała tylko bezradnie na córkę, jakby chciała prosić ją o wybaczenie. Moira pamiętała, że jej matka była kiedyś gorącą zwolenniczką zakończenia tej tak długo trwającej waśni. Przybyła z Irlandii, żeby poślubić ojca Moiry, spodziewając się, iż będzie w pełni uczestniczyła w życiu towarzyskim miejscowej społeczności. To, że musiała wyrzec się wszystkich rozrywek, w których brała udział hrabina Haveford, bardzo ją bolało. Ale to było, zanim nienawiść rozgorzała na nowo. Może, pomyślała Moira, o tym również powinna była wspomnieć sir Edwinowi. Tak, zdecydowanie powinna.

Jednak ona również milczała. Nie próbowała już go przekonywać. Doszła do wniosku, że sir Edwin Baillie to człowiek, z którym wszelka dyskusja jest niezmiernie trudna, jeśli nawet nie niemożliwa, ponieważ słyszy on jedynie to, co chce usłyszeć, i przyjmuje założenia, które traktuje następnie jak nienaruszalne prawdy. Wszystko wskazywało na to, że będzie musiała towarzyszyć mu do Dunbarton. Niedobrze się jej robiło na myśl, co ich tam czeka. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że nie zastaną hrabiego w domu albo że ich po prostu nie przyjmie.

Sir Edwin Baillie nie należał do osób, które, gdy raz coś postanowią, łatwo z tego rezygnują. Moira zdawała sobie sprawę, że jeśli wizyta nie dojdzie do skutku dziś, to sir Edwin ponowi ją jutro lub dnia następnego. W sumie lepiej mieć to za sobą już dziś. Może

będzie mogła przynajmniej zasnąć, wiedząc, jak smakuje najgorsze w jej całym dotychczasowym życiu upokorzenie. Co do tego, że takie właśnie będzie, nie miała żadnych wątpliwości.

Od tamtego pamiętnego spotkania przy wykrocie, Moira nie widziała hrabiego Haveforda i miała nadzieję, że nie zobaczy go już nigdy. Teraz musiała się już oczywiście z tą nadzieją pożegnać. Czuła, iż wrócił do Dunbarton na stałe i wszystko wskazywało na to, że sir Edwin Baillie miał również zamiar przenieść się do Penwith. Jeśli nawet rodzinna waśń nie wygaśnie całkowicie, to ona i Kenneth i tak będą zmuszeni do widywania się od czasu do czasu.

Jakże bardzo pragnęła, by nie wrócił. Był nawet taki moment, że chciała, aby to on, a nie Sean... Szybko jednak tę straszną myśl odrzuciła.

Nigdy nie może tak myśleć o hrabim Haveford. Nigdy. Bez względu na to kim był, czego się dopuścił, czy też jakich dalszych kłopotów miał jej przysporzyć. Przypomniała sobie, jak latami czekała na najmniejszy nawet strzęp wiadomości o nim, jak bardzo się wtedy lękała i jak bardzo sobą wówczas gardziła za to czekanie i za ten lęk. Przypomniała sobie, co czuła, gdy sześć lat temu dotarła do nich wiadomość, że młody hrabia z powodu licznych ran, jakie odniósł w Portugalii, wraca do Anglii. Do Anglii, lecz nie do Dunbarton. Wiedziała, iż żołnierza odsyła się do kraju jedynie wtedy, gdy uległ trwałemu kalectwu, bądź też jeśli nie ma nadziei, że przeżyje. Śmiertelnie przerażona czekała na dalsze wiadomości, cały czas przekonując siebie, że tak naprawdę wcale jej na tym nie zależy.

Przypomniała sobie list, który przyszedł z Ministerstwa Wojny. Dotyczył Seana. Och, nie! Nigdy nie powinna życzyć Kennethowi śmierci. Nigdy!

Nie chciała, by wrócił. I by sir Edwin Baillie zjawił się w Penwith. Zaczynała tęsknić do nudnego życia starej panny, które jeszcze kilka tygodni temu wydawało się jej jedynym życiem, jakie ją czeka.

* * *

Kenneth właśnie wrócił ze swoim rządcą z kilkugodzinnego objazdu majątku. Zrzucił zabłocone ubranie - dwa ostatnie dni były deszczowe - i zaczął rozgrzewać się przy kominku, gdy lokaj zapukał do drzwi jego sypialni. Dwie osoby czekają na jego lordowska mość w salonie.

Jego lordowska mość westchnął ciężko. W ciągu dziewięciu dni od przyjazdu do Dunbarton właściwie nie robił nic innego, tylko składał i przyjmował wizyty. Z przyjemnością spotykał się z sąsiadami i starymi przyjaciółmi, poznał też kilka nowych osób,

ale marzył o tym, żeby mieć trochę więcej czasu dla siebie. Przyszły tydzień, kiedy zaczną zjeżdżać się goście, zapowiadał się jeszcze gorzej. Mimo to cieszył się, że dom znowu będzie tętnił życiem, a on będzie tym razem pełnił w nim rolę gospodarza.

Kiedy parę minut później szedł na dół, usiłował przypomnieć sobie, który z sąsiadów nie złożył mu jeszcze wizyty. Nikt jednak nie przychodził mu na myśl. Większość swoich gości zdążył już nawet zrewizytować. Pomyślał, że to zaczęła się pewnie druga runda odwiedzin, i znowu westchnął. Ktokolwiek by to nie był, winien raczej zaczekać, aż przyjedzie jego matka.

Nie rozpoznał stojącego na środku salonu mężczyzny. Nieznajomy jedną rękę trzymał z tyłu, palcami drugiej dotykał łańcuszka zegarka. Nakrochmalone rogi kołnierzyka koszuli sterczały sztywno, sięgając prawie policzków, a ciemnoblonde włosy zaczesane były do góry. Czyżby ich właściciel chciał w ten sposób dorównać wzrostem swojej towarzyszce? - pomyślał Kenneth, przenosząc wzrok na drugiego gościa. Kobieta była zdecydowanie wyższa i wcale nie starała się tego ukryć. Głowę trzymała wysoko, a na jej twarzy malowało się tyle hardości i dumy, jakby chciała w ten sposób coś zmanifestować. Ubrana była skromnie, tak jak w dniu jego powrotu do Dunbarton. Moira Hayes starała się ubierać niczym stateczna dama, z dosyć mizernym zresztą skutkiem. Ale co, u diabła, robiła w jego salonie?

Skinął głową gościom, starając się ukryć zaskoczenie. Mężczyzna uśmiechnął się i również skinął głową. Tylko Moira Hayes stała wyprostowana, nie usiłując nawet wykonać żadnego ukłonu, jakby dobre maniery były jej zupełnie obce.

- Sir? - powiedział. - Panno Hayes?

Mężczyzna przedstawił się jako sir Edwin Baillie, baronet Penwith Manor w efekcie śmierci sir Basila Hayesa i niepozostawienia przez niego żadnego męskiego potomka. Nie omieszkął również dodać, że jest spokrewniony przez matkę z Graftonami z Hugglesbury, jakby to miał być powód do szczególnej dumy. Sir Edwin uważnie obserwował gospodarza, najwyraźniej spodziewając się, że podana przez niego informacja wzbudzi jego entuzjazm. Kenneth uniósł brwi. A więc to jest ten mężczyzna, za którego Moira ma wyjść za mąż? Dlaczego tu przyszła?

- Rzeczywiście, jeszcze panna Hayes, milordzie - dodał sir Edwin, kłaniając się ponownie. - Panna Hayes uczyniła mi dziś ten zaszczyt i zgodziła się w najbliższym czasie zostać lady Baillie. Mam nadzieję, milordzie, iż to, że panu jako pierwszemu - nie licząc oczywiście lady Hayes, jej drogiej mamy - przekazuję tę radosną wiadomość, odbierze pan jako wyraz mojego najwyższego dla pana szacunku.

Lekki, prawie niedostrzegalny grymas pojawił się na twarzy Moiry. I chociaż trwało to

tylko chwilę, Kenneth, co do jednego, nie miał żadnej wątpliwości. Nie był to związek, w którym z jej strony wchodziłoby w grę uczucie. Kto jednak mógłby ją o to obwiniać? Ten człowiek był nadętym błaznem. Prawdopodobnie płonęła ze wstydu, chociaż starała się to ukryć pod maską obojętności. Co doskonale jej się udawało.

- Moje najlepsze życzenia, panno Hayes - powiedział. - I gratulacje dla pana, sir. Zechce pani usiąść, panno Hayes. Zadzwonię, żeby podano nam herbatę.

Usiadł w fotelu tuż przy niej. Jej wyprostowane plecy ciasno przylegały do oparcia, a złożone ręce spoczywały na kolanach. Widział, że była spięta, a mimo to nie straciła nic ze swego wdzięku.

- Jest pan niezwykle uprzejmy, milordzie - zauważył sir Edwin i odchrząknął w nieco teatralny sposób. - Szczególnie w tych okolicznościach.

Do licha! - pomyślał Kenneth, musiała mu powiedzieć. Czyżby to miała być spowiedź przed oficjalnymi zaręczynami? Kilka potajemnych spotkań, kilka pocałunków. Czy przyznała się do tego? Najwyraźniej sir Edwinowi chodziło jednak o coś zupełnie innego. Jak się zdaje, jego uprzejmość miała polegać na tym, iż przyjął prawnuczkę człowieka, którego jego własny pradziad musiał skazać na siedem lat galery. A już nadzwyczajną uprzejmością było to, iż poprosił ją, żeby usiadła, i zaproponował filiżankę herbaty.

Ich oczy się spotkały na sekundę, ale Moira szybko odwróciła wzrok. Kenneth poczuł nagle, że za chwilę wybuchnie śmiechem. Byłoby to jednak w najwyższym stopniu niestosowne.

- Jako nowy baronet Penwith Manor. milordzie - ciągnął sir Edwin - muszę, oczywiście, wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystkie czyny moich przodków. Chociaż osobiście jestem bez skazy, to jednak nie przestanę przeproszać za to, co musiał przeżyć pana pradziadek, kiedy został zmuszony do osądzenia jednego z najbliższych sąsiadów. Chciałbym prosić o wybaczenie z uwagi na lady Hayes oraz z uwagi na pannę Hayes, chociaż zapewne zgodzi się pan ze mną, że kobiety nie mogą ponosić odpowiedzialności za niegodne czyny mężczyzn. Tym niemniej lady Hayes i pannę Hayes bardzo martwi panujący między obydwoma rodzinami chłód.

Moira zagryzła wargę, a jej nozdrza lekko zadrżały. Kenneth zastanawiał się, czy jej narzeczony zauważył, że była wściekła, i doszedł do wniosku, iż jednak nie zauważył. Kobiety nie mogą ponosić odpowiedzialności za czyny swoich mężczyzn? A za własne mogą? Czy powiedziała sir Edwinowi jedynie o waśni między ich pradziadami? A o tym, co stało się osiem lat temu, nie? Uśmiechnął się, widząc, jak spuszcza wzrok.

- Myślę, że nie ma potrzeby, sir - rzekł - aby pan przeproszał za coś, co w żadnym

wypadku pana nie dotyczy. Myślę również, że nie ma potrzeby, abym ja wybaczał coś, co nie dotyczy mnie i co zdarzyło się tak dawno, że już nikt o tym nie pamięta. Jeśli jednak ma to panu poprą - więc samopoczucie, to chętnie oświadczę, iż sprawa ta jest zarówno wybaczona, jak i zapomniana.

- Jest pan, milordzie, aż nadto wspaniałomyślny - powiedział sir Edwin. - Zawsze uważałem, że to cecha prawdziwego arystokraty.

Dobry Boże! I Moira ma zamiar wyjść za kogoś takiego? Kenneth spojrział na nią dyskretnie. Okolice jej nosa i ust nieco pobladyły. Wciąż była wściekła. Nie mógł sobie odmówić przyjemności, żeby nie rozwścieczyć jej jeszcze bardziej.

- Jeśli to prawda, panno Hayes, że tak bardzo przejmuję się pani panującym między naszymi rodzinami chłodem, to pozwolę sobie zapewnić panią, że wszystko zostało już wybaczone. Nie żywię już do pani żadnej urazy. Będzie tu pani zawsze mile widziana zarówno z lady Hayes, jak i z sir Edwinem.

Nie mógł nie zauważyć, jak z każdym słowem rosło jej wzburzenie i jeśli jeszcze nie straciła nad sobą panowania, to nie wątpił, iż za chwilę to nastąpi. W pewnej chwili popatrzyła mu prosto w oczy - Kenneth miał wątpliwości, czy jej narzeczony dostrzegł, ile zjadliwości było w tym spojrzeniu - i powiedziała lodowato:

- Doprawdy, to zbyt wiele łaski, milordzie. Pan mi wybacza? Jestem pod wrażeniem.

Sir Edwin Baillie, tak jak Kenneth podejrzewał, rzeczywiście niczego nie zauważył. Uśmiechnął się tylko z afektacją, po czym skłonił głowę, najpierw przed Moirą, następnie przed panem domu.

- Ja również jestem pod wrażeniem - rzekł - że mój gest pokory tak szybko przyniósł owoce. Moja droga matka uczyła mnie, milordzie, a jak sądzę, pańska matka pana również, że pokora i duma zawsze idą w parze i że okazywanie pokory wcale nie oznacza utraty dumy, a wręcz przeciwnie, jedynie ją wzmacnia.

- To prawda - przyznał Kenneth. Poleciał lokajowi, który wszedł właśnie do salonu, aby postawił tacę z herbatą przed Moirą. - Panno Hayes, zechce pani czynić honory domu?

Sir Edwin najwyraźniej uważał, że powrót do dobrych stosunków między rodzinami to wystarczający powód do przedłużenia wizyty ponad określony przez dobre maniere, półgodzinny limit. To Moira po czterdziestu minutach wstała od stołu, gdy jej narzeczony, dla nabrania powietrza, przerwał na chwilę opowieść o pierwszorzędnej edukacji, którą zapewniał swoim siostrom, nie bacząc na ogromne jej koszty.

Kenneth odprowadził gości do drzwi i przez chwilę obserwował, jak Baillie pomaga narzeczonej wsiąść do powozu, nalegając, żeby dokładnie okryła nogi pledem. Po chwili sam

wszedł do środka i drugim okrył własne, wyjaśniając przy tym, iż większość zimowych przeziębień ma swoje źródło w niezabezpieczeniu właściwych warunków podczas podróży.

Obserwując, jak powóz rusza z podjazdu, Kenneth nagle uświadomił sobie, że będzie zobowiązany do złożenia rewizyty. Nigdy nie był w Penwith Manor. Jako chłopak, oczywiście, często wkradał się do otaczającego Penwith parku, tak jak Sean Hayes odwiedzał park wokół Dunbarton. Mimo to żaden z nich nigdy nie przekroczył progu wrogiego domu. I oto teraz Moira zjawiała się w Dunbarton. Czasy, jak widać, bardzo się zmieniły.

Wcale nie był pewien, czy chciałby, żeby składali sobie wizyty, ale jednego nie chciałby z pewnością: towarzyskich kontaktów z jej przyszłym małżonkiem. Wiedział jednak, że nie ma wyboru. Chyba że opuściłby Dunbarton, a tego z pewnością nie zrobi. Przez osiem lat prowadził raczej burzliwe życie. Po sprzedaży patentu oficerskiego był przekonany, że to burzliwe, pełne przygód życie jest tym, co pociąga go najbardziej. Tymczasem, zupełnie nieoczekiwanie, zatęsknił za domem.

Szkoda tylko, że dom był tak blisko Penwith i że ona wychodzi za mąż. I szkoda, że przeszłość tak naprawdę wcale nie umarła, bez względu na to, jakie słowa zostały wypowiedziane w trakcie minionej godziny.

Jego matka zaprosiła do Dunbarton, przyjaciół, którzy mają córkę, pannę Julianę Wishart. Matka wymieniła nawet jej imię w liście. Najwyraźniej przygotowywała grunt. Bawiła się w swatkę, nie starając się nawet tego ukryć. Najbardziej zdumiewające było jednak to, że wcale go to nie zaniepokoiło. Miał ochotę obejrzeć tę dziewczynę. Zdążył się już wyszumieć. Wrócił do Dunbarton i chciał tu zostać. Może więc nadszedł czas, żeby się ustatkować i założyć rodzinę.

Moira Hayes, pomyślał, zamykając za sobą drzwi, przyjęła dziś oświadczyzny tego osła. Wszystko wskazuje więc na to, że wkrótce będzie mężatką. A on, być może, żonatym mężczyzną. Będą składającymi sobie wizyty sąsiadami. Miał tylko nadzieję, iż niezbyt częste. Musi się do tego przyzwyczaić. W czasie służby w wojsku przekonał się, że człowiek potrafi przyzwyczaić się niemal do wszystkiego.

Z czasem pogarda zamieni się w obojętność, a niechęć i wrogość pójdą w niepamięć.

rabina Haveford zjawiała się w Dunbarton Hall kilka dni po wizycie sir Edwina Bailliego i jego narzeczonej. Wraz z nią przybyła jej córka z małżonkiem, wicehrabią Ainsleigh i dwójką dzieci. Całe Tawmouth i okoliczne miejscowości wiedziały już o tym następnego dnia. W każdej chwili spodziewano się przyjazdu pozostałych gości.

Dawno już mieszkańcy tego cichego zakątka Kornwalii nie byli tak podekscytowani. Jeszcze przed przybyciem hrabiny żaden temat nie wzbudzał tak wielkich emocji jak to, że sir Edwin Baillie z Penwith złożył wizytę hrabiemu Haveford i że został przez niego przyjęty. Sir Edwin oraz panna Hayes zostali nawet zaproszeni na herbatę, a jego lordowska mość jako pierwszy dowiedział się o ich zaręczynach.

- To takie wzruszające - powiedziała panna Pitt, ocierając chusteczką łzę, która załśniła w kącie jej oka.

Rzeczywiście, było to wzruszające. Nie tylko dlatego, że droga panna Hayes miała wreszcie zapewniony byt, ale również dlatego, że tak długo trwający między Dunbarton i Penwith konflikt dobiegł końca i że wreszcie można było mówić o wszystkim otwarcie, nawet w obecności mieszkank Penwith.

W obecności sir Edwina, oczywiście również. On sam zresztą wiele mówił o wizycie u jego lordowskiej mości, o swoich przeprosinach za wszystkie przeszłe kłopoty i o tym, że hrabia wspaniałomyślnie wybaczył zarówno jemu, jako nowemu baronetowi Penwith, jak i panie Hayes, jako w prostej linii potomkowi - tu zrobił efektowną pauzę - przestępcy. Pokora, wyjaśnił, nie stoi w sprzeczności z dumą, raczej jest jej uzupełnieniem. Jego matka, w swej wielkiej mądrości, często mu to powtarzała, kiedy był jeszcze dzieckiem.

Pani Finley - Evans bardzo chwaliła sir Edwina za mądrość i odwagę. Panna Pitt gratulowała panie Hayes szczęśliwego zamknięcia niechlubnej przeszłości. Pani Harriet Lincoln, najserdeczniejsza przyjaciółka Moiry, dotknęła jej ramienia i powiedziała cicho:

- Biedna Moiro, będziesz potrzebowała ogromnie dużo cierpliwości. Moira nie sądziła, żeby uwaga Harriet odnosiła się do pojednania, jakie kilka dni temu miało miejsce w Dunbarton.

Tymczasem spekulacje na temat balu w Dunbarton nie ustawały. W końcu wszyscy zgodzili się, iż sprawa jest raczej przesądzona. Jakiej innej rozrywki mogłaby jego lordowska mość dostarczyć swoim tak licznie przybyłym gościom? Poza tym w Dunbarton była taka wspaniała sala balowa. Pani Trevellas zastanawiała się, czy na balu w Dunbarton będzie się

tańczyło walca, ale uczestniczące w rozmowie panie natychmiast odrzuciły tę myśl. Dwa walce zostały już w tym roku włączone do programu jednego z towarzyskich spotkań w Tawmouth, wywołując ogromne oburzenie, między innymi wielbego Finleya - Evansa. Ogromna poufalość, z jaką mężczyzna i kobieta obejmują się w tym tańcu, tak zszokowały pannę Pitt, że jej kuzynka musiała ją ratować za pomocą soli trzeźwiących pani Finley - Evans. Sir Edwin Baillie, jak sam przyznał, jedynie o takim tańcu słyszał, ale to, co usłyszał, wystarczyło, by go utwierdzić w przekonaniu, iż musi zrobić wszystko, aby uchronić od jego zgubnego wpływu swoją matkę, siostry i - tu skłonił się przed Moirą - narzeczoną.

Nikt nie mógł sobie wyobrazić, żeby jaśnie pani wyraziła zgodę na takie bezceństwa, nawet jeśli jego lordowska mość przywiózł do domu nowomodne idee z Hiszpanii i Francji. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że Hiszpanie i Francuzi nie mają tak rygorystycznych zasad moralnych jak Anglicy.

Moira nie wypowiadała się na ten temat. Nie interesowało jej, czy będzie się tańczyło walca na balu w Dunbarton, czy też nie, jeśli w ogóle taki bal się odbędzie. Miała nadzieję, że hrabia Haveford nie zechce podtrzymywać kontaktów, które sir Edwin starał się zainicjować. Miała nadzieję, że ich zignoruje, nawet jeśli takie zachowanie nie najlepiej świadczyłoby o jego dobrych manierach.

* * *

Jednak nadzieje Moiry szybko się rozwiały, gdy pewnego popołudnia hrabia Haveford złożył wizytę w Penwith. Przybył wkrótce po tym, jak trzy odwiedzające Moirę panie odjechały powozem do Tawmouth. Posłał swój bilet wizytowy w chwili, gdy sir Edwin dziękował paniom za przybycie.

- Och, nie każ jego lordowskiej mości czekać i wprowadź go natychmiast do salonu - polecił lokajowi. - I każ podać jeszcze jedną tacę z herbatą. Będiesz pani szczęśliwa - skłonił się przed lady Hayes - ze wreszcie zajmiesz należne jej w towarzystwie miejsce. Przekonasz się, jakie jego lordowska mość ma nienaganne manierey.

Tymczasem jego lordowska mość stał już w drzwiach i bez wątpienia słyszał te pochlebne słowa. Moira widziała, że jego brew unosi się z ironią, ale ukłon, jaki złożył, najpierw przed jej matką, a następnie przed nią, był pełen galanterii. Moira zauważyła, że jej matka z trudem kryje wzburzenie. Hrabia zczekał, aż panie usiądą, po czym sam zajął wskazane miejsce i zaczął odpowiadać na zadawane przez sir Edwina dosyć obcesowe pytania: o jego matkę, siostrę, siostrzeńca i siostrzenicę.

- Tak, to prawda - zgodził się z sugestią sir Edwina. - Moja siostra wyszła

rzeczywiście za odpowiedniego człowieka. Moi rodzice z zadowoleniem przyjęli jej wybór.

Jego jasnoszare oczy spotkały się na chwilę z jej wzrokiem. Moira nigdy nie mogła zrozumieć, jak mogą być takie jasne i przenikliwe, a przy tym często takie zimne. Pomyślała, że w tym, co powiedział, była pewna, dosyć zawoalowana informacja. Zesztywniała, czując, jak coś dławi ją w gardle. A więc lady Helen Woodfall i Sean Hayes to nie byłby dobry związek i z pewnością nie zostałyby zaakceptowane przez jego rodziców.

Podniosła dumnie głowę i powiedziała cicho, ale dobitnie, że przynajmniej w tej kwestii zgadza się z nim całkowicie. Spojrzał na nią przenikliwie, po czym odwrócił się do sir Edwina, żeby odpowiedzieć na jego kolejne pytanie. Jak on śmiał, pomyślała, czując, że pulsują jej skronie. Ta ukryta informacja była dla jej matki z pewnością tak samo czytelna, jak dla niej. Nie dalej jak dziś rano matka stwierdziła, że sir Edwin powinien zostać poinformowany, iż wrogość pomiędzy Penwith i Dunbarton miała swoje źródła nie tylko w tym, co wydarzyło się parę pokoleń wstecz. A przecież o tylu rzeczach nie wiedziała.

Hrabia Haveford rozmawiał z sir Edwinem tak, jakby zarówno okoliczności, jak i sama rozmowa bardzo mu odpowiadały. Jego maniery były nienagane, a wytworny strój w znakomitym guście. Poza tym wydawał się jeszcze bardziej przystojny, niż gdy wyjeżdżał stąd przed ośmiu laty. Wysoki, doskonale zbudowany, jasnowłosy, o niezwykle pięknych rysach twarzy, roztaczał wokół siebie aurę męskości... i arogancji. Jaka to musi być satysfakcja zjawić się tu, żeby pomiatać wszystkimi i demonstrować na każdym kroku swoją przewagę nad sir Edwinem Bailliem.

Moira była wzburzona i wypełniała ją pogarda i nienawiść. Dla niej przeszłość nigdy nie minie. Przecież to jej brat, Sean, nie wrócił z wojny. Nie potrafi o tym zapomnieć. Nigdy!

Czas przeznaczony na pierwszą wizytę minął i hrabia wstał, aby się pożegnać. Ukłonił się paniom i skinął głową sir Edwinowi.

- W ciągu najbliższych kilku dni - rzekł - wszyscy państwo otrzymacie zaproszenie na bal, który odbędzie się w Dunbarton Hall tuż po świętach Bożego Narodzenia. Mam nadzieję, że będziecie państwo obecni?

Wylewnym podziękowaniami i zapewnieniami, że nowy baronet Penwith nie zawiedzie jego lordowskiej mości, nie było końca. Lady Hayes w odpowiedzi złożyła jedynie ukłon i Moira nie miała wątpliwości, że jej matka nigdy nie przestąpi progu Dunbarton Hall. Moira milczała również. Nie sądziła, by jakiegokolwiek deklaracje były potrzebne. Niestety, nie mogła już decydować o sobie tak jak jej matka. Gardziła sobą nawet za tę odrobinę podniecenia, jaką odczuwała na myśl o wielkim balu. Była przekonana, że wszystkie bale w Tawmouth nie mogły się nawet równać z tym, co planowano w Dunbarton.

- Panno Hayes - powiedział hrabia Haveford - może uczyni mi pani ten zaszczyt i zarezerwuje dla mnie walca, za zgodą pani narzeczonego, oczywiście.

Sir Edwin był pod wrażeniem ogromnego zaszczytu, jaki spotkał jego narzeczoną, i natychmiast wyraził zgodę, kłaniając się przy tym z wdzięcznością.

- Dziękuję, milordzie - odparła cicho Moira, starając się ukryć gniew na siebie za nagłe drżenie kolan i przyspieszone bicie serca. Obserwowała tańczących walca na towarzyskich spotkaniach w Tawmouth, lecz sama nigdy walca nie tańczyła. Nie podzielała jednak krytycznych o nim opinii, wyrażanych przez starsze, stateczne osoby z sąsiedztwa. Uważała, że walc to najbardziej ekscytujący, najbardziej romantyczny taniec, jaki kiedykolwiek istniał. Marzyła, by go tańczyć, i śmiała się z siebie, że w jej wieku ciągle jeszcze może mieć takie marzenia.

I oto teraz wszystko wskazywało na to, że to marzenie się ziści. Zatańczy walca. Na balu w Dunbarton Hall. Z hrabią Haveford. Kiedy skłonił się przed nią, jego chłodne oczy ponownie utonęły w jej oczach. Uśmiechnęła się lekko. W tym uśmiechu nie było jednak ani radości, ani wdzięczności, a jedynie wyzwanie.

- Moja matka zawsze mi powtarza - powiedział sir Edwin, kiedy zostali sami - że w żadnej sprawie nie należy kierować się cudzą opinią, lecz najpierw wyrobić sobie własną. Teraz widzę, że niewłaściwie oceniałem walca. Jeśli jego lordowska mość ma zamiar włączyć ten taniec do programu balu w Dunbarton, to musi to być taniec ze wszech miar przyzwoity. Poza tym na balu będzie obecna jego matka. Moja droga panno Hayes, jeśli wybaczy mi pani tę poufałość, mam nadzieję, że rozumie pani, jaki to dla mnie honor, że jego lordowska mość zwrócił się do mnie o wyrażenie zgody na zatańczenie z panią walca podczas balu. Przekona się pani, iż wkrótce będziemy nie tylko sąsiadami, ale również i przyjaciółmi. A wszystko dzięki temu, że okazałem pokorę. Madam - skłonił się przed lady Hayes - gratuluję pani.

Lady Hayes spojrzała wymownie na córkę i uniosła brwi.

* * *

- Co to jest, mój drogi?

Hrabina Haveford siedziała przy małym sekretarzyku w bibliotece w Dunbarton. Jej ręka trzymająca gęsie pióro zawisała w powietrzu nad jedną z wypełnianych właśnie eleganckich kart, gdy jej syn wszedł do pokoju. Wicehrabina Ainsleigh siedziała obok niej, trzymając w ręku listę nazwisk, z których większość była już wykreślona.

Wyraz twarzy matki powiedział Kennethowi, że nie tyle nie usłyszała tego, co powiedział, co nie wierzyła w to, co usłyszała. Powtórzył więc jeszcze raz.

- Wypisz zaproszenie dla lady i panny Hayes oraz dla sir Edwina Bailliego z Penwith Manor, jeśli nie masz nic przeciwko temu, mamó - rzekł.

- Więc się nie przesłyszałam - stwierdziła hrabina. - Czy to jednak mądre? Pewnie już zapomniałeś...

- Nie, oczywiście, że nie, mamó. Niczego nie zapomniałem. Ale sir Basil Hayes nie żyje, tak jak i nasz ojciec, a nowy właściciel Penwith Manor jest jedynie dalekim krewnym. Poza tym to on pierwszy złożył mi wizytę. Jest narzeczoną panny Hayes.

- On złożył ci wizytę? - powiedziała hrabina, marszcząc brwi. - I ty go przyjąłeś, Kenneth? Mam nadzieję, że przynajmniej zjawił się sam.

- Była z nim panna Hayes, a ja ich przyjąłem, mamó. Najwyższy czas, żeby wreszcie zapomnieć o starej waśni.

Jego siostra gwałtownie pobladła.

- To nie jest stara waśń, Kenneth - powiedziała. Jej głos drżał.

- Lepiej zapomnieć.

- Zapomnieć! - Roześmiała się. - Wiedziałaś, że on nie żyje? Wiedziałaś, że zginął?

- Tak.

- Ktoś niezbyt uprzejmy mógłby powiedzieć - zauważyła cierpko ich matka - że całkowicie na to zasłużył i że powinno go spotkać coś znacznie gorszego niż śmierć na polu bitwy. Czego jednak można oczekiwać po Hayesach?

- Błagam, nie denerwuj się, mamó - przerwała jej Helen, po czym ponownie zwróciła się do brata. - Wolalabym nie widzieć tu Moiry Hayes, Kenneth. Lady Hayes również. Dla dobra mamy.

- Już je zaprosiłem - odrzekł. - Złożyłem im wizytę dziś po południu. Byłoby dużym nietaktem nie złożyć wizyty sir Edwinowi i świadectwem złego wychowania nie umieścić zarówno jego, jak i pań Hayes na liście zaproszonych gości.

- Zastanawiam się, Kenneth - zauważyła złośliwie jego siostra - czy grzeczność jest jedynym twoim motywem. Podkochiwałeś się w niej kiedyś. Nie myśl, że o tym nie wiedziałam.

- Helen - przerwała jej szorstko hrabina - czeka nas jeszcze dużo pracy. Dopisz do listy sir Edwina i panie z Penwith.

- Gdyby miały choć odrobinę honoru - odparła Helen - odrzuciłyby zaproszenie. Ośmielam się jednak twierdzić, że te panie niewiele wiedzą o honorze.

Helen nie była złośliwa z natury. Bez wątplenia darzyła swego męża głębokim uczuciem i bardzo kochała dzieci. Najwyraźniej jednak wspomnienia ciągle były dla niej

bolesne. Kenneth nigdy nie wiedział, czy to, co czuła do Seana Hayes, można nazwać miłością, czy jedynie zauroczeniem. Sean był czarującym, młodym człowiekiem, a po pewnym czasie Helen przyznała się, że miała zamiar z nim uciec. Wydawało się jednak, że, kiedy rodzice podjęli decyzję o wysłaniu jej do ciotki, Helen z rezygnacją się jej podporządkowała. Po roku wyszła za mąż za lorda Ainsleigh. Jakie uczucie żywiła do Seana, pozostało tajemnicą. A jednak parę minut temu zapytała go, czy wie, że Sean zginął. Jakie ta śmierć miała dla niej znaczenie? I skąd się o tym dowiedziała?

- Nie możemy liczyć, że nie przyjmą zaproszenia - odparł. - Sir Edwinowi Bailliemu najwyraźniej bardzo zależy na dobrosąsiedzkich kontaktach, a panna Hayes ma wkrótce zostać jego żoną. Będziemy dla nich uprzejmi, kiedy przybędą na bal. Nadchodzi nowa era i mam zamiar zacząć ją w zupełnie nowym stylu. Nie chcę być zmuszony do ignorowania sąsiadów, którzy mieszkają zaledwie o trzy mile stąd. Nie chcę też, żeby w przyszłości moje i ich dzieci musiały podejmować trudną decyzję: czy słuchać rodziców, czy też złamać ich zakaz i spotykać się potajemnie.

Hrabina uniosła brwi.

- Sean Hayes nie żyje - ciągnął Kenneth - sir Basil Hayes również. Sir Edwin nie ma z tamtą sprawą nic wspólnego.

Kiedy opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi, jego matka z rezygnacją zanurzyła pióro w kałamarzu. Idąc korytarzem, Kenneth zastanawiał się, co też mu przyszło do głowy, że poprosił Moirę Hayes, by zarezerwowała dla niego walca? Chciał przecież ograniczyć kontakty z nią do niezbędnego minimum. Nie chciał jej nawet dotykać. Była dziś bardzo nobliwie ubrana. Miała nawet na głowie zakrywający włosy czepek, co z jakiegoś powodu go zirytowało. Zachowywała się taktownie i z godnością nawet podczas najbardziej pompatycznych i impertynenckich tyrad swojego narzeczonego. Mimo to Kenneth czuł, że pod tą surową powłoką kryła się pulsująca namiętnością kobiecość. A może się mylił? Była przecież dwudziestosześcioletnią starą panną, która zdecydowała się na nudny związek z napuszonym osłem. Oczywiście, istniała tam również głęboko skrywana złość i pamięć tajemniczej więzi, która niegdyś ich łączyła. To wszystko wciąż jeszcze było zbyt realne.

Tak, nie chciał jej dotykać. Nie chciał ryzykować, że odkryje w sobie coś, czego istnienia sam nie był pewien, i co, być może, wcale nie było ukryte tak głęboko. Nie, on na pewno się nie zdradzi. Od dawna przyzwyczajony był do dyscypliny i samokontroli.

Zatańczy z nią walca. Zastanawiał się, czy Moira zna kroki tego tańca i miał nadzieję, że nie. Zbyt ryzykowne byłoby tańczenie walca z kimś, kto zna jego kroki i kogo obawiał się nawet dotknąć.

* * *

W wigilię Bożego Narodzenia Moira wybrała się w towarzystwie służącej do Tawmouth, aby wręczyć mieszkającym tam najbiedniejszym rodzinom koszyki ze świątecznymi wypiekami. Ta wyprawa sprawiła, że znowu czuła się wolna, chociaż sir Edwin nalegał, by zabrała ze sobą służącą i pojechała do miasteczka powozem. Sam zajęty był pisaniem listów do matki i sióstr i nie mógł jej towarzyszyć, za co, w poczuciu winy, kilkakrotnie gorąco przeproszał. Lady Hayes natomiast bez reszty pochłonięta była gotowaniem i przyrządzaniem świątecznego puddingu.

Dzień zapowiada się pięknie, pomyślała Moira, chociaż rybacy w ciągu najbliższych dni przewidywali obfite opady śniegu. Po błękitnym niebie płynęły pierzaste chmurki, które od czasu do czasu zakrywały słońce. Od morza wiał lekki, niezbyt chłodny, jak na tę porę roku, wiatr, dając przyjemne uczucie rzeźkości. Wymarzony dzień na spacer doliną. Zamiast tego jej narzeczony, dając wyraz swoistemu poczuciu własności, zmusił ją do jazdy powozem z rozgrzaną cegłą pod stopami i pledem szczelnie okrywającym nogi. Moira zastanawiała się, czy po ślubie będzie w ogóle mogła gdziekolwiek chodzić pieszo. Po tak zasadniczym człowieku, jak sir Edwin, można było się spodziewać wszystkiego.

Towarzysząca Moirze służąca miała w Tawmouth zamężną siostrę i bardzo chętnie skorzystała z sugestii Moiry, że mogłaby ją odwiedzić. Kiedy już doręczą wszystkie koszyki, Moira miała zamiar wpaść do Harriet Lincoln i namówić ją na zakupy, jednak pokusa, żeby skorzystać z okazji i pobyć trochę na świeżym powietrzu, okazała się zbyt silna. Jak uczeń, który nagle wyrwał się na wagary, szybkim krokiem ruszyła szeroką ulicą, której wylot zamykał sięgający do pasa kamienny wał mający ustrzec nieostrożnych spacerowiczów przed upadkiem z wysokiej skarpy. Moira oparła ręce o szczyt kamiennej konstrukcji i wciągnęła głęboko w płuca przesycone zapachem morza powietrze.

W dole rozciągała się złocista plaża. Kilku rybaków pracowało przy łodziach przycumowanych do długiego kamiennego nadbrzeża, a mewy z krzykiem kręciły na niebie misterne kółka. Najwyższy czas iść do Harriet, pomyślała Moira, lecz zamiast tego ruszyła w kierunku jedyne go zejścia, prowadzącego na plażę.

Dlaczego tak długo się wahała? Czyżby podświadomie obawiała się, że sir Edwin Baillie mógłby tego nie pochwalić? Pewnie wygłosiłby długi wykład, który przypominałby kazania jego matki. Po uprzednim wielokrotnym zapewnieniu o swoim najgłębszym dla niej szacunku, zwróciłby jej uwagę, czego oczekuje się od kobiety z jej pozycją i narzeczonej baroneta Penwith. Czy przez resztę życia będzie musiała się naginać do jego woli? Czy nie

będzie mogła zachować nawet odrobiny niezależności i szacunku dla samej siebie? To jest przecież Kornwalia. Tu samotny spacer po pustej plaży nie jest grzechem. Tak właśnie mu powie, jeśli, jakimś cudem, sir Edwin odkryje prawdę.

Zawsze kochała plażę, zarówno jako doskonałe miejsce do zabawy, jak i do snucia marzeń w samotności. Często przychodziła tu z Seanem; rodzice dawali im pod tym względem znacznie więcej swobody, niż miała jej większość dzieci. Budowali zamki z piasku, zbierali muszle, pływali i ścigali się, wrzeszcząc przy tym i śmiejąc się do rozpuku. Czasem spotykali Kennetha i wtedy obydwaj chłopcy obrzucali się wyzwiskami, zanim nauczyli się razem bawić. Były to głównie zabawy w przemytników i piratów i obejmowały walki na kije wyrzucane przez morskie fale. Chłopcy zawsze odsuwali Moirę od tych zabaw. Mogła jedynie stać na straży albo siedzieć cicho. Z czasem zaczęła podejrzewać, że te spotkania wcale nie były przypadkowe.

Już jako mała dziewczynka podkochiwała się w Kennecie, przystojnym, jasnowłosym chłopcu z Dunbarton, z którym kontakty były im przez rodziców surowo zabronione. Obserwowała go, kiedy bawił się z Seanem, wyobrażając sobie, że zwraca się do niej, zapraszając do wspólnej gry. Jej marzenie nigdy się jednak nie spełniło. Kenneth zdawał się zupełnie jej nie dostrzegać. Zmieniło się to dopiero po paru latach.

Kenneth na parę lat wyjechał z Dunbarton do szkoły. Spotkała go podczas wakacji, gdy samotnie spacerowała po plaży. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie wówczas był Sean. Pamiętała jedynie, że jej guwernantka została w miasteczku, gdzie miała zrobić jakieś zakupy dla jej matki. Obeszła cypel i usiadłszy na skale, oddała się marzeniom. Kiedy podszedł do niej, odniosła wrażenie, że jej nie poznał, ale spoglądał na nią z wyraźnym uznaniem. Po chwili uśmiechnął się do niej. Po raz pierwszy.

Jakże była naiwna. Zbyt naiwna, żeby nie ulec jego urokowi. Jego zainteresowanie tak bardzo jej wówczas schlebiało. I zakochała się. Bez pamięci.

Szła teraz w stronę tamtego cypla, wspominając tamte chwile. Nigdy nie spodziewała się, że jej życie tak właśnie się potoczy; że zostanie starą panną i będzie zmuszona do małżeństwa z rozsądku z człowiekiem, którego z trudem znosiła. Lecz najbardziej bolało ją to, że jako dojrzała już kobieta przekonała się, iż realne życie rzadko pokrywa się z marzeniami. Mimo to musiała przyznać, że dla niej życie okazało się łaskawe. W końcu nie została bez środków do życia. Nikt jej nie krzywdził i nie obrażał. Nikt nie...

Nagle zamarła z przerażenia, gdy zza wrzynającego się w głąb morza cypla wybiegł ogromny, czarny pies. Zwierzę rzuciło się ku niej, wściekle ujadając. Zawsze panicznie bała się psów. Ten bardziej przypominał jakieś potworne monstrum. Gdyby była w stanie

wykonać jakikolwiek ruch, natychmiast rzuciłaby się do ucieczki. Jednak paraliżujący strach okazał się silniejszy.

Nelson! - Komenda wydana ostrym głosem przebiła się przez ujadanie psa.

Pies uspokoił się, krążył jednak dookoła Moiry, nie przestając szczekać.

- Siad! - padła komenda wydana tym samym głosem i Nelson natychmiast się do niej zastosował, po czym wywiesił jęzor i ciężko dysząc, wpatrywał się w Moirę nieruchomym wzrokiem.

Moira z całych sił zacisnęła zęby, jakby tylko w ten sposób mogła powstrzymać ciało przed rozpadnięciem się na drobne kawałki. I chociaż nie spuszczała z oczu psa, powoli zaczynało do niej docierać, do kogo należy ten głos. Dotarło również do niej, że była zupełnie sama, jak wtedy, gdy spotkała go tu po raz pierwszy.

- Nie zaatakowałby. - Para wysokich, czarnych butów pojawiła się w jej polu widzenia, tak jak i dolna część obszernego płaszcza. - Nie bez mojego rozkazu.

Podniosła wzrok. Stał kilka metrów od niej. Był zupełnie sam, tak jak ona.

- Nie bez twojego rozkazu? - powtórzyła. - Jednak, gdybyś ten rozkaz wydał, ta bestia rozerwałaby mnie na strzępy?

- Powstrzymałby cię jedynie od ataku na mnie - powiedział, a lekki uśmiezek, który pojawił się na jego twarzy, sprawił, że wyglądał jeszcze bardziej butnie, niż zazwyczaj.

- Tak więc muszę być wdzięczna - zauważyła - że wytresowano go na tyle dobrze, że, po pierwsze, mnie nie zaatakował, po drugie, czekał na twój rozkaz.

- Nie powinien był opuszczać Hiszpanii - odparł. - Popęłniłem błąd, karmiąc go, gdy wynędziały błakał się bez celu. Bardzo się do mnie przywiązał. Miałem jednak pewne powody, by go przy sobie zatrzymać. Nigdy nikogo nie zaatakował bez mojego rozkazu. Poza tym kilkakrotnie uratował mi życie.

- Ciarki mnie przechodzą na myśl, co stało się z tymi, przed którymi cię obronił.

- Nie powiedziałbym ci, nawet gdybyś mnie o to zapytała. Lepiej nie wiedzieć.

Była na siebie zła za ten paralizujący strach i za to, że on musiał być tego świadkiem.

- I uważasz, że to w porządku, milordzie, pozwalać takiej znieczulonej przez wojnę bestii na swobodne bieganie wśród Bogu ducha winnych ludzi?

- Dlaczego nie, panno Hayes - w jego głosie słychać było irytację. - Wśród tych „Bogu ducha winnych ludzi” są tysiące takich bestii i są to bestie dwunożne, a kraj, za którego wolność walczyli, wcale o nich nie dba. Na szczęście większość z nich, jak Nelson, wie coś nie coś o dyscyplinie i słuchaniu rozkazów.

Nelson najwyraźniej uznał, że dość już tego siedzenia. Podeszedł do Moiry i wsunął wilgotny nos w jej dłoń.

- Wciąż boisz się psów, Moiro? - zapytał hrabia Haveford, gdy Moira cofnęła rękę. - Nawet wtedy, gdy podchodzą, żeby przeprosić i się zaprzyjaźnić?

- Nie, oczywiście, że nie - Moira pogłaskała łeb psa i ten gest sprawił, że była z siebie bardzo dumna. Kenneth zawsze miał przy sobie psa, a ona zawsze na jego widok kurczyła się ze strachu, nawet wtedy, gdy był to jedynie maleńki kundelek, który radośnie podskakując, lizał ją po twarzy.

Nelson wpatrywał się w nią inteligentnymi oczami i trącając nosem jej dłoń, domagał się kolejnej porcji pieszczot, więc pogładziła go między uszami. Była zakłopotana i nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Chciała stąd uciec. Czy powinna życzyć mu dobrego dnia i po prostu pójść dalej? Albo wrócić tą samą drogą, którą przysła? Powinna chyba powiedzieć coś o pogodzie, pomyślała, gdy przedłużająca się cisza stała się zbyt krępująca. Dlaczego uległa pokusie i zeszła na tę plażę?

- Dlaczego przysłaś tu sama, Moiro? - zapytał.

Spojrzała na niego z oburzeniem. Wystarczy, że sir Edwin wciąż jej przypomina o statusie damy. Została zmuszona do jazdy krytym powozem, zaopatrzona w gorące cegły i ciepłe koce i do tego w towarzystwie służącej, która miała pełnić rolę przyzwoitki.

- Ponieważ to lubię - odparła krótko. - A ty, milordzie, dlaczego spacerujesz tu sam?

- Ponieważ w moim domu jest pełno żadnych rozrywki gości. I ponieważ przygotowania do świąt są w pełni i z doświadczenia wiem, że przynajmniej przez następny tydzień nie będę miał dla siebie wolnej chwili. Poza tym Nelson musi się wybiegać, a żaden z moich gości - szczególnie panie - nie zechciałby nam towarzyszyć. Wszyscy bardzo się go boją. Dziwne, nieprawdaż?

Być może, pomyślała, te same panie są na tyle rozsądne, żeby bać się pana domu. I chociaż temu, co mówił, towarzyszył lekki uśmiezek, jakby opowiadał jakiś żart, to w jego twarzy było coś niepokojącego, a w oczach groźny chłód. To nie był już ten Kenneth, którego pamiętała. To był człowiek, który patrzył w twarz śmierci, który tę śmierć widział i który ją zadawał i być może w końcu na nią zobojeźniał. To był człowiek, który dowodził innymi ludźmi i który musiał budzić lęk. Kiedyś również lubił samotność, ale jego oczy były wtedy łagodne i rozmarzone.

Spojrzała na Nelsona i obdarzyła go kolejną porcją pieszczot.

- Jestem bardzo zajęta przygotowaniami do świąt i przyjęciem z okazji moich zaręczyn. Przyzwyczajam się do obecności obcej osoby w Penwith. Ta obca osoba jest tu

jednocześnie panem i władcą i do tego moim narzeczonym. Wybrałam się dziś do Tawmouth, żeby doręczyć świąteczne paczki. Potrzebowałam chwili czasu dla siebie. Czy wiesz, jakie to niezdrowe, mieć zawsze przy sobie przyzwoitkę?

- Jestem przekonany, że to dla twego bezpieczeństwa. Zadrżała. Kiedyś zadała mu to samo pytanie i on odpowiedział tak samo, a potem ją pocałował. Jej oczy nagle rozszerzyły się.

- Czyżbym nie była przy tobie bezpieczna? - zapytała.

Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, jednak oczy, w których pozostał ten sam chłód, przesunęły się w dół i na chwilę zatrzymały na jej ustach.

- Jesteś zupełnie bezpieczna - zapewnił. Nie, nie była.

- Muszę wracać do Tawmouth. Służąca już pewnie na mnie czeka. Uniósł brwi.

- Nie będę proponował mego towarzystwa, panno Hayes, ale mogę obiecać, że nie powiem sir Edwinowi o pani eskapadzie. Domyślam się, iż wcale nie byłby tym zachwycony.

Już otwierała usta, aby oświadczyć, iż zupełnie o to nie dba, jednak w duchu przyznała mu rację. Była z sir Edwardem zaręczona i winna zachować względem niego lojalność.

- Życzę miłego dnia, milordzie - odparła i odwróciwszy się, ruszyła w stronę prowadzących pod górę schodów. Hrabia Haveford mógł zostać w tym samym miejscu albo wrócić do zatoki. Moira nie odwróciła się, żeby sprawdzić, co wybrał.

Przez cały czas nie mogła pozbyć się natrętnej myśli, że między nimi zaszło coś niezwykle intymnego, że w tym spotkaniu było coś bardzo niewłaściwego, i że za żadną cenę nie powinien o tym wiedzieć nie tylko sir Edwin, ale również jej matka. Hrabia zatrzymał wzrok na jej ustach, a ona na jego...

* * *

W Dunbarton gałęzie jemioly poumieszczane były w najmniej spodziewanych miejscach, a panie i panienki tylko czyhały na przechodzących pod nimi dżentelmenów, aby ich zaatakować, chociaż kilka pań, młodszych i ładniejszych, dość nieszczerze uskarżało się na działania zupełnie odwrotne.

Zanim dzień Bożego Narodzenia dobiegł końca, Kenneth wycałował wszystkie panie, z wyjątkiem służących. Całował chichoczące kuzynki i wdzięczące się ciotki i wszystkie stryjeczne i cioteczne babki. Pocałował swoją małą siostrzeniczkę, pocałował też oblewającą się rumieńcem pannę Julianę Wishart. Właściwie pocałował ją trzy razy, chociaż nigdy z własnej inicjatywy.

Juliana Wishart, nadzwyczaj atrakcyjna, młoda dziewczyna, miała włosy prawie tak

jasne jak jego, ogromne niebieskie oczy, drżące jak pączek róży usta i wspaniałą figurę. Była łagodnego usposobienia i często się śmiała. Niewątpliwie stanowiła doskonałą partię i jej rodzice, baron i lady Hockingsford, pragnęli szybko wydać ją za męża. Nagonka ruszyła i wszyscy w Dunbarton, nie wyłączając jego matki, zdawali się brać w niej udział.

Juliana miała siedemnaście lat i wciąż była bardzo dziecinna i Kenneth, patrząc na nią, widział jedynie dziecko. Całowanie jej było dla niego tym samym, co całowanie własnej siostrzenicy. Mogło jednak przynieść poważne konsekwencje. Nie całuje się siedemnastoletniej panny trzykrotnie, nawet pod jemiolą, jeśli się nie chce, aby stało się to powodem do różnych spekulacji.

Całując pannę Wishart trzykrotnie, Kenneth nagle poczuł się tak, jakby złożył jakąś deklarację lub jakby powinien ją złożyć. Dziewczyna siedziała obok niego w kościele i wracała do domu w jego powozie. Podczas świątecznego obiadu też siedzieli obok siebie, po czym została jego partnerką, kiedy towarzystwo usiadło do kart. Jedna z jego ciotek powiedziała nawet w pewnej chwili: „twoja panna Wishart, mój drogi”.

Jego panna Wishart?

Rozważając jednak, czy mogłaby zostać jego żoną, doszedł do wniosku, że ten pomysł zupełnie nie ma sensu. Związanie się na resztę życia z tym dzieckiem było dla niego nie do przyjęcia. Jego matka sugerowała, że bożonarodzeniowy bal to znakomita okazja, by ogłosić jego zaręczyny. Będzie przy tym obecna większość rodziny i sąsiadów. Ślub mógłby się odbyć na wiosnę. Powinien, oczywiście, porozmawiać o tym z lordem Hockingsfordem jeszcze przed balem, dodała jego matka.

- Lady Hockingsford to moja najserdeczniejsza przyjaciółka - powiedziała. - Marzyliśmy o tym od chwili, gdy tylko Juliana przyszła na świat. Możesz sprawić, że obydwie będziemy bardzo szczęśliwe i bardzo dumne.

Kiedy urodziła się Juliana Wishart miałem trzynaście lat, pomyślał Kenneth. Zaledwie o cztery lata mniej, niż ona ma teraz. Chodził już wtedy do szkoły. Nagle poczuł, że znalazł się w pułapce. Nie miał zamiaru ożenić się jedynie po to, by zrobić przyjemność swojej matce i jej przyjaciółce.

W ogóle nie miał zamiaru się żenić. Jeszcze nie teraz. Nie był na to gotowy. Po tańcu otwierającym bal, do którego, jak mu się zdawało, powinien poprosić pannę Wishart, będzie się trzymał od niej z daleka. Musi tańczyć ze wszystkimi obecnymi na balu paniami. Przypomniał sobie, że już poprosił Moirę Hayes o walca. Przypomniał sobie również, jak potem tego żałował i co czuł na myśl, że miałby jej dotknąć. Przypomniał sobie ich niespodziewane spotkanie na plaży i falę wspomnień, która ogarnęła go na widok miejsc,

gdzie niegdyś się z nią widywał. Tego dnia długo spacerował po plaży, przez jakiś czas stał nawet wpatrzony w morze i przypominał sobie wszystkie spędzone z nią chwile. Przypomnił sobie, jak spotkał ją tu po raz pierwszy samą i jak ze zdumieniem stwierdził, że z dziecka, które tak niedawno zaledwie dostrzegał, wyrosła wysoka, smukła i interesująca młoda kobieta. Przypomnił sobie kolejne spotkania; nie wszystkie miały miejsce nad zatoką, ale to właśnie nad zatoką po raz pierwszy ją pocałował. Podczas studiów na uniwersytecie zdobył w tej dziedzinie takie doświadczenie, iż nie sądził, że cokolwiek może go zaskoczyć. Jeden dotyk ust Moiry sprawił jednak, że krew uderzyła mu do głowy.

Nie zareagował na nią tak, jak zwykle reagował na dziewczyny z baru w Oksfordzie, przynajmniej tak sobie wmawiał. Chciał zagłuszyć poczucie winy, że zorganizował schadzki z panną z dobrego domu i ośmielił się ją pocałować. Prawda była taka, iż zakochał się w niej bez pamięci.

I oto nagle, gdy myślami wciąż jeszcze błędził w przeszłości, gdy ogarnął go smutek, że nie jest już tamtym romantycznym chłopcem, spotkał ją. I chociaż miała na sobie szary płaszcz, a na głowie kapelusz, przez chwilę wyglądała jak tamta Moira z przeszłości - jej policzki i nos były zaróżowione od chłodu, oczy pełne przerażenia, a całe ciało sparaliżowane najpierw przez strach, a potem przez złość na niego, na Nelsona i na siebie, jak podejrzewał, za okazanie słabości. Niewiele brakowało, a wzięłby ją w ramiona i zapewnił, że jest bezpieczna i że Nelson nigdy by jej nie skrzywdził.

Teraz wreszcie będzie miał okazję mieć ją na odległość wyciągniętych ramion, kiedy na balu zatańczy z nią walca. Ta myśl wywołała w nim dziwny niepokój. Podobnie jak myśl o uwolnieniu się od panny Wishart i całej rzeszy bliższych i dalszych krewnych, którzy robili wszystko, aby ich połączyć.

Zaczął nawet żałować, że nie został w Londynie z przyjaciółmi. Nie powinien był w takim stanie podejmować decyzji o wyjeździe. Eden i Nat z pewnością doskonale się bawią i nie muszą zważać na żadne konwenanse.

* * *

W dniu balu była taka chwila, gdy Moira miała nadzieję, że zdoła się od niego wykręcić. Sir Edwin Baillie otrzymał list od swojej starszej siostry. Składała bratu gratulacje z powodu zaręczyn i wyrażała radość, że panna Hayes będzie odtąd dla nich kimś jeszcze bliższym niż dotychczas. Życzyła bratu, jego narzeczonej i oczywiście lady Hayes wszystkiego najlepszego z okazji świąt. Pisała też, że mama, z powodu pogody, nie czuje się najlepiej, ponieważ wciąż nie może wyjść z przeziębienia, którego nabawiła się jeszcze przed

wyjazdem Edwina. Uspokajała go jednak, iż nie ma powodu do obaw. Christobel była pewna, że za kilka dni mama wróci do zdrowia.

Sir Edwin nie mógł jednak ukryć niepokoju. Jego matka musiała być rzeczywiście bardzo chora, skoro nie mogła sama napisać listu do syna i przyszłej synowej. Lady Hayes pocieszała go, że jego siostra z pewnością by go zawiadomiła, gdyby w stanie zdrowia ich matki zaszły jakieś niepokojące zmiany. Sir Edwin doskonale jednak wiedział, jak czułe serca miały jego siostry i jak dzielną kobietą była jego matka. Żadna z nich, bez wyraźnej potrzeby, nie chciała odrywać go od narzeczonej.

Powinien natychmiast pojechać do domu. Polecił, by spakowano jego bagaże i przygotowano powóz. W pewnej chwili nie chciał nawet czekać na bagaż, po czym doszedł do wniosku, że musi zostać przynajmniej na jeszcze jeden dzień. Nie chciał sprawić zawodu pannie Hayes i lady Hayes, a z pewnością tak właśnie by się stało, gdyby nie mógł udać się dziś z nimi do Dunbarton. Poza tym nie chciał sprawić zawodu jego lordowskiej mości, hrabiemu Haveford, który tak wspaniałomyślnie wybaczył rodzinie Hayesów i jemu osobiście jako aktualnej głowie tej rodziny i który teraz chciał zapewne publicznie okazać im swoją przyjaźń.

Moira przypomniała mu, że lady Hayes zdecydowała, iż nie weźmie udziału w balu i zapewniła, że jeśli o nią chodzi, to wołałaby, żeby jak najszybciej pojechał do matki i w ten sposób rozproszył dręczące go obawy. Poza tym nie jest już wchodzącą w dorosły świat dziewczyną, dla której uczestnictwo w balu jest sprawą życia i śmierci.

Taka wspaniałomyślność i troska o zdrowie przyszłej teściowej, taka niezwykła wrażliwość i zrozumienie dla jego obaw nie mogły pozostać bez odpowiedzi. Pojedzie z panną Hayes na bal i będzie się zachowywał tak, jakby nie miał żadnego zmartwienia i odłoży swój wyjazd do jutra.

Moira uśmiechnęła się i podziękowała mu.

Mimo to nadzieja wciąż jej nie opuszczała. Pokrywające niebo chmury rano wydawały się jeszcze ciemniejsze i płynęły znacznie niżej, a przed południem zaczął padać śnieg. Jeśli śnieg nie przestanie padać, jazda może się okazać zbyt niebezpieczna. W tej sytuacji bal będzie musiał być odwołany albo wezmą w nim udział jedynie goście mieszkający w Dunbarton.

Po południu śnieg przestał sypać, chociaż Moira wciąż podchodziła do okna i spoglądała na chmury, jakby chciała je namówić do pozbycia się ciężkiego ładunku. Wszystko więc wskazywało na to, że jednak pojedzie na ten bal. I że zatańczy walca z hrabią Haveford.

Kiedy nadszedł wieczór, Moira ubrała się w wieczorową suknię z atlasu w kolorze brzoskwini. Suknia nie była zbyt wyszukana. W końcu Moira miała dwadzieścia sześć lat. Obszyta była zwyczajną krezą i nie miała koronkowych mankietów. Wysoka talia podkreślona była jedynie szarfą. Dekolt, aczkolwiek głęboki, nie odsłaniał jednak tyle, na ile pozwalała moda. Rękawy były krótkie i ujęte w bufki, a we włosach uczesanych w pukle nie było ani turbana, ani tak modnych ostatnio piór. Jeśli chodzi o strój, Moira zawsze ceniła prostotę.

- Wyglądasz doskonale, moja droga - powiedziała jej matka, zanim Moira wyszła z pokoju.

- Nie sądzisz, że kolor jest zbyt jaskrawy? - zapytała Moira. Dopiero co minął okres żałoby po ojcu i Moira zdążyła się już przyzwyczaić do czerni i szarości. - Nie wyglądam zbyt dziewczęco, mamó?

- Wyglądasz jak piękna, młoda kobieta, którą niewątpliwie jesteś - odpowiedziała jej matka.

Moira uśmiechnęła się i uściskała ją. To była, oczywiście, przesada. Nigdy nie była ładna, nawet jako mała dziewczynka. Czuła się jednak wyśmienicie i była w doskonałym nastroju. Czy spodoba się Kennethowi? Czy nie przyjdzie mu do głowy, że jest ubrana zbyt krzykliwie albo zbyt dziewczęco? Czy spojrzy na nią z podziwem? Lekceważeniem? A może wcale nie zwróci na nią uwagi?

- Jestem pewna, że sir Edwin będzie z ciebie dumny - zauważyła lady Hayes.

Moira spojrzała na nią ze zdziwieniem. Sir Edwin? Tak, oczywiście, sir Edwin. To przecież jego miała na myśli.

- On ma dobre serce, Moiro - dodała jej matka. - I dobre intencje.

- Tak, to prawda - odparła z uśmiechem Moira. - Doskonale zdaję sobie sprawę, jak wielkie spotkało mnie szczęście, mamó.

Uśmiech, jaki pojawił się na twarzy lady Hayes, wydawał się smutny, ale było w nim jednocześnie tyle ciepła i miłości.

* * *

Sala balowa w Dunbarton Hall, chociaż niewielka w porównaniu z ogromnymi salami balowymi w Londynie, z pewnością mogła robić wrażenie. Fasetowy sufit z imponującymi żyrandolami i umieszczone wzdłuż jednej ze ścian lustra sprawiały, że sala wydawała się znacznie większa, niż była w rzeczywistości. Wspaniałe obrazy i złote ozdoby dopełniały całości.

Na świąteczny bal sala została udekorowana gałęziami bluszczu, sosny i ostrokrzewu, kolorowymi dzwoneczkami oraz czerwonymi kokardami i wstążkami z jedwabiu. Wynajęto znakomitą orkiestrę, a hrabiowski kucharz, przy pomocy służby wynajętej w Tawmouth przygotował bankiet w jednej z sal przylegających do sali balowej oraz kolację w wielkiej sali jadalnej. Prawie wszyscy, którzy zostali zaproszeni, potwierdzili swoje przybycie.

Sala balowa będzie pełna, pomyślał Kenneth, lustrując puste jeszcze wnętrze. Większość pań przygotowywała się jeszcze w swoich pokojach na piętrze, podczas gdy większość panów siedziała w salonie, za pomocą brandy lub porto pokrzepiając się przed czekającą ich ciężką próbą. Kenneth miał zamiar dołączyć do nich, gdy zobaczył członków orkiestry, którzy po zjedzeniu posiłku wychodzili właśnie z kuchni. Zatrzymał się więc na chwilę, by omówić z ich szefem program wieczoru, po czym, widząc, że służba zaczyna wносить do przyległej sali półmiski z potrawami i wazy z ponczem, wszedł tam również, aby przyjrzeć się efektom ich pracy. Jego obecność nie była jednak potrzebna; majordomus Dunbarton Hall jak zawsze doskonale nad wszystkim panował.

Dopiero teraz dotarło do Kennetha, jak bardzo czekał na ten wieczór. Nie codziennie organizuje się przecież wielki bal dla rodziny, przyjaciół i sąsiadów. Ze zdumieniem stwierdził, iż zaczyna mu to sprawiać przyjemność i że cieszy go okazywany mu szacunek i pozycja, jaką zajmuje w towarzystwie. Życie, jakie prowadził przez ostatnie osiem lat, zaczynało powoli odchodzić w przeszłość.

Kiedy tak stał pogrążony w myślach, jego matka, wyglądająca jak królowa w purpurowej, jedwabnej sukni i idealnie dobranym do niej turbanie, weszła do sali balowej, aby zawiadomić, że pierwsi goście pojawili się właśnie w alei dojazdowej. Tuż za nią weszła Helen w towarzystwie wicehrabiego Ainsleigh i kilku przyjaciół. Dobrze, że są, pomyślał Kenneth. Będą pod ręką i uprzedzą o przybyciu kolejnych gości. Ci pierwsi zjawili się dosyć wcześnie.

Kenneth wraz z matką stanęli przy drzwiach wiodących do sali balowej, czekając, kiedy na schodach ukążą się goście. Byli to sir Edwin Baillie i Moira Hayes. Kenneth czuł, jak jego matka sztywnieje, i pomyślał, że lepiej byłoby, gdyby nie przyjechali jako pierwsi. Później łatwiej mogliby zmieszać się z innymi gośćmi.

Pięknie wygląda, pomyślał niechętnie. Suknia w kolorze brzoskwini znakomicie pasowała do jej ciemnych włosów i oczu. Prostota stroju okazała się wielkim atutem. Większość obecnych w sali balowej pań, nie wyłączając Juliany Wishart, zdawało się współzawodniczyć ze sobą, która z nich ma więcej falbanek, kokard, loczków i koronek. Było jednak coś, czym Moira Hayes bezsprzecznie nad nimi górowała: jej smukła sylwetka, wiotka

i wdzięczna, nie miała sobie równych.

Lady Hayes bardzo żałuje, że nie mogła skorzystać z zaproszenia, wyjaśnił sir Edwin, pochylając się nad dłonią lady Haveford i gratulując sobie zostania bliskim sąsiadem i, jeśli to nie będzie odebrane jako zbyt duża poufalskość, przyjacielem jej syna. Lady Hayes uznała, że minął zbyt krótki czas od śmierci sir Basila Hayesa i w związku z tym nie powinna jeszcze uczestniczyć w takich przyjęciach. Ma nadzieję, że będzie mogła złożyć wizytę jej lordowskiej mości już wkrótce.

Kenneth, nie patrząc nawet na Moirę, nie miał żadnych wątpliwości, że lady Hayes wcale nie wyraziła takiej nadziei, a kamienny wyraz twarzy jego matki był bardzo wymowny. Lady Haveford w odpowiedzi skinęła jedynie głową. Sir Edwin zdawał się niczego nie dostrzegać i wprost rozpląwał się w podziękowaniach.

Moira Hayes wykonała głęboki ukłon przed lady Haveford. Głowę trzymała jednak wysoko uniesioną, a na jej twarzy błąkał się ironiczny uśmiech. Kenneth zauważył, że jego matka nie zaszczyciła swego gościa ani jednym słowem czy choćby spojrzeniem. Najwyraźniej wojenny topór wcale nie został zakopany. Sytuacja była wyjątkowo niezręczna i tylko dobremu wychowaniu obydwu pań zawdzięczać należało, iż nie doszło do nieprzyjemnej wymiany zdań.

- Panno Hayes. - Kenneth podniósł dłoń Moiry do ust. Dotykał jej po raz pierwszy od ośmiu lat. Spodziewał się, że, tak jak kiedyś, fala gorąca popłynie wzdłuż jego ręki i dotrze do serca, ale nic takiego się nie stało. W ułamku sekundy wyobraził sobie jedynie, jak sir Edwin dotyka jej... w łóżku. Zastanawiał się, czy kiedy po raz pierwszy będzie się z nią kochał, też będzie wygłaszał przemówienie, a kiedy doszedł do wniosku, że odpowiedź powinna brzmieć „tak”, wcale nie było mu do śmiechu.

- Milordzie - powiedziała, po czym jej wzrok powędrował wzdłuż jego ramienia i spoczął na jego ustach. Na koniec spojrzała mu prosto w oczy. W przypadku każdej innej kobiety Kenneth uznałby to za przejaw kokieterii i wyrafinowania. To jednak nie była kokieteria. Moira nigdy nie była kokietką.

- Ufam, miss Hayes - rzekł - że nie zapomni pani o obiecanych mi walcu?

- Dziękuję za zaszczyt, milordzie.

Ponieważ nowi goście jeszcze się nie zjawili, Kenneth wprowadził Moirę i sir Edwina do sali balowej, gdzie przedstawił ich gościom domu. Chociaż zaofiarował Moirze ramię, zauważył, że wybrała ramię pana Bailliego. Uśmiechnął się lekko. Nic nie szkodzi, pomyślał. Wkrótce zatańczy z nim walca.

Zaskoczyło go, że tej myśli towarzyszyła satysfakcja. Mściwa satysfakcja.

Kilku bliższych krewnych Kennetha na dźwięk nazwiska Moiry uniosła brwi, ale wszyscy zachowywali się wobec niej uprzejmie. Nikt nie mieszkał na tyle blisko, by być osobiście w tę waśń zaangażowany.

W pewnej chwili Kenneth wraz z Moirą i sir Edwinem podszedł do swojej siostry, która na widok Moiry demonstracyjnie odwróciła się plecami.

- Helen? Michael? - powiedział niezrażony tym Kenneth. - Czy mogę przedstawić wam pannę Moirę Hayes i sir Edwina Bailliego? Sir Edwin jest dziedzicem Penwith Manor. Moja siostra i jej mąż, wicehrabia Ainsleigh - dodał, zwracając się do gości.

Sir Edwin skłonił się nisko i zaczął swoje przemówienie, podczas gdy Moira składała przewidziany etykietą głęboki ukłon. Ainsleigh uśmiechnął się, ale Helen, lekceważąc gości, zwróciła się do Juliany.

- Droga panno Wishart - powiedziała, przerywając sir Edwinowi w połowie zdania. - Jak pani dziś czarująco wygląda. Cóż za elegancja! Musi mi pani zdradzić, kto jest pani modystką. Tak trudno dziś znaleźć kogoś sensownego. Pani jest taka filigranowa. Podziwiam filigranowe kobiety. Może przejdziemy się trochę po sali? Jakoś dziwnie duszno tu się zrobiło.

Wzięła Julianę pod rękę i pociągnęła za sobą.

- Doprawdy, bardzo współczuję ciemnowłosym kobietom - powiedziała dosyć głośno. - Blondynki są o wiele subtelniejsze i znacznie bardziej kobiece.

Sir Edwin podjął przerwana w połowie myśl, a Ainsleigh, jakby trochę zdezorientowany, uśmiechnął się jeszcze bardziej czarująco.

Kenneth ze smutkiem pomyślał, iż jego siostra zareagowała podobnie jak matka, tylko w znacznie gorszym i godnym ubolewania stylu. To nie w porządku, że Helen całą nienawiść przelała na Moirę. Z pewnością miała znacznie więcej powodów, aby skierować ją przeciw niemu. Prawda była jednak taka, że Moira miała nieszczęście być siostrą Seana Hayesa. Jedno już zrozumiał tego wieczoru, chociaż powinno to dotrzeć do niego, zanim wysłano zaproszenia. Dobrze robi, jeśli będzie się trzymał z daleka od mieszkańców Penwith, przynajmniej do czasu, aż jego matka i siostra wyjadą z Dunbarton. Chętnie to zresztą uczyni, ale dopiero po balu. Tego wieczoru, jako gospodarz, powinien być dla Moiry grzeczny i uprzejmy.

Tymczasem przybyli kolejni goście i Kenneth pospiesznie ruszył w kierunku

prowadzących do sali balowej drzwi.

* * *

Moira nigdy nie była na balu, na którym grałaby specjalnie wynajęta orkiestra. Nigdy też nie była na balu, który odbywałby się we wnętrzu bardziej okazałym niż skromne salony Tawmouth. Nigdy nie była na balu, gdzie tańczyłoby jednocześnie więcej niż dziesięć par.

Bal w Dunbarton należał, bez wątpienia, do najbardziej oszałamiających wydarzeń w jej życiu. Nie mogła uskarżać się na brak partnerów, ponieważ sir Edwin poprosił ją do tańca otwierającego bal, wicehrabia Ainsleigh do następnego, a z licznymi sąsiadami, jak zawsze uprzejmymi, odtańczyła kolejne.

Mimo to gorąco pragnęła znaleźć się w jakimkolwiek innym miejscu, tylko nie w tym. Nigdy w życiu nie czuła się tak nieswojo. Radziła sobie jakoś z zażenowaniem, jakie przeżywała, przebywając w towarzystwie sir Edwina, zarówno od chwili graniczącego z nieprzyzwoitością, zbyt wczesnego przyjazdu, aż do rozpoczęcia balu, jak i w przerwach między tańcami. W końcu nie był gburem czy prostakiem i przebywanie w jego towarzystwie, zarówno publicznie, jak i prywatnie, było czymś, do czego musiała się przyzwyczaić. Wymagało to jedynie odrobiny wyrozumiałości i dużego poczucia humoru. Znacznie trudniej przychodziło jej niedostrzeżenie zawołanych afrontów hrabiny Haveford czy zupełnie jawnych, które robiła jej Helen.

Helen kiedyś durzyła się w Seanie. Być może naprawdę go kochała, jednak jej plany ucieczki z nim zostały pokrzyżowane, a ona sama czuła się głęboko zraniona, upokorzona, a nawet skompromitowana. Tak więc z nienawiści do rodziny Hayesów uczyniła sprawę osobistą. Moira nie była nawet pewna, czy Helen nie znienawidziła w końcu i samego Seana.

Sir Edwin wkrótce znalazł wyjaśnienie, dlaczego wicehrabina Ainsleigh tak zaskakująco nietaktownie przerwała ich rozmowę. Z nieco afektowanym uśmiechem obserwował, jak gospodarz balu prowadzi do tańca pannę Wishart.

- Jest tak, jak przypuszczałem już w chwili, gdy zostaliśmy przedstawieni lordowi i lady Hockingsford i czcigodnej pannie Wishart, moja droga panno Hayes - rzekł. - Czuję, że aranżowane jest tu małżeństwo panny Wishart i hrabiego Haveford. Znakomity związek, ośmielam się twierdzić i mam zamiar powiedzieć to jego lordowskiej mości, jako sąsiad i przyjaciel, tak szybko jak tylko będę mógł zrobić to na osobności. Względy, jakie lady Ainsleigh okazuje tej młodej damie, są w pełni zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę, iż wkrótce zostaną bardzo bliskimi krewnymi. Panno Hayes, powinna pani również zbliżyć się do panny Wishart, ponieważ jest wysoce prawdopodobne, iż będziecie sąsiadkami, a może

nawet przyjaciółkami. Moja mama często powtarza, że sąsiedzi powinni żyć ze sobą w przyjaźni, a pani pozycja w towarzystwie jest przecież prawie taka jak panny Wishart, chociaż małżeństwo z jego lordowska mością z pewnością doda jej splendoru. Tak jak małżeństwo ze mną doda splendoru pani.

Tak, panna Wishart doskonale do niego pasuje, pomyślała Moira. Jest młodziutka, ufna i niewinna. Bez trudu będzie mógł nad nią dominować. Czubkiem głowy nie sięga mu nawet do ramienia.

Hrabia Haveford wyglądał dziś oszałamiająco. Miał na sobie czarny żakiet, bryczesy ze srebrzystą kamizelką i białą ozdobioną koronką koszulę. Opinie wszystkich sąsiadów były mieszaniną podziwu i zaskoczenia ciemnymi kolorami jego stroju, ale sir Edwin Baillie zapewnił ich, iż jego lordowska mość ubrany był zgodnie z ostatnimi zaleceniami mody. Moira pomyślała, że każdy inny mężczyzna w takim stroju wyglądałby nieciekawie, ale hrabia Haveford przy takim wzroście, imponującej sylwetce i pięknych jasnych włosach, prezentował się doskonale.

Żałowała, że zgodziła się zatańczyć z nim walca. Gdyby tego nie zrobiła, mogłaby wciągnąć Kennetha do kręgu swoich sąsiadów i znajomych i zapomnieć o niezbyt sympatycznym początku wieczoru. Jednak zgodziła się, a hrabia nie omieszkał jej o tym przypomnieć. I kiedy nadeszła właściwa chwila, pojawił się u jej boku, zanim ktokolwiek zdążył wyjść na parkiet. Harriet Lincoln i pani Meeson spojrzały na nią ze zdumieniem, ale i odrobiną zazdrości, a kiedy prowadził ją na środek parkietu, wydawało się, że wszystkie oczy zwrócone były na nią. To był pierwszy walc i goście prawdopodobnie podchodzili do niego z entuzjazmem o wiele mniejszym niż do kadryla czy menueta, które go poprzedzały.

- Mam nadzieję, panno Hayes - powiedział, zanim orkiestra zaczęła grać - że dobrze się pani bawi.

- Tak, milordzie, dziękuję - odparła.

Mężczyźni, z którymi dotychczas tańczyła, byli równi jej wzrostem, albo niżsi od niej. Aby spojrzeć w oczy Kennethowi, musiała podnieść głowę. Zastanawiała się, czy Helen zdawała sobie sprawę, jak bardzo dotknęło ją to, co powiedziała do panny Wishart na temat wzrostu.

Wkrótce jednak o wszystkim zapomniała, gdy orkiestra zaczęła grać i hrabia Haveford jedną ręką ujął jej dłoń, a druga spoczęła na jej talii. Moira dotknęła jego ramienia, czując, jak przeszywa ją dreszcz. Cudownie było mieć go przy sobie. Czowała siłę jego rąk, ciepło jego ciała, zapach. I to spojrzenie! Mięśnie jej brzucha mimowolnie zacisnęły się i cała wiedza na temat kroków walca gdzieś się ulotniła, sprawiając, że przy pierwszym niemal się potknęła.

- Kroki są bardzo łatwe - powiedział. - Musisz się tylko rozluźnić i pozwolić sobą kierować.

Przyjęła to jako delikatną reprimendę. Spojrzała na niego chłodno.

- Nie przyniosę panu wstydu, milordzie - zapewniła. - Nie nadepnę panu na palce, ani, co z pewnością zraniłoby pańską miłość własną, nie pozwolę nadepnąć na swoje.

- Zbyt wielkie mam doświadczenie, aby na to pozwolić.

Po chwili Moira przypomniała sobie kroki, podchwyciła właściwy rytm i rozluźniona, dała sobą kierować. Unosił ją w tańcu, a ona zapomniła o całym świecie. Liczył się tylko ten walc i... ten mężczyzna - wysoki, przystojny i pełen gracji. Czowała się tak, jakby ktoś rzucił na nią czary. Czary, na które czekała przez całe życie.

Wiele czasu minęło, zanim zdała sobie sprawę, że jest na sali balowej w Dunbarton, tańczy walca z hrabią Haveford i uśmiecha się, patrząc w oczy, które zdawały się tak poważne jak nigdy. Nagle oprzytomniała. Znowu widziała ludzi i czerwone kokardy, lustra i żyrandole, i... jego. Co on musiał o niej myśleć, skoro zwyczajny taniec potrafi ją przenieść w zupełnie inny świat?

- Moiro - szepnął. - To chyba niemożliwe, żebyś naprawdę chciała go poślubić? Odpowiedz!

- Sir Edwina? - zapytała, wpatrując się w niego uważnie.

- To pompatyczny nudziarz. Oszalejesz, nim minie miesiąc. Czar prysnął bezpowrotnie.

- Uważam, milordzie - odparła chłodno - że moje zaręczyny i przyszłe małżeństwo to moja sprawa. Tak samo jak moje uczucia do sir Edwina Baillie.

- Przyjęłaś jego oświadczenia, ponieważ uważasz, że nie masz wyboru, tak? - zapytał.

- Czy zostaniesz bez środków do życia, jeśli z nim zerwiesz? Czy on wyrzuci ciebie i matkę z domu?

- Może powinien pan sam go o to zapytać - odrzekła. - W końcu jest pańskim sąsiadem i przyjacielem, nieprawdaż? Ja nie jestem ani jednym, ani drugim, nawet jeśli tak niefortunnie się złożyło, że mieszkam tylko kilka kilometrów stąd. Pańskie pytania są nie na miejscu, milordzie.

- Walc się kończy - powiedział po chwili. Odsunął się od niej o krok, po czym skłonił głowę i podał jej ramię. - Wydajesz się nieco wzburzona. Pozwól więc, że odprowadzę cię do bufetu, gdzie będziesz mogła nieco ochłoniąć.

Zastanawiała się, czy to taniec sprawił, że zachowywał się tak zuchwale. Nagle przypomniała sobie, jak pytał na plaży, dlaczego spaceruje sama. Być może uważał, że hrabia

Haveford ma prawo ingerować w życie sąsiadów. Jak śmie! Trzęsa się z oburzenia, ale na myśl, że miałyby wrócić do sir Edwina i znowu wysłuchiwać, jaki to spotkał ich zaszczyt, przyjęła podane jej ramię.

- Wspaniale tańczysz - rzekł hrabia, prowadząc ją do sali, gdzie przygotowano napoje oraz zimny bufet dla tych, którzy zechcą coś przegryźć przed kolacją. - To niezwykle i raczej miłe doświadczenie, tańczyć z kimś, kto wzrostem prawie mi dorównuje.

O tak, pomyślała z rozdrażnieniem, przyjemnie jest tańczyć z wyższym od siebie mężczyzną. Dlaczego to zepsuł? To była jedna z najcudowniejszych chwil w jej życiu.

Po chwili pomyślała, że może jednak dobrze się stało. Cudowne wspomnienia, w których główną rolę grać miał właśnie Kenneth, to nie był bagaż, który chciałyby wnieść w czekający ją wkrótce związek.

* * *

Zachował się bardzo nieodpowiedzialnie. Jest przecież gospodarzem tego balu i już chociażby z tego powodu uwaga wszystkich skierowana jest na niego. Dopiero co wrócił z wojny, dopiero co objął w posiadanie Dunbarton Hall. To oczywiste, że znalazł się w centrum zainteresowania.

Jeśli do tych faktów dodać jeszcze zainteresowanie, które wzbudziła obecność w jego domu Juliany Wishart, i uwaga, jaką zmuszony był jej poświęcać, to oczekiwania z tym związane, wydawały się w pełni uzasadnione. Taniec z Moirą Hayes nie uszedł niczyjej uwagi i wywołał zdziwienie. Wszyscy, poza być może jego matką i Helen, wierzyli święcie, że on i Moira Hayes do niedawna nie mieli ze sobą nic wspólnego, chociaż przez te wszystkie lata, kiedy dorastali, byli przecież sąsiadami.

Powinien być bardziej ostrożny. Przecież ich rodziny nie utrzymywały żadnych kontaktów od kilku pokoleń. Tak, hrabia Haveford, decydując się na taniec z Moirą, powinien był bardziej się kontrolować.

Co zrobił zamiast tego? Stracił prawie dwadzieścia minut swego życia. To chyba były jakieś czary. Przeżył coś, co wymknęło mu się spod kontroli. Po pierwszych, niezbyt udanych krokach, Moira, ku jego zdumieniu, szybko przeobraziła się w znakomitą, pełną gracji partnerkę.

Gdyby podczas tych dwudziestu minut był w stanie myśleć, przypomniałby sobie tamtą dziewczynę, a potem młodą kobietę, w którą tak niespodziewanie się przeobraziła. Zawsze uwielbiała wymykać się spod kontroli pilnujących jej opiekunek i służących. A kiedy już się wymknęła, buty i pończochy fruwały w powietrzu, spinki do włosów wędrowały do

kieszeni, a rozpuszczone włosy rozwiewał wiatr. Ach, te włosy: gęste, lśniąco i czarne jak skrzydło kruka. Biegła jak szalona, kręciła zwariowane piruety, wdrapywała się pod górę, po czym zbiegała na dół, śmiejąc się jak szalona. I więcej niż jeden raz pozwoliła mu się pocałować.

Teraz, kiedy tańczyli, znowu była tamtą dziewczyną, która go oczarowała i wzięła w niewolę. Przeraził się, jak łatwo podczas tych dwudziestu minut stracił kontakt z rzeczywistością, a kiedy go odzyskał, obraził ją, pozwalając sobie na niewybaczalną impertynencję.

- Czy masz ochotę na coś do zjedzenia? - zapytał, wprowadzając ją do pomieszczenia, w którym przygotowano bufet i w którym, na szczęście, nie było zbyt wielu osób.

- Nie, dziękuję. - Wsunęła rękę spod jego ramienia. - Wystarczy mi coś do picia. - Skierowała się do stolika ustawionego w pobliżu zamkniętych bocznych drzwi, podczas gdy Kenneth podszedł do wazy z ponczem i, nie czekając na lokaja, napełnił nim dwie szklaneczki.

Porozmawia z nią parę minut na jakieś błahe tematy, pomyślał, idąc w jej kierunku, następnie odprowadzi ją do sir Edwina i grupy jej przyjaciół i postara się zapomnieć o jej obecności na balu. Jednak w tym momencie z drugiego końca sali rozległ się okrzyk jednego z młodych kuzynów, który wraz z innymi rozbawionymi i nieco zbyt krzykliwymi młodzieńcami przez cały czas go obserwował.

- Hej, Haveford! Nie widzisz, gdzie ona stoi? Wtórował mu kobiecy chichot i głośny męski śmiech.

- Oczywiście, że widzi - inny kuzyn zawołał równie głośno. - Jak myślisz, dlaczego tak się spieszy?

- Do tego, stary - dodał trzeci i śmiech rozległ się znowu. Moira uniosła brwi i ze zdumieniem spojrzała na rozbawioną grupę, podczas gdy Kenneth, rozejrzawszy się dookoła, tuż nad jej głową zauważył gałązkę jemioli przymocowaną do górnej części framugi drzwi. Zaniepokojona, podniosła głowę i wtedy ona również ją dostrzegła. Gorący rumieniec oblał jej twarz. Chciała się cofnąć, ale Kenneth zagroził jej drogę z rękami uniesionymi do góry i szklaneczką w każdej z nich. Ponieważ w ciągu ostatnich dwóch dni przynajmniej raz pocałował każdą kobietę w tym domu, jego młodym kuzynom i kilku nieco starszym, którzy również tu byli, wydałoby się dziwne, gdyby nie skorzystał z okazji i nie pocałował jeszcze jednej. Pochylił się więc do przodu i dotknął wargami jej ust. Zadrżały lekko. Instynktownie rozchylił swoje, żeby to drżenie powstrzymać. Podniósł głowę dopiero po dłuższej chwili, żeby nie być oskarżonym o usiłowanie wykpienia się jedynie muśnięciem warg, ale nie na

tyle długiej, żeby można go było oskarżyć o przekroczenie pewnej granicy, czego nawet jemioła nie byłaby w stanie usprawiedliwić.

- Należy przestrzegać reguł gry - powiedział, patrząc w szeroko otwarte oczy Moiry, zasłaniając ją od spojrzeń krzyczącego i bijącego brawo audytorium. - Jeśli już tu stanęłaś, to musisz ponieść tego konsekwencje.

Wręczył jej szklaneczkę, jednak jej ręka wyraźnie drżała. Cofnęła ją szybko.

- Nie mam ochoty - powiedziała.

- Spokojnie, Moiro - rzekł. - To Boże Narodzenie i nie ma powodu do zakłopotania. Przez dwa dni nie robiłem nic innego, tylko obcałowywałem wszystkie ciotki, kuzynki i każdą kobietę, która okazała się na tyle nieostrożna, by znaleźć się pod jednym z tych paskudztw, kiedy ja byłem w pobliżu. Moi krewni za każdym razem śmieją się, krzyczą i klaszczą. Ciekawe, co będą robić, kiedy święta się skończą i jemioła zwiędnie. Pewnie znajdą sobie coś innego. To zdumiewające, jak łatwo im to przychodzi.

Nie przestawał mówić, aż przerażenie zniknęło z jej oczu. Kiedy po chwili wróciła do siebie, ponownie podał jej szklanę, a ona przyjęła ją bez oporu i z determinacją podniosła do ust.

- Przyjechałam tu tylko dlatego, że sir Edwin bardzo na to nalegał - wyjaśniła. - Sir Edwin chce jutro rano wyjechać do swojego domu i wrócić dopiero na wiosnę, na nasz ślub. Mam nadzieję, że od tej chwili, aż do jego powrotu, nie będziesz szukał kontaktu z Penwith.

- Sądzę - rzekł Kenneth - że mój pradziad skazał twojego, ponieważ nie chciał, aby zostały ujawnione jego związki z przemytem. Sądzę także, iż poczucie winy było dla niego taką samą karą, jak zesłanie dla jego ofiary. Czy moja rodzina powinna wciąż mieć to poczucie winy, a twoja wstydu?

- Doskonale wiesz, milordzie - odparła z pogardą - że to, co teraz jest między moją i twoją rodziną, nie ma nic wspólnego z tamtą sprawą. Nie było cię tu osiem lat i może zapomniałeś, co...

Urwała nagle, uśmiechnęła się i ponownie podniosła szklanę do ust. Kenneth zerknął przez ramię. Sir Edwin Baillie szedł właśnie w ich kierunku.

- Nie potrafię znaleźć właściwych słów, aby w pełni wyrazić moją wdzięczność, milordzie - wołał już z daleka. - Wyróżnienie mojej narzeczonej poprzez zaproszenie jej do tańca na tym wspaniałym balu, gdzie jest tyle innych, dystyngowanych dam godnych tego zaszczytu, to gest najlepiej świadczący o naszych najlepszych dobrosąsiedzkich stosunkach. To doskonały początek prawdziwego zbliżenia Dunbarton Hall i Penwith Manor.

Ten cymbał, pomyślał Kenneth, wpadłby w zachwyt i poczytał to sobie za

wyróżnienie, gdyby zobaczył hrabiego Haveford całującego pod jemiolą jego narzeczoną. Skłonił głowę.

- Podobno zaczyna sypać śnieg, milordzie - z niepokojem zauważył sir Edwin. - Pańscy służący potwierdzili ten fakt, chociaż zapewnili mnie jednocześnie, że opady nie są zbyt intensywne.

- Nam przecież nic tu nie grozi, sir - odparł Kenneth z uśmiechem.

- Muszę zajrzeć do moich gości w sali balowej. Proszę dołączyć do panny Hayes i spróbować rozproszyć swoje obawy za pomocą szklaneczki ponczu.

Sir Edwin czuł się w obowiązku wyrazić swoje najgłębsze podziękowanie, ale opady śniegu nie przestawały go niepokoić. Najwyraźniej obawiał się, że jeśli w ciągu nocy będą zbyt intensywne, to jego poranny wyjazd może stanąć pod znakiem zapytania. Wciąż też obawiał się o zdrowie matki i chociaż w liście od Christobel, który nadszedł dziś rano, nie było żadnej informacji, że matka jest poważnie chora, to sir Edwin twierdził, iż gdyby to była jedynie jakaś chwilowa niedyspozycja, to jego siostra w ogóle by o tym nie wspomniała. Poza tym, gdyby to nie było coś poważnego, to matka sama napisałaby ten list, aby go upewnić, że może spokojnie cieszyć się towarzystwem narzeczonej - tu skłonił się przed Moirą - i nie martwić się niepotrzebnie ani o nią, ani o swoje siostry.

- Chciałbym zauważyć, sir - uspokajał go Kenneth - iż, gdyby sytuacja rzeczywiście była groźna, to pańska siostra natychmiast by pana o tym zawiadomiła.

Jednak sir Edwin, chociaż nie ustawał w podziękowaniach jego lordowskiej mości za zainteresowanie, nie wyglądał na przekonanego. Często bardziej niż faktom wierzymy intuicji, gdy zdrowie kogoś bardzo nam bliskiego jest zagrożone. Jego lordowska mość również ma matkę i siostrę, musi więc wiedzieć, o czym sir Edwin mówi. Chciałby więc prosić, aby jego lordowska mość wyświadczyła mu pewną grzeczność i czyni to jedynie dlatego, że jego lordowska mość udowodnił już, iż jest dobrym sąsiadem i przyjacielem.

Kenneth uniósł brwi, zastanawiając się, czy będzie w stanie być przez resztę życia sąsiadem tego człowieka.

- Muszę bezzwłocznie wracać do domu - oświadczył sir Edwin. - Gdybym pozostał chociaż chwilę dłużej, byłoby to niewybaczalne zaniedbanie synowskich obowiązków. To bez znaczenia, że nie mam ze sobą ani lokaja, ani bagażu. Ważne jest tylko, że wrócę na łono rodziny, zanim będzie za późno, by jeszcze raz wziąć w ramiona moją matkę. Ośmielam się więc prosić, milordzie o powóz i towarzystwo służącej dla zabezpieczenia powrotu mojej narzeczonej, panny Hayes do domu, do Penwith Manor, gdy tylko skończy się bal.

Moira nie zamierzała spokojnie tego słuchać.

- Wrócę do domu z panem, sir Edwinie - oświadczyła. - Jestem przekonana, że, biorąc pod uwagę okoliczności, hrabia Haveford wybaczy nam wcześniejszy wyjazd.

- Pozostawienie tu pani bez towarzystwa mojej skromnej osoby byłoby dla mnie ogromnie męczące, gdyby nie to, że jest pani w domu sąsiada i przyjaciela i w otoczeniu innych sąsiadów i przyjaciół - odparł. - Jazda do Penwith Manor opóźniłaby tylko moją podróż, a coś mi mówi, że za kilka godzin opady śniegu mogą ją w ogóle uniemożliwić.

- W takim razie pojedę z panem do pańskiego domu, a jego lordowska mość zawiadomi moją matkę - nie ustępowała Moira.

Jednak sir Edwin, pomimo głośno wyrażonej głębokiej wdzięczności za troskę panny Hayes o przyszłą teściową, nie stracił na tyle głowy, żeby, zapominając o względach przyzwoitości, pozwolić jej na tak długą podróż wyłącznie w jego towarzystwie.

- Dopilnuję, oczywiście, żeby po balu panna Hayes dotarła bezpiecznie do domu - uspokoił go Kenneth.

Po takim zapewnieniu musiał się jeszcze zatrzymać, żeby wysłuchać niekończących się podziękowań od człowieka, który dopiero co zapewniał, że nie ma ani minuty do stracenia. Mimo to stracił kolejne, odprowadzając narzeczoną do sali balowej, gdzie jej bliska przyjaciółka, pani Lincoln, stała w towarzystwie swojego męża i kilku innych osób.

Kenneth spotkał go jakieś pół godziny później i ponownie zapewnił, że osobiście dopilnuje, aby panna Hayes cała i zdrowa dotarła do domu. Zauważył, że opady śniegu nie były już tak obfite jak jeszcze parę godzin wcześniej. Uznał więc, że nie ma potrzeby niepokoić tym gości. Poza tym wszystko wskazywało na to, że najdalej za godzinę śnieg w ogóle przestanie padać.

Po wyjeździe sir Edwina Moira ze zdumieniem stwierdziła, że bal zaczyna jej sprawiać przyjemność. Miała, oczywiście, wyrzuty sumienia, że bez niego, w towarzystwie sąsiadów i przyjaciół, czuje się znacznie lepiej. Taka jednak była prawda i nic nie mogła na to poradzić. Teraz, kiedy taniec z hrabią Haveford miała już za sobą, zdenerwowanie, że będzie musiała stawić jeszcze temu czoło, minęło bezpowrotnie. Tańczyła z dżentelmenami, których znała od lat, albo rozmawiała z ich żonami i córkami. Unikanie zarówno hrabiny, jak i wicehrabiny Ainsleigh także nie było trudne, ponieważ obydwie panie, jak się zdaje, stosowały identyczną taktykę.

Bawiłaby się znakomicie, gdyby nie świadomość, że po zakończeniu balu będzie zmuszona skorzystać z uprzejmości hrabiego i wrócić do domu jego powozem. Zastanawiała się nawet, czy któryś z sąsiadów nie zaofiarowałby jej miejsca w swoim powozie, ale nie mogła znaleźć nikogo, kto, by odwieźć ją do Penwith, nie musiałby nadłożyć drogi. Poza nią nikt nie mieszkał w dolinie. Nie miała więc innego wyjścia, jak zdać się na kogoś, komu tak bardzo nie chciała niczego zawdzięczać.

Było jednak gorzej, niż myślała, znacznie gorzej. W wirze zabawy nie zauważono, że śnieg rozpadał się na dobre. Na godzinę przed północą panna Pitt wspomniała, że zrobiło się późno, ale nikt nie chciał jej słuchać. I wtedy właśnie ktoś zwrócił uwagę, że hrabia Haveford naradza się nad czymś z panami Meesonem i Penallenem. Wkrótce poinformowano panie, że opady śniegu są coraz intensywniejsze i że lepiej będzie, jeśli natychmiast opuszczą Dunbarton.

Panna Pitt zauważyła, że i tak jest bardzo późno. Poza tym, nie chcą chyba w nieskończoność nadużywać gościnności gospodarza, zniechęcając go w ten sposób do powtórzenia balu w przyszłym roku. Teraz, nie mając wyboru, wszyscy chętnie się z nią zgodzili.

Moira z rosnącym zakłopotaniem obserwowała, jak jej sąsiedzi i przyjaciele kolejno opuszczają salę balową. Wkrótce pozostali tam jedynie krewni i przyjaciele domu. Większość z nich, chociaż została jej przedstawiona już na początku wieczoru, zachowywała się, jakby jej nie znała. Tylko dwie starsze panie były na tyle uprzejme, by włączyć ją do rozmowy. Nie wiedziała, czy ma opuścić salę i poszukać hrabiego, który prawdopodobnie żegna się z gośćmi. Być może o niej zapomniał. Chyba powinna odjechać z Harriet; mogłaby zatrzymać się u niej na noc i wrócić do domu rano. Szkoda, że nie pomyślała o tym wcześniej. Teraz

może już być za późno. Na chwilę jej oczy i oczy hrabiny spotkały się. Moira ujrzała w nich zdumienie i pogardę. Pospiesznie odwróciła wzrok, wstała i prosząc swoje rozmówczynie o wybaczenie, opuściła salę.

Spotkała hrabiego na podeście schodów. Szedł na górę. A więc wszyscy już odjechali i za późno było na zwrócenie się o pomoc do Harriet. Czuła się coraz bardziej skonsternowana.

- Bardzo mi przykro, że sprawiłam tyle kłopotu, milordzie - powiedziała. - Czy powóz jest już gotowy? Nie ma potrzeby wysłać ze mną służącej. W powozie będę przecież bezpieczna.

- Powinienem zrobić to wcześniej - rzekł. - Nie chciałem jednak zepsuć wszystkim zabawy, zanim nie okaże się to naprawdę konieczne. Tak trudno ocenić pogodę, kiedy się patrzy przez okno. - Dolina i otaczające Dunbarton drzewa rzeczywiście tworzyły doskonałą osłonę przed wiejącymi od morza wiatrami. - Przeszedłem aż do drogi i obawiam się, że warunki nie są dobre. Droga do Tawmouth przez jakąś godzinę będzie jeszcze przejezdna, ale boję się, że stromo schodząca w dół droga do Penwith może być wręcz niebezpieczna. W tej sytuacji nie mogę ryzykować. Zostaniesz tu na noc jako mój gość. Jutro zastanowimy się, jak zawieźć cię do domu.

- Wykluczone, milordzie - zaprotestowała. - Jeśli to zbyt niebezpieczne dla powozu i koni, to pójdę pieszo. Jestem do tego przyzwyczajona.

- Ale na dzisiejszą noc zostaniesz tutaj - oświadczył. - I nie mam zamiaru dłużej na ten temat dyskutować, Moiro.

Domyślała się, że nie miał zwyczaju dyskutować, kiedy używał takiego tonu i kiedy w jego oczach był taki chłód. Nie miała wątpliwości, że, gdy chodzi o dyscyplinę, nigdy nie miał problemów z podkomendnymi. Jednak ona nie była jego podkomendną.

- Nie chcę tu zostać - odparła. - Chcę jechać do domu. Poza tym, moja matka będzie się martwiła, jeśli nie wrócę.

- Posłałem parobka, żeby poinformował lady Hayes, że zostaniesz tu na noc.

- Ach, tak! - Uniosła brwi. - Dla parobka droga do Penwith jest bezpieczna, a dla mnie nie?

- Nie bądź niemądra, Moiro - odparł. Krew napłynęła jej do twarzy.

- Nie przypominam sobie, milordzie - powiedziała lodowatym tonem - żebym pozwoliła panu zwracać się do mnie po imieniu.

- Proszę nie być niemądrą, panno Hayes - powtórzył, zaofiarował jej ramię i zgiął się w ukłonie. - Proponuję przejść teraz do sali balowej. Pani pokój nie jest jeszcze gotowy, ale

tańce będą jeszcze trwały przynajmniej godzinę. Zaprowadzę panią do jej pokoju nieco później i upewnię się, czy wszystko jest w porządku.

Nagle poczuła się jak w pułapce. Jeśli rzeczywiście musiała zostać w Dunbarton, to wolałaby pójść do tego pokoju natychmiast, zamiast wracać do sali pełnej obcych jej osób, z których prawie każda była jakoś z nim spokrewniona. Za żadne skarby świata nie przyznałaby się jednak do tego. Z tą myślą położyła dłoń na jego ramieniu.

Znowu z nią tańczył. Odetchnęła z ulgą, że nie był to walc, tylko jakiś szybki ludowy taniec. Mimo to dręczyło ją, że jego krewni uznają, iż spotkało ją niczym nieuzasadnione wyróżnienie. Hrabia z żadną kobietą nie tańczył więcej niż raz. Nawet z panną Wishart, chociaż między tańcami często dotrzymywał jej towarzystwa. Czuła siłę jego ramion, gdy obracał ją w tańcu, czuła się bezradna i bezbronna. Musiała poślubić kogoś, kogo nie potrafiła nawet znieść, ponieważ była kobietą i nie mogła zapewnić bytu ani sobie, ani swojej matce. Nie zamierzała jednak wysłuchiwać żadnych dalszych uwag od hrabiego Haveford. To on był winien - on i sir Edwin - że znalazła się w takiej sytuacji.

Kiedy taniec się skończył, chciał ją podprowadzić do grupy innych młodych ludzi, ale ona wysunęła rękę spod jego ramienia.

- Przysiędę się do pańskich ciotek - powiedziała, spostrzegłszy te same dwie damy, które już wcześniej okazały jej tyle życzliwości.

- Doskonale - rzekł i skłonił się przed nią, nie usiłując już jej towarzyszyć.

Moira właściwie była z tego zadowolona. Czuła się tu jak trędowata i nie wiedziała, co z sobą zrobić. Przeklęty sir Edwin z tą jego przesadną troską o zdrowie matki, pomyślała. Nie miał prawa zostawić jej tu samej, jednak po chwili zdała sobie sprawę, że nawet gdyby sir Edwin nie wyjechał, to i tak ich powrót do Penwith mógłby się okazać niemożliwy. Z przerażeniem myślała o tych dziękczynnych mowach, które sir Edwin czułby się w obowiązku wygłosić, gdyby hrabia Haveford im obojgu zaofiarował gościnę.

Damy, do których Moira zamierzała podejść, były tak pochłonięte rozmową, że, nie chcąc im przeszkadzać, wśliznęła się do przyległego pokoju wypoczynkowego, gdzie urządzono bufet. Wewnątrz było prawie pusto, chociaż czuwający tam dwaj lokaje wciąż byli na usługi gości, a w wazach nie brakowało ponczu. Pokręciła głową, gdy, na jej widok, jeden z nich zrobił ruch, jakby chciał nim napelnić jeden ze stojących przy wazie pucharów i, stanąwszy przy bocznych drzwiach, patrzyła przez okno na sypiący śnieg. Zastanawiała się, co robi, jeśli będzie tak padał przez całą noc i rano jej powrót do domu także okaże się niemożliwy? Na samą myśl o tym wzdrygnęła się.

Nagle, poprzez dochodzący z sali balowej gwar rozmów, usłyszała dwa wyraźne

głosy. Rozmawiający musieli stać tuż przy prowadzących do bufetu drzwiach.

- Wydałem dyspozycje, by przygotowano dla niej pokój - rzekł hrabia Haveford. - Nie musisz się tym zajmować, mammo.

- Powinna była wyjechać do Tawmouth w którymś z powozów - odparła hrabina. - Ma tam przecież wystarczająco dużo znajomych. Nie podoba mi się, że jest pod moim dachem, Kenneth.

- Przykro mi. - Głos hrabiego był chłodny i wyniosły. - Panna Hayes ma spędzić noc pod moim dachem, mammo. I będzie traktowana z należnym jej szacunkiem.

- Kenneth! - Głos wicehrabiny Ainsleigh brzmiał tak, jakby po biegu nie mogła złapać tchu. - Dlaczego Moira Hayes wciąż jeszcze tu jest? Czy mam rozumieć...

Dalsza część zdania urwała się nagle, gdy rozległ się odgłos zamykanych drzwi. Jeden ze stojących przy wazach z ponczem służących uśmiechnął się przepraszająco, gdy Moira odwróciła głowę.

- Proszę o wybaczenie, madam - rzekł - ale straszny tu zrobił się przeciąg. Z przyjemnością otworzę je znowu, gdy tylko zechce pani stąd wyjść.

- Dziękuję - odpowiedziała, odwracając głowę, by nie widzieć jego zakłopotania. „Gdy tylko zechce pani stąd wyjść”. Chciała wyjść natychmiast. To nie do zniesienia, że okoliczności zmuszały ją do zostania tu, gdzie jej nienawidzono. Ponieważ nazywała się Hayes i była siostrą Seana Hayesa. Zastanawiała się, czy wiedzieli o niej i Kenecie, czy kiedykolwiek wspomnieli im o niej. Kiedyś wyznał, że ją kocha, ale nigdy nie powiedział niczego więcej. To oczywiście nie miało sensu, nawet wtedy, zanim jeszcze Sean...

Teraz nie miało to już żadnego znaczenia, pomyślała, opierając czoło o chłodną szybę. Liczyła się tylko terażniejszość. Sean zginął i Helen poślubiła człowieka, którego aprobowali jej rodzice. Ona sama wkrótce poślubi sir Edwina Bailliego, a Kenneth - cóż, nie dbała o to, co robi hrabia Haveford. Miała jedynie nadzieję, że nie osiedli się w Dunbarton, chociaż wiedziała, że może to zrobić, jeśli ożeni się z tą śliczną panną Wishart.

Westchnęła. Jak to się stało, że znalazła się w tak okropnej sytuacji? Pocieszała się, że nie było w tym jej winy; broniła się nawet przed pójściem na ten bal, nie chciała tu zostać sama i nie prosiła, by ofiarowano jej gościnę.

Nagle wyprostowała się jak pod uderzeniem bata. On miałby jej nie pozwolić pójść do domu? Polecenie hrabiego było wyraźne. Jednak ona nie miała zamiaru się jemu podporządkować. Żadna siła na świecie jej tu nie zatrzyma. Żeby pójść do domu, nie potrzebuje powozu i koni - ma wszystko, co do tego potrzeba: własne nogi. Nie obawiała się ani tej odrobiny śniegu, ani kilkustopniowego mrozu, ani wędrówki w ciemności.

Uśmiechnęła się do lokaja, gdy otwierał przed nią drzwi. Obeszła salon dookoła, rezygnując z ostentacyjnego opuszczenia go. Obawiała się, że hrabia, gdyby poznał jej zamiary, mógłby chcieć zatrzymać ją siłą. Powoli wyszła na zewnątrz. Jeśli nawet ktoś to zauważył, to z pewnością pomyślał, że idzie do pokoju dla pań poprawić toaletę. Rzeczywiście tam poszła, ale tylko po to, żeby zabrać płaszcz i rękawiczki. Jakie to szczęście, że zdecydowała się wziąć ze sobą ciepłe rzeczy, chociaż sir Edwin zadbał o to, żeby w powozie nie zabrakło ani koców, ani gorących cegieł. I jakie to szczęście, iż na skutek jego nalegań, na czas podróży włożyła półbuty, a nie jedynie balowe pantofelki.

Zabrała ze sobą wszystkie swoje rzeczy i zeszła na dół, nie spotkawszy nikogo. Odetchnęła z ulgą. Spokojnie ubrała się w holu, a kiedy lokaj, nie kryjąc zdumienia, otworzył przed nią drzwi, wręczyła mu hojny napiwek, po czym, życząc mu dobrej nocy, wyszła na zewnątrz.

Nie jest wcale tak źle, pomyślała. Śnieg wprawdzie pokrywał grubą warstwą ziemię i wciąż go przybywało, ale noc nie była zbyt mroźna ani zbyt ciemna. Kiedy szybkim krokiem pokonała osłonięty drzewami dziedziniec, jej optymizm wciąż jeszcze był duży. Podążała teraz drogą dojazdową, która pięła się pod górę, aby połączyć się z drogą wiodącą wzdłuż górskiego grzbietu.

Kiedy wyszła zza osłony drzew, wiatr i śnieg uderzyły w nią z całą siłą. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie powinna jednak wrócić. Pomimo ciepłego ubrania, była już porządnie przemarznięta. Nie wyobrażała sobie jednak, jak mogłaby wrócić i obnażyć w ten sposób własną głupotę. Poza tym pocieszała się, że jeśli przyspieszy kroku, to za mniej więcej godzinę będzie w domu. Pomyślała, że nie ma wyboru.

* * *

Początkowo Kenneth sądził, że Moira poszła do pokoju dla pań albo do sali obok, by się czegoś napić. Jednak kiedy tam zajrzał, poza bardzo młodą parą, która kręciła się w pobliżu gałęzi jemioly, nie było tam nikogo, a jedna z ciotecznych babek, kiedy zapytał o pannę Hayess, powiedziała mu, że w pokoju dla pań również jej nie ma.

W pewnej chwili pomyślał, że prawdopodobnie poszła już do przygotowanego dla niej pokoju i miał do siebie pretensję, iż teraz, gdy jej sąsiedzi i przyjaciele wyjechali, nie zadbał o zapewnienie jej odpowiedniego towarzystwa. Jednakże szef służby domowej zapewnił go, iż nie udzielał panie Hayes żadnych informacji dotyczących jej pokoju. Zapytana o to samo ochmistrzyni udzieliła identycznej odpowiedzi, a kiedy sam poszedł sprawdzić, czy pokój panny Hayes jest zajęty, przekonał się, iż nie było w nim nikogo.

W nadziei, że Moira gdzieś się ukryła, z uniesionym wysoko świecznikiem, przeszukiwał jeden pokój za drugim. Obawiał się, że zmarznie, ponieważ w większości pokoi nie było kominków. Wkrótce jednak przerwał poszukiwania, gdy przekazano mu wiadomość, że panna Hayes opuściła dom sama jakieś pół godziny temu. Lokaj pełniący służbę w holu trząsł się z przerażenia, gdy jego lordowska mość podniesionym głosem żądał wyjaśnienia, dlaczego, u diabła, pozwolił jej wyjść. Po chwili uspokoił się, kiedy dotarło do niego, że rolą służby nie jest kwestionowanie tego, co robią goście.

- Przyniesź latarnię i ciepły koc - powiedział spokojnie do bladego jak ściana lokaja.

Prawdopodobnie Moira będzie już w domu, zanim on wyruszy na jej poszukiwanie, pomyślał, przebierając się szybko w ciepłe ubranie i wciągając długie buty, płaszcz, bobrowy kapelusz, gruby szal i ciepłe rękawice. Dotrze do Penwith Manor, zanim Moira zdąży się położyć, i stłucze ją na kwaśne jabłko, pomyślał gniewnie, schodząc po schodach. Wziął pod pachę koc i podniósł do góry latarnię. Miał nadzieję, że ona tam będzie i że on spełni swą groźbę. Nagle poczuł, jak kolana uginają się pod nim, gdy wyobraził sobie, że zjawia się w Penwith, a jej tam nie ma. Co wtedy?

Gwałtownie skręcił w stronę stajni i zniknął w środku, aby po chwili pojawić się z nieposiadającym się z radości Nelsonem. Zwierzę biegało i skakało jak szalone, ciesząc się z niespodziewanej nocnej wyprawy i najwyraźniej nic sobie nie robiąc z sypiącego bez przerwy śniegu.

Kenneth wmawiał sobie, że zamieć ustaje. Jednak zanim zdołał dotrzeć do drogi, wiedział, że tak nie jest. Wiatr uderzał z szaloną siłą, zapierając dech w piersiach, gdy jedną ręką trzymał kapelusz, a drugą przyciskał do siebie latarnię. Śnieg grubą warstwą pokrywał wszystko dookoła, tak że nie widać już było drogi, a zamieć wzmogła się do tego stopnia, że w odległości zaledwie kilku stóp nie sposób było czegokolwiek rozróżnić.

Zaczął się naprawdę bać. Nie o siebie. Był odporny na wszelkie trudy i niebezpieczeństwa. Pobyt w Hiszpanii wiele go pod tym względem nauczył. Bał się o Moirę, o kobietę, która samotnie zmagала się z burzą. Bał się tak bardzo, że nie czuł już złości. Z trudem podążał dalej, myśląc z przerażeniem, iż ślady jej stóp, jeśli nawet tędy szła, dawno już zostały zasypane. Tylko Nelson cieszył się z tej przygody. Wiodąca w stronę doliny droga schodziła gwałtownie w dół jakieś półtorej mili od miejsca, gdzie kończyła się droga do Dunbarton. Nie był jednak w stanie określić, jaką odległość już pokonał, lub też, jaką wciąż miał do pokonania. Nie był nawet pewien, czy widzi drogę i czy droga, która prowadzi w stronę doliny, jest jeszcze w ogóle do pokonania. Zastanawiał się, czy Moira, mając nad nim półgodzinną przewagę, zdołała tu dotrzeć, zanim burza tak bardzo się rozszalała i zanim

zdążyło napadać aż tyle śniegu?

Czy udało jej się bezpiecznie dotrzeć do domu, lub chociaż zejść z boczem w dół? Jeśli tak, to miała jeszcze przed sobą kilometr drogi. Tam, w dole, z pewnością były już ogromne przyzmy śniegu, które wiatr przesuwał z łatwością, wyjąc przy tym jak potępieniec. Poza tym był tam jeszcze do pokonania most. Obawiał się, że jeśli nawet udało jej się zejść w dół, to i tak nie była jeszcze bezpieczna.

Odnalazł drogę jedynie przez przypadek, gdy dla nabrania tchu zatrzymał się na samym jej szczycie. Czy ona odnalazła ją również? Był już zupełnie przemarznięty, a jednocześnie czuł, jak strużki potu spływają mu po plecach. Może powinien zorganizować poszukiwania na znacznie większą skalę? Wcześniej nawet nie przyszło mu to do głowy. Zastanawiał się, czy ona w ogóle tędy szła? Być może wybrała drogę do Tawmouth. Jednak miasteczko znajdowało się w prawie takiej samej odległości od Dunbarton jak Penwith.

Musiała pójść tędy. Gdy pokonał niezbyt duży odcinek drogi, starając się poruszać nieco szybciej, niż nakazywały względy bezpieczeństwa.

Nelson przestał nagle kopać w śniegu i pojawił się, niosąc w pysku jakiś pokryty warstwą lodu przedmiot. To była czarna rękawiczka - damska rękawiczka.

O Boże! Kenneth w panice lustrował wszystkie sterczące ponad warstwą śniegu kopczyki, trzymając wysoko w górze latarnię i starając się jednocześnie osłonić ją od wiatru.

- Szukaj, Nelson - zawołał, strząsając śnieg z rękawiczki i podtykając mu ją pod nos. Jak to się stało, że ją zgubiła? I gdzie teraz jest?

- Moira! - zawołał głosem, z powodu którego Nat Gascoigne często mu dokuczał, twierdząc, że minął się z powołaniem i że powinien być sierżantem. - Szukaj jej, Nelson. Moira! Moira!

Z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że dalej już iść nie sposób. Moira nie mogła dotrzeć do domu, nawet mając nad nim półgodzinną przewagę. Jak daleko doszła? Czy się zatrzymała? Upadła? Zgubiła drogę?

- Moira! - W jego głosie słychać było przerażenie.

Nagle Nelson gwałtownie skręcił w prawo, po czym, z nosem przy ziemi, rzucił się po stromym zboczu w dół.

Kenneth domyślał się, dokąd biegnie pies. Czyżby coś wyczuł? Nie wiedział przecież o istnieniu starej chatki pustelnika i nie miał żadnego powodu, żeby tak gwałtownie rzucić się w zupełnie innym kierunku, gdyby czegoś nie wytropił. Podążył za nim, usiłując opanować rodzącą się w nim nadzieję.

Kamienna chatka pochodziła z XVII wieku, gdy Kornwalia pełna była pustelników.

Nazywana niekiedy „baptysterium” z powodu spadzistego dachu, ostrołukowego okna i wejścia oraz wyjątkowo pięknego widoku na rzekę, która w tym właśnie miejscu przepływała pod tak samo starym kamiennym mostem, po czym efektowną kaskadą spadała w dół. Jeśli jednak rzeczywiście było to baptysterium, to zbudowanie go na wysokiej skarpie nie było zbyt praktyczne. Bardziej prawdopodobne, iż była to zwyczajna pustelnia, z której wciąż korzystali myśliwi i wędrowcy. Kenneth kilka razy bawił się tu z Seanem Hayesem. Z Moirą spotkał się tam tylko raz.

Nelson zawzięcie ujadł pod zamkniętymi drzwiami chatki i kiedy Kennethowi udało się po chwili je otworzyć, natychmiast rzucił się do środka. Pies najwyraźniej wcale nie był pewien, czy został wysłany, żeby odszukać przyjaciela, czy raczej wroga.

Moira stała oparta o przeciwległą ścianę. Palce jej wyciągniętych wzdłuż ciała rąk wpijały się w kamienny mur tak, jakby ta, do której należały, wierzyła, że jest w stanie tę ścianę przewrócić i uciec. W świetle latarni jej twarz wydawała się śmiertelnie blada.

- Nelson, siad! - zawołał ostro Kenneth.

Nelson posłusznie usiadł i ciężko dysząc, czekał na dalsze rozkazy.

Moira nawet nie drgnęła i nie odezwała się ani słowem.

- Powinienem cię wychłostać - powiedział z furją.

Patrzyła na niego niepewnie, gdy zatrzasnąwszy za sobą drzwi, umieszczał lampę w okiennej niszy.

- Jakież to patetyczne - rzekł z ironią, mierząc ją krytycznym wzrokiem.

Miała na sobie płaszcz z kapturem, który mógł być strojem zimowym dla poruszających się powozem dam, ale w taką noc jak ta był równie użyteczny jak przysłowiowy wachlarz w piekle, a jej półbuty mogły ochronić stopy zaledwie przed kilkucentymetrowym śniegiem.

- Co za diabeł cię opętał, że zdecydowałaś się na tę pieszą wyprawę do domu, skoro otrzymałaś wyraźne polecenie zostania i wystarczające powody, by to polecenie wykonać?

- Nie chciałam zostać w Dunbarton - odparła.

- I zaryzykowałaś życie, ponieważ nie chciałaś zostać w Dunbarton - powtórzył, naśladowując jej głos.

- To moje życie i moje ryzyko - zaprotestowała. - Nie jestem twoim podwładnym i nie muszę ślepo wykonywać twoich poleceń.

- Za które powinnaś być mi do śmierci wdzięczna.

Podniosła głowę i spojrzała na niego z furją. Na jego twarzy malował się jedynie spokojny chłód.

- To jest twoje, jak sądzę? - wycedził, wyciągając z kieszeni rękawiczkę. Zdjęłaś ją, ponieważ było ci za gorąco?

Wyciągnęła rękę, aby odebrać zgubę.

- Odpiął mi się guzik przy kapturze - odpowiedziała - i bez zdjęcia rękawiczek nie potrafiłam go zapiąć. Kiedy chciałam je ponownie włożyć, jedna z nich gdzieś mi się zapodziała.

- Uratowała cię twoja lekkomyślność - zauważył. - To dzięki niej Nelson cię odnalazł.

Moira ostrożnie spojrzała na psa.

- Nie obawiaj się, nie skoczy ci do gardła - rzekł. - Tej nocy uratował ci życie. Jeśli można powiedzieć, że naprawdę jest już uratowane. Musimy przeżyć kilka godzin dokuczliwego mrozu, zanim zrobi się widno i będziemy mogli bezpiecznie wrócić do domu. Czy teraz zrozumiałaś, Moiro, dokąd prowadzi bezmyślny upór?

- Nie musisz tego wszystkiego znosić - powiedziała lodowatym tonem. - Możesz wracać do domu. Jestem pewna, że bez trudu znajdziesz drogę. Poradzę sobie, tak jak poradziłam, zanim się tu zjawiłeś.

Podszedł do niej.

- Czasem, Moiro, potrafisz być wyjątkowo dziecinna - zauważył - Nie widzę tu ani kawałka drewna na opał. Szkoda. Będziemy więc musieli poradzić sobie bez ognia. To na chwilę pomoże, ale tylko na chwilę. - Wyciągnął z kieszeni manierkę z brandy i podał ją Moirze. - Pij - rozkazał.

- Dziękuję, nie mam ochoty.

- Moiro - rzekł, patrząc na nią poważnie. - Wypijesz dobrowolnie albo cię do tego zmuszę. Wybór należy do ciebie. Dla mnie to bez różnicy. Tak czy inaczej, wypijesz.

- Zmusisz mnie? - Jej oczy były szeroko otwarte, a zęby głośno szczękały. Wyrwała manierkę z jego ręki, podniosła ją do ust i z determinacją przechyliła do tyłu głowę. Po chwili zaniosła się kaszlem, krztusiła się i z przerażeniem chwyciła za gardło.

- Przynajmniej wiem - powiedział sucho, gdy wreszcie zaczęła normalnie oddychać - że nie udajesz, że pijesz. - Odebrał od niej manierkę i upił z niej spory łyk. Czuł, jak fala przyjemnego ciepła, spływając w dół, wypełnia żołądek.

- Oprócz brandy - rzekł, rozglądając się po wnętrzu chaty - mamy nasze ubrania, jeden koc i ciepło ciał całej naszej trójki. Myślę, że mogło być gorzej.

- Możesz sobie zabrać ten koc - rzuciła ze złością. - Ja mam łóżko. Na łóżku, a raczej wąskiej pryczy, leżał wypchany słomą materac, stary i bardzo sfatygowany, ale Kenneth pomyślał, że zawsze lepsze to niż gliniane klepisko. Roześmiał się.

- Chyba mnie nie zrozumiałaś - powiedział. - Nie mówimy teraz o konwenansach, Moiro. Mówimy o przeżyciu. Jest zimno i możesz się poważnie rozchorować, albo nawet umrzeć. Zapewniam cię, że z wychłodzenia i wyczerpania też się umiera. Widywałem żołnierzy, którzy zamarziali w okopach podczas zimowych nocy.

Nagle zobaczył strach w jej oczach, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Zawsze była twarda i nic się pod tym względem nie zmieniło. Wciąż nie akceptowała tego, co zdawało się nieuchronne.

- Nonsens - powtórzyła z uporem. Jednak zimno coraz bardziej jej dokuczało i znów zaczęła szczękać zębami.

- Będziemy dzielić wszystko, nawet ciepło naszych ciał, Moiro. Jeśli jesteś zakłopotana, jeśli cię to obraza lub oburza, to bardzo dobrze. Lepsza jakakolwiek emocja niż całkowity ich brak.

Nie musiał nic więcej mówić. Po opuszczonych z rezygnacją ramionach widać było, że wreszcie zdała sobie sprawę z wagi tego, co powie - dział. Powoli zaczął odpinać guziki swojego płaszcza. Obserwowała go nieufnie.

- Rozepnij swój płaszcz - polecił.

- Dlaczego? - spojrzała mu w oczy.

- Zaczniemy dzielić ciepło naszych ciał. Ubrania będą nam tylko w tym przeszkadzały. Mamy nasze płaszcze, mój surdut i kamizelkę. Przykryjemy się tym wszystkim. Nie czas na konwenanse ani rodzinne porachunki. Połóż się na pryczy, a ja zgaszę latarnię. Nie możemy ryzykować, że się spalimy. Cóż to byłaby za ironia losu, nie sądzisz?

- Kenneth... - powiedziała cicho, a jej głos drżał lekko - milordzie...

Ale on odwrócił się od niej i podszedł do okiennej niszy Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim zacznie świtać. Nie miał pojęcia, która jest godzina Czy będą w stanie opuścić chatę, kiedy wreszcie się rozwidni? Nie czas na rozmyślania o tym, co będzie. W ciągu minionych lat nauczył się, że aby przetrwać, należy myśleć tylko o chwili obecnej.

Zgasił latarnię i wolno ruszył w kierunku koi.

* * *

Jej pierwszym uczuciem był dojmujący wstyd i upokorzenie. Wykazała się porażającą głupotą i to było najdelikatniejsze określenie tego, co zrobiła. Gdyby została w Dunbarton, mogłaby się czuć ponizona, ale byłoby jej przynajmniej ciepło i bezpiecznie za zamkniętymi drzwiami pokoju. Położyła się na boku, po czym odsunęła możliwie najdalej, aż poczuła za plecami ścianę. Gdy zgasło światło, zaczęła z ociąganiem odpinać guziki płaszcza i wtedy z przerażeniem uświadomiła sobie, jak bardzo cienka była jej suknia.

Drugim uczuciem było zakłopotanie. Kenneth położył się obok niej, a właściwie prawie na niej, tak wąska była prycza, po czym odchylił jej płaszcz i wsunawszy rękę pod jej kark, mocno przyciągnął ją do siebie.

Teraz ich ciała ciasno do siebie przylegały, a między nimi znajdowały się już tylko jej suknia, jego koszula i obcisłe pantalone. Był wspaniale umięśniony i pachniał tak niebezpiecznie męsko. Szczelnie owinął ich wszystkimi częściami garderoby, tak że

wyglądali jak w kokonie, po czym udało mu się jeszcze narzucić na to wszystko koc. Następnie zawołał do psa:

- Nelson, na górę!

Pies zwałił się na nich, głośno dysząc. Długo wiercił się i obracał, aż w końcu ułożył się wygodnie na ich nogach.

Trzecie uczucie to coś w rodzaju ulgi. Nareszcie było jej ciepło. Jego płaszcz był ogromny. Koc również. A pies duży i ciepły. Oczywiście, Kenneth zorganizował wszystko tak, żeby to jej było najcieplej. Wtulił jej głowę w zagłębienie pod swoją brodą i prawie całkowicie nakrył ją sobą. Jej ręce grzały się na jego klatce piersiowej jak na piecu kaflowym. Słyszała bicie jego serca, silne i miarowe. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo przemarzła, zanim ciepło nie zaczęło rozchodzić się po jej ciele.

To kwestia przeżycia, powiedział. Skoncentrowała się więc na tym, starając się odsunąć na bok wszystkie inne myśli. Na przykład to, że był tak blisko. Na przykład pizmowy zapach jego wody kolońskiej. I lęk, co będzie jutro.

- Odpręż się i spróbuj zasnąć - wyszeptał. Ciepło jego oddechu musnęło jej ucho.

Jak ona mu jutro spojrzy w oczy? Jak spojrzy w oczy sir Edwinowi? Wielkie nieba, sir Edwin! Czy on uzna to za przejaw sąsiedzkiej pomocy? Dowód przyjaźni? W ostatniej chwili powstrzymała nerwowy śmiech. Co też przychodzi jej do głowy. Kenneth miał rację, kiedy twierdził, że jest dziecinna.

- To absurdalne. Jak można nawet myśleć, że to możliwe.

- Wszystko jest możliwe - odparł. - Uwierz mi.

W pewnej chwili zorientowała się, że musiała chyba się zdrzemnąć. Znowu było jej zimno. Ich ubrania i koc przestały bronić przed chłodem, a pies przesunął się na ich stopy. Czowała, jak drży i jak jej zęby, pomimo zaciśniętych szczęk, uparcie uderzają o siebie. Usiłowała jeszcze bardziej wtulić się w Kennetha.

- Zrobiło się piekielnie zimno - zauważył. Spokój i rezerwa w jego głosie wprowadziły ją w pierwszej chwili w błąd. Do czasu gdy dodał. - Znam tylko jeden sposób, żeby się rozgrzać. Musimy połączyć nasze ciała, tak jak wcześniej połączyliśmy ich ciepło.

Ani przez chwilę nie miała wątpliwości, co miał na myśli. Nie mógł przecież wyrazić się jaśniej. Połączyć ciała? Nie czuła nic poza dokuczliwym chłodem. To kwestia przeżycia, powiedział. Ludzie umierają z zimna. Wcale nie była przekonana, że ich sytuacja jest aż tak dramatyczna, ale nie była też przekonana, że nie jest.

- Tak - powiedziała, zastanawiając się, czy nie popełnia największego błędu w swoim życiu. Nie wycofała jednak przyzwolenia. Poza tym było już na to za późno.

Jego ręka błyskawicznie znalazła się między nimi, podciągnęła jej suknię i zsunęła bieliznę z taką wprawą, jakby ten, do kogo należała, był do tego przyzwyczajony. Czowała, że już jest jej cieplej i nagle zaczęła się wahać. Na co się właściwie zgodziła? Musiała mieć trochę czasu na zastanowienie. Jednak było jej zbyt zimno - i zbyt gorąco - żeby pozbierać myśli.

Leżała na plecach, a on całym ciałem leżał na niej, nogami rozsuwając jej nogi. Po chwili starannie nakrył ich jej płaszczem i kocem.

- Odpręż się - powiedział cicho z ustami tuż przy jej uchu. - Postaraj się, żeby po początkowym bólu, sprawiło ci to przyjemność. To najlepszy sposób na wytworzenie ciepła.

Tymczasem ona już czuła, że płonie. Jej umysł z przerażającą jasnością zarejestrował chwilę, gdy zaczął w nią wchodzić. Przyszłość - dzień jutrzejszy i reszta życia, stanęły jej przed oczami, tak jak przeszłość stała przed oczami tych, co umierają. Zdała sobie sprawę z nieodwracalności tego, co miało się stać i ze zdumiewającej zmysłowości tego aktu. Był w niej. Wiedziała, że musi sprawić jej ból, a kiedy w końcu to się stało, wszedł jeszcze głębiej i nie było już czasu na myślenie.

Połączenie ciał rzeczywiście przyniosło ze sobą żar. Sprawiało ból. Nie, nie sprawiało. Jeśli nawet było bolesne, to tylko przez chwilę, ale dotkliwe zimno już minęło. Jak mogło nie minąć. Jego muskularne ciało ogrzało ją lepiej niż najgrubszy koc. Gdzie jest Nelson? Biedne zwierzę, musi mu być zimno na podłodze. Jej nie było. Umysł Moiry starał się skupić na różnych, czasem nawet dosyć błahych sprawach, wszystko po to, żeby przeżyć. I oto nagle pomyślała o czymś, co ją zmroziło. To był Kenneth! Drogi Boże, to był Kenneth. Był w niej. Starła się o tym nie myśleć.

- Odpręż się - powiedział. - Postaramy się, żeby to trwało tak długo, jak tylko możliwe. Jeśli będzie trzeba, zrobimy to jeszcze raz.

Co miało trwać tak długo? Jakże była naiwna, sądząc, że połączenie ciał to wszystko. W wieku dwudziestu sześciu lat gratulowała sobie, że panięską ignorancję ma już za sobą, że wie, co dzieje się w małżeńskim łóżu. Okazało się, że tak naprawdę nie wie nic. Natomiast on wiedział wszystko. Co za idiotyczna myśl. Oczywiście, że wiedział. Był mężczyzną i nie wątpiła, że bardzo doświadczonym. Taki mężczyzna jak Kenneth musi mieć spore doświadczenie w tych sprawach. Poruszał się w niej wolno, pewnie i rytmicznie, aż przyjemne uczucie płynności zastąpiło bolesną suchość.

Jego ręce powędrowały do jej piersi, a usta - rozchylone i cudownie gorące - do jej ust.

- Spróbuj poczuć, jakie to może być przyjemne - wymamrotał. - To podnosi temperaturę. Otwórz usta.

Kiedy bezwiednie wypełniła jego polecenie, wsunął swój język głęboko do jej ust. Była bliska omdlenia.

Płonęła. Wydawało się jej nawet, że nie znieśie tego żaru. Pomyślała ze zdumieniem, że coś tak bardzo fizycznego może być także bardzo przyjemne. Zapomniała o rozsądku i poczuciu wstydu. Nie chciała o nich pamiętać.

Trwało to bardzo długo, zanim jego ruchy stały się głębsze, aż wreszcie zamarł. Gdzieś wewnątrz niej fala gorąca wybuchła ze zdwojoną siłą. Przygniatał ją teraz całym swoim ciężarem, ciężko dysząc tuż przy jej uchu. Czula bicie jego serca i było jej cudownie gorąco.

Po chwili zsunął się z niej, ale jedynie na tyle, by umożliwić jej swobodniejsze oddychanie.

- To na jakiś czas powinno zapewnić nam ciepło - powiedział. - Powtórzmy to jednak, jeśli będzie trzeba. Nelson, tutaj! - Kilkakrotnie klepnął w swoje udo i pies posłusznie ułożył się na ich nogach.

Jego głos był taki chłodny i rzeczowy, jakby chodziło o jeszcze jeden łyk brandy z manierki lub poprawienie ubrań i koca. Jego głos był taki przez cały czas, nawet wtedy, gdy byli ze sobą tak blisko. Jakby to, co się stało, nie miało żadnego znaczenia. Czego się spodziewała? Że będzie mówił aksamitnym głosem kochanka? Nie byli kochankami. I to, co zrobili, nie miało nic wspólnego z miłością. Zrobili jedynie to, co było konieczne do przeżycia. I co, jak na razie, okazało się niezwykle skuteczne. Poprzez cienki materiał koszuli jego ramię, do którego tuliła policzek, było takie gorące.

Jego głos ją otrzeźwił. Mówił jak hrabia Haveford, elegancki, wyniosły arystokrata. Ale dla niej był Kennethem, chłopcem, którego uwielbiała z daleka, młodym mężczyzną, z którym spotykała się potajemnie do czasu, aż ją zdradził, aż przekonała się, jaki naprawdę był, aż zrozumiała, ile była warta jego miłość, o której tak gorąco ją zapewniał. Aż znenawidziła go tak bardzo, jak bardzo go niegdyś kochała.

Leżała tu, w chacie pustelnika, z Kennethem, hrabią Haveford. Przed chwilą kochali się. Nie, nie kochali. To nie było właściwe określenie tego, co się wydarzyło. Po prostu kopulowali. Bez miłości, bez zaangażowania, bez żadnego nawet uczucia czy choćby wzajemnego szacunku. Wyłącznie po to, by przeżyć. Instynkt życia był, jak widać, silniejszy niż konwenanse i wstyd.

Z lękiem myślała o zbliżającym się poranku. Jak spojrzy mu w oczy w świetle dnia? Straszliwe zakłopotanie... Zdawała sobie jednak sprawę, że gdy wstanie dzień, będzie musiała stawić czoło znacznie poważniejszym sprawom. To wszystko była jej wina. Tylko jej. Jak

mogła być aż tak głupia?!

* * *

Śnieżyca ustała w ciągu nocy i wiatr znacznie stracił na sile. W szarości wczesnego świtu można było odnieść wrażenie, że wkrótce zza chmur wyjrzy słońce. Kenneth stał w otwartych drzwiach chaty, tupiąc nogami i uderzając o siebie rękoma, żeby chociaż trochę się rozgrzać. Tuż za nim Moira składała koc i zapinała pod brodą kaptur. Nie rozmawiali ze sobą od chwili, gdy Moira zauważyła, że na zewnątrz już świta.

Bieganie, pomyślał. Bieganie w miejscu. Gimnastyka rąk i nóg. Przyspieszanie i zwalnianie tempa. Mimo zmęczenia. Robił to często w Hiszpanii. Zmuszał do tego swoich ludzi, krzycząc i klnąc, biegając wraz z nimi, żeby nie uważali go za zwykłego sadystę. Zawsze powtarzał, że, jeśli trzeba, jego żołnierze zginą od kul, ale nigdy od mrozu. I słowa dotrzymał.

Przypomniał sobie o tym dopiero teraz, kiedy już nie mógł zrobić z tego żadnego użytku. Bieganie w miejscu mogło utrzymać ją przy życiu i bez wątplenia doprowadzić również do furii, ale furię z pewnością by przeżyła.

Ponuro pomyślał o tym, co go czeka. Jaki jednak sens miało w tej chwili myślenie o przeszłości. Od pewnych spraw nie było już odwrotu. Spojrzał na nią niecierpliwie, chcąc się przekonać, czy była gotowa do wyjścia.

- Jest coś, o czym musimy porozmawiać, zanim stąd wyjdziemy - powiedziała.

Postanowił, że opuszczą chatę, nawet jeśli śnieg będzie głęboki i znalezienie bezpiecznego zejścia do doliny nie będzie łatwe. Nie, żeby oba - wiał się jej protestu. Na tle ciemnej szarości kaptura, jej twarz była blada, zacięta i zupełnie spokojna. Nie unikała jego wzroku, jak mógł tego oczekiwać. Jednak taka właśnie była Moira.

- Nie sądzę, żeby istniało coś, o czym musielibyśmy rozmawiać właśnie w tej chwili, Moiro - rzekł. - Jesteśmy dorośli i znamy reguły. Musimy już iść.

- O tak, reguły - odparła. - Przypuszczam, iż, zgodnie z nimi, odprowadzisz mnie do domu i porozmawiasz chwilę z moją matką. Naturalnie, weźmiesz na siebie całą winę. Przypuszczam, że potem napiszesz do sir Edwina i tak samo dyskretnie i taktownie obarczysz całą winą siebie. Następnie formalnie się oświadczysz, twierdząc przy tym, że małżeństwo ze mną jest szczytem twoich marzeń.

- Sądzę, że ten ostatni szczegół możemy sobie darować - odparł, nie kryjąc irytacji.

Czy ona uważa, że jest zachwycony tym, co go czeka? Że nie posiada się z radości, widząc, jak całe jego życie wywraca się do góry nogami?

- Wszystko możemy sobie darować - odpowiedziała. - Nie chcę, żebyś cokolwiek wyjaśniał, usiłując chronić mnie przed kompromitacją. Nie chcę, żebyś mi się oświadczał. Odmówię, jeśli to zrobisz.

- Znowu jesteś dziecinna - zauważył szorstko. Tej nocy posiadał ją dwukrotnie. Była niezaprzeczalnie dziewicą, tak zresztą jak przypuszczał. Żadne z nich nie miało wpływu na to, co miało teraz nastąpić. - Nie ma o czym dyskutować.

- Odmawiając poślubienia kogoś, kogo nie znoszę i kto w równym stopniu nie znosi mnie, jestem dziecinna? - zapytała zdumiona. - Dla mnie dziecinadą byłoby, gdybym poślubiła kogoś jedynie dlatego, że zmusiły mnie do tego okoliczności.

Podniosła głowę i spojrzała na niego wyzywająco.

- Nawet jeśli kochałaś się z tym kims? - zdumiał się. - To przecież coś, co robią ze sobą mąż i żona, Moiro. Lub, co robi ze sobą dwoje ludzi, wiedząc, że ich małżeństwo jest absolutnie nieuniknione.

- Czyżbym więc była twoją pierwszą kobietą? Jeśli nie, to dlaczego to, co nieuniknione, nie spotkało cię do tej pory?

- Moją pierwszą lady - odrzekł. - Nie jesteś przecież dziwką, Moiro. Roześmiała się.

- Mama została uprzedzona, że spędzę noc w Dunbarton i teraz na pewno w to wierzy. W Dunbarton natomiast wszyscy muszą być przekonani, że ty spędziłaś noc w Penwith. Nikt nie musi wiedzieć, co się naprawdę stało.

- Nawet sir Edwin Baillie? - zapytał, unosząc brwi.

- Nie.

- Nie będzie zawiedziony w noc poślubną? Spojrzała na niego z pogardą.

- Oczywiście zerwę zaręczyny. Jednak nie wyjdę za ciebie. Spowodowałbyś tylko niepotrzebne komplikacje, gdybyś się na te oświadczyły zdecydował.

Z jakiegoś niejasnego powodu nagle się rozzłościł. Powinien był przecież poczuć ulgę, a on myślał jedynie o pogardzie, którą widział w jej oczach i jedyne, co pamiętał, to, jak bardzo się do niego tuliła i jak rozpałała pod nim, kiedy ją kochał. Na Boga, przecież była wtedy szczęśliwa. Czego się jednak spodziewał? Że spojrzy na niego rozmodlonym wzrokiem? Wątpił, żeby mu się to spodobało.

- I nie oskarżam cię o nic - dodała. Jej twarz jeszcze bardziej zbladła, a oczy płonęły z gniewu. - Czy sądzisz, że nie zdaję sobie sprawy, jak bardzo byłam głupia, opuszczając w nocy Dunbarton? Czy sądzisz, że nie wiem, ile dla mnie ryzykowałeś, i że tę noc przeżyłam tylko dzięki tobie? Czy sądzisz, iż nie wiem, jak wielki jest mój dług względem ciebie?

- Nie jesteś mi nic winna - odparł.

- Myślisz, że będę spłacała ten dług każdego dnia aż do końca życia - ciągnęła - starając się na każdym kroku sprawiać ci przyjemność? Wciąż przekonywać do małżeństwa, do którego wcale się nie palisz? Wolałabym raczej umrzeć. Nie wyjdę za ciebie.

- Nie będę cię o to prosił - powiedział ze złością. - Rób, jak chcesz, Moiro. Może się jednak zdarzyć, że będziesz musiała zmienić zdanie. Zobaczymy, co wtedy powiesz.

Sądząc po rumieńcu, który nagle pokrył jej twarz, dobrze zrozumiała, co miał na myśli. Przez jakiś czas mierzyli się gniewnym wzrokiem, po czym Kenneth podszedł do niej i zdjawszy z siebie szal, dokładnie okręcił go wokół jej szyi, następnie odwrócił się i zaczął brnąć w głębokim śniegu. Po przejściu kilku kroków obejrzał się i wyciągnął do niej rękę. W pierwszej chwili obruszyła się, szybko jednak uznała tę pomoc za niezbędną i zacisnąwszy usta, wzięła go za rękę.

Tylko Nelson, najwyraźniej nie rozumiejąc ich problemów, wesoło szczekając, rzucił się do przodu.

W ciągu tygodnia, który przyszedł po świętach Bożego Narodzenia, Kenneth z zapamiętaniem rzucił się w wir zabawy. Dopóki leżał śnieg, codziennie, przynajmniej kilka godzin spędzał na świeżym powietrzu - jeżdżąc sankami, lepiąc bałwana czy rzucając śnieżkami. Jego młode kuzynki przepadały za nim, a siostrzeniec i siostrzenica oraz inne dzieciaki uwielbiały go, nie dając mu chwili spokoju i domagając się dalszych zabaw. Nawet niektórzy dorośli brali udział w tych szaleństwach, z uznaniem powtarzając, że trudno sobie wymarzyć wspanialszego gospodarza. Juliana Wishart oczywiście również w nich uczestniczyła, a jej matka przekonywała go, że córka uwielbia przebywanie na świeżym powietrzu.

Kiedy śnieg stopniał i drogi znowu stały się przejezdne, z całym tłumem ciotek i kuzynek objechał wszystkich sąsiadów, których niedawno gościł u siebie na balu. Niestety, wyjaśniał dwóm ciotkom, nie mogą odwiedzić panny Hayes, ponieważ droga do Penwith Manor jest wciąż nieprzejezdna. Być może w przyszłym tygodniu, obiecywał, ale obydwie wyjechały, zanim jeszcze ten tydzień się skończył. Juliana Wishart i jej matka towarzyszyły Kennethowi i hrabinie w wyprawie do Tawmouth na zakupy. W programie było również podziwianie zatoki z tarasu widokowego na skarpie. Lady Hockingsford dawała do zrozumienia, a hrabina wręcz namawiała go, żeby poszedł z panną Wishart na spacer po plaży. Na szczęście jednak młoda dama bała się wysokości i niewiele brakowało, a rozpląnęłaby się we łzach na samą myśl, że ma zejść po stromych, kamiennych schodkach, nawet jeśli, jak zapewniała ją matka, jego lordowska mość będzie ją trzymał za rękę i nie pozwoli upaść.

W domu organizował grę w karty i w bilard, a dla dzieci gry i zabawy ruchowe, jak na przykład zabawa w chowanego. Były też zaimprovizowane koncerty, a nawet jeden wieczorek taneczny. Były ciotki, którymi trzeba było się zajmować, wujowie, w którymi trzeba było dyskutować, kuzynki, w spiskach których należało uczestniczyć, lub przynajmniej przymykać oko, gdy, łącząc się w pary z młodymi kuzynami, szukały ustronnych miejsc, szczególnie tych, które udekorowano gałęziami jemioli. Były też listy do napisania i kilka spraw finansowych, które trzeba było załatwić.

I była też jego matka, z którą nie sposób było się nie spierać.

- Odprowadziłeś pannę Hayes do domu? - powiedziała, marszcząc brwi, gdy rano wrócił do Dunbarton i rzucił kilka słów wyjaśnienia gościom zebranych w pokoju jadalnym.

Po skończonym śniadaniu zabrała go do swojego pokoju, żeby porozmawiać z nim bez świadków. - Sam, Kenneth? W środku nocy? Co prawda z ulgą przyjąłem fakt, że ta osoba nie zostanie tutaj, jednakże czy musiałeś odprowadzać ją osobiście? Przecież równie dobrze mógł to zrobić któryś z parobków.

- Była moim gościem, mamó - zauważył szorstko - i chciała wrócić do lady Hayes. Dałem słowo sir Edwinowi, że dopilnuję, aby cało i zdrowo wróciła do domu. I właśnie to zrobiłem. Cało i zdrowo? Gdy opuszczała Dunbarton, była dziewicą.

- Wyszedłeś bez słowa - mówiła jego matka, wciąż marszcząc brwi. - Tak nie postępuje ktoś dobrze wychowany, Kenneth. Teraz nie da się już ukryć prawdy. Nie musiałeś mówić o tym głośno. Rzeczywiście nie było sposobu, aby uniknąć spędzenia tej nocy w Penwith? Będziesz miał dużo szczęścia, jeśli ta kobieta i jej matka nie będą rozpowiadać dookoła, jaki je spotkał honor, i nie spróbują zamienić sir Edwina na kogoś znacznie lepszego.

- Ta kobieta i jej matka to panna Hayes i lady Hayes, mamó - zawołał, nie kryjąc irytacji. - To nasi sąsiedzi. Składaliśmy sobie wizyty. Panna Hayes była na balu moim gościem. Odprowadziłem ją do domu. Nie sądzę, żeby zasługiwała na twoją pogardę.

Hrabina przez chwilę patrzyła na syna uważnie.

- Kenneth - odezwała się w końcu - chyba nie zadurzyłeś się w tej kobiecie?

Nie zadurzyłeś się? Przypomniał sobie, jak zasnęła w jego ramionach i jak bardzo jej wtedy pożałował, pomimo przejmującego zimna i niewygodnej wąskiej pryczy. Istniało zapewne kilka innych sposobów, by przeżyć, ale kiedy Moira obudziła się, drżąc z zimna, on mógł wtedy myśleć tylko o jednym. Zadurzenie? Nie, nie. To było zwyczajne pożądanie. Nic więcej.

- Ona jest moją sąsiadką, mamó - powtórzył. - I jest zaręczona. Jego matka wciąż patrzyła na niego uważnie, jakby chciała czytać w jego myślach.

- Ty również powinienes się zaręczyć - zauważyła. - Skończyłeś trzydzieści lat i nie masz ani brata, ani syna, któremu mógłbyś wszystko przekazać. Twoja pozycja wymaga, abys się ożenił. Jesteś to winien twojemu ojcu i mnie. Juliana Wishart byłaby dla ciebie idealną żoną.

- To przecież dziecko, mamó - zaprotestował.

- Ma siedemnaście lat i charakter, który silny mężczyzna, jeśli tylko zechce, potrafi dowolnie ukształtować. Jej przeszłość jest bez zarzutu. Maniery i wykształcenie również. Jest też bardzo ładna. Czego jeszcze możesz chcieć?

Może kogoś bliższego mu wiekiem. Kogoś, kto byłby mu towarzyszem, a może nawet

przyjacielem. Czy to w stosunku do kobiety zbyt duże wymagania? Kogoś, kto potrafi wzbudzić w nim namiętność. Kogoś, kto nie poddaje się zbyt łatwo woli silnego mężczyzny. Kogoś, kto ma własne zdanie i kto potrafi walczyć i przekonywać do swoich poglądów. Jednak, z drugiej strony, nigdy, nawet w myślach, ideał kobiecości nie kojarzył mu się z takimi cechami. Z pewnością nie wybrałby kobiety, którą nie mógłby kierować.

- Niczego - odparł w odpowiedzi na pytanie matki. Hrabina wreszcie wyglądała na usatysfakcjonowaną.

- A więc - powiedziała - musisz zebrać się na odwagę. Zbyt wiele czasu spędzałeś z żołnierzami, a zbyt mało w towarzystwie. Stałeś się milczący i niezdarny. Wczoraj była doskonała okazja, ale dziś również możesz to zrobić. Poproszę lorda Hockingsforda, żeby po lunchu zaczekał na ciebie w bibliotece.

- Dziękuję, mam - odparł - ale sam wybiorę miejsce i czas. Moją przyszłą żonę również. I wcale nie jestem przekonany, że będzie nią panna Wishart.

- Ani że nią nie będzie - dodała, niezrażona tonem jego głosu. - Zbyt długie rozmyślanie tylko wszystko komplikuje. Nie pożałujesz. Juliana będzie wspaniałą hrabiną.

Kenneth nie miał jednak zamiaru składać żadnych deklaracji. Jego matce nie pozostawało więc nic innego, jak robić wszystko, aby on i dziewczyna w ciągu najbliższych dni przebywali ze sobą jak najczęściej. Nim minął tydzień, Kenneth zorientował się, że może znaleźć się w sytuacji, z której trudno mu będzie wyjść z twarzą i zachować wolność.

Może powinien się jednak zdecydować, myślał czasem. Może powinien poślubić tę dziewczynę i mieć to z głowy. Spłodzić potomstwo, a potem żyć własnym życiem. Może z czasem by ją nawet pokochał. Była przecież taką słodką i uległą młodą damą.

Nie mógł jednak wstępować w związek małżeński tak na chłodno, zarówno dla swego, jak i jej dobra. Juliana Wishart, przy całej nieśmiałości i uległości, była przecież żywą istotą z własnymi marzeniami o miłości i szczęściu. On może tym marzeniom nie sprostać. Z jednego choćby powodu - był dla niej za stary.

Poza tym, w tej chwili, w ogóle nie mógł wstępować w żaden związek małżeński. Przynajmniej dopóki nie przekona się, że wolno mu to zrobić, że za to, co się wydarzyło w chacie pustelnika, nie musi ponosić żadnych konsekwencji. Myśl, że mogłoby być inaczej, przerażała go. Nie mógł tego jednak wykluczyć. Nie mógł zaręczyć się z żadną inną kobietą, zanim nie będzie pewien, że nie ma obowiązku poślubienia Moiry Hayes.

Moira Hayes! Na samą myśl o niej wzbierał w nim gniew. Wszystko w niej zasługiwało na pogardę. W niczym nie ustępowała swojemu bratu. Była tak samo zła jak on lub jej pradziad. Niewiele brakowało, żeby wciągnęła go w sidła, tak jak zrobił to Sean z jego

siostrą. A mimo to odtrąciła go. Niechętnie wspominał ich ostatnią kłótnię. Moira wyglądała wtedy jak tygrysica...

Może z wiekiem złagodniała. Wciąż jednak lubiła samotną włóczęgę, wciąż odrzucała każdą radę, jeśli tylko brzmiała jak rozkaz. Wciąż była nieprawdopodobnie uparta i nie przejmowała się konwenansami. Powinna była wybrać raczej śmierć niż utratę niewinności. Ale cóż, stało się i on ponosi za to winę.

Odmówiła przyjęcia propozycji małżeństwa, zanim jeszcze Kenneth zdążył ją złożyć. Jakież to było dla niej typowe. Jak mogła odmówić?

Straciła niewinność, a wraz z nią szansę na jakiekolwiek małżeństwo. Jaka przyszłość czekała ją i jej matkę po zerwaniu zaręczyn z sir Edwinem? Czy w ogóle o tym pomyślała? Prawdopodobnie nie miało to wpływu na jej decyzję. Wzgardziła małżeństwem z nim wyłącznie dlatego, że straciła z nim niewinność. Wyłącznie!

Przez cały tydzień starał się być zajęty i przez cały tydzień nie mógł zapomnieć tamtej nocy i jej odmowy. Cały tydzień dręczył się myślą, że Moira może zmienić zdanie albo że wypadki potoczą się tak, iż będzie do tego zmuszona. I przez cały tydzień był zły - nie, był wściekły na nią. Nie mógł pogodzić się z tym, że go odrzuciła. To, po prostu, nie miało prawa się zdarzyć.

Z okazji Nowego Roku w sali koncertowej Tawmouth miał się odbyć bal. Niektórzy z mieszkających w Dunbarton gości wyjechali już do swoich domów, ale kilkoro z tych, którzy zostali, zdecydowało, że bal może być całkiem udany, nawet jeśli nie wytrzyma porównania z balem w Dunbarton. Ainsleigh i Helen zadeklarowali, że chętnie się wybiorą. Juliana powinna zobaczyć wnętrze tej sali, powiedziała lady Hockingsford w obecności Kennetha. Jej wystrój jest bardzo gustowny, nawet jeśli trochę zbyt surowy.

Moira tam będzie, pomyślał Kenneth. Z pewnością. Jednak nie widział powodu, by miał nie iść na ten bal. W każdej chwili może ją przecież spotkać w domach, które odwiedza lub na ulicach Tawmouth. Nie sposób unikać jej przez całe życie. I prawdę mówiąc, wcale tego nie chciał. Wręcz przeciwnie. Istniała między nimi pewna niewyjaśniona jeszcze sprawa i on chciał ją doprowadzić do końca. Moira z pewnością nie pozwoli sobie na zignorowanie go.

Ustalono, że panna Wishart, Helen i Ainsleigh pojedą z Kennethem jego powozem. Dwa inne zabiorą pozostałych gości. Kiedy powozy ruszyły w drogę, śmiechom i żartom nie było końca i wesoły nastrój towarzyszył już wszystkim aż do Tawmouth.

* * *

Po powrocie z balu w Dunbarton, Moira nie czuła się najlepiej i lady Hayes nie miała wątpliwości, że jej córka przeziębila się podczas pieszego spaceru do domu.

- Doprawdy nie rozumiem, jak jego lordowska mość mógł pozwolić na taką ekstrawagancję - powtarzała. - Śnieg był zbyt głęboki nawet dla powozu. W taką pogodę nie wychodzi się z domu. Dobrze, że chociaż miałaś ten ciepły szal, aby zasłonić nim twarz.

- Nie chciałam nawet słyszeć o pozostaniu w Dunbarton ani minuty dłużej, mamó - odparła Moira i uśmiechnęła się. - Dobrze wiesz, jaka potrafię być uparta, kiedy wbiję coś sobie do głowy.

- Jego obowiązkiem było przynajmniej towarzyszyć ci w tej drodze - upierała się lady Hayes. - Nie sądzę, żeby sir Edwin twój upór uznał za wystarczający powód, by zezwolić na coś tak bardzo nierozsądnego.

- Źle się czułam w Dunbarton, mamó - usprawiedliwiała się Moira. - Wszyscy, którzy tam zostali, to goście domu. Większość z nich to, członkowie rodziny hrabiego. Nie znałam nikogo. Musiałam iść do domu.

Jej matka spojrzała na nią ze współczuciem.

- Potrafię to zrozumieć, moja droga - powiedziała. - Jesteś śmiertelnie blada. Mam nadzieję, że nie złapałaś przeziębienia.

- Spacer był szybki i bardzo orzeźwiający i nie sądzę, żeby mi za - szkodził - uspokajała ją Moira.

Nienawidziła kłamstw i półprawd, do których teraz została zmuszona. Tak łatwo mogło się wydać, że opuściła Dunbarton przed końcem balu. Tak łatwo mogło się również wydać, że Kenneth wcale nie spędził nocy w Penwith. Tego dnia i w ciągu następnych kilku rzeczywiście czuła się chora, ale nie dlatego, że była przeziębiona.

Wciąż nie potrafiła zdobyć się na napisanie do sir Edwina. Za każdym razem, gdy siadała przy biurku z zamiarem skreślenia paru słów, nic jej z tego nie wychodziło. Nigdy nie udało się jej przebrnąć przez kilka pierwszych i bardzo zdawkowych słów pozdrowienia. Co właściwie miała mu napisać? Jaki powód podać dla uzasadnienia tego, co musiała zrobić? Ze - rwanie zaręczyn, i to wtedy, gdy zostały już formalnie ogłoszone, stwarzało bardzo trudną i wyjątkowo niezręczną sytuację. Decydując się na to, wystawi sir Edwina na śmieszność, a siebie samą na plotki. Nie dbała o siebie, ale on z pewnością na śmieszność nie zasłużył.

Pewnego dnia, gdy drogi były już przejezdne, z pierwszą pocztą nad - szedł list od sir Edwina, w którym, w typowym dla niego kwiecistym stylu, donosił, iż jego matka jest rzeczywiście bardzo chora i że jego troskę o jej zdrowie łagodzi jedynie myśl, że panna Hayes jest na tyle uprzejma, by jego troskę podzielać.

To nie był właściwy moment, aby przekazywać mu taką wiadomość, postanowiła Moira. To byłoby zbyt okrutne. Zaczeka jeszcze tydzień lub dwa, aż jego matka poczuje się lepiej. Wiedziała, że to tchórzostwo, że szuka jedynie wykrętu, ponieważ na przekazanie takiej wiadomości chwila nigdy nie jest odpowiednia. Uświadomienie sobie własnego tchórzostwa sprawiło, że poczuła się jeszcze gorzej i nie potrafiła wykrzesać z siebie ani odrobiny energii. Czowała się jak pogrążona w przedziwnym letargu.

Wydarzenia tamtej nocy, kiedy usiłowała je odtworzyć, wydawały się jej tak nierealne, jakby to był jakiś koszmarny sen. Doskonale jednak wiedziała, że to wszystko stało się naprawdę. Pretensję o to mogła mieć wyłącznie do siebie. Czułaby się o wiele lepiej, gdyby chociaż trochę winy mogła zrzucić na niego, ale nie było to możliwe. Pomimo dezaprobaty jego matki i siostry, zaofiarował jej gościnę, a ona nią wzgardziła. Poszedł za nią podczas największej burzy, bojąc się o jej bezpieczeństwo i ryzykując własnym. Kiedy ją odnalazł, zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby utrzymać ją przy życiu. Kiedyś nie uwierzyłaby, że można nie przeżyć mroźnej nocy, teraz wiedziała o tym doskonale.

On wcale nie chciał tego zbliżenia. Był taki praktyczny i chłodny. Po prostu pragnął jedynie zapewnić jej - i sobie - niezbędne do życia ciepło. Czując, jak płonie z zażenowania i wstydu na wspomnienie, że to, co się stało, tak bardzo jej się spodobało. Oczywiście, robiła wszystko zgodnie z jego wskazówkami, ale czy na pewno robiła to jedynie dlatego, że jej to sugerował? Podejrzewała nawet, chociaż starała się tę myśl odrzucić, że podobało się jej to, ponieważ robiła to z Kennethem. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, że z sir Edwinem... Wstrząsnęła się z odrazą.

Nie, nie mogła o nic winić Kennetha. Był nawet gotów ją poślubić. Żałowała, że nie może mu nic zarzucić. Gdyby mogła, wszystko byłoby prostsze.

Chociaż nie przeziębila się tamtej nocy, czuła się chora. Nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Samotność była czymś, co dokuczało jej najbardziej. Ciągłe było zimno i śnieg topniał bardzo powoli, a kiedy w końcu zamienił się w błoto, wyjście z domu było jeszcze mniej bezpieczne. Jazda powozem do Tawmouth również nie wchodziła w grę. Normalnie ta odrobina błota nie zatrzymałaby jej w domu i wybrałaby się do miasta pieszo, ale teraz czuła się chora i bez życia. Był jeszcze jeden powód, dla którego zarówno od Tawmouth, jak i od domów przyjaciół i sąsiadów trzymała się z daleka. Paraliżował ją paniczny strach, że wpadnie gdzieś na hrabiego Haveford. Nie będzie w stanie spojrzeć mu w oczy. Jak mogłaby to zrobić, nie przypominając sobie jednocześnie... nawet na samą myśl o tym, jej twarz oblewała się krwistym rumieńcem.

Gardziła swoim tchórzostwem.

I nienawidziła Kennetha za to, że za jego sprawą stała się tchórzem.

- Może powinniśmy zostać w domu, Moiro - sugerowała lady Hayes w dniu, w którym miał odbyć się bal w Tawmouth. Miały zamiar uczestniczyć w nim jak co roku, ciesząc się na spotkanie z sąsiadami i przyjaciółmi. - Nie wyzdrowiałaś jeszcze po tamtym długim spacerze z Dunbarton i chyba tęsknisz za sir Edwinem, chociaż obojdwie jesteście zgodne, że rozmowa z nim wymaga czasem ogromnej cierpliwości. Wciąż uważam, że powinniśmy wezwać pana Rydera i poprosić, aby cię zbadał. - , Pan Ryder był lekarzem, który zrezygnował ze wspianiałej praktyki w Londynie, żeby trzy lata temu otworzyć nową, znacznie mniejszą, w Tawmouth.

- Niepotrzebny mi lekarz, mamó - zaprotestowała Moira. - I bardzo chętnie wybiorę się na ten bal. Obojdwie się wybierzemy. Pogoda trzymała nas tu prawie przez cały tydzień i pogryzła w depresji. Trochę tańca i pogawędka z sąsiadami dobrze nam zrobią.

Nie mogła znieść myśli o dalszym siedzeniu w domu. Poza tym bal noworoczny zawsze był dla jej matki dużym, i z największą niecierpliwością oczekiwanym, wydarzeniem. Gdyby jednak Moira została w domu, matka zostałaby również. To nie byłoby w porządku.

- Cóż, jeśli naprawdę tego chcesz, skarbie - powiedziała lady Ha - yes, a w jej głosie słychać było wyraźne zadowolenie. - Nie kryję, że bardzo bym chciała usłyszeć od pani Trevallas, czy błogosławiony stan jej synowej zakończył się już szczęśliwym rozwiązaniem. To przecież jej pierwsze dziecko.

Tak więc pojechały do Tawmouth. Bal w Tawmouth nie był czymś nadzwyczajnym, jeśliby ktoś chciał go porównać z balem w Dunbarton. Dekoracje były raczej skromne, a do tańca grała na fortepianie panna Pitt, czasem akompaniował jej na skrzypcach pan Ryder. Na spotkaniach tych rzadko widywało się nowe twarze, a program tańców był zawsze do przewidzenia, jak i potrawy, które serwowano na kolację. Nikt nie oczekiwał po wieczorze w Tawmouth nadzwyczajnych atrakcji, przyjemnie jednak było spotkać się z sąsiadami i przy okazji trochę potańczyć.

Moira nie miała żadnych obaw przed udaniem się do Tawmouth. Kucharka z Penwith słyszała od chłopca od rzeźnika, ten zaś od żony rzeźnika, a ta z kolei od jednego ze służących w Dunbarton, że goście zaczynają się już rozjeżdżać do swoich domów. Ci natomiast, którzy zostają, będą zapewne witać Nowy rok we własnym gronie. Zwyczajna małomiasteczkowa zabawa nie zainteresuje przecież ani hrabiego Have - forda, ani członków jego rodziny. Żaden z nich nigdy w takich imprezach nie uczestniczył.

Usiadła przy Harriet Lincoln, gdy tylko zauważyła, że jej matka zajęła miejsce między paniami Trevallas i Finley - Evans, aby porozmawiać z nimi o wydarzeniach ostatniego

tygodnia. Starszy syn Messonów zatańczył z nią pierwszy taniec, a pan Lincoln drugi. Chciała zapomnieć o ponurym nastroju z ostatniego tygodnia i okropnej sytuacji, w której z własnej winy się znalazła, i o tym, że musi napisać do sir Edwina. Pomyśli o tym jutro. Poza tym jutro będzie nie tylko nowy dzień, ale również początek nowego roku. Dziś wieczorem chciała się tylko bawić.

W pewnej chwili, gdy po kolejnym tańcu ponownie siadała obok Harriet, przy drzwiach wejściowych powstało małe zamieszanie, które zwykle było zapowiedzią przybycia kolejnych gości. Moira i Harriet spojrzały z zaciekawieniem w tamtą stronę. Wszystkie osoby, których się spodziewano, od dawna były już na sali. Moira nie musiała przyglądać się zbyt uważnie, by wiedzieć, kim są nowi goście. Jej straszne przeczucie okazało się prawdą.

- A to niespodzianka - powiedziała cicho Harriet, podczas gdy cała sala dosłownie kipiała z podniecenia. - Jest wicehrabia Ainsleigh i jego żona, a nawet sam hrabia, Moiro. Co za historia! Czyżby naszą skromną imprezę uznali za aż tak bardzo godną uwagi? Jak myślisz?

- Sama nie wiem - odparła z wahaniem Moira. Patrzyła na niego w osłupieniu, czując suchość w gardle i gwałtowny ucisk w żołądku. Był wysoki, elegancki, przystojny i taki odległy. Wyglądał jak przybysz z dalekich stron. I to właśnie on był w niej, to on ją posiadał.

- Boże, jaki on przystojny - wymamrotała Harriet, poruszając szybko wachlarzem, jakby chciała się ochłodzić, chociaż na sali nie było specjalnie gorąco. - Bardziej nawet niż przypuszczałam, chociaż wiele mi o nim mówiono. - Harriet przybyła do Tawmouth zaledwie przed sześcioma laty, gdy wyszła za mąż za pana Lincolna. - Czy nie uważasz, że wygląda nadzwyczajnie, Moiro? Czy poślubi pannę Wishart, jak sądzisz? Poświęca jej wyjątkowo dużo uwagi od czasu, gdy przyjechała do Dunbarton. Doskonale to było widać podczas świątecznego balu. Dwa dni temu towarzyszył jej w wyprawie po sklepach i pokazywał zatokę. Pod czujnym okiem ich matek, oczywiście. To piękna para, nie uważasz?

- Tak, rzeczywiście - odparła Moira.

Harriet spojrzała na nią uważnie i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Och, biedna Moiro - powiedziała. - To musi być przykre, patrzeć na zakochanych w sobie ludzi, podczas gdy ciebie okoliczności zmuszają do związku z kimś, kto nie jest ci zbyt miły. Wybacz mi, proszę, że mówię tak otwarcie, ale jesteśmy przecież przyjaciółkami.

Moira zmarszczyła brwi.

- Nigdy nie twierdziłam... - zaczęła.

- Wiem - powiedziała szybko Harriet, ściskając jej rękę. - Nie powinnam była o tym wspominać. Sir Edwin Baillie, jestem o tym przekonana, ma wiele zalet i małżeństwo z nim

to dobra decyzja. Dodam tylko, że ktoś złośliwy powiedziałby zapewne, że panna Wishart jest stanowczo za młoda dla naszego hrabiego i że nim minie miesiąc z pewnością.

- Milordzie... - Jej rumieniec nabrał intensywniejszej barwy i przez chwilę wyglądała na wystraszoną. Jednak nie było przy niej matki, która podpowiedziała jej, co powiedzieć i jak się zachować.

- A więc jest ktoś - rzekł. - Tak właśnie podejrzewałem. Powinienem wydusić z pani jego imię i wyzwąć go o świcie na pojedynek. - W jego oczach pokazały się wesołe iskierki, które miały ją przekonać, że żartuje i że nie złamała mu serca. - A jednak życzę pani szczęścia. I aprobaty rodziców.

- Dziękuję panu - wyszeptała i po raz pierwszy uśmiech, jakim go obdarzyła, był szczery i serdeczny, po czym roześmiała się na cały głos.

- Dziękuję z całego serca, milordzie.

A więc po wszystkim, pomyślał z ulgą, ale i z lekkim poczuciem winy. Moira Hayes tańczyła jak zwykle z niezwykłą gracją, a na jej twarzy widoczne było ożywienie. Ani razu nie spojrzała w jego stronę. Ani razu on nie spojrzał na nią. Żle się z tym czuł i nie miał zamiaru męczyć się przez cały wieczór.

Kiedy menuet się skończył i Ainsleigh poprosił pannę Wishart do następnego tańca - Helen zajęta była rozmową z grupą pań z Tawmouth.

- Kenneth zdecydowanym krokiem przeszedł przez salę i skłonił się przed Moirą i jej przyjaciółką, Harriet Lincoln. Harriet z uśmiechem i pewnym zaskoczeniem zauważyła, że idzie w ich kierunku. Moira mówiła, coś do niej, udając, że tego nie widzi. Kenneth wiedział doskonale, że wiele by dała, żeby zmienił kierunek. Wymienił z panią Lincoln kilka,; zdawkowych uprzejmości, po czym zwrócił się do Moiry.

- Pary właśnie ustawiają się do kadryla - powiedział. - Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zgodzi się zostać moją partnerką? - Przez chwilę wydawało mu się, że ma zamiar odmówić. Widział, jak pani Lincoln gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała na przyjaciółkę ze zdumieniem. Jednak Moira nie odmówiła.

- Dziękuję - powiedziała obojętnym tonem, po czym wstała i położyła dłoń na jego dłoni.

- Nie wyglądasz najlepiej - rzekł, kiedy zajęli swoje miejsca wśród ustawionych do kadryla par. Jej twarz była blada, a głębokie cienie pod oczami jeszcze tę bladość podkreślały.

- Czyżbyś była przeziębiona?

- Nie - odparła.

Oczekiwał, że będzie unikała jego spojrzenia, ale Moira patrzyła mu prosto w oczy. -

Czuję się zupełnie dobrze. Dziękuję za troskę. Widział, że bardzo ją zirytował, podchodząc i prosząc o taniec.

- Uśmiechnij się - powiedział cicho. Moira uśmiechnęła się.

Obserwował ją podczas tańca. Nie było zbyt wiele okazji do rozmowy, ale oni nie wykorzystali w pełni nawet tych krótkich momentów, w których tańczyli obok siebie. Kiedy się uśmiechnęła, jej uśmiech był olśniewający. Wydawało mu się nieprawdopodobne, że ta kobieta zaledwie tydzień temu płonęła pod jego intymnym dotykiem.

Pomyślał, że miał rację, kiedy obawiał się jej dotknąć. W tej poważnej pannie Moirze Hayes było wiele głęboko skrywanej namiętności. Pomimo pozorów, panna Moira Hayes nie zmieniła się w ciągu tych ośmiu lat. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, bał się jej, chociaż nie bardzo rozumiał dlaczego. Przyszedł tu, żeby z nią porozmawiać, żeby stanąć z nią twarzą w twarz i wyjaśnić wszystko do końca, lecz czuł, że przy Moirze nie potrafi być sobą. Wytrąciło go to z równowagi. Przywykł do tego, że to on panuje nad sytuacją.

Tymczasem taniec się skończył, lecz zanim Kenneth zdążył odprowadzić Moirę na miejsce, zaproszono wszystkich na kolację. Nie zorientował się, że był to taniec, po którym prowadzi się partnerkę do stołu. Spojrzał na Moirę i uniósłszy brwi, podał jej ramię.

- Pójdziemy? - zapytał. Zaciśnęła wargi.

- Wolałabym nie.

- Ale pójdziesz. - Pochylił ku niej głowę, czując, jak narasta w nim złość. Czyżby chciała zrobić z niego durnia, a siebie narazić na opinię osoby źle wychowanej? - Patrz na nas.

Położyła rękę na jego ramieniu.

Pomyślał, że mógłby tę sytuację wykorzystać. Jeśli już muszą siedzieć obok siebie, to mogą poważnie porozmawiać, postarać się dojść do porozumienia. Większość stołów w sali jadalnej przeznaczona była dla czterech osób. Dwa, usytuowane pod oknami, były dwuosobowe. Kenneth poprowadził Moirę do jednego z nich i pomógł jej usiąść, po czym zostawił ją na chwilę i podszedł do bufetu, aby napełnić dwa talerze. Zanim wrócił, ktoś nalał im herbaty.

- W ciągu minionego tygodnia - powiedział bez żadnych wstępów - nie słyszałem, byś zerwała zaręczyny.

- Doprawdy?

Czekał chwilę, ale Moira milczała.

- Chyba nie masz zamiaru poślubić tego biedaka? - zapytał.

- Nie, nie mam. - Na jej policzkach pojawiły się dwie krwiste plamy, a w oczach

niebezpieczne błyski. - Chyba nie sądzisz, milordzie, że nie stać mnie na odrobinę przyzwoitości? Czy możemy teraz porozmawiać o pogodzie?

- Nie, nie możemy - rzekł sucho. - Porozmawiamy o naszym małżeństwie.

- Dlaczego? - zapytała. - Tak naprawdę, wcale nie chcesz tego związku. Ja zresztą również. Dlaczego więc mamy robić coś, czego obydwójce nie chcemy?

- Ponieważ, Moiro - powiedział, celowo rezygnując z afektowanego stylu - robiłem z tobą to, co wolno robić tylko małżonkowi. Ponieważ zostawiłem w tobie swoje nasienie, z którego być może już zrodził się owoc. Ponieważ nawet jeśli tak nie jest, to jest przyzwoite i honorowe wyjście.

- Przyzwoitość i honor są ważniejsze niż uczucie? - zdziwiła się.

- Dlaczego perspektywa małżeństwa ze mną jest dla ciebie taka odrażająca? - zapytał prowokacyjnie. - Byłaś gotowa wyjść za mąż za sir Edwina, który, używając najdelikatniejszego określenia, jest najzwyczajnym osłem.

Moira zadrzała.

- Byłabym wdzięczna, milordzie, gdybyś zechciał zachować swoje uwagi dla siebie - powiedziała z naciskiem. - A odpowiedź powinna być dla ciebie oczywista. Sir Edwin Baillie ma zapewne wiele wad, ale nie jest odpowiedzialny za śmierć mojego brata.

- Oskarżasz mnie o śmierć Seana?

- Nie zginąłby w bitwie pod Tulużą, gdybyś go nie zdradził - odparła. - I gdybyś w tej samej chwili nie zdradził również i mnie.

- Ja zdradziłem ciebie? - Miał ochotę pochwycić ją za ramiona i z całej siły potrząsnąć. Musiał jednak pamiętać, gdzie się znajduje. Poza tym odpowiedź na pytanie, kto kogo zdradził, nie była w tej chwili najważniejsza. - Nie, rzeczywiście nie powinien tam być. Powinien był Zawisnąć na stryczku na długo przed tą bitwą albo zamieszkać gdzieś na drugim końcu świata, skuty łańcuchem wraz z bandą takich samych łotrów jak on. W najlepszym wypadku mieszkałby gdzieś z moją siostrą w nędzy i pohańbieniu, przeklinając swój los, zaręczam ci. Takie życie z pewnością nie odpowiadałoby twemu bratu. Zrobiłem to, co musiałem.

- Kto uczynił cię Bogiem? - zapytała z goryczą. Westchnął i podniósł do ust filiżankę z herbatą.

- Zbaczamy z tematu - zauważył. - Istotne jest, że byliśmy razem, Moiro. Nasze motywy i wzajemne uczucia nie mają w tej chwili żadnego znaczenia. Ważne jest, że musimy ponieść tego konsekwencje.

- Tak jak przestępca musi ponieść konsekwencję swojego przestępstwa - powiedziała

spokojnie. - W twoich ustach słowo „małżeństwo” brzmi wyjątkowo zachęcająco, Kennecie. Jeśli mam być szczerą, wolałabym poślubić kogokolwiek tylko nie ciebie. Wolałabym do końca życia zostać starą panną - co właśnie mam zamiar zrobić. Wolałabym żyć w nędzy, co jest niewielką tylko przesadą w stosunku do tego, co mnie czeka. Wolałabym się nawet zabić. Czy jest jeszcze coś, co mogłabym dodać, abyś zrozumiał, co myślę o twoim poczuciu honoru?

Miał ochotę się zemścić. Był wściekły za jej opór, za jej oskarżenia i za to, że tak bardzo nim gardziła. Wolałabym się nawet zabić. Jej instynkt przeżycia, poddany próbie zaledwie parę nocy temu, był wówczas zdecydowanie silniejszy. Wtedy nie wybrała śmierci. Miał ochotę rzucić jej to w twarz. Nie chciał jednak walczyć taką bronią. Uniósł więc tylko brwi i spojrzał na nią chłodno.

- Nie musisz niczego dodawać - odrzekł. - Jesteś niezwykle elokwentna, ale będziesz musiała to wszystko odwołać, jeśli zauważysz, że tyjesz.

- Wolę żyć w hańbie - odparła.

- Ale ja nigdy na to nie pozwolę. Żadne moje dziecko nie będzie bękartem, Moiro. Jeśli okaże się, że nosisz je pod sercem, nie będziesz mogła przeciwstawić się mojej woli. Nie wygrasz ze mną. - Teraz miał nad nią przewagę.

- Arogancja bardzo pasuje do ciebie - zauważyła. - Musiałeś być wyjątkowo skutecznym oficerem.

- Moi ludzie wiedzieli, że stosowanie się do moich rozkazów to najlepszy sposób, żeby nie mieć problemów.

Uśmiechnęła się. Była wyraźnie rozbawiona.

- Och, zapominasz jednak, że ja nie jestem jednym z twoich ludzi.

- Spełnię twoje życzenie - rzekł - ponieważ, chociaż minął tydzień, jak się zdaje, nie odzyskałaś rozsądku. Spełnię je, ponieważ, w pewnym sensie, odpowiada i tobie, i mnie. Jednak tylko wtedy, gdy nie będzie po tamtej nocy żadnych konsekwencji. Jeśli jednak będą, natychmiast po mnie pošlesz. Chcę usłyszeć, że to akceptujesz.

- Jesteś taki zasadniczy, Kennecie - powiedziała. - Potrzebny ci jeszcze bat. Czy mam stawać na baczność za każdym razem, gdy go weźmiesz do ręki?

Nieoczekiwanie rozbawiły go te słowa.

- Wątpię, żebym miał tego bata potrzebować - odparł z uśmiechem, ale po chwili wcale już nie był tego pewien.

- Świetnie! - Podniosła oczy. - Proszę, nie rozśmieszaj mnie. Dopiero co zjadłam. Chcesz powiedzieć, że będziesz mnie ujarzmił jedynie za pomocą swojego uroku?

Roześmiał się. Jednak, zanim wstał, aby odprowadzić ją do sali balowej, ponownie nachylił się ku niej.

- Wyjdiesz za mnie, jeśli się okaże, że jesteś w ciąży, Moiro - rzekł. - Przez wzgląd na dziecko. I na Boga, przekonasz się, co znaczy narazić się na mój gniew, jeśli spróbujesz postąpić inaczej.

Moira nie podniosła się.

- Dołączę do Harriet Lincoln - oznajmiła, wskazując głową na sąsiedni stół. - Dziękuję za eskortę, milordzie, i dotrzymanie mi towarzystwa. To ogromny dla mnie zaszczyt.

Złożył przed nią ceremonialny ukłon.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Hayes - odrzekł i ruszył w kierunku sąsiedniej sali, uśmiechając się i kłaniając po drodze. Czuł, jak tętnią mu skronie. Miał ochotę kogoś zamordować, albo przynajmniej podbić komuś oko, złamać nos i wybić zęby. A ponieważ żadna z tych opcji nie wchodziła w grę, podszedł do młodziutkiej panny Penallen i poprosił ją do tańca.

* * *

Moira odetchnęła głęboko. Miała nadzieję, że nikomu na sali nie przyszło do głowy, że jej rozmowa z hrabią Haveford może być czymś znacznie poważniejszym niż zwykłą towarzyską pogawędką. Starła się uśmiechać. On uśmiechał się prawie przez cały czas. Niełatwo jest spierać się z kimś, kto bez przerwy się uśmiecha.

Pomyślała, że raczej wolałaby poślubić potwora. Ta niedorzeczna myśl sprawiła jedynie, że była jeszcze bardziej zirytowana. Uśmiechnęła się z determinacją i już miała wstać i dołączyć do Harriet i pana Meesona, gdy ktoś szybko zajął dopiero co zwolnione przez hrabiego miejsce. Ktoś, kto również się uśmiechał.

- Trzymaj się od niego z daleka - syknęła wicehrabina Ainsleigh. Moira uniosła brwi.

- Nieźle to sobie wymyśliłaś - ciągnęła Helen. - Po śmierci ojca znalazłaś sposób, żeby nawiązać z moim bratem kontakt i to zaledwie kilka tygodni po jego powrocie. Oczywiście, ty nie masz tym nic wspólnego, nieprawdaż? To wszystko zasługa sir Edwina Bailliego. Oczywiście ty go do tego nie namawiałaś - dodała z sarkazmem.

- Sir Edwin Baillie jest teraz właścicielem Penwith - odparła spokojnie Moira. - I postępuje tak, jak uważa za stosowne. Przecież kiedyś byłaś gotowa zakończyć tę starą rodzinną waśń. Mogłam się spodziewać, że cię ucieszy, iż wreszcie tak się stało.

Helen wpatrywała się w nią z wściekłością, ale ani na chwilę nie zapomniała, żeby się

uśmiechać.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności - ciągnęła - iż sir Edwin zdecydował, bez żadnego z twojej strony ponaglania, że musi wyjechać do domu w samym środku balu i że Kenneth nalegał na drugi taniec z tobą, a potem osobiście odprowadził cię do domu, ponieważ za bardzo martwiłaś się o matkę, aby przyjąć gościnę w Dunbarton. I jak szczęśliwie się złożyło, że nie mógł wrócić do domu i że był zmuszony zostać w Penwith na noc. Można by pomyśleć, że to wszystko zostało zaplanowane.

- Uważasz więc, że zaplanowałam burzę śnieżną? - zakpiła Moira. Nie spodziewała się po Helen ani wrogiego nastawienia na balu w Dunbarton, ani ataku złości teraz.

- Zapewne wkrótce - mówiła dalej Helen - dowiemy się o niefortunnym zerwaniu twoich zaręczyn. Ciekawe tylko kto je zerwie? To będzie dla ciebie upokarzające, jeśli zrobi to sir Edwin, a haniebne, jeśli zrobisz to ty. To trudna decyzja, panno Hayes. Oczywiście, warto zapłacić każdą cenę, jeśli można w zamian uzyskać znacznie więcej. Mój brat to doskonały kandydat na męża, nieprawdaż?

Moira zmarszczyła brwi i przesunęła leżącą obok jej talerza serwetkę. Nie rozumiała, o co tak naprawdę Helen chodziło. W przeciwieństwie do ich braci, ona i lady Helen Woodfall w dzieciństwie niewiele miały ze sobą wspólnego. Posłuszne woli swoich rodziców, zawsze się unikały.

- Czyżby przemawiała przez ciebie gorycz po tym, co stało się z Seanem? - zapytała.

- Gorycz? - Helen pochyliła się ku niej. - Ponieważ kochał mnie i z pewnością by mnie poślubił, gdyby siłą go nie powstrzymano? Możesz mówić, jeśli chcesz, że to robota mojego ojca i mojego brata, ale nawet przez chwilę nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, kto nas zdradził. Komu powiedziałaś? Kennethowi? Chciałaś wtedy za wszelką cenę zdobyć jego względy? Zawsze cię o to podejrzewałam. Nie bardzo ci to jednak wychodziło, prawda?

- Myślałam, że go to ucieszy - odparła Moira. - Myślałam, że będzie się starał wam pomóc. Ja... - Jakaż była naiwna. Uwierzyła Kennethowi, kiedy powiedział, że ją kocha. Myślała, że zamierza ją poślubić, walczyć ze swoim i jej ojcem o jej rękę. Myślała, że ucieszy się, kiedy się dowie, iż ma w tej walce sojuszników. Nie przyszło jej nawet do głowy, że wiadomość, iż Sean może poślubić Helen, skłoni Kennetha do takich działań, jakie podjął, i takich kłamstw, na jakie się zdobył. Nawet teraz, na myśl o tym, robiło się jej niedobrze.

Helen obserwowała ją przez chwilę, po czym uśmiechnęła się ironicznie.

- Sądziłam, że jesteś mądrzejsza - powiedziała z pogardą. - Spodziewałam się, że będziesz miała pod ręką przynajmniej z tuzin zaprzeczeń, wyjaśnień i wymówek. Mimo wszystko, może masz jednak sumienie. Trzymaj się od Kennetha z daleka. On ma zamiar

poślubić Julianę Wishart i jego rodzina jest z tego powodu bardzo szczęśliwa.

- Nie masz więc żadnych powodów, aby się mnie obawiać, nie uważasz? - zauważyła złośliwie. Czowała, jak znowu narasta w niej złość. A tak bardzo liczyła na to, że, wybierając się tutaj, poprawi sobie choć trochę nastrój. Nieoczekiwanie przypomniała sobie tamto popołudnie na początku grudnia - prawie miesiąc temu - kiedy pobiegła nad morze. Z taką nadzieją patrzyła wtedy w przyszłość, oczekując wydarzeń, które wkrótce miały odmienić jej życie. I nagle na horyzoncie pojawił się Kenneth. Jak wiele od tamtej pory się wydarzyło! Od tamtego dnia jej życie zaczęło stopniowo obracać się w gruzy.

A wszystko dlatego, że on złamał obietnicę i wrócił do domu.

- Trzymaj się od niego z daleka - powtórzyła Helen i, uśmiechnąwszy się, wstała, by zniknąć po chwili za prowadzącymi do sali balowej drzwiami.

Jak Kenneth, hrabia Haveford mógł żądać, żeby wyszła za niego? - pomyślała Moira. Jak mógł chcieć, żeby jego siostra została jej szwagierką, a hrabina teściową? Już sama myśl o tym była przerażająca.

Nagle poczuła, że robi jej się mdło. Czyżby za dużo zjadła? Spojrzała na swój talerz, ale prawie nic z niego nie ubyło. Co się z nią dzieje? Napila się herbaty, lecz nadal czuła mdłości. Na samą myśl o tym, jakie mogą być przyczyny jej złego samopoczucia, wpadła w panikę. Nie, nie, to niemożliwe, co za niedorzeczne przypuszczenie, strofowała się w myślach. Po chwili wstała i ruszyła do stolika Harriet, uśmiechając się i ignorując coraz dotkliwsze uczucie mdłości.

Promienie słońca wpadające przez okno małego salonu zapowiadały pogodny dzień i pogodny początek nowego roku. Śnieg prawie już stopniał, odkrywając płaty mizernej, pożółkłej trawy. Drzewa wyciągały nagie ramiona ku błękitnemu niebu. Minie przynajmniej miesiąc, zanim zapowiadające wiosnę, pierwsze zielone pędy przebiją się przez zamrożoną ziemię.

Moira siedziała przy maleńkim biurczku i wsparłszy brodę na dłoni, w zamyśleniu patrzyła przez okno. List, który przed chwilą napisała, wciąż otwarty leżał przed nią. Był to najtrudniejszy list, jaki kiedykolwiek przyszło jej napisać. Pierwszy dzień nowego roku wydał się jej stosownym do tego momentem.

Co się teraz z nią stanie? Co się stanie z jej matką? Sir Basil Hayes nie zapisał im zbyt wiele w testamencie, obydwie więc zdane były na łaskę sir Edwina Bailliego. Jednak teraz, kiedy zrywała z nim zaręczyny, jak mogła liczyć na jego wspańiałomyślność? Nawet tu, w Tawmouth, przez jakiś czas trudno jej będzie nosić wysoko głowę i liczyć na życzliwe przyjęcie w domach przyjaciół.

Starannie złożyła list. Nie powinna się nad sobą uzalać. Sama jest winna temu, że znalazła się w takiej sytuacji. Wstała. Najwyższy czas wysłać list. Pójdzie pieszo do Tawmouth. Spacer dobrze jej zrobi. Mdlilo ją przez cały ranek. Może to minie, kiedy w końcu zrobi to, co powinna. To brak zdecydowania i związane z nim poczucie winy sprawiały, że tak fatalnie się czuła przez cały tydzień. Kiedy wróci do domu, natychmiast porozmawia z mamą.

Zanim jednak Moira zdążyła dojść do drzwi, jej matka pospiesznie weszła do pokoju. W ręku trzymała otwarty list.

- Och, moja droga - zawołała. - Przyszedł list od Christobel Baillie i wszystko wskazuje na to, że byliśmy w stosunku do sir Edwina bardzo niesprawiedliwi. Uważaliśmy, iż na punkcie zdrowia swojej matki jest po prostu przewrażliwiony. Z tego listu wynika jednak, że ta biedna kobieta jest na łożu śmierci. To są słowa Christobel. Sama przeczytaj. Lekarz uprzedził rodzinę, że jej odejście to tylko kwestia czasu. Biedny sir Edwin jest tak zrozpaczony, że nie mógł sam napisać listu.

Moira wzięła do ręki list i przeczytała go. Pani Baillie umierała. Być może już się to nawet stało.

- Jedyne pewność, że pani, madam, i jego droga narzeczoną, cierpią tak samo jak my

- pisała Christobel - pomoże mojemu bratu przejść jakoś przez te trudne dni. Edwin twierdzi, że będziemy w pani mieli kogoś, kto zastąpi nam najdroższą z matek, a także zyskamy nową siostrę. Pocieszamy się nadzieją, że po nocy zawsze nadchodzi dzień.

Moira zagryzła wargę i ze zdziwieniem stwierdziła, że pismo nagle rozmazało się przed jej oczami. Chcesz wyjść za Bailliego, który, używając najdelikatniejszego określenia, jest zwykłym osłem. Co za gruboskórne określenie, a ona nawet nie starała się go bronić. Był przecież kochającym synem i bratem, być może, na swój sposób, oczywiście, kochał nawet ją i jej matkę. Czy tak postępuje osioł?

- Tak, kochanie. - Lady Hayes pogładziła Moirę po ramieniu. - Otrzymamy łyż, wypijemy po filiżance herbaty, a potem każda z nas napisze list. Ja napiszę do Christobel i jej sióstr. Myślę, że nie od rzeczy będzie, jeśli napiszesz do sir Edwina sama. W zaistniałej sytuacji to ładny gest, szczególnie że to twój narzeczony. - Nagle w ręku córki zauważyła złożoną kartkę papieru. - Czyżbyś go już napisała?

Moira szybko zmięła kartkę w dłoni.

- Jest już nieaktualny - odparła. - Napiszę drugi, mam. Biedny sir Edwin. Byłam skłonna bagatelizować jego obawy i teraz czuję wyrzuty sumienia.

- Ja również, Moira - przyznała lady Hayes, pociągając za sznur od dzwonka, żeby poprosić o herbatę. - Musimy nauczyć się cenić tego młodego człowieka. Jest zapewne trochę denerwujący i może nawet nudny, gdy wygłasza te swoje tyrady, ale zaczynam wierzyć, że będzie z niego wspaniały i lojalny mąż i zięć. - Uśmiechnęła się i otarła oczy chusteczką. - Biedna kuzynka Gertruda.

Powinna była napisać sześć dni temu, pomyślała Moira. Tego ranka po balu, gdy rozstała się z hrabią Haveford i gdy tylko umyła się i przebrała, powinna była natychmiast napisać, a nie szukać wykrętów. Teraz jest to znacznie trudniejsze i z każdym dniem coraz trudniej jej się na to zdobyć. W końcu, gdy dotrze do nich wiadomość o śmierci pani Baillie, wysłanie tego listu może się okazać zupełnie niemożliwe. Będzie musiała poczekać. Jak długo? Tydzień? Miesiąc? Sir Edwin prawdopodobnie zechce odłożyć ślub w związku z żałobą, być może nawet na rok. Nagle poczuła się jak skazaniec, któremu odroczone wykonanie wyroku.

Szybko usiadła na najbliższym krześle, opuściła głowę, zamknęła oczy i kilkakrotnie przełknęła ślinę. Z trudem powstrzymała się, żeby nie wymiotować. Co będzie, jeśli... Szybko zdusiła paniczny strach. To tylko poczucie winy sprawiało, że czuła się chora. Och, jak bardzo żałowała, że nie napisała tego listu pięć dni wcześniej.

* * *

Pod koniec stycznia Kenneth został w Dunbarton sam. Jego matka I wyjechała jako ostatnia. Miała spędzić miesiąc czy dwa ze swoją siostrą, po czym wrócić do Norfolk.

Samotność bardzo mu odpowiadała. Nareszcie mógł się skoncentrować na pracy. Bardzo szybko zorientował się, jak niewiele wiedział o gospodarowaniu i prowadzeniu tak dużego domu. Z determinacją rzucił się więc w wir pracy - w domu, połykając tony książek, i poza domem, godzinami włócząc się po polach i łąkach i prowadząc niekończące się rozmowy z okolicznymi farmerami, i konsultując się ze swoim rządcą. Wiosna była tuż, tuż i Kenneth zamierzał sam podejmować większość decyzji związanych z jego majątkiem.

Nie można, oczywiście, powiedzieć, żeby nie nawiedzała go od czasu do czasu pokusa, by stąd wyjechać. I chociaż był dobrze przyjęty przez sąsiadów i nigdy nie brakowało mu zaproszeń na kolację, na karty lub polowanie, to jednak z czasem uświadomił sobie, że nie spotkał tu naprawdę bratniej duszy. Zbyt wielkie miał tu poważanie i zbyt wielkim darzono go respektem. Być może nie odczuwałby tak bardzo tego braku, gdyby wcześniej nie zaznał smaku prawdziwej przyjaźni.

Nat i Eden pojechali do Stratton Park w hrabstwie Kent, żeby spędzić trochę czasu z Reksem. Obydwaj, co od dawna było do przewidzenia, podczas spędzanych w Londynie świąt Bożego Narodzenia wpadli w porządne tarapaty. Eden miał wyjątkowego pecha - został przyłapany w łóżku z męzatką przez małżonka, o którego istnieniu nie miał zielonego pojęcia. Nat poczuł, jak wokół jego szyi zaciska się pętla, po tym, gdy pod jemiola pocałował pewną młodą damę, budząc w ten sposób określone oczekiwania jej rodziny. Obydwaj zdecydowali więc, że w tej sytuacji najlepszym dla nich wyjściem będzie zaszyć się na jakiś czas na wsi i wspólnie z Reksem nalegali, aby Kenneth do nich dołączył.

Pokusa, żeby tak zrobić, była bardzo silna. Cudownie byłoby spotkać się razem, jednak Kenneth doskonale wiedział, co go czeka: pijaństwo i bezsenne noce. Poza tym...

Poza tym odwieczna nienawiść skończyła się już ponad miesiąc temu i obydwie zainteresowane rodziny znowu utrzymywały ze sobą kontakty. Mimo to Kenneth nie był w pobliżu Penwith Manor od tamtego ranka po balu i nie widział ani lady Hayes, ani Moiry od noworocznego balu w Tawmouth. Winien im był wizytę, chociaż nie spodziewał się, by obie panie były nią specjalnie zachwycone. Jednak podczas wizyty, jaką wielebny Finley - Evans złożył mu poprzedniego dnia, Kenneth dowiedział się czegoś, co sprawiło, że odwiedzenie przez niego Penwith Manor stało się konieczne.

Następnego dnia po południu wybrał się do Penwith. Uradowany z eskapady Nelson

biegł tuż obok jego konia. Dzień był słoneczny i pachniało wiosną. Obawiał się, że korzystając z tak pięknej pogody, panie mogły wyjść z domu. Właściwie tego chciał, aż do chwili, gdy uświadomił sobie, że jutro będzie musiał wybrać się tu ponownie.

Lady Hayes jest w domu, ale panna Hayes poszła do Tawmouth, oznajmił służący, który otworzył mu drzwi. Kenneth poczuł coś w rodzaju ulgi, ale tylko przez chwilę. Spędził dosyć kłopotliwy kwadrans na rozmowie z lady Hayes, podczas której złożył obydwu paniom kondolencje z powodu niedawnej śmierci matki sir Edwina. Lady Hayes nie mówiła zbyt wiele i zdawała się równie zakłopotana jak on. W pewnej chwili powiedziała jednak coś niezwykle istotnego. Otóż sir Edwin zdecydował się odłożyć termin ślubu przynajmniej do jesieni, a może nawet na cały okres żałoby, to znaczy na rok.

Tak więc panna Hayes nie zerwała jeszcze zaręczyn.

Nie chciał przeciągać wizyty. Podziękował za herbatę i, pożegnawszy lady Hayes, ruszył w drogę powrotną do domu. Zastanawiał się, jaką wybrać drogę, chociaż zdawał sobie sprawę, że i tak może jej nie spotkać. Poza tym, jaki sens mogło mieć to spotkanie? Prosił, żeby lady Hayes przekazała jej wyrazy współczucia. Jeśli, mimo wszystko, zdecydowała się poślubić sir Edwina, nie miał prawa się wtrącać. Wątpił, żeby Baillie był szczególnie doświadczony w sprawach łoża. Prawdopodobnie nawet nie zauważy, że jego narzeczona nie jest już dziewicą. Przy odrobinie szczęścia pannie Hayes na pewno uda się go oszukać.

Nie będzie już starał się z nią zobaczyć, zdecydował. Skierował konia na most i zagwizdał na Nelsona, który pobiegł w inną stronę. Jednak w połowie przeprawy na drugą stronę rzeki zatrzymał się i zeskoczył z konia. Dzień był wyjątkowo piękny. Promienie słońca odbijały się od wody, która spadała niewielką kaskadą, a potem toczyła spokojne wody do morza. To było z pewnością jedno z najpiękniejszych miejsc w Anglii. Ogromne paprocie porastały brzegi po obydwu stronach rzeki, a wysoko, na samym szczycie wzniesienia, górowała nad wszystkim imponująca bryła baptysterium. Kenneth oparł ręce na omszałym kamiennym murze mostu i patrzył przed siebie w zadumie.

Nie mógł sobie przypomnieć, ile razy widział się z Moirą po ich, pierwszym niespodziewanym spotkaniu w zatoce, kiedy był jeszcze chłopcem. Dziesięć, dwanaście razy? Z pewnością nie więcej. Niełatwo dobrze wychowanym młodym dziewczynom wyrwać się spod czujnej opieki matek, służących i guwernantek. A on miał zawsze bardzo silne poczucie przyzwoitości - znacznie silniejsze niż ona. Często śmiała się z niego, kiedy denerwował się, co się stanie, jeśli ją złapią. Miała zwyczaj wyciągać spinki z włosów i rozpuszczać je na wietrze. Kiedy byli na plaży, zdejmowała buty i pończochy, i odrzuciwszy je na bok, biegła boso po piasku. W swojej naiwności prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy, jak działało

na niego jej zachowanie, jak bardzo jej wtedy pożądał. Przede wszystkim był jednak dobrze wychowanym młodym dżentelmenem. Kilka skradzionych pocałunków...

Nagle Nelson, wesoło ujadając, rzucił się w dół rzeki, jakby chciał kogoś powitać. To była Moira. Miała na sobie szary płaszcz i kapelusz i była zupełnie sama. Nabrał powietrza, aby krzyknąć na Nelsona, ale ten wcale nie miał zamiaru traktować jej jak nieprzyjaciela i wesoło merdał ogonem. Moira stała bez ruchu, ale kiedy pies zatrzymał się przed nią i zaczął trącać nosem jej dłoń, wyciągnęła rękę i pogłaskała go po łbie, po czym jej wzrok powędrował w górę, aby po chwili zatrzymać się na moście.

Nie wyszedł jej naprzeciw. Stał wciąż w tym samym miejscu i obserwował ją uważnie. Poruszała się z tym samym co zawsze wdziękiem, ale kiedy, dotarłszy do mostu, zatrzymała się, zauważył, że była śmiertelnie blada.

- Witaj, Moiro - powiedział.

- Milordzie. - Patrzyła na niego bez cienia uśmiechu.

- Złożyłem wizytę lady Hayes - rzekł. Uniosła brwi w milczeniu.

- Złożyłem kondolencje - dodał. - Jak zrozumiałem, sir Edwin Baillie stracił matkę niespełna tydzień temu.

- Zachorowała jeszcze przed świętami - odparła Moira. - Po Bożym Narodzeniu jej stan nagle się pogorszył. I chociaż sir Edwin spodziewał się tego, to jej śmierć bardzo go dotknęła. Jest bardzo przywiązany do rodziny.

- A ty? - zapytał. - Wciąż zamierzasz go poślubić?

- To moja sprawa, milordzie - odparła. - Moja i jego.

Wciąż stał z rękami opartymi na kamiennym murze mostu i przyglądał się jej z boku. Jej usta były blade, jakby nie było w nich kropli krwi.

- Jesteś chora - powiedział.

- Nie do tego stopnia, żeby, z powodu niepogody, siedzieć w domu - rzekła. - Na szczęście, wiosna już za progiem.

Jego wzrok uważnie przesunął się wzdłuż jej ciała. Poza tym, że zmizerniała, nie zauważył niczego szczególnego. Mimo to jednak zapytał:

- Czy jesteś w ciąży, Moiro? Podniosła gwałtownie głowę.

- Oczywiście, że nie - zachnęła się. - Cóż to za absurdalny pomysł.

- Absurdalny? Nigdy ci nie mówiono o kwiatkach i motylkach?

- Jeśli wciąż się martwisz, że zostaniesz wezwany do złożenia najwyższej ofiary - zakpiła - to mogę cię uspokoić. Nie jestem w ciąży. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Możesz się rzucić w pogoń za panną Wishart i jak najszybciej się jej

oświadczyć. Podejrzewam, że jeśli to jeszcze nie nastąpiło, to jedynie z mojego powodu. Na co więc czekasz? Wiosna to podobno najlepsza pora do zaślubin.

- Będę o tym pamiętał - rzekł. - Co za ulga wiedzieć, że mam twoje błogosławieństwo.

Stali jeszcze chwilę, patrząc na siebie, podczas gdy Nelson przebiegł przez most i zatrzymał się przy jego koniu, który spokojnie skubał trawę przy brzegu.

- Życzę miłego dnia, milordzie - powiedziała w końcu.

- Miłego dnia, panno Hayes.

Moira ruszyła w swoją stronę, a on wciąż stał, w zadumie patrząc na płynącą w dole wodę. Czekał, aż poczuje ulgę. Niepewność i lęk przez cały miesiąc tkwiły gdzieś głęboko w jego podświadomości. Teraz nie czuł nic. Zawsze - prawie zawsze - starał się robić to, co słuszne i właściwe. Przyjaźnił się z Seanem wbrew woli ojca, to prawda, ale zerwał przyjaźń, gdy postępowanie Seana uznał za nieodpowiedzialne. Przychodził na umówione spotkania z Moirą, chociaż była panną z dobrego domu i nazywała się Hayes, nigdy jednak nie nakłaniał jej do niczego, co wykraczałoby poza niewinne pocałunki. Chciał poddać próbie swą miłość do niej, wyznać ją i zapewnić, że chce ją poślubić. W imię starej przyjaźni przymykał oko na przestępczą działalność Seana, przekonując go, że przemyt w rejonie Tawmouth nie ma racji bytu. Dopiero gdy odkrył, że Sean flirtuje z Helen, wkroczył do akcji. Może zrobił źle? Postąpił jednak zgodnie ze swoim sumieniem i w trakcie procesu dowiedział się o Moirze rzeczy, o których wolałby nie wiedzieć. Długo nie mógł się po tym pozbierać.

Chociaż wiedział, że Moira nie nosi jego dziecka, nie odczuwał żadnej ulgi. „Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań” - powiedziała pewnym głosem, jednak Kenneth nie potrafił jej uwierzyć, chociaż tak bardzo tego pragnął. Uwiódł ją, ale ona nie pozwoliła, aby uratował swoje sumienie.

Jakże bardzo żałował teraz, że dawno temu, kiedy był młodym chłopcem, pewnego dnia poszedł do tej zatoki na plażę, żeby podumać w samotności. Gdyby się wówczas nie spotkali, jego życie potoczyłoby się zapewne zupełnie inaczej.

Roześmiał się gorzko i po chwili ruszył w stronę urwistego brzegu rzeki i pasącego się tam konia. Cóż za absurdalny pomysł. „Cóż za absurdalny pomysł”, powiedziała parę minut temu. Czy to, co się między nimi wydarzyło, nie miało dla niej żadnego znaczenia? Jakby to, że jego nasienie mogło wydać w niej owoc, było czymś zupełnie niemożliwym.

Zastanawiał się, jak w ciągu najbliższych tygodni i miesięcy upora się z ciężarem przytłaczającej go winy.

* * *

Dlaczego zaprzeczyła? - idąc doliną w kierunku Penwith Manor, Moira po raz kolejny zadawała sobie to pytanie. Mogła mu wreszcie wyznać prawdę. „Czy jesteś w ciąży, Moiro?”
Dlaczego zaprzeczyła?

Czyżby sobie wyobrażała, że nie mówiąc o tym głośno, sprawi, że problem zniknie? Kiedy mama chciała wezwać doktora Rydera, Moira przekonała ją, że jej złe samopoczucie to jedynie wina utrzymującej się od początku miesiąca fatalnej pogody. W ubiegłym tygodniu, kiedy dotarła do nich wiadomość o śmierci pani Baillie, matka nie dziwiła się, że Moira jest blada i nie ma apetytu. Tymczasem Moira wymyślała dziesiątki powodów swojej niedyspozycji, jednego tylko nie chciała przyjąć do wiadomości.

Od pewnego czasu - a być może nawet od początku - wiedziała, dlaczego wciąż jest blada.

Powinna była mu powiedzieć.

Zapytał ją wprost, bez owijania w bawełnę, a ona zaprzeczyła.

Powinna była napisać do sir Edwina.

Sir Edwin napisał właśnie do Moiry długi, pompatyczny list i w górnolotnych słowach wyrażał żal, iż nie ma jej przy nim.

Musi powiedzieć mamie.

Jutro.

- Jutro, jutro, ciągle jutro - mruknęła.

To jakiś cytat. Pope? Szekspir? Milton? Nie mogła sobie przypomnieć. W końcu jakie to miało znaczenie.

Jutro załatwi wszystko - porozmawia z mamą, napisze do sir Edwina, pošle po Kennetha...

Jednak jutro obiecała wybrać się z Harriet do złożonej chorobą panny Pitt.

* * *

Lord Pelham i Gascoigne zjawili się w Kornwalii w marcu, żeby spędzić trochę czasu z przyjacielem. Rex Adams, wicehrabia Rawleigh, nie przyjechał wraz z nimi, ponieważ nie tak dawno spędził z nimi trochę czasu najpierw w Stratton Park, a potem w Bodley House w Derbyshire, u brata - bliźniaka Reksa.

- Wyjeżdżaliśmy stamtąd w pośpiechu - wyjaśniał lord Pelham, chichocząc, gdy trzej przyjaciele po raz pierwszy spędzali razem wieczór w Dunbarton. Wciąż siedzieli w jadalni, popijając porto, chociaż od kolacji minęło kilka godzin i jedzenie dawno już zostało uprzątnięte. - Powodu możesz się łatwo domyślić.

- Kobieta? - Kenneth uniósł brwi.

- Kobieta - potwierdził Gascoigne. - Prawdziwa ślicznotka, Ken. I do tego wdowa. Niestety, z tego, co zdołaliśmy zauważyć, jedyna ślicznotka w całym Derbyshire.

- Mam rozumieć - rzekł Kenneth, śmiejąc się głośno - że nie zwracała na ciebie uwagi, Nat? Bardziej podobał jej się Eden czy Rex?

- Wyobraź sobie, iż żaden z nas - odparł, udając przygnębienie. - Chociaż, prawda jest taka, że Nat i ja nie mieliśmy nawet szansy, żeby wypróbować na niej nasz urok. Wpadła w oko Reksowi i uprzedził nas, żebyśmy nie posuwali się za daleko. Podejrzewamy, że go po prostu pogoniła.

- Reksa? - Kenneth wciąż śmiał się od ucha do ucha. Jak cudownie być znowu z przyjaciółmi. - To musiał być ciężki cios dla jego dumy. Nie pamiętam, żeby jakaś kobieta zagrała mu na nosie.

- Opuścił Bodley w popłochu - dodał Gascoigne - ciągnąc nas za sobą. Pani Adams, żona jego brata, musiała dostać apopleksji, kiedy zorientowała się, że Rex wyjechał. Ma siostrę w odpowiednim do małżeństwa wieku i miała względem niego określone zamiary.

- Jednak nie chciał przyjechać tu z nami - powiedział lord Pelham. - Wrócił do swojego domu w Stratton, jak zbity kundel, który zaszywa się w budzie, by wylizać rany. Wiele bym dał, żeby móc podsłuchać jego ostatnią rozmowę z rozkoszną, lecz niewątpliwie cnotliwą, panią Winters.

Wszyscy trzech ponownie wybuchnęli śmiechem, chociaż nie dlatego, iż nie było im żal przyjaciela. Przez osiem lat razem walczyli, razem się bawili i wspierali nawzajem. Każdy miewał przygody z kobietami, odnosząc na ogół sukcesy, ale zdarzały się również porażki. Nigdy jednak nie pozwalali, aby którykolwiek z nich popadał z tego powodu w depresję; tak długo z niego kpili i tak długo mu wymyślali, aż w końcu opuszczała go chandra i marzył jedynie o rewanżu.

- Właściwie dobrze zrobił, że wrócił do domu - rzekł lord Pelham. - Wyglądał jak przywiązany do słupa niedźwiedź. To ciężki przypadek choroby z pożądania. Nie byłby dobrym kompanem, nie uważasz, Nat?

Po chwili zmienili temat i Nat i Gascoigne zaczęli domagać się, aby Kenneth zdał im relację ze wszystkiego, co robił od chwili przyjazdu na wieś. Z początku nie chcieli wierzyć, że pędził tak spokojne życie, ale Kenneth uparcie powtarzał, iż tak właśnie było. Zaczęli mu więc podsuwać różne pomysły, jedne bardziej skandaliczne od drugich, aż w końcu wszyscy trzech znowu ryknęli śmiechem.

- Koniec z fantazjowaniem - rzekł wreszcie lord Pelham. - Powiedz, Ken, jakie masz

dla nas rozrywki? Poza piękną okolicą, konną jazdą, polowaniem i zasobną w wino piwniczką? Co masz zamiar zorganizować dla swoich kumpli?

- Najchętniej coś młodego, ładnego i żeńskiego - dodał Gascoigne.

- W okolicy mieszkają normalne ziemiańskie rodziny i prawie każda ma córki na wydaniu.

- Na Jowisza! - zawołał lord Pelham. - Po tygodniach spędzonych w Bodley to brzmi jak biblijna manna na pustyni, Ken.

- Te panny i ich matki wpadną w zachwyty, kiedy dotrze do nich wiadomość o waszym przyjeździe. Jak długo tu jesteście? Cztery godziny? Pięć? Zapewniam was, że w promieniu dziesięciu mil od Dunbarton wszyscy już o tym wiedzą. Zobaczycie, jak szybko zaczną napływać zaproszenia.

- Fantastycznie - ucieszył się Gascoigne. - A ty, Ken, nie znalazłeś nikogo, kto przypadłby ci do gustu? Chyba kłamie, jak myślisz, Ed?

- Myślę, że kłamie, Nat - odrzekł lord Pelham. - Jednak my odkryjemy prawdę. Będziemy obserwować, na widok której damy jego oczy nabiorą szczególnego blasku.

- I do której nie pozwoli nam się zbliżyć - dodał Gascoigne. - Z pewnością będzie najpiękniejsza. Już jestem podekscytowany, Eden.

Lord Pelham uśmiechnął się szeroko.

- Napijmy się jeszcze po szklaneczce porto - rzekł.

W ciągu dwóch miesięcy, które minęły od ich spotkania na drodze do Tawmouth, Moira bardzo rzadko widywała Kennetha. Kilka razy skinęli sobie głowami w kościele, wymienili uprzejmości na ulicy, gdy Moira szła w towarzystwie Harriet, porozmawiali chwilę o pogodzie u Meesonów, gdy Moira kończyła wizytę, a on właśnie przyszedł, a kiedy pewnego dnia spacerowali na szczycie kamiennego urwiska, specjalnie zmienili kierunek, żeby minąć się w takiej odległości, która ograniczyłaby ich kontakt jedynie do skinienia głową.

Zdecydowanie mniej szczęścia miała podczas towarzyskiego spotkania w domu państwa Trevellasów, w którym lady Hayes bardzo chciała uczestniczyć. Kiedy tylko weszły do salonu, natychmiast przekazano im nowinę, od której huczało całe Tawmouth. Hrabia Haveford miał w Dunbarton dwóch nowych gości, młodych majątnych dżentelmenów. Jeden z nich jest nawet baronem, mówiła do lady Hayes podekscytowana pani Trevellas, chociaż podobno ten drugi, który nie ma tytułu, jest równie ustosunkowany i równie majątny.

- Zostali zaproszeni na nasze spotkanie i powiedzieli, że przyjdą z przyjemnością - powiedziała z uśmiechem Harriet Lincoln, biorąc Moirę pod rękę i prowadząc ją w kierunku dwóch foteli stojących z dala od tłumu gości otaczających zadowolonego z siebie pana Trevellas. - Czeku nas chyba niezła zabawa, nie sądzisz? Jakie to szczęście, że Grimshawowie wrócili do domu po czteromiesięcznej nieobecności, i że przywieźli ze sobą swoje cztery córki. Przypuszczam, że pani Grimshaw już planuje podwójne wesele. Marzy, oczywiście, o potrójnym, chociaż z jej zachowania wynika, iż sama uważa, że nasz hrabia jest poza jej zasięgiem. - Roześmiała się.

- Najstarsza z panien Grimshaw wyrosła na bardzo ładną dziewczynę - zauważyła Moira. - Poza tym trzeba przyznać, że ma ujmujące maniery.

- Spodziewam się, że będzie wesoło - dodała Harriet. - Szczególnie że Edgar Meeson, który także wyrósł na przystojnego młodego człowieka, najwyraźniej jest zainteresowany najstarszą z panien Grimshaw. Będziemy tu sobie siedziały, przyglądały się i dobrze bawiły kosztem innych. Podobno to bardzo przystojni dżentelmeni, ale jeśli będą się zachowywali przyzwoicie, jeśli będą sympatyczni i okażą zainteresowanie pannami na wydaniu, jutro rano zostaną uznani za najprzystojniejszych mężczyzn na świecie. Możesz mi wierzyć.

- Hrabia Haveford pewnie również przyjdzie?

- Naturalnie - potwierdziła Harriet. - My jednak nie będziemy się nim zajmowały. Jest

zbyt wysoko skoligacony, aby w tym zakątku świata mógł być przy robieniu planów matrymonialnych brany pod uwagę. Śmiem twierdzić, iż pewnego dnia wyjedzie do Londynu i przywiezie stamtąd jakąś nadętą hrabinę, przy której będziemy się czuli tak, jak przy jego matce w czasie świąt Bożego Narodzenia.

- Być może pannę Wishart... - powiedziała Moira.

- Och, nie sądzę. Sama wiesz, że nie okazywał jej zbyt dużego zainteresowania. Na balu w Dunbarton tańczył z tobą tak samo często jak z nią. Jak myślisz, dziś wieczorem też będą tańce? Nie wątpię, że ktoś to proponuje. Poza tym, jak młodzi przystojni ludzie mogliby tracić czas na wieczór bez tańców? Jednak ty i ja, Moiro, będziemy tu siedziały, jak stateczne matrony i obserwowały. Nie będziesz tańczyła, prawda? Od Bożego Narodzenia wyraźnie zapadłaś na zdrowiu. Mój mąż powiedział, że kiedy cię zobaczył w kościele, ledwo cię poznał.

- Teraz, kiedy wreszcie przyszła wiosna, czuję się już znacznie lepiej - zapewniła ją Moira.

* * *

W ciągu minionych dwóch miesięcy Moira setki razy powtarzała sobie, że musi wreszcie napisać do sir Edwina, porozmawiać z matką, zawiadomić Kennetha. Lecz mijały dni, a ona nie czuła się na siłach zrobić żadnej z tych rzeczy, a im dłużej zwlekała, tym trudniej było jej zmusić się do działania. Zachowywała się tak, jakby problem miał zniknąć, jeśli tylko przestanie go dostrzegać. Przez trzy miesiące nie było nawet jednego dnia, kiedy mogłaby powiedzieć, że czuje się dobrze. Widziała, że jej matka martwi się o nią, a doktor Ryder, który w końcu został wezwany do Penwith, był wyraźnie zakłopotany podanymi przez i nią objawami, chociaż nie ośmielił się sformułować oczywistych konkluzji i przepisał jedynie łagodny środek uspokajający. Moira była jednak przekonana, że kiedy wreszcie zrzuci z siebie ciężar i zrobi to, co powinna, zaraz poczuje się lepiej. A poza tym czas płynął i już wkrótce nie będzie musiała nic mówić. Na myśl o tym, że prawda wyjdzie na jaw, wpadła w panikę.

Mimo to nie robiła nic.

- Och, Moiro - szepnęła Harriet, nachylając głowę do przyjaciółki - to zaczyna być coraz bardziej interesujące. Czy widziałas kiedykolwiek trzech tak przystojnych dżentelmenów jednocześnie? Nasz hrabia ma nad swoimi gośćmi przewagę, jeśli chodzi o wzrost - no i te jego jasne włosy - ale jeden z nich ma takie niebieskie oczy - nigdy nie byłam w stanie oprzeć się niebieskim oczom - a ten drugi ma zniewalający uśmiech.

Jednak Moira nie zwracała uwagi na dwóch obcych dżentelmenów, widziała jedynie Kennetha i traciła nadzieję, że kiedykolwiek z nim porozmawia. Czuła się nieciekawa, brzydka i stara, i nienawidziła siebie za to, że tak się czuła. Nigdy nie zdobędzie się na to, żeby pójść do Dunbarton, czekać na niego w salonie, gdzie jeszcze tak niedawno siedziała z sir Edwinem i powiedzieć mu prawdę. Coraz częściej miała wrażenie, że tamtej nocy, tak naprawdę nic się nie wydarzyło, co zważywszy na jej stan, było zupełnie niedorzeczne.

Kenneth rozmawiał z panią Trevellas, podczas gdy pan Trevellas przedstawiał gościom jego przyjaciół. Kenneth przez cały czas rozglądał się dookoła i Moira zauważyła, że jego spojrzenie na ułamek sekundy zatrzymało się na jej matce, następnie powędrowało dalej. Po chwili prześliznęło się po niej, hrabia zmarszczył brwi, jakby czymś zaskoczony, i przeniósł wzrok na drugi koniec sali.

Nie powinna była zakładać sukni w smutnym kolorze morwy, pomyślała Moira. Nigdy jej nie lubiła. Miała ją na sobie trzy, może cztery razy i zawsze chodziła w niej wyłącznie po domu. Dziś, kiedy ją wkładała, uznała, że bardzo pasuje do jej nastroju. Wiedziała, że wygląda o wiele gorzej niż zwykle, ale w tej chwili nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Pan Trevellas zatrzymał się przed nią i Harriet i przedstawił im lorda Pelhama, dżentelmena z nieprawdopodobnie niebieskimi oczami, i pana Gascoigne, tego z urzekającym uśmiechem. Tak, pomyślała Moira z lekką nutką goryczy, kiedy panowie odeszli po krótkiej wymianie grzeczności, mogli być przyjaciółmi Kennetha; dorównywali mu bowiem prezencją i dobrymi manierami.

- Wydaje mi się, że pan Gascoigne musi być miłym dżentelmenem, natomiast lord Pelham wygląda na uwodziciela, nie sądzisz, Moiro? - zapytała Harriet.

- Czasem miły uśmiech może być tak samo uwodzicielski jak niebieskie oczy - odparła Moira. - A jasne włosy i jasnoszare oczy jeszcze bardziej.

Szybko okazało się, że Harriet miała rację. Państwo Trevellas, do czasu aż podadzą kolację, najchętniej posadziliby gości do kart lub zajęli ich miłą rozmową, ale młodzież miała zupełnie inny pomysł. I to właśnie najmłodsza z panien Grimshaw odważyła się poprosić, żeby ktoś zagrał na fortepianie gigę, skoczny ludowy taniec, i chwyciwszy za rękę młodego Henry'ego Meesona, wyciągnęła go na środek.

- Panno Pitt, proszę dla nas zagrać - prosiła z promiennym uśmiechem. - Umrę, jeśli zaraz nie zatańczymy.

Panna Pitt wciąż jeszcze była osłabiona po długotrwałej chorobie, która trzymała ją w łóżku przez prawie miesiąc. Sytuację uratowała Moira; odpowiadało jej przeniesienie się w

odległy kąt salonu, gdzie będzie mogła zaszyć się już do końca wieczoru.

- Chętnie zagram, panno Pitt - powiedziała. - Proszę zostać przy kominku i cieszyć się tańcem.

- Och, droga panno Hayes, jak to miło z pani strony - zawołała uradowana panna Pitt.
- Pani, oczywiście, nie ma ochoty tańczyć pod nieobecność drogiego sir Edwina Baillie.

Najstarsza z panien Grimshaw i panna Penallen również zaprosiły kawalerów do tańca, a Moira usiadła do fortepianu i zaczęła grać. Dwaj dżentelmeni z Dunbarton również ruszyli do tańca z miejscowymi pannami. Jedynie Kenneth stał i obserwował zgromadzonych w salonie gości. Przez jakiś czas dotrzymywał mu towarzystwa wielebny Finley - Evans, ale w pewnej chwili Moira zauważyła, że pastor pochyla się nad panną Pitt i zadrżała. Czowała, co teraz nastąpi.

Kenneth zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku fortepianu. Zatrzymał się tuż przed Moirą i patrzył na nią w milczeniu.

Moira usiłowała skupić się na grze. Kenneth stał na tyle blisko, że mogli spokojnie porozmawiać, bez obawy, że ktoś ich usłyszy. To, co miała mu do powiedzenia, zajmie niewiele czasu. Zaledwie tyle, ile potrzeba na wypowiedzenie jednego zdania. Tylko jednego.

Zrobi to, postanowiła. Zanim straci odwagę. Taniec prawie już dobiegł końca.

Czowała, jak wilgotnieją jej dłonie.

* * *

Kenneth był przerażony jej wyglądem. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy widział ją kilka razy i nawet kiedyś zamienił z nią parę zdawkowych słów i za każdym razem była niezmiernie blada i przygnębiona, ale teraz, gdy miał okazję bliżej się jej przyjrzeć, był przerażony zmianami, jakie w niej zauważył. Kiedy zaczął się za nią rozglądać po pokoju, w pierwszej chwili, nie poznawszy jej, prześliznął się po niej wzrokiem.

Włosy miała gładko uczesane i nic nie łagodziło surowego wyglądu jej twarzy, która, jeśli nie liczyć niebieskich cieni pod oczami, była chorobliwie biała. Zapadnięte policzki sprawiały, że twarz wyglądała na bardziej pociągłą i szczuplejszą, a wrażenie bladości pogłębiała jeszcze ciemna suknia. Zupełnie straciła swój poprzedni wygląd. Gdyby nie znał jej przedtem i tego wieczoru zobaczył ją po raz pierwszy, uznałby, że jest brzydka i że ma znacznie więcej niż dwadzieścia sześć lat.

Zawsze była szczupła, ale kiedy szła do fortepianu, Kenneth pomyślał, że jest przeraźliwie chuda. Od pierwszej chwili, kiedy się tu zjawił, starał się być towarzyski i dobrze się bawić. Rozmawiał z gospodarzem i paniami, śmiał się i dowcipkował, nie mógł

jednak przestać myśleć o Moirze. Właściwie nie mógł przestać o niej myśleć już od trzech miesięcy, ale tego wieczoru poczucie winy i związana z tym frustracja, wróciły ze zdwojoną siłą. Musi z nią porozmawiać.

Gra bardzo dobrze, pomyślał, idąc w jej kierunku. Zatrzymał się blisko fortepianu i odwrócony tyłem do salonu przez jakiś czas obserwował ją w milczeniu. To dziwne, że jeszcze nigdy nie słyszał, jak gra, chociaż pamiętał, że już jako młoda dziewczyna kochała muzykę. Grała z pamięci; na stojącej przed nią podpórce nie było żadnych nut.

Czekał, aż skończy się taniec. Kiedy wybrzmiały akordy, rozległy się wybuchy śmiechu i podekscytowane głosy. Moira podniosła głowę i spojrzała na niego. Jak dobrze znał tę zaciętość, która malowała się na jej twarzy. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć.

Nie, tym razem nie pozwoli zbyć się byle czym.

- Czy to przeze mnie, Moiro? - zapytał cicho. Znieruchomiała i już nie miała odwagi wyznać tego, co zamierzała.

- Uniknęłaś najgorszej konsekwencji tamtej nocy - rzekł. - Przynajmniej tak mi powiedziałaś pod koniec stycznia. Najwyraźniej nie potrafisz pozbyć się poczucia winy. I to właśnie sprawia, że cierpisz.

Jakie niesprawiedliwe jest życie dla kobiet, pomyślał. Wątpił, czy nawet gdyby chciał, mógłby przypomnieć sobie, z iloma kobietami spał. Kobięcie natomiast, nawet jeden mężczyzna, jeśli nie jest jej mężem, może zrujnować życie. Pomimo to Moira, przez swój upór, nie chce go poślubić. Jej nienawiść do niego jest silniejsza niż zdrowy rozsądek.

Przynajmniej raz nie miała nic do powiedzenia. Zmarszczyła tylko czoło i patrzyła na niego udręczonymi oczami.

- Nie chcesz dziś tańczyć, ponieważ nie ma tu sir Edwina - dodał, powtarzając to, co panna Pitt powiedziała już wcześniej. - Tak więc wciąż jesteś z nim zaręczona? Nie dotarło być może do mnie, że naprawdę chcesz go poślubić. Proszę zatem, żebyś mi wybaczyła wszystko, co o nim powiedziałem, a co mogło cię zranić.

Zmarszczka na jej czole pogłębiła się.

- To bardzo prawdopodobne, że on nigdy nie zorientuje się, jaka jest prawda. I być może to, że nie wyznasz wszystkiego przed ślubem, wcale nie będzie nieuczciwe. Przecież, tak naprawdę, wcale go nie zdradziłaś. Nie w twoim sercu. Poza tym, ode mnie na pewno się o tym nie dowie. Nikt się nie dowie. Jeśli ty nie powiedziałaś o tym nikomu, a jak' sędzę, tak właśnie jest, to tylko my dwoje znamy prawdę.

Otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć, ale przesunęła jedynie koniuszkiem języka po górnej wardze.

- Nie musisz tak tego przeżywać, Moiro. To nie było nic złego. Nic, co powinno doprowadzić cię do takiego stanu. Najwyższy czas, żebyś o tym zapomniała. Ja zapomniałem już dawno.

Uśmiechnęła się. Tylko w jej oczach pozostał wciąż ten sam chłód.

- Naprawdę, milordzie? Nie pojmuję tylko, co właściwie miał pan na myśli? O czym pan zapomniał? A co do mojego stanu - przeziębiam się, kiedy nastają chłody i jeszcze nie zdążyłam wrócić do zdrowia. Mam nadzieję, że wraz z nadejściem wiosny od razu poczuję się lepiej.

Nie powinien był mówić, że zapomniał. To było okrutne i niedelikatne. Słyszał w jej głosie złość, lecz on również był zły. Gdyby tylko dotarło do niej, że powinni się pobrać, byłiby małżeństwem już od trzech miesięcy, a on nie musiałby żyć z dręczącym poczuciem winy.

- Proszę o wybaczenie, madam - powiedział, kłaniając się sztywno i wrócił do gości w salonie. W tej samej chwili tancerze, którzy uformowali już dwuszereg z paniami zwróconymi twarzą do swoich partnerów, zaczęli głośno domagać się, żeby panna Hayes zagrała jeszcze jakiś ludowy taniec.

* * *

- Zapomniałem już - przyznał Gascoigne - jakie wesołe są przyjęcia na prowincji. I jakie śliczne i żywiołowe potrafią być dziewczyny.

- Najstarsza panna Grimshaw jest, jak dotąd, najpiękniejsza - powiedział lord Pelham.

- A propos, Natanie, czy zauważyłeś, że ten rudowłosy, młody dżentelmen miał ochotę wpakować ci kulkę w łeb za każdym razem, gdy prosiłeś ją do tańca lub wciągałeś do rozmowy o kapeluszach?

- Panna Sara Grimshaw jest rzeczywiście milutka - przyznał Gascoigne. - Jednak to jeszcze dziecko. Naprawdę masz zamiar zorganizować bal w Dunbarton, Ken?

Kenneth wzruszył ramionami.

- Zgodziłem się, gdy mnie o to zapytała. Pewnie będę musiał dotrzymać obietnicy.

- Z niczym się nie zdradziłeś, Ken - rzekł Gascoigne, gdy wracali do Dunbarton. - Czyżbyś rzeczywiście nie był zainteresowany żadną młodą damą? A może chciałeś jedynie wprowadzić nas w błąd przez ignorowanie tej, która jest najbliższa twemu sercu?

Gascoigne zachichotał.

- Był dziś bardzo ostrożny, Ed - powiedział. - Zamiast tańczyć z jakąś młodą dziewczyną, pomaszerował do kąta, do pianistki i słuchał, jak gra. Gdyby była młoda i

ładna...

- To blade straszidło? - zdziwił się lord Pelham. - Uważaj, Nat. Ja myślę, że to właśnie ona. Być może znudziły go już młode, pulchne ślicznotki.

- Jesteś niewychowany, Ed - zwrócił mu uwagę Gascoigne. - Być może ta dama ma suchoty.

- A zatem, skoro być może, nasz Ken zapalał namiętnością... - zaczął lord Pelham.

- Może byś tak zamknął dziób, Eden - powiedział spokojnie Kenneth.

Twarz lorda Pelhama wykrzywiła się teatralnie.

- Czuję w powietrzu pojedynek, Nat. Chyba dotknąłem go do żywego. On naprawdę zapalał namiętnością do tego stracha na wróble, ale ona nim wzgardziła. Czeka na księcia.

- Uważam, Ed - wtrącił Gascoigne - że Ken poczuł się dotknięty tym, jak się wyrażasz o kimś, kto mieszka w jego sąsiedztwie. Mógłbym się założyć, że ta dama naprawdę ma suchoty. Cóż ona temu winna, że ma tyle lat, że jest chuda i że tak nieciekawie wygląda.

- Chcę powiedzieć - odezwał się lord Pelham poważnym tonem, prostując się na siedzeniu - że nie chciałem cię dotknąć, Ken. Wybacz, stary.

Kenneth uśmiechnął się.

- Zrozumiałem - rzekł - że panny Grimshaw chcą wam pokazać plażę i nabrzeże. Podejrzewam, iż niepotrzebne wam moje towarzystwo. Każdy z was będzie miał dwie, po jednej z każdej strony.

- Jeśli o mnie chodzi, Ken - wtrącił lord Pelham - to wolałbym tylko jedną i tylko z jednej strony, jeśli będą tam jakieś zatoczki, jakieś grotty czy zaciszne kąciaki.

- Trzeba mieć tylko nadzieję, że jutro będzie piękna pogoda.

- Jutro - mruknął Kenneth - napiszę do Reksa. Jeśli już musi leczyć tę swoją zranioną dumę, równie dobrze może to robić w Dunbarton.

* * *

Jednak pomysł ściągnięcia wicehrabiego Rawleigh do Kornwalii umarł prawie tak samo szybko, jak się narodził. Zaledwie parę dni po przyjeździe przyjaciół i zanim można było spodziewać się odpowiedzi na list Kennetha, do Dunbarton przyszedł list adresowany do wszystkich trzech. Rex już po jednym dniu spędzonym w Stratton wrócił do Derbyshire i w ciągu tygodnia miał poślubić panią Winters. Zamierzał zabrać swoją żonę do Stratton i miał nadzieję, że jego przyjaciele zechcą go tam odwiedzić.

Wszyscy trzej kolejno przeczytali list, po czym spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Rex miał zamiar się ożenić? Właściwie do tego czasu już pewnie się ożenił. Z kobietą, która

dopiero co odrzuciła jego awanse i sprawiła, że w popłochu umykał do Stratton?

- W tym musi być jakaś tajemnica - zauważył Kenneth. - Niezwykle intrygująca tajemnica.

- Do licha! - zawołał lord Pelham - musiał ją chyba uwieść i dlatego był zmuszony wrócić i zachować się przyzwoicie. Podejrzewam, że stało się tak na skutek nacisków Claude'a, który bez wątpienia jest człowiekiem o wiele bardziej statecznym niż jego brat.

- Claude'owi na pewno to się nie spodobało - rzekł Gascoigne.

- Reksowi również - dodał z poważną miną lord Pelham. - Nie sądzę, żeby myślał o małżeństwie, kiedy się za nią uganiał.

- Pani Winters, jak sądzę, również - dodał Gascoigne. - Prawdopodobnie nie jest już panią Winters, lecz wicehrabiną Rawleigh. Do diabła! Stary Rex żonaty!

- Jeśli jest prawdą - powiedział cicho Kenneth - że zmusił go do tego honor, to nie będzie szczęśliwy. Jednak lepiej, że tak się stało, niż gdyby miała mu zabronić spełnienia obowiązku. Przynajmniej zachował się jak dżentelmen.

- Nie znam kobiety, która odrzuciłaby mężczyznę, jeśli ten by ją uwiódł - zauważył lord Pelham. - Prawdopodobnie jego honor jeszcze nigdy nie był w takim niebezpieczeństwie. Jedziemy do Stratton?

- Tak szybko? - zaprotestował Gascoigne. - Dopiero co tu przyjechaliśmy. Zresztą w przysłym tygodniu Ken zaplanował bal.

- Można go przełożyć. Poza tym rozpira mnie ciekawość. Nigdy nie widziałem tej damy.

- Żaden z nas nie wie tak naprawdę, co kryje się za tym pospiesznym ślubem - wtrącił lord Pelham.

- No i, co nie jest chyba bez znaczenia - dodał Gascoigne z uśmiechem - Rex może potrzebować duchowego wsparcia. Chyba nie możemy sprawić mu zawodu?

Pojechali więc. Kenneth umierał z niecierpliwości, tak pragnął zobaczyć się ze świeżo ożenionym przyjacielem i życzyć mu szczęścia, jeśli szczęście w małżeństwie zawartym tak niespodziewanie jest w ogóle możliwe. Zdecydował się wyjechać, ponieważ ani ciężka praca, ani życie towarzyskie, a nawet tydzień spędzony w towarzystwie przyjaciół nie potrafiły podnieść go na duchu i uwolnić od wciąż dręczącego go poczucia winy.

I od złości. Był na nią zły, nawet wściekły. Jeśli poczucie winy dręczyło ją tak samo jak jego, to dlaczego, do licha, nie zgodziła się na ślub? Jeśli nie chciała wyjść za niego, jeśli trwała w zamiarze poślubienia sir Edwina, to dlaczego nie chciała walczyć, aby uwolnić się od wspomnień? To wszystko było zupełnie do Moiry niepodobne. Był wściekły, ponieważ do

poczucia winy za to, co się stało, doszły jeszcze wyrzuty sumienia, jakie obudził w nim stan jej zdrowia. A przecież starał się zachować twarz. Prawie zazdrościł Reksowi.

Zdecydował się wyjechać, ponieważ wierzył, że jego nieobecność pomoże jej zapomnieć. Prawdopodobnie nie mogła poślubić sir Edwina z powodu żałoby po śmierci jego matki, ale może przecież snuć plany na swoją przyszłość i starać się zapomnieć o niefortunnym incydencie, który tak skomplikował jej życie. Ale jak to możliwe, żeby była szczęśliwa z takim osłem, jak Baillie? Czy to jednak jego sprawa? Jeśli wyjedzie i już nie wróci, być może w ten sposób uratuje ją i... siebie.

Pomyślał, że to niemożliwe, aby można było kogoś tak przeklinać i nienawidzić, jak on przeklinał i nienawidził Moirę Hayes.

W liście, który przyszedł do Penwith, sir Edwin Baillie wyraził nadzieję, że lady Hayes i panna Hayes zechcą uczynić jemu i jego drogim siostronom zaszczyt i zechcą spędzić z nimi parę tygodni z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych. Z niecierpliwością czekał na bardziej radosne wydarzenie, które doda wiosnie blasku, ale w tej chwili nie jest to, niestety, możliwe. Pomimo tego... List był długi i kończył się zapewnieniem, że sir Edwin wyśle, oczywiście, własny powóz i kilku zaufanych służących, którzy bezpiecznie dowiozą obydwie panie do jego skromnego domu, gdzie on i jego siostry będą oczekiwać ich przybycia z wielką radością.

- To bardzo ładnie z ich strony, że chcą nas przyjąć w tej tak trudnej dla nich sytuacji - powiedziała do córki lady Hayes. - Naprawdę w to wierzę, że on lubi ciebie, Moiro. A jego siostry z pewnością nie mogą się doczekać, żeby cię poznać, tym bardziej że jesteś ich daleką kuzynką.

- To bardzo miłe zaproszenie - przyznała Moira. Jednak jej matka spojrzała na nią z niepokojem.

- Chcesz więc jechać? - zapytała. - Wciąż jeszcze nie doszłaś do siebie, Moiro, pomimo zażywania tego leku, który przepisał ci doktor Ryder. Obawiam się, że tak daleka podróż będzie dla ciebie zbyt męcząca.

Moira wahała się, czy nie zapewnić matkę, że zmiana otoczenia i towarzystwo nowych krewnych to było właśnie to, czego w tej chwili najbardziej potrzebowała. Jednak szybko porzuciła tę myśl. Czas na kłamstwa i wymówki dawno minął, a dom sir Edwina był ostatnim miejscem na ziemi, w którym powinna szukać schronienia. Przez krótką chwilę pomyślała, że może lepiej będzie, jeśli pojedzie i porozmawia z nim w cztery oczy, ale to rozwiązanie również wydało się jej niewłaściwe. Uśmiechnęła się i wzięła od matki list.

- Za pozwoleniem, mamó - powiedziała - chciałabym sama odpisać sir Edwinowi. Będziesz mogła później moją odpowiedź przeczytać i zaaprobować, zanim zostanie wysłana. - Czuła, jak jej żołądek skręca się na tę myśl. Nie mogła się jednak wycofać. Nadszedł czas ostatecznych decyzji.

Moira wiedziała, że musi napisać niejeden, a dwa listy. Nie była na tyle odważna, by rozmówić się z Kennethem osobiście. Usiadła przy biurczku w małym salonie i napisała do obydwu panów. Kiedy skończyła, z niedowierzaniem spojrzała na zegar. Czyżby napisanie dwóch krótkich listów zajęło jej aż dwie godziny? Przez kolejne dwadzieścia minut zbierała

się na odwagę, po czym wstała i poszła poszukać matki.

Lady Hayes weszła właśnie do domu, niosąc naręczę kwiatów. Uśmiechnęła się do córki.

- Ta piękna wiosna w pełni wynagradza nam okropną zimę - zauważyła. - Wybierasz się do Tawmouth, aby wysłać list? Mam nadzieję, że spacer dobrze ci zrobi.

- Mamo - przerwała jej Moira - usiądź, proszę.

Lady Hayes z niepokojem spojrzała na córkę. Czuła, że coś jest nie w porządku. Usiadła i, wzięwszy do ręki list do sir Edwina, zaczęła go czytać.

- Och - powiedziała po chwili - widzę, że zrezygnowałaś z wyjazdu. To chyba dobra decyzja, moja droga. Mam tylko nadzieję, że sir Edwin nie będzie się czuł tym dotknięty. Wyjaśniłaś mu, że nie czujesz się najlepiej? Jestem pewna, że gdyby o tym wiedział, pierwszy namawiałby cię do pozostania w domu.

- Czytaj dalej - prosiła Moira.

Lady Hayes czytała w milczeniu, po czym opuściła list na kolana, starając się pozbierać myśli.

- Czy to rozsądne, Moiro? - zapytała. - Co będzie z nami?

- Nie wiem - odparła Moira. Podeszła do okna, ale chociaż patrzyła na rozciągający się za nim piękny widok, jej oczy nie widziały niczego.

- To było z mojej strony bardzo egoistyczne - powiedziała po chwili lady Hayes. - Moja przyszłość się tu nie liczy. Nigdy się nie łudziłam, że to małżeństwo da ci szczęście, ale powtarzałam sobie, że ten związek będzie przynajmniej przyzwoity i że zapewni ci przyszłość. Poza tym masz już dwadzieścia sześć lat.

- Chcesz powiedzieć, że jestem starą panną - odparła Moira, zagryzając wargę.

- Trzeba wziąć pod uwagę, że to może być ostatnia propozycja, jaką ci zrobiono - zauważyła lady Hayes. - Miałaś inne szansę i wszystkie odrzuciłaś. Ta naprawdę może być ostatnia, Moiro. Może dobrze by było, gdybyś przynajmniej pojechała do sir Edwina i z nim porozmawiała? A przy okazji poznała jego siostry? Być może dojdiesz do wniosku, że małżeństwo z nim jest, mimo wszystko, lepsze niż samotne życie bez żadnych perspektyw.

- Nie mogę, mamo - powiedziała cicho Moira. Trzymała w ręku jeszcze jeden list. Zdecydowała, że doręczy go osobiście po wysłaniu tego pierwszego. Prawdopodobnie otrzyma odpowiedź jutro, a może nawet jeszcze dziś wieczorem. Nie mogła się jednak przemóc, żeby powiedzieć matce prawdę. Kiedyś nigdy by nie uwierzyła, że może być takim tchórzem.

Lady Hayes westchnęła.

- Zerwanie formalnych zaręczyn przyniesie ci wstyd i kompromitację.

- Wiem.

- Wkrótce może się okazać, że nie jesteśmy już mile widziane przez naszych sąsiadów.

My. Mama, naturalnie, również to odczuje. W całej tej sytuacji to było najgorsze. Gdyby konsekwencje grzechu ponosił tylko grzesznik, łatwiej byłoby to znieść. Niestety, nie tylko ona będzie cierpieć. Pomyślała też o sir Edwinie, jego siostrach.

- Tak mi przykro, mamó - szepnęła Moira. - Nawet nie wiesz, jak bardzo. Jednak nie mogę poślubić sir Edwina.

Pół godziny później szła do Tawmouth doliną, która dosłownie tonęła w wiosennej zieleni. Rzeka lśniła i mieniła się w słońcu, a z porośniętych drzewami wzgórz rozlegały się śpiewy ptaków. Moira jednak zdawała się tego nie zauważać. Wkrótce obydwie listy dotrą do adresatów i stanie się to, co powinno się stać już dawno. Żałoba sir Edwina, czy przyjazd kolejnych gości do Dunbarton nie mogą już dłużej usprawiedliwiać odkładania decyzji.

Szczególnie ten ostatni wykręt wydawał się bez sensu. To przecież przybycie przyjaciół Kennetha prawdopodobnie skłoniło go do zjawienia się tydzień temu w domu pana Trevellas. Była wówczas zdecydowana z nim porozmawiać, jednak to on przemówił pierwszy. Był chłodny i pewny siebie. Zwrócił jej nawet uwagę, że robi problem z niczego, najwyraźniej zły, że jej widok przypomina mu o jego własnej winie.

„Uniknęłaś najgorszej konsekwencji tamtej nocy. Przynajmniej tak mi powiedziałaś pod koniec stycznia. To nie było nic złego. Nic, co mogłoby doprowadzić cię do takiego stanu. Najwyższy czas, żebyś o tym zapomniała. Ja zapomniałem już dawno”.

Znowu poczuła tamten ból i tamtą złość. Jej niemądra odpowiedź sprawiła, że odszedł, zanim zdążyła wyznać mu prawdę.

Tak więc, to, co zamierzała wtedy powiedzieć, musiała teraz napisać w liście. Nie powinna zważać na fakt, że w Dunbarton są goście. Ich obecność nie była żadnym usprawiedliwieniem dla odłożenia wizyty. Jeśli nawet spotka się z nimi twarzą w twarz, nie ma to dla niej żadnego znaczenia. Mogła, oczywiście, wysłać z listem któregoś ze służących, ale czuła, że musi to zrobić osobiście.

To był długi spacer. Wędrowała najpierw do Tawmouth, następnie w górę na szczyt klifu, a potem drogą prowadzącą do Dunbarton Hall. Kiedy tam wreszcie dotarła, słońce świeciło wysoko i było wyjątkowo ciepło, jak na tę porę roku. Jakże inaczej wyglądała ta droga teraz, pomyślała, idąc aleją dojazdową. Przypomniała sobie, jak szła wtedy zimą, i zadrżała.

Jego lordowskiej mości nie ma w domu, poinformował ją lokaj, otwierając drzwi. Moira wyjaśniła, że przyszła jedynie doręczyć hrabiemu Haveford list.

- Czy zechce pan dopilnować, żeby do niego dotarł? - zapytała, wyciągając do niego rękę, w której trzymała list. Serce biło jej tak mocno, że zastanawiała się, czy nie słyszy tego służący. Za chwilę list zostanie zabrany...

Nagle w holu pojawił się szef służby i lokaj odsunął się na bok. Majordomus uklonił się sztywno.

- Czy to jest zaproszenie, madam? - zapytał, z wyraźną dezaprobatą patrząc gdzieś poza nią, gdzie powinna stać jakaś towarzysząca jej osoba. - Jeśli tak, to muszę panią poinformować, że jego lordowska mość nie może go przyjąć. Jest poza domem.

- Poza domem? - zdziwiła się Moira. Popołudniowy wypad nie powinien przeszkodzić mi w przyjęciu jakichkolwiek zaproszeń.

- Jego lordowska mość wyjechał dziś rano do hrabstwa Kent na czas nieokreślony, madam - wyjaśnił służący. - Nie spodziewam się, żeby miał szybko wrócić.

Moira patrzyła na niego, jakby nie rozumiała jego słów. W wyciągniętej ręce wciąż trzymała list. Czuła, że zaczyna kręcić jej się w głowie.

- Może zechce pani na chwilę usiąść, madam? - zapytał majordomus, patrząc na nią z niepokojem.

- Nie. - Cofnęła rękę i uśmiechnęła się do niego. - Nie, dziękuję. Muszę już iść.

Szybko minęła podjazd i prawie nie zwalniając kroku, ruszyła w drogę powrotną do Penwith. Idąc stromą, biegnącą ku dolinie drogą, z determinacją odwracała głowę, aby nie widzieć górującego nad okolicą kamiennego baptysterium i malowniczego wodospadu.

* * *

Po tygodniu Moira powtórnie wybrała się do Dunbarton i poprosiła o rozmowę z rządcą hrabiego Haveford. Musiała czekać prawie pół godziny, ponieważ przebywał gdzieś poza domem i trudno go było znaleźć. Rządca był ogromnie zaskoczony zarówno jej nieoczekiwaną wizytą, jak i jej prośbą. Zgodził się jednak dołączyć jej list do sprawozdania, które w ciągu najbliższego tygodnia miał wysłać do jego lordowskiej mości.

A więc zrobione, pomyślała, idąc do domu. Nie czuła jednak ulgi. Przecież wciąż jeszcze nie powiedziała matce.

* * *

Kenneth odnalazł wreszcie lekarstwo, którego tak bardzo potrzebował. Tym lekarstwem okazały się cudze problemy. Wicehrabia Rawleigh wrócił do Stratton ze swoją

żoną tego samego dnia, gdy jego trzech przyjaciele mieli przybyć z Kornwalii. Młoda para oczekiwała na moście. Kenneth pochylił się do przodu i zastukał w dach, dając stangretowi znak, aby się zatrzymał, po czym ponownie usiadł, podczas gdy lord Pelham i Gascoigne wyskoczyli na zewnątrz przy akompaniamencie głośnych okrzyków powitania i wesołego szczekania małego pieska. Kenneth nie mógł się doczekać, żeby uściskać przyjaciela i poznać jego żonę, jednak tego, co się stało później, nie mógł sobie darować.

Już na początku popełnił niewybaczalny błąd. Wyskoczył z powozu, wziął w objęcia Reksa i złożywszy mu gratulacje, klepnął go w ramię, po czym odwrócił się do jego żony, która śmiała się z Natem i Edenem. Od pierwszej chwili nie miał wątpliwości, że ją zna. Spotkał ją sześć lat temu w Londynie, gdy przybył na rekonwalescencję. Tańczył z nią nawet raz czy dwa na jednym z licznych balów. Była córką Paxtona - hrabiego Paxtona.

- Coś takiego! Lady Katherine! - zawołał, zanim zdążył zauważyć w jej oczach najpierw szok, a później ogromną konsternację. W sekundę później tę samą konsternację ujrzał w oczach przyjaciół; i wtedy przypomniał sobie, że Eden i Nat nazywali ją panią Winters i mówili, iż jest wdową. Nigdy nie wspomnieli nawet, że jest córką Paxtona, lady Katherine Winsmore. Winters, Winsmore - to brzmi podobnie. Czyżby wyszła za męża, a potem owdowiała? Co robiła w Derbyshire? Czy mieszkała tam incognito? Czyżby jego przyjaciele - i Rex - nie wiedzieli, kim jest naprawdę?

Śmiech i głośnie rozmowy rozległy się znowu, ale Kenneth czuł, że popełnił błąd nie do naprawienia. Jego obawy potwierdziły się, gdy nieco później on, Natan i Eden zostali sami. Nie, naprawdę nic nie wiedzieli, zapewniali go, a z reakcji Reksa, jasno wynikało, że on nie wiedział również. Czyżby poślubił kobietę, nie wiedząc, kim jest? Poślubił ją, nie wiedząc, że sześć lat temu została skompromitowana przez związek z największym londyńskim hulaką i uwodzicielem? Krążyły nawet plotki, że była z nim w ciąży i pewnie była to prawda, ponieważ wkrótce potem nagle zniknęła. Kenneth dopiero teraz wszystko to sobie przypomniał. Za późno.

- Rex pewnie słyszał, jak ją nazwałem? - zapytał z cieniem nadziei w głosie, że jednak może było inaczej.

- Słyszał - potwierdził lord Pelham.

- I był tym najwyraźniej zaskoczony. - To wydawało się tak oczywiste, że nawet nie musiał o to pytać.

- Rex nigdy nie mógłby występować na scenie - zauważył Gascoigne. - Zupełnie nie potrafi udawać.

Mimo to przez resztę dnia grał całkiem nieźle, starając się przy żonie i gościach

zachowywać tak, jakby się nic nie stało. Żona Reksa, jak sobie przypominał Kenneth, była piękną i to, co wtedy najbardziej utkwiło mu w pamięci, to jej złociste włosy i orzechowe oczy.

Mimo opanowania Reksa, pomiędzy nim a jego żoną wyczuwało się trudne do zniesienia napięcie i przyjaciele zgodnie doszli do wniosku, że nie powinni dłużej bawić w Stratton. Najlepiej będzie, jeśli zostawią Reksa i jego żonę w spokoju, udając, że wpadli tylko na dzień lub dwa w drodze do Londynu.

Wyjechali po dwóch dniach, pomimo iż lord Rawleigh usilnie przekonywał ich, że zna przeszłość żony i nie jest dla niego zagadką. I wtedy zrozumieli, że, tak naprawdę, powiedziała mu o wszystkim dopiero wczoraj. Kenneth prawie zapomniał o własnych kłopotach, kiedy zdał sobie sprawę, jakie zamieszanie wywołało jego faux pas. Przejmował się bardzo, że zniszczył małżeństwo, które, jak widać, i tak nie zaczęło się najlepiej. Jak jednak lady Katherine mogła poślubić Reksa, nie mówiąc mu nic o londyńskiej kompromitacji? I co Rex może zrobić teraz, kiedy są już po ślubie? To już jednak nie moja sprawa, powtarzał sobie Kenneth.

Wkrótce miał się przekonać, jak bardzo się mylił. Wicehrabia Rawleigh i jego żona niespodziewanie zjawili się w Londynie zaledwie kilka dni po nich i Rex zapytał przyjaciół, czy na pewno będą na balu Mindell - jednym z najbardziej ekskluzywnych balów w Londynie, na który miał zamiar zabrać lady Rawleigh, nawet jeśli było więcej niż prawdopodobne, że zostaną zignorowani. Potrzebował moralnego wsparcia i dżentelmenów, którzy poproszą jego żonę do tańca.

Atmosfera na balu zagęściła się wyraźnie, gdy zjawił się pewien spóźniony gość. Był to sir Howard Copley - ten sam, który uwiódł lady Rawleigh przed sześciu laty. Lady Rawleigh nie zauważyła go, ponieważ kiedy wszedł, właśnie tańczyła. Spozrzegłszy ją, natychmiast zniknął w salonie, gdzie grano w karty. Podczas błyskawicznej narady czterech przyjaciół ustalili plan działania. Kenneth miał zatańczyć z lady Rawleigh kadryla, a pozostali trzej opuścić w tym czasie salę balową. Kiedy taniec się skończył, Kenneth otrzymał od lorda Pelhama oczekiwaną wiadomość. Pojedynek odbędzie się pojutrze wczesnym rankiem. Eden ma być oficjalnym sekundantem Reksa, ale Nat i Kenneth, oczywiście, będą mu towarzyszyć.

Dunbarton i problemy Kennetha gdzieś zniknęły. Kłopoty Reksa były o wiele realniejsze i tylko one się obecnie liczyły. Przynajmniej jedno w ciągu ubiegłego tygodnia się wyjaśniło; Rex był do szaleństwa zakochany w swojej żonie i jeśli przecucie Kennetha nie myliło, ona odwzajemniała to uczucie. Ta informacja dobrze rokowała na przyszłość, o ile,

naturalnie, Rex przeżyje. Na polu bitwy setki razy uchodził śmierci i był doskonałym strzelcem, a pojedynek miał być na pistolety. Jednak w pojedynku niczego nie można być pewnym, szczególnie gdy za przeciwnika ma się takiego zabijakę jak Copley. Podobno lady Rawleigh to nie jedyna jego ofiara.

Następny dzień wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Lady Rawleigh zaprosiła przyjaciół męża na kolację. Po kolacji wszyscy przeszli do salonu, gdzie długo siedzieli, rozmawiając, śmiejąc się i wspominając na prośbę pani domu stare lata. Lady Rawleigh chciała wiedzieć o przeszłości męża jak najwięcej i, jak twierdziła, mogłaby ich opowieści słuchać bez końca. Pozornie był to bardzo sympatyczny i wesoły wieczór. Mimo to Kenneth, gdy wreszcie dotarł do domu, nie był w najlepszym nastroju. Gdyby to on miał pojedynkować się jutro rano, bolałby go żołądek, byłby niespokojny, a nawet zdenerwowany. Przed bitwą czuł to samo i wyśmiałby każdego żołnierza, który twierdziłby, że takie uczucia są mu zupełnie obce. Był jednak pewien, że kiedy niebezpieczeństwo stanie się realne, chłodna koncentracja zastąpi strach i jego prawe ramię będzie pewne jak skała. Lecz to nie on miał się jutro pojedynkować. O wiele trudniej stać z boku i bezsilnie patrzeć, jak ktoś mierzy w serce najbliższego przyjaciela.

Spojrzał na przesyłkę, która w ciągu dnia nadeszła z Dunbarton, i doszedł do wniosku, że to nic pilnego i że otworzy ją później. Nie czuł się na siłach myśleć dziś o interesach. Po chwili zmienił jednak zdanie. Może czytanie nudnych raportów chociaż trochę go uspokoi. Otworzył leżący na biurku pakiet i wśród dokumentów sporządzonych przez zarządcę majątku zauważył list zaadresowany inną ręką. Ręką kobiecą, jeśli się nie mylił. Zainteresowany otworzył go natychmiast i zaczął czytać.

Milordzie. Zerwałam zaręczyny z sir Edwinem Bailliem. Jestem w trzecim miesiącu ciąży. To nie jest prośba o pomoc. Po prostu doszłam do wniosku, że ma pan prawo wiedzieć. Z poważaniem, Moira Hayes.

Długo patrzył w milczeniu na list. po czym złożył go starannie, zmiął i cisnął na podłogę. Trzy miesiące. Przeklęta baba. Suka! Trzy cholerne miesiące? Zacisnął rękę w pięść i zamknął oczy.

Kiedy zapytał ją o jej stan? To było w dolinie pod koniec stycznia. Dwa miesiące temu. Musiała już wiedzieć, lecz zaprzeczyła. Na jej twarzy malował się wtedy wyraz butnej pogardy, a przecież z całą pewnością wiedziała. Na spotkaniu u Trevellasów na tydzień przed jego wyjazdem z Dunbarton też nie powiedziała ani słowa. Rozmawiał z nią, starał się być uprzejmy, chciał uwolnić ją od poczucia winy, a ona spojrzała na niego wyzywająco, udając, że o wszystkim zapomniała. Była już wtedy prawie od trzech miesięcy w ciąży.

Przeklęta suka!

Poczekala, aż wyjedzie, aby w chłodnych i uprzejmych słowach poinformować go, że nosi pod sercem jego dziecko, i jednocześnie zapewnić, iż nie oczekuje od niego żadnej pomocy. Zakończyła bardzo oficjalnie: Z poważaniem!

- Z poważaniem - rzekł przez zaciśnięte zęby. - Oczywiście, z poważaniem i posłuszeństwem, panno Moiro Hayes. Do końca twojego podłego życia, przysięgam. Dziękuję opatrności, że nie ma cię tutaj. Módl się, żebym chociaż trochę ochłonął, zanim dotrę do Kornwalii.

Licencja, pomyślał. Będzie potrzebna licencja. Załatwi ją jutro tak szybko, jak tylko to będzie możliwe i ruszy w drogę. Przypomniał sobie, że jutro, wczesnym rankiem Rex ma pojedynek. A jeśli zginie?

Wstał i nerwowo przesunął dłońmi po włosach.

- A niech to wszyscy diabli! - zawołał, po czym zaklął jeszcze bardziej dosadnie. Tak czy inaczej, w jego małżeństwie nie zabraknie gorącego uczucia. Tym uczuciem będzie nienawiść.

Jego małżeństwo. Wkrótce będzie żonatym mężczyzną, a za sześć miesięcy zostanie ojcem. I Moira Hayes nie prosiła go o pomoc.

- A niech cię wszyscy diabli! - wyszeptał. - A niech cię wszyscy diabli, Moiro!

* * *

Rex Adams, wicehrabia Rawleigh, przeżył pojedynek z sir Howardem Copleyem. Sir Howard natomiast nie przeżył. I właściwie na nic innego nie zasłużył, ponieważ do starych grzechów, dołożył nowy: złamał zasady pojedynku i wystrzelił przed czasem. Zranił lorda Rawleigh w prawe ramię, ale rana nie była na tyle poważna, żeby uniemożliwić lordowi oddanie strzału. Sir Howard musiał więc ponownie stanąć na stanowisku i spokojnie czekać, podczas gdy jego przeciwnik spokojnie do niego mierzył, jakby się zastanawiał, czy go zabić, czy tylko zranić.

Gdy Copley wystrzelił przed czasem, Gascoigne wziął go na muszkę, a krwawa plama nagle zabarwiła rękaw koszuli wicehrabiego. Kenneth i lord Pelham zamarli z przerażenia. Nie wiedzieli, jak bardzo poważna jest rana.

Kiedy wszystko się skończyło, Rex podszedł do nich z ponurą twarzą i bez słowa zaczął się ubierać, nie patrząc w tę stronę, gdzie chirurg i sekundant Copleya pochylali się nad jego ciałem. Nagle odwrócił się i wymiotował w trawę - była to reakcja doskonale znana każdemu z nich. Nikt nie jest odporny na śmierć, kiedy musi z nią stanąć twarzą w twarz.

- Chodźmy na śniadanie - powiedział po chwili, zakładając płaszcz.

- Może do White's?

- Do White's. - Gascoigne klepnął przyjaciela po ramieniu. - Tak czy inaczej, nie miał prawa ująć z życiem. Gdybyś tego nie zrobił, ja zrobiłbym to za ciebie.

- Chodźmy lepiej do mnie - zaproponował lord Pelham. - Będziemy we własnym gronie.

Kenneth wziął głęboki oddech.

- Muszę natychmiast wyjechać - rzekł. - Muszę wracać do Dunbarton.

Nie wyjeżdżałby, gdyby mógł, ale, oczywiście, nie było to możliwe. Wszyscy trzej odwrócili się i spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Do Dunbarton? - zawołał lord Rawleigh, marszcząc brwi.

- Teraz, Ken? Właśnie dziś? Przed śniadaniem? Myślałem, że zostaniesz tu do końca sezonu.

Zastanawiał się, jak im to powiedzieć, jak znaleźć właściwe słowa.

- Kiedy wczoraj wieczorem wróciłem do siebie, czekał na mnie list.

- Usiłował się uśmiechnąć, ale ukrywanie prawdy przed przyjaciółmi, którzy znali go prawie tak dobrze jak on ich, uznał za niemożliwe. - Wszystko wskazuje na to, że za sześć miesięcy będę ojcem.

Zapanowała cisza.

- Kto? - zapytał w końcu lord Pelham. - Ktoś, kogo poznaliśmy, kiedy byliśmy u ciebie, Ken? Jakaś lady?

- Nikt, kogo znacie - odparł ponuro Kenneth. - Lady, tak. Muszę jechać do domu, żeby ją poślubić.

- Odnoszę wrażenie, że nie jesteś tym zachwycony? - zauważył Gascoigne, patrząc na niego spod oka. Lord Pelham i wicehrabia Rawleigh spojrzeli na przyjaciela z pełnym troski zakłopotaniem.

Kenneth roześmiał się.

- Jej rodzina i moja były wrogami, odkąd tylko sięgam pamięcią - powiedział. - Nie pamiętam, żebym do jakiegokolwiek kobiety czuł tak głęboką niechęć, jaką czuję właśnie do niej. Jednak ta kobieta nosi moje dziecko i muszę ją poślubić. Życzcie mi szczęścia. - Znowu się roześmiał, ale w głębi duszy czuł niesmak. Nie powinien był tego powiedzieć, nawet swoim najbliższym przyjaciołom.

- Ken - odezwał się lord Rawleigh - czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Jednak Kenneth powiedział już wystarczająco dużo. Za dużo. Moira wkrótce będzie

jego żoną, a on wyznał im, że czuje do niej głęboką niechęć. Eden nazwał ją straszylłem i trupioblada zjawą.

- Nic, o czym chciałbym w tej chwili mówić - odparł. - Muszę jechać. Cieszę się, Rex, że sprawy dziś rano tak się właśnie potoczyły. Dbaj o swoje ramię. Cieszę się, że nie oszczędziłeś tego drania. Bałem się, że to zrobisz. Uwodziciele nie zasługują na litość.

Ruszył w kierunku miejsca, gdzie zostawił konia. Musi załatwić jeszcze licencję i czekała go długa podróż. A u kresu podróży spotka Moirę Hayes. Jego przyszłą żonę. Matkę jego dziecka. Niech Bóg jej strzeże... i jego również.

Sir Edwin Baillie obszernie odpowiedział na list Moiry. Doceniał, że panna Hayes okazała się osobą tak niezwykle wrażliwą. Musiała najwyraźniej dojść do wniosku, pisał, że on żałuje, iż w chwili, gdy jego droga matka była tak ciężko chora, on myślał o własnych przyjemnościach. Musiała również uznać za naganne, że myślał o sobie, podczas gdy spoczywał na nim obowiązek zaopiekowania się trzema osieroconymi siostrami. Tak więc miss Hayes wykazała odwagę, brak egoizmu i niezwykle wspaniałomyślność, zwalniając go z danego jej słowa. Ma nadzieję, że zarówno ona, jak i jej wielce czcigodna mama uczynią mu ten honor i będą traktować Penwith Manor jak własny dom, przynajmniej do czasu, gdy zdecyduje się tu przenieść, ale nie nastąpi to wcześniej niż za rok lub dwa. Kończył, składając jej i jej drogiej mamie wyrazy najgłębszego szacunku.

- To bardzo uprzejme z jego strony - powiedziała lady Hayes, odkładając na bok przeczytany list. - Tak więc, Moiro, możemy tu spokojnie zostać jeszcze rok lub nawet dwa.

- Tak, mamo.

- A tobie spadł wreszcie ten okropny ciężar z serca - ciągnęła lady Hayes. - Nie myśl, że nie zdawałam sobie sprawy, ile cię kosztowało podjęcie tej decyzji. Teraz możesz nareszcie zadbać o swoje zdrowie. Czy pamiętasz o zażywaniu leku, który zapisał ci doktor Ryder?

Moira uśmiechnęła się wymijająco. Postanowiła, że da hrabiemu Haveford jeszcze dwa tygodnie. Dłużej nie będzie zwlekać. Jej matka ma prawo wiedzieć. Gdyby to nie było aż tak nieprawdopodobne, już mogłaby się wszystkiego domyślić. Pomimo spadku wagi brzuch Moiry zaczynał się już wyraźnie rysować pod modnymi ostatnio luźnymi sukniemi z podwyższonym stanem.

Widziała lęk w oczach matki. Wiedziała, że matka boi się o nią i wmawia sobie, że wiosenne powietrze i przepisany przez doktora lek przywróci jej zdrowie. Nie, nie może pozwalać, by zamartwiała się o nią, podczas gdy tak łatwo mogła wyjaśnić prawdziwą przyczynę swej niedyspozycji.

Zaczynała sobą gardzić.

To było wyjątkowo deszczowe, kwietniowe popołudnie. Pogoda uniemożliwiała wyjście z domu, tym bardziej trudno było oczekiwać, że ktoś zdecyduje się przyjechać z wizytą do Penwith. Poza tym Moira miała wątpliwości, czy sąsiedzi, nawet przy dobrej pogodzie, zechcą ich teraz widywać. Powiedziała już Harriet, że jej zaręczyny zostały

zerwane za obopólną zgodą i nie miała nic przeciwko temu, zęby przyjaciółka rozpowszechniła tę wiadomość wśród znajomych. Być może wszyscy już o tym wiedzą. Moira siedziała z matką w salonie zajęta haftowaniem, podczas gdy strumienie deszczu uderzały w okna z taką siłą, iż nie sposób było cokolwiek przez nie zobaczyć.

Nagle podniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Powóz? Jednak salon znajdował się z tyłu domu, a szum deszczu skutecznie wszystko zagłuszał. Poza tym jazda powozem przez dolinę w tych warunkach byłaby z pewnością zbyt ryzykowna. Pochyliła się nad robótką, ale po chwili ponownie uniosła głowę, gdy do jej uszu dobiegło głośnie stukanie do wejściowych drzwi.

- Kto może składać wizytę w taką pogodę? - zdziwiła się lady Hayes. Wbiła igłę w robótkę, odłożyła ją na bok i podniosła się prawie w tej samej chwili, gdy pokojówka otwierała drzwi do salonu.

- Hrabia Haveford, madam - powiedziała i odsunęła się, żeby wpuścić gościa.

- Lady Hayes. - Ukłonił się sztywno. - Panno Hayes. Moira zauważyła, że jej matka wygląda na przestraszoną.

- Co się stało, hrabio - powiedziała lady Hayes - że, pomimo takiej okropnej pogody, zdecydował się pan nas odwiedzić? Oczywiście, miło nam pana widzieć. Proszę usiąść.

- Dziękuję, madam - odparł. - Proszę o chwilę rozmowy z panną Hayes na osobności.

Lady Hayes nie kryła zdumienia.

- Z moją córką, sir? - zapytała. - Na osobności? Moira szybko wstała.

- W porządku, mamó. Zabiorę jego lordowska mość do biblioteki - powiedziała i, nie czekając na jej reakcję, ruszyła w stronę drzwi. Hrabia Haveford wyprzedził ją jednak i z kurtuazją je przed nią otworzył.

- Dziękuję, madam. Nie sądzę, aby trwało to długo. - Skłonił się przed lady Hayes i ruszył za Moirą przez hol do pokoju, który był kiedyś gabinetem jej ojca.

Moira szybkim krokiem weszła do pokoju, pozostawiając za sobą otwarte drzwi i podeszła do okna, przez które z trudem można było dostrzec rozmyte w strugach deszczu kontury drzew. Po chwili usłyszała za sobą charakterystyczny odgłos zamykanych drzwi i przez parę sekund w pokoju panowała kompletna cisza.

- Rozumiem, że nie prosisz mnie o pomoc. - Jego głos był lodowaty i przeraźliwie spokojny.

- Nie, nie proszę - powiedziała powoli.

- Ale pomyślałaś, że mam prawo wiedzieć - ciągnął.

- Tak.

- Muszę ci podziękować za twoją wyjątkową troskliwość! Zwilżyła wargi koniuszkiem języka. Nie miała pojęcia, do czego zmierzał.

- Mężczyzna powinien wiedzieć, że jego bękart za sześć miesięcy przyjdzie na świat - dodał.

Oparła dłoń na parapecie.

- Nie powinienes używać tego słowa w mojej obecności - zauważyła.

- Och, czyżby? - Jego głos był podejrzenie miły. - Jakie więc określenie proponujesz? Może nieślubne dziecko? To zapewne również uznasz za obraźliwe. A więc dziecko miłości? Czy jednak odpowiadałoby to prawdzie? Nie zostało przecież poczęte podczas miłosnej schadzki. To była wyjątkowo bolesna uwaga.

- Nie - przyznała. - Od dawna wiedziałam, że nie jesteś zdolny do miłości. A tamtej nocy nawet jej nie udawałeś.

- Dlaczego, do diabła, mnie okłamałaś, Moiro? - zapytał, tracąc nad sobą panowanie.

- Ja nie... - urwała, uznając, że nie ma sensu do kłamstwa dodawać następne kłamstwo.

- Doskonale wiem, dlaczego to zrobiłaś - powiedział, stając tuż za nią. - Ponieważ na spotkaniu w Tawmouth kategorycznie oświadczyłem ci, że wyjdiesz za mnie, jeśli się okaże, że jesteś w ciąży. Ponieważ poleciłem ci niezwłocznie posłać po mnie, jeśli potwierdzi się, że jesteś w ciąży. I ponieważ zrobiłabyś wszystko, żeby tylko mi się przeciwstawić.

- Tak. - Moira czuła narastającą w niej złość. Odwróciła się, by spojrzeć mu prosto w twarz. - Nie znosiłam cię od wielu lat, milordzie. J jeśli nienawiść z biegiem lat zaczęła blednąć, to w ciągu tych czterech miesięcy rozgorzała ze wzmożoną siłą. Myśl, że mogłabym w jakikolwiek sposób być od ciebie zależna, jest dla mnie nie do zniesienia. Myśl, że miałabym coś zrobić, tylko dlatego, że ty mi tak kazałeś, jest, jest...

- Jest nie do zniesienia? - zasugerował, unosząc brwi. - Co z twoją elokwencją, Moiro? Czyżby zawiodła? Szkoda. A tak dobrze ci szło. Twój dziecinny upór sprawił, że znaleźliśmy się w wyjątkowo kłopotliwym położeniu. Nie da się już ukryć prawdy.

Roześmiała się chrapliwie.

- Nasze dziecko przez całe życie będzie płacić za to, że pochodzi z nie w pełni prawego łoża - dodał.

- Zupełnie nieprawego - odparła, zdając sobie sprawę, jak nierozsądnie postępuje, sprzeciwiając się mu nawet teraz. - On albo ona będzie z nieprawego łoża. Nie zależy mi na tym. Ja...

- Nie bądź dziecinna - rzekł tak lodowatym tonem, że przez chwilę, zaniemówiła. - Jutro weźmiemy ślub.

- Nigdy - odparła, wiedząc, że w tym sporze nie może, a tak na - prawdę nawet nie chce zwyciężyć.

- Oczywiście, mam ze sobą licencję - ciągnął, jakby nie słyszał jej protestu. - Jutro się pobierzemy, Moiro. Lepiej się z tym pogódź. W końcu nauczysz się żyć z nienawiścią do mnie. Z pewnością nie będzie to trud - ne. Nie sędzę, żebym chciał zbyt często przebywać w twoim towarzystwie. I nauczysz się być mi posłuszna. To też nie będzie takie straszne. Nigdy nie zapomnę, że jesteś moją żoną, a nie jednym z żołnierzy w moim regimencie. Myślę, że powinniśmy zawołać teraz twoją matkę. Czy ona wie?

- Nie - odparła. - I nie jutro. To za szybko. Potrzebuję trochę czasu.

- Czas - rzekł chłodno - to coś, czego już nie masz, Moiro. Zbyt wiele go już zmarnowałaś. Jutro o tej porze będziesz hrabiną Haveford zamieszkaż w Dunbarton. Proponuję, żebyś uprzedziła o tym swoją pokojówkę, tak żeby mogła...

Jednak Moira przestała go już słyszeć. Ogarnął ją lodowaty chłód, a w uszach świdrował przeraźliwy dźwięk. Poczula, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

- Trzymaj głowę spuszczoną. - Z oddali dochodził spokojny i pewny, głos, któremu instynktownie ufała. - Oddychaj głęboko. - Silna, kojąca dłoń spoczywała z tyłu głowy. Siedziała. Przeraźliwy dźwięk dzwonka w jej uszach powoli zamierał, aż w końcu ucichł. Jej zimne, wilgotne ręce spoczywały w czyjejś ogromnej i cudownie ciepłej dłoni.

Powoli odzyskiwała przytomność. Była w bibliotece, z hrabią Haveford. Miała zamknięte oczy i oddychała głęboko i miarowo, z głową pochyloną tak, że prawie dotykała kolan.

* * *

Hrabia Haveford klęczał na jednym kolanie przed fotelem, na którym ułożył zemdloną Moirę. Jedną ręką przyciskał jej głowę do kolan, drugą obejmował jej dłonie, starając się je ogrzać. Był przerażony i dręczyły go wyrzuty sumienia. W pierwszym odruchu chciał otworzyć drzwi i zawołać lady Hayes, szybko jednak z tego zrezygnował. Lady Hayes nie miała przecież o niczym pojęcia, przynajmniej tak przed chwilą powiedziała Moira. Musiał być jakiś inny, łagodniejszy sposób na przekazanie jej tej wiadomości.

- Lepiej się czujesz? - zapytał. - Czy mogę posłać po twoją matkę?

- Nie - odparła słabym głosem.

Kenneth nie miał wątpliwości, że to odpowiedź na jego drugie pytanie.

Kiedy tylko ją zobaczył, zauważył, jak bardzo była chora. Jej włosy zupełnie straciły połysk, a jej przeraźliwie blada twarz była teraz prawie popielata. Nawet usta sprawiały

wrażenie, jakby nie było w nich kropli krwi. Wyglądała mizernie, brzydko i staro - starzej, niż wskazywałyby na to jej lata. Gorzej, niż kiedy widział ją ostatnio u Trevellasów.

Jej widok zamiast wzbudzić litość, powiększył tylko jego furję. Wyglądała jak uosobienie bezgranicznie cierpiącej, porzuconej przez męża kobiety. Poczul się prawie jak morderca. Jak śmiała mu to zrobić!

Była chora, jej stan był na tyle poważny, że wszczynanie jakiegokolwiek kłótni nie miało żadnego sensu. Potrzebowała silnego ramienia, aby się na nim wesprzeć, chociaż doskonale wiedział, iż nie przyznałaby się do tego nawet, gdyby grożono jej śmiercią.

Była chora. Nosila pod sercem jego dziecko i była chora.

Zdjął rękę z jej głowy i zaczął rozcierać jej dłonie.

- Wyglądałaś źle w Tawmouth - powiedział. - Równie źle, kiedy spotkaliśmy się w dolinie. Jeszcze gorzej u Trevellasów. Wyglądałaś na chorą, kiedy tu przyszedłem, zanim jeszcze przeszliśmy do tego pokoju na rozmowę. Co ci jest?

- Myślę, że to ma związek z moim stanem - szepnęła.

- Nie sądzę. - Dotknął wierzchem dłoni jej policzka. Wciąż był zimny. - Wezwę lekarza. Nazywa się Ryder, nieprawdaż? Chcę, żeby cię zbadał w Dunbarton pojutrze. Podobno ma za sobą praktykę w Londynie. Jeśli nie będziemy z niego zadowoleni, zabiorę cię do Londynu i tam skonsultujemy się z innym lekarzem. To nie powinno się wydarzyć, Moiro. Powinnaś była szukać pomocy wcześniej.

Przestań ją besztać - powiedział sobie w duchu.

- Nie potrzebna mi pomoc - zaprotestowała. - To ja jestem w ciąży i to ja muszę sobie z tym poradzić.

- Bez pomocy matki, lekarza czy nawet ojca dziecka - powiedział, starając się pokonać narastającą w nim złość. - Niezależność intelektualna jest godna pochwały, nawet u kobiety. Bezrozumny upór - nie. Jutro stracisz wiele ze swojej niezależności i dobrze by było, gdybyś zdecydowała się zrezygnować także z uporu, jeśli chcesz, żeby w naszym małżeństwie było jak najmniej konfliktów.

- Jeśli chodzi o poślubienie ciebie, nie mam wyboru, Kennecie - odparła, patrząc mu prosto w oczy. - Pragnę jednak, abyś z jednego zdawał sobie sprawę: wyjdę za ciebie jedynie dlatego, że muszę. Nie spodziewam się, by nasz związek miał być kiedykolwiek zgodny. Nie zrobię nic, aby w jakikolwiek sposób dostosować moje życie do twojego. Gardzę tobą i życiem, jakie prowadzisz.

Z trudem się opanował i ze zdumieniem stwierdził, iż zabolalo go to, co usłyszał. Czyżby nienawidziła go tak bardzo, że będzie wolała być do końca życia nieszczęśliwa, niż

zrobić wszystko, aby uczynić swoje życie znośnym?

- Nic nie wiesz o mnie ani o moim życiu, Moiro - zauważył chłodno. - Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy i to wtedy, gdy byliśmy bardzo młodzi. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego przez ponad osiem lat. Nawet nie żyliśmy w tym samym kraju. W ciągu tych czterech miesięcy, jakie upłynęły od mojego powrotu, kilka razy spotkaliśmy się przelotnie i... właściwie prawie wcale się nie znamy. A jednak jutro zostaniemy mężem i żoną. Czy nie możemy od jutra spróbować zacząć zupełnie nowe życie? Czy nie możemy zdobyć się przynajmniej na to, żeby odnosić się do siebie z tolerancją i szacunkiem?

Milczała chwilę, jakby zastanawiała się, co powiedzieć.

- Nie - powiedziała w końcu. - Nie mogę tak po prostu zapomnieć o przeszłości.

Uwolnił jej ręce i wstał.

- Być może stać cię na większą szczerą niż mnie - odparł. - Ja również nie mogę tak łatwo zapomnieć, jak pewnej nocy stałaś na szczycie klifu i mierząc do mnie z pistoletu, radziłaś, abym zajął się swoimi sprawami, podczas gdy zaledwie dzień wcześniej w tym samym miejscu całowałaś mnie i uśmiechnęłaś się, gdy powiedziałem, że cię Kocham.

- Powinnaś być raczej roześmiać się, a nie uśmiechnąć, słuchając takich kłamstw.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Jednak w korytarzu nie było nikogo. Zapukał więc do drzwi salonu, a zza drzwi dobiegł go głos lady Hayes, zapraszający do środka.

- Gdyby pani była tak dobra i przeszła do biblioteki, madam - rzekł, skłaniając przed nią głowę.

Spojrzała na niego zdumiona, ale natychmiast podniosła się i bez słowa ruszyła w kierunku biblioteki.

- Moiro? - zawołała, wchodząc pośpiesznie do środka. - Co się stało? Czy znowu miałaś atak? Przez całą zimę miałaś kłopoty ze zdrowiem, milordzie - wyjaśniła, odwracając głowę w jego kierunku. - Mam nadzieję...

- Miss Hayes właśnie zgodziła się poślubić mnie jutro rano, madam - powiedział.

Lady Hayes patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Jestem od trzech miesięcy w ciąży, mamo - wyrzuciła z siebie Moira, patrząc w ogromniejące ze zdumienia oczy matki. - Nie spędziłam nocy po balu w Dunbarton Hall. Z powodu głupiej ambicji usiłowałam pieszo dotrzeć do domu podczas szalejącej burzy. Lord Haveford ruszył za mną i znalazł mnie w chacie pustelnika, gdzie schroniłam się przed zamiecią. Byliśmy zmuszeni spędzić resztę nocy razem.

Lady Hayes osunęła się na najbliższy fotel, a kiedy spojrzała na Kennetha jej usta były zaciśnięte.

- Lord Haveford zaproponował mi małżeństwo zaraz następnego dnia rano - szybko powiedziała Moira. Oczywiście nie była to prawda, bo nie dopuściła, aby jej to zaproponował. - Powtórzył tę propozycję jeszcze kilka razy. Nalegał nawet, ale ja odmówiłam. Napisałam do niego tego samego dnia co do sir Edwina. Kiedy jednak zaniósłam list do Dunbarton, dowiedziałam się, iż hrabia Haveford kilka godzin temu wyjechał do Kentu. Przybył natychmiast po otrzymaniu listu. W tym, co się stało, nie ma jego winy.

Uśmiechnął się lekko. Moira go broni?

- Powinienem był - rzekł - porozmawiać z panią tego ranka, gdy odprowadzałem pannę Hayes do domu. Powinienem był napisać do sir Edwina. Uniknęlibyśmy wielu kłopotów, gdybym błędnie nie ocenił sytuacji. Mam o to do siebie pretensję. Jednak teraz obciążanie mnie winą za to, co zrobiłem, jak i za to, czego nie zrobiłem, niczego nie da. Załatwiłem specjalną licencję i panna Hayes i ja pobierzemy się jutro. Następnego dnia dopilnuję, aby zbadał ją lekarz.

Lady Hayes zasłoniła twarz rękami.

- Mogę tylko dziękować Bogu, milordzie - szepnęła - że ani pański ojciec, ani mój mąż nie dożyli tego dnia. - Odwróciła się do córki. - Moiro, dlaczego mi nie powiedziałaś? Och, dlaczego mi nie powiedziałaś!

- Uważałam chyba - odparła cicho Moira - że jeśli nie będę o tym mówiła czy nawet myślała, to cały ten koszmar zniknie. Od świąt Bożego Narodzenia żyłam jak we śnie. - Spojrzała na Kennetha. - Koszmar oczywiście nie zniknął. Zostanie ze mną na zawsze.

Kenneth podszedł do dzwonka na służbę.

- Za pozwoleniem, madam - rzekł. - Wezwę pokojówkę. Filiżanka herbaty dobrze zrobi zarówno pani, jak i Moirze.

- Moirze? - Lady Hayes zmarszczyła brwi.

Poufałość, z jaką zwracał się do jej córki, najwyraźniej nie uszła jej uwagi. Jakie to jednak miało teraz znaczenie? Panna Moira Hayes już jutro zostanie jego żoną. Będzie Moirą Woodfall, hrabiną Haveford.

Z determinacją pociągnął za taśmę dzwonka.

* * *

Gdy hrabia Haveford brał ślub z panną Moirą Hayes, kościół w Tawmouth był prawie pusty. Poza młodą parą i wielebnym Finley - Evansem, jedynymi uczestnikami uroczystości byli: lady Hayes, pani Finley - Evans, pospiesznie wezwana Harriet Lincoln z małżonkiem i rządcą jego lordowskiej mości.

Ten dziwny ślub w niczym nie przypominał tego, o jakim Moira zawsze marzyła. Nie było tłumu gości i nie było oblubieńca, na którego mogłaby patrzeć z uwielbieniem. Był tylko Kenneth. Oczywiście, jak zawsze wyglądał imponująco. Ubrany był tak, jakby za chwilę miał się udać do pałacu królewskiego na oficjalną audiencję. Jego utrzymany w bładoniebieskiej tonacji strój znakomicie prezentował się przy jasno - blond włosach. Wyglądał jak księżę z bajki. Chociaż Moira miała na sobie swoją ulubioną białą suknię, którą chciała włożyć, kiedy wybierała się na bal w Dunbarton, doskonale wiedziała, że nie wygląda dobrze. To, że pan młody prezentował się aż tak okazale, sprawiało, iż ona sama czuła się jeszcze brzydsza i mniej atrakcyjna.

Również jej zdrowie pozostawiało wiele do życzenia. Rano czuła się tak fatalnie, iż rozważała nawet, czy nie poprosić hrabiego, aby odłożyli ślub. Bolała ją głowa, była osłabiona i miała mdłości, a jej stopy i dłonie były lodowate. Nienawidziła swojej słabości i rozczulania się nad sobą. Chciała być znowu wolna i biegać, biegać, biegać. Chciała tego, co niemożliwe. Być może życzeniem, jakie każdy powinien jej złożyć, jest życzenie szybkiej śmierci, pomyślała ponuro.

To z pewnością nie był ślub, o którym mogłaby marzyć jakakolwiek kobieta. Mimo wszystko był to ślub. Coś, co miało na zawsze połączyć jej los z losem Kennetha. Uważnie wsłuchiwała się w każde słowo, wypowiedane przez wielebnego Finley - Evansa i każde wydawało się jej czymś zupełnie nowym, jakby dotychczas nigdy nie uczestniczyła w ceremonii ślubnej. Słuchała głosu Kennetha: niskiego, miłego dla ucha i bardzo męskiego. Mówił, że będzie ją kochał ciałem i duszą. Słuchała własnego głosu i słów, które wypowiadała. Obiecywała kochać go i być mu posłuszna. Czuła, jak wsuwa jej na palec złotą obrączkę, która w zetknięciu z jej ciałem, zdawała się prawie gorąca. Gdzieś za sobą usłyszała zduszony szloch. Mama? Harriet? Czuła pocałunek, ciepły, zdecydowany, jego lekko rozchylone wargi i oddech na policzku.

Kenneth. Kiedy podniósł głowę, spojrzała mu w oczy, ale nic z nich nie wyczytała. Były zupełnie pozbawione wyrazu. Kennece. Tak bardzo cię kochałam. Byłeś wszystkim, o czym kiedykolwiek marzyłam. Byłeś moim powietrzem. Moim życiem.

- Proszę - wyszeptał, pochylając się ku niej, gdy wielebny Finley - Evans znowu zaczął mówić - tylko nie płacz. Nie zrób mi tego.

Jakże się mylił. Sądził, że jej łzy były łzami cierpienia, a to były jedynie łzy żalu za utraconą młodością, utraconymi marzeniami i ideałami. Kiedyś wierzyła w bohaterów i w romantyczną miłość. To wszystko kiedyś uosabiał Kenneth. Nagle przyszło jej na myśl, że gdyby go nigdy nie kochała, to być może nigdy by go nie znienawidziła.

Nie wyobrażała sobie jednak, żeby mogła nic do niego nie czuć - miłość lub nienawiść, ale nigdy obojętność. Niestety.

Jej matka wzięła ją w objęcia i ucałowała. Harriet i pani Finley - Evans, które wciąż jeszcze nie mogły ochłonąć ze zdumienia, pocałowały ją w policzek, wielebny Finley - Evans, pan Lincoln i rządcą Dunbarton, pan Watkins, kłaniali się i całowali ją w rękę. I nagle wszystko było już za nią. Wyszła z kościoła wsparta na ramieniu małżonka i po chwili wsiadła do czekającego już na nich hrabiowskiego powozu. Pozostali uczestnicy uroczystości mieli być zawiezieni na śniadanie do Dunbarton dwoma innymi powozami.

Wszystko stało się jeszcze bardziej realne, gdy siedzieli sami w powozie, obok siebie, ale nie za blisko, i wyglądali przez znajdujące się po przeciwnych stronach okna.

- Jeśli nie czujesz się zbyt dobrze i nie chcesz siedzieć z nami przy stole - odezwał się, gdy powóz, minąwszy miasteczko, zaczął pokonywać strome wzgórze - możesz wypocząć w swoim pokoju. Gdyby jednak się okazało, że czujesz się na siłach, aby nam towarzyszyć, będę wdzięczny, jeśli się zmusisz do kilku uśmiechów.

- Dobrze - odparła. - Będę się uśmiechała.

- Przynajmniej postaraj się nie płakać.

- Obiecuję, że będę się uśmiechała - powtórzyła. - To twoje pierwsze polecenie, milordzie, i będę ci posłuszna.

- Po co ten sarkazm.

Roześmiała się cicho i zamrugawszy powiekami, szybko odwróciła głowę. Nigdy już nie zobaczy jej łez. Nigdy już nie zobaczy jej w takim stanie.

Kenneth. Nagle poczuła palącą tęsknotę za człowiekiem, którego kochała, jakby ten, który siedział przy niej, był kimś zupełnie innym. Jej mąż. Ojciec dziecka, które nosiła pod sercem.

Salon jest stanowczo za duży dla dwóch osób, pomyślał Kenneth. Muszą wybrać jakiś mniejszy pokój, w którym spędzać będą wieczory. Ozdobiony fasetami, złotem i malowidłami sufit, masywne drzwi, marmurowy kominek i ogromne obrazy, wszystko to zdawało się przytłaczać jego żonę, kiedy pochylona nad robótką, siedziała przy płonącym kominku.

Jego żona! Dopiero teraz, gdy wyszli już wszyscy goście, mógł pomyśleć o tym, co się zdarzyło w ciągu ostatniego tygodnia. Chciał przecież spędzić najbliższy sezon w Londynie i skorzystać ze wszystkich najfrywolniejszych uciech, jakie oferuje to miasto. Chciał znaleźć się jak najdalej od Moiry. Chciał o niej zapomnieć.

Kochał ją i nienawidził. Oburzał się na nią i pragnął jej. Gardził nią i uwielbiał. Wtedy, być może, nie zdawał sobie sprawy z dwoistości swoich uczuć. Wiedział jedynie, że Moira go odrzuciła i że on nic nie może na to poradzić. Teraz wiedział również, że jest gotowa posunąć się nawet do kłamstwa, byle się tylko od niego uwolnić.

Podniosła głowę znad robótki i ich oczy, poprzez długość całego pokoju, spotkały się. Jej trzymająca igłę dłoń zawisała w powietrzu. Pomimo bladości i mizernego wyglądu, wciąż był w niej jednak jakiś naturalny wdzięk, ale Kenneth, patrząc na nią, zdawał sobie sprawę, że Moira niknie w oczach. Była przeraźliwie chuda, miała zapadnięte policzki, a suknia, w którą przebrała się do kolacji, dosłownie na niej wisiała. Czy po trzech miesiącach nie należało się spodziewać czegoś zupełnie przeciwnego?

Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Jesteś zmęczona - rzekł w końcu. - Czy mogę cię odprowadzić do twojej sypialni?

- Jeszcze nie - odrzekła.

Gdy ostatni gość opuścił Dunbarton, była bliska zapaści. Uparła się jednak, że zejdzie na kolację, a następnie nalegała na przejście do salonu, tylko dlatego, jak sądził, iż on sugerował, że powinna udać się na spoczynek do swoich apartamentów. Gdyby tonem nieznoszącym sprzeciwu polecił jej dotrzymać sobie towarzystwa przy kolacji, z pewnością zostałyby na górze i czekała, aż przyjdzie i sprowadzi ją na dół.

- Co robisz? - zapytała.

Spojrzał na leżący przed nim papier listowy i na gęsie pióro, które trzymał w ręku.

- Piszę do matki i do siostry - odparł. Opuściła dłoń, w której wciąż trzymała igłę.

- Będą wstrząśnięte - stwierdziła.

- Ich uczucia nie mają dla mnie żadnego znaczenia - odparł. - Jesteś moją żoną. Będziemy mieli dziecko. Nie będą miały innego wyjścia, jak zaakceptować te fakty.

- Będą musiały to zaakceptować - powtórzyła i uśmiechnęła się. - Obydwie były bliskie zawału już na samą myśl, że mam tu spędzić noc po balu.

- Przesadzasz - odparł. - Gdybym je wówczas zapytał o zdanie, z pewnością wolałyby, żebyś została, a nie narażała się na niebezpieczeństwo, wychodząc podczas zamieci do domu.

Wciąż się uśmiechała.

- Zdecydowałam się na to niebezpieczeństwo, gdy przez przypadek podsłuchałam, jak mówią do ciebie, co myślą o moim pozostaniu na noc w Dunbarton.

Czyż to możliwe? Musiał przyznać, że jego matka i siostra zachowały się paskudnie. Teraz już wiedział, dlaczego Moira podjęła tak brzemienną w skutki decyzję.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Na pewno nie chciały, żebyś! to usłyszała.

- Ci, co podsłuchują cudze rozmowy, rzadko słyszą o sobie coś dobrego. Tak się przynajmniej mówi - zauważyła. - Kiedy przeczytają twoje listy, być może dojdą do wniosku, że lepiej było namówić mnie, abym została. Jedna noc w Dunbarton i miałyby mnie z głowy raz na zawsze.

- Nie dbam o to, co pomyślą - odrzekł. - Zapewniam cię, że zachowają się w stosunku do ciebie tak, jak nakazuje dobre wychowanie.

Ponownie się uśmiechnęła i ponownie wbiła igłę w robótkę. Obserwował ją jeszcze przez chwilę, po czym wrócił do pisania listu. Oczywiście, że będą poruszone - tym, kim jest jego żona, pospiesznym ślubem i okolicznościami, które ten pośpiech spowodowały. Jednak muszą ją zaakceptować. Na Boga, muszą, jeśli chcą by nadal był dla nich synem i bratem.

Skończył pisać pierwszy list i natychmiast zabrał się do drugiego. Kiedy podniósł głowę, Moira siedziała z robótką na kolanach i zamkniętymi oczami.

- Co się stało? - zerwał się od biurka i rzucił w jej kierunku.

- Nic - podniosła do góry rękę z igłą.

- Odłóż to - powiedział. - Zaprowadzę cię do łóżka.

- Jeszcze jeden rozkaz? - zapytała. Zaciśnął zęby.

- Jeśli sobie tego życzysz - odparł. - Jeśli chcesz, żeby ten związek stał się nie do zniesienia, zarówno dla ciebie, jak i dla mnie, poprzez zmuszanie mnie do wydawania ci poleceń, a potem ich egzekwowania, to niech tak będzie. Jeśli chcesz prowadzić jakąś grę, w której ja mam pełnić rolę oprawcy, a ty ofiary, to nie mogę cię przed tym powstrzymać. Jednak w tej chwili jesteś wyraźnie zmęczona i nie wyglądasz najlepiej. Musisz natychmiast położyć się do łóżka. Zamierzam cię tam zaprowadzić. Możesz wstać i skorzystać z mojego

ramienia. Jeśli nie, zaniosę cię na górę. Jak widzisz, pozostawiam ci wybór.

Bez słowa wbiła igłę w robótkę, po czym starannie ją złożyła i wstała z fotela. Kiedy Kenneth prowadził ją na górę, tak ciężko wspierała się na jego ramieniu, że z niepokojem pomyślał, iż musi być rzeczywiście bardzo słaba.

- Poślę jutro po doktora Rydera - powiedział. - Zobaczymy, co będzie mógł dla ciebie zrobić. Tak dalej być nie może.

Nie odezwała się. Jej głowa bezwładnie opadła na jego ramię. Przerażony, ostrożnie posadził ją w fotelu w jej sypialni i gwałtownie pociągnął za sznur dzwonka, by wezwać pokojówkę, po czym przyklęknął obok Moiry i wziął jej dłonie w swoje ręce.

- To wszystko moja wina - szeptał. - Mężczyźni zbyt łatwo do tego podchodzą, ale ja wezmę na siebie każdy ciężar i postaram się być dobrym mężem. Może wszystko się między nami ułoży, musimy tylko obydwójce tego chcieć.

- Może - odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

Podniósł jej dłonie do ust, po czym uwolnił je i wstał, gdy do pokoju weszła pokojówka.

- Dobranoc, moja droga.

Zszedł na dół, żeby skończyć list do Helen. Nie trwało to jednak zbyt długo. Kiedy wreszcie znalazł się w swojej sypialni, błyskawicznie rozebrał się i narzuciwszy szlafrok na nocną koszulę, stanął przy oknie i w zamyśleniu patrzył w gęstniejący mrok.

Nie była to noc poślubna, o jakiej zawsze marzył. Również małżeństwo nie było takim, jakiego pragnął. Jednak w kościele, podczas ceremonii ślubnej, przerażająco jasno zdał sobie sprawę z jednej rzeczy; kiedy składał małżeńską przysięgę, bardzo poważnie traktował każde jej słowo. Niejednokrotnie słyszał, że cała ta ceremonia to zwyczajna farsa, podczas której zmusza się młodych ludzi do wypowiedzania słów, których znaczenia tak naprawdę nie pojmują. On natomiast obawiał się, iż honor nie pozwoli mu złamać tej przysięgi, i czuł też, że sam skazał się na to, iż do końca swych dni będzie nieszczęśliwy.

A przecież kiedyś Moira oznaczała szczęście. Zdawała się być stworzona do szczęścia: gibka i urzekająca, choć może niezbyt piękna. Tryskająca zdrowiem i energią, wesoła i dzika. Pokonała nienawiść, która nakazywała im trzymać się od siebie z daleka, i konwenanse, zgodnie z którymi zawsze powinna pozostawać w zasięgu wzroku przyzwoitki. Pokonała zasady dobrego wychowania, zgodnie z którymi, wychodząc z domu, powinna mieć upięte włosy, na nogach buty i pończochy i kroczyć wolno i statecznie. Znowu widział ją, jak biegnie szczytem wzniesienia ponad wodną kaskadą, z jego kapeluszem w dłoniach i jak on biegnie za nią, aby go jej odebrać; jak kręci piruety na plaży z szeroko rozpostartymi

ramionami i zwróconą twarzą ku słońcu; jak siedzi w rozpadlinie na szczycie klifu, obejmując rękami kolana; jak w zadumie patrzy na morze, zastanawiając się, jak też wygląda życie w innych, dalekich krajach.

Widział jak mówi, jak się uśmiecha, gdy on uroczyście zapewniają o swojej miłości.

Tak trudno było uwierzyć, że to ta sama kobieta, którą przed chwilą zostawił siedzącą w fotelu w pokoju tuż obok jego sypialni. Jednak dojmujący ból w sercu mówił mu, że to jednak Moira i że to on ponosi pełną odpowiedzialność za jej obecny stan.

- Moira - wyszeptał. Zamknął oczy i oparł czoło o chłodną okienną szybę.

* * *

To był obcy pokój w obcym domu - ogromny, wysoki, ciepły. Łóżko też było ogromne i bardzo wygodne. Wszystko tu było znacznie większe i wspanialsze, niż w jej domu. Jednak Moira nie mogła zasnąć.

Zastanawiała się, gdzie jest Kenneth, gdzie są jego pokoje? Czy blisko jej? Czy raczej tak daleko, jak to tylko możliwe.

Przez cały dzień zachowywała się okropnie. Starła się być uprzejma, a nawet sympatyczna, nic jednak z tego nie wychodziło. Sprzeciwiała mu się na każdym kroku. Zachowywała się jak rozkapryszone dziecko i nie potrafiła się opanować. Jednak byli małżeństwem. Nie może przecież postępować tak przez resztę życia.

Dotknęła gładkiej powierzchni złotej obrączki. Byli małżeństwem - ona i Kenneth. Osiągnęła szczyt dziewczęcych marzeń. Kiedyś uważała go za najprzystojniejszego mężczyznę na świecie i nic się pod tym względem nie zmieniło.

Jutro musi spróbować się zmienić. Jutro musi być uprzejma. Żaden związek nie może być aż tak zły, żeby, przy odrobinie dobrej woli, nie można go było uczynić przynajmniej znośnym. Jutro spróbuje.

Nie mogła zasnąć. Nagle pokój zakołysał się pod jej zamkniętymi powiekami i poczuła tak dobrze znane mdłości i dokuczliwe pulsowanie w skroniach. Po chwili mięśnie jej brzucha były tak napięte, że zaczęło to jej sprawiać ból. Zastanawiała się, czy teraz, gdy nie musi już utrzymywać ciąży w tajemnicy i zniknie dręczące ją poczucie winy, jej stan ulegnie poprawie i czy doktor Ryder postawi ją na nogi. Pomyślała, że niełatwo będzie powiedzieć doktorowi prawdę. Zastanawiała się, czy Harriet i pani Finley - Evans coś podejrzewały i doszła do wniosku, że byłoby to raczej dziwne, gdyby niczego nie zauważyły. Była taka zmęczona. Czowała, że spałaby nawet tydzień, gdyby tylko mogła zasnąć.

Nagle ocknęła się, starając się wydobyć z dręczącego ją koszmaru. Była rozpalona i

zlana potem. Leżała bez ruchu, wpatrując się w rozpięty nad łóżkiem baldachim i oddychając głośno. Doskonale wiedziała, że tylko część z tego, co się wydarzyło, było snem. Wciąż leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami, starając się rozluźnić napięte mięśnie. Prawie jej się to udało, gdy nagle wszystko zaczęło się od nowa.

Sznur od dzwonka znajdował się tuż przy łóżku. Drugi był w garderobie, ale Moira zapomniała o obydwu. Potykając się, bosą podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. Nie miała pojęcia, gdzie jest Kenneth. Dom był taki ogromny. Wszystko było ogromne.

- Kenneth - zawołała. Nabrała powietrza w płuca. - Kenneth! Gdzieś w pobliżu otworzyły się drzwi i po chwili, gdy, ratując się przed upadkiem, oparła się o framugę, dwie silne dłonie chwyciły ją za ramiona i przyciągnęły do siebie. Przytuliła twarz do jego piersi.

- Co się stało? - zapytał. - Na Boga, co się stało?!

- Nie wiem - wyszeptwała. Jednak w tej samej chwili nastąpił kolejny atak i Moira, jęcząc z bólu, rozpaczliwie wpiła palce w jego ramię. - Kenneth...

- Mój Boże! - Wziął ją na ręce i chciał położyć na łóżku, ale w panice chwyciła go za szyję.

- Nie zostawiaj mnie - błagała. - Proszę! Proszę!

Otoczył ją ramionami i trzymając głowę tuż przy jej głowie, powtarzał:

- Moiro, moja miłości. Moiro.

Musiał pociągnąć za sznur dzwonka, ponieważ w pokoju był jeszcze ktoś inny, ktoś, kto trzymał w ręku zapaloną świecę. Kenneth natychmiast kazał posłać po doktora. Takiego głosu musiał pewnie używać na polu bitwy, pomyślała Moira. I nagle przyszła kolejna fala bólu.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim zjawił się doktor Ryder. Wiedziała jednak, co się stało przed jego przybyciem. Pamiętała koszmar powracającego i rozdzierającego bólu, który pogłębiał lęk oczekiwania na to, co miało się z tego bólu narodzić. W pokoju była jej pokojówka. Była gospodyni. I był też on. Wciąż mówił do niej, gładził ją po głowie, ocierał twarz chłodnym ręcznikiem. W końcu usłyszała inny męski głos - doktora Rydera - proszącego, aby Kenneth wyszedł. On jednak został.

Został przy niej tak długo, aż wszystko się skończyło i Moira usłyszała, jak doktor mówił do niego, iż nie sądzi, aby życie jej lordowskiej mości było jeszcze w niebezpieczeństwie. Oczywiście wróci tu wcześniej rano.

- Moiro? - To był głos Kennetha. Otworzyła oczy. - Twoja pokojówka zostanie przy tobie. Zawiadomi mnie, jeśli będę ci potrzebny. Teraz śpij. Ryder dał ci wywar z ziół, który powinien pomóc. - Jego twarz była chłodną, kamienną maską.

Zamknęła oczy. Jak przez mgłę słyszała czyjś słaby śmiech. - Co za ironia losu - wyszeptała. Czyżby to był jej głos? - O jeden dzień za późno.

* * *

Był zdumiony, że czuje się tak, jakby nagle odebrano mu kogoś bliskiego. Poza faktem, że ciąża Moiry zmusiła ich do małżeństwa i że choroba Moiry, którą ten stan spowodował, była powodem jego niepokoju, właściwie nie miał okazji, aby poważnie pomyśleć o mającym się narodzić dziecku - jego dziecku. Małym człowieku. Części jego i jej. Synu lub córce. Teraz nie będzie już dziecka i ta strata sprawiała mu ból.

Poza tym wciąż obawiał się o zdrowie Moiry, o jej życie. Kiedy wrócił do jej sypialni wczesnym rankiem, leżała cicha i spokojna z twarzą odwróconą w stronę okna. Gdy podszedł bliżej, przekonał się, że jej oczy są otwarte, ale jakby nieobecne. Spojrzał wymownie na pokojówkę i dziewczyna, dygnawszy, pospiesznie opuściła sypialnię.

- Spałaś choć trochę? - zapytał. Ręce założył do tyłu, jakby nie miał odwagi jej dotknąć.

- Chyba tak - odpowiedziała po długiej chwili milczenia.

- Za parę dni poczujesz się lepiej - rzekł. W jego głosie słychać było nienaturalny chłód. - Przyjdzie czas na... inne dzieci.

Zamknął oczy. Jak może mówić takie rzeczy?

- Gdyby tylko to dziecko miało odwagę umrzeć dzień wcześniej - mówiła monotonnym głosem - nie musielibyśmy teraz czuć się tak, jakby ktoś skazał nas na dożywotnie więzienie.

Te słowa były wyjątkowo okrutne i Kenneth skrzywił się, jakby ktoś smagnął go batem. Stał bez ruchu, zastanawiając się, co powiedzieć, ale w głowie miał pustkę.

- Tak, za kilka dni z pewnością pocuję się lepiej - odparła. - Jak mogłoby być inaczej? Jestem hrabiną Haveford, panią Dunbarton Hall. Kto mógłby się tego spodziewać po córce zwykłego barona? I noszącej na dodatek nazwisko Hayes?

- Musimy się jakoś z tym uporać - rzekł. - Nie ma innego wyjścia. Ludzie często pobierają się z powodów, które niewiele mają wspólnego z miłością. Kobietom zdarzają się poronienia. Dzieci umierają. Ludzie żyją dalej. - Rozpaczliwie usiłował sam siebie o tym przekonać. Ale jak można się podnieść po takim ciosie?

Moira odwróciła się i przez chwilę przyglądała mu się uważnie. W jej oczach była wrogość.

- Tak. kobiety miewają poronienia - przyznała. - Cóż to mnie jednak obchodzi? To ja

poroniłam. Cóż mnie obchodzi, że jakieś dzieci umierają? To moje dziecko umarło. Może to nie dramat, skoro ciąża miała zaledwie trzy miesiące. Oczywiście, muszę się z tym wszystkim jakoś pogodzić i żyć dalej. Jakież to z mojej strony nierozsądne, że tego ranka jestem jeszcze trochę przybita.

Otwierał i zamykał splecione z tyłu dłonie.

- Moiro...

- Wyjdź stąd - przerwała mu. - Jeśli tkwią w tobie resztki przyzwoitości, to wyjdź. Fakt, że to było twoje dziecko, powinien, być może, przepelnić mnie obrzydzeniem, ja jednak je kochałam. To było moje dziecko.

- Moiro... - Czuł, że przestaje nad sobą panować. Przymknął oczy.

- Wyjdź natychmiast - powiedziała. - Jesteś zimny jak głaz. Zawsze byłeś. Boże, jak bardzo bym chciała już nigdy nie musieć ciebie oglądać.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym odwrócił się bez słowa i wyszedł z pokoju. Powoli zamknął za sobą drzwi i zakrył rękami twarz. Ostatniej nocy przeszła ciężką próbę, jest załamana, pomyślał. Nie wierzył, że naprawdę mogła tak myśleć. Nie powinien był przychodzić do niej tak wcześnie. Powinien zaczekać, aż zjawi się doktor. Powinien był, do diabła, bardziej ważyć słowa.

Jednak żadne słowa nie były w stanie jej uspokoić. Nienawidziła go i ta nienawiść, nawet jeśli w jakiejś części spowodowana była tym, co się stało tej nocy, istniała. Od tyłu już lat. Wiedziała, że nie ma już nadziei, iż stosunki między nimi w końcu jakoś się ułożą. Zgodziła się na ten związek jedynie dlatego, że była z nim w ciąży. I oto teraz, zaledwie dwadzieścia cztery godziny po ślubie, tej ciąży już nie było. Co za ironia losu, jak słusznie zauważyła ostatniej nocy. Przyczyna zawarcia małżeństwa, przynajmniej w jej oczach, już nie istniała, ale samo małżeństwo zostało uroczyście zawarte i było nierozzerwalne.

Wszedł do swojego pokoju, przebrał się i po kilku minutach zmierzał w kierunku urwiska z wiernym Nelsonem u boku. Nawet nie czekał na doktora, uświadomił sobie dopiero po pół godzinie.

* * *

Moira leżała na szezlongu w maleńkim przytulnym saloniku, który należał do jej apartamentów. Nie czytała ani nie szyła. Tak było zresztą przez cały ubiegły tydzień. Jednak ten stan, jakby półletargu, zaczął jej w końcu doskwierać. Nie była pewna, czy zgodnie z zaleceniami doktora, wytrwa w swoich pokojach jeszcze przez kolejny tydzień. Miała nie wychodzić z domu przez cały miesiąc, ale wiedziała, że nie wytrzyma już długo bez słońca i

wiatru.

Jej matka wyszła godzinę temu, Harriet przed pięciu minutami. Biedna Harriet. Uwierzyła, przynajmniej na pozór, że przeziębienie Moiry, nękające ją nieprzerwanie od świąt Bożego Narodzenia, skończyło się krótką, choć poważną chorobą po której właśnie powoli dochodzi do siebie. Inne panie, które złożyły jej wizytę w ciągu ostatnich dwóch dni, wyglądały na bardzo zaintrygowane. Były jednak zbyt dobrze wychowane, żeby pytać, zarówno o jej małżeństwo zawarte tak szybko po zerwaniu zaręczyn z sir Edwinem, jak i o jej chorobę. Rozmowy w salonach Tawmouth muszą być w tych dniach wyjątkowo interesujące, pomyślała ponuro Moira.

Przez cały tydzień nie widywała swojego małżonka. Od tamtego pamiętnego poranka, kiedy straciła dziecko, tylko raz dziennie zjawiał się przy drzwiach jej saloniku, żeby zapytać o jej zdrowie, ukłonić się i odejść.

Starła się nie myśleć ani o mężu, ani o swoim małżeństwie, nawet o stracie dziecka. Nie zawsze jednak to się jej udawało.

„Moiro. Moja miłości. Nie umieraj. Nie pozwolę ci umrzeć. Moja miłości. Och, moja miłości. Proszę, proszę, nie umieraj. Nie zostawiaj mnie. Och, Moiro. Moja miłości”.

Słyszała to wszystko tamtej nocy - a może tylko zdawało się jej, że słyszy? Widziała malujący się na jego śmiertelnie bladej twarzy strach, nawet łzy, ale może i to było tylko wytworem jej wyobraźni.

To niesamowite, że umysł i pamięć mogą robić z człowiekiem takie rzeczy. Być może to był właśnie sposób, aby wrócić do zdrowia; pocieszanie się wyimaginowanymi słowami i spojrzeniami. Czy jednak możliwe, żeby wyobrażała sobie takie rzeczy? Jeśli nie, to on z pewnością i tak nie przywiązywał do tego wagi. Mimo to, wbrew temu, co przeżyła, wbrew goryczy, jaka nagromadziła się w jej sercu, i nawet wbrew rozsądkowi, czekała na niego. Czekala, że wróci, że znowu tak na nią spojrzy i znowu wypowie tamte słowa. Czekala, że powie coś o dziecku, które stracili. Coś, co ją pocieszy i uśmierzy ból.

„Przyjdzie czas na inne dzieci”. Jego głos był taki chłodny. „Kobietom zdarzają się poronienia. Dzieci umierają. Ludzie żyją dalej”.

Chciała się znowu z nim kochać. Dopiero teraz to sobie uświadomiła i zarumieniła się. To było w dniu ślubu. Przez cały dzień walczyła z tą myślą i teraz dopiero zrozumiała, że właśnie dlatego była dla niego taka okropna. Tak bardzo chciała, żeby ją przekonał. Zanim opuścił jej pokój, przyznała wreszcie, że być może da się jakoś ułożyć stosunki między nimi. A później, nie mogła tego pojąć, pomimo tych wszystkich strasznych przeżyć... chciała się z nim kochać.

Teraz znowu mogła go już tylko nienawidzić. Człowiek bez serca, jak mógł być taki gruboskórny?

Nagle usłyszała pukanie do drzwi, pukanie, które tak dobrze znała. Nigdy nie wchodził do jej pokoju. Pomyślała, że musi go za to zbesztać.

- Proszę wejść - powiedziała.

Skłonił się przed nią, jego twarz była zimna, bez wyrazu.

- Jak się pani dzisiaj czuje? - zapytał.

- Dziękuję, dobrze.

- Doktor twierdzi, że niebezpieczeństwo już minęło - rzekł. - Wygląda pani znacznie lepiej. Muszę o coś zapytać, madam. - Od tygodnia nie wymawiał jej imienia.

Uniosła brwi.

- Tydzień temu - ciągnął - powiedziała mi pani, że nie chce mnie więcej widzieć. Być może, madam, nie byłaś wtedy sobą. Czy wciąż tak Czujesz? Czy wciąż tego sobie życzysz? - Tak - odparła krótko.

Skłonił się jeszcze raz, w bardziej wyszukany sposób, bardziej formalnie.

- Pani życzeniu stanie się więc zadość, madam - powiedział. - Wyjeżdżam jutro rano do Londynu. Nie będę już pani przed wyjazdem niepokoił. Mój rządcą będzie wiedział, jak się ze mną skontaktować w każdej chwili, gdy tylko będę ci, pani, potrzebny. Żegnam.

Miała wrażenie, że to sen. Zaledwie tydzień temu wyszła za męża. Spodziewała się wtedy dziecka. Teraz nie miała już dziecka - i nie miała również męża. Mimo to już nigdy nie będzie wolna.

- Żegnam, milordzie - odpowiedziała. Jeszcze długo wpatrywała się w zamknięte drzwi.

- Jadę do Brighton - oświadczył lord Pelham. - Będzie tam cały elegancki świat i będzie... Prinny. Nie zapominajcie, że rok temu o tej porze szykowaliśmy się do bitwy pod Waterloo. Teraz, kiedy mamy wreszcie pokój, trzeba skorzystać z każdej okazji i cieszyć się życiem. Ja mam właśnie zamiar to zrobić.

- A ja, prawdopodobnie, pojedę do domu - rzekł Gascoigne. - Mój ojciec od dawna choruje i nadszedł czas... - wzruszył ramionami.

To był jeden z ostatnich dni maja. Jechali konno przez Hyde Park i rozmawiali o tym, co będą robili po zakończeniu sezonu.

- A ty, Ken? - zapytał lord Pelham.

- Ja? - Kenneth roześmiał się. - Wybacz, rozmarzyłem się trochę. Lub raczej podziwiałem kostki nóg pokojówki, prowadzącej na spacer psy. Nie, Nelson, nie pobiegiesz do nich ani po to, żeby się z nimi przy - , witać, ani żeby je straszyć. I nie patrz na mnie takim błagalnym wzrokiem. Co mam zamiar zrobić? Chyba razem z Edenem podążę za eleganckim światem do Brighton. A może do Paryża. Tak, lubię Paryż - albo do Wiednia lub Rzymu. Może nawet do Ameryki. Na świecie jest tyle miejsc, gdzie można wspaniale spędzić czas i tylko szkoda, że nie wystarczy życia, aby je wszystkie poznać.

- A więc nie jedziesz do domu? - zapytał Gascoigne.

- Do domu? - Kenneth ponownie się roześmiał. - Nie ma mowy, Nat. Jest wiele ciekawszych rzeczy niż siedzenie w Kornwalii. Na przykład podążanie za śliczną panną Wilcox. Czy wiesz, że wczoraj wieczorem u Pickardów, tańcząc ze mną ostatni przed kolacją taniec, złamała daną najstarszemu Pickardowi obietnicę, że zatańczy go z nim? Przez chwilę myślałem nawet, że Pickard rzuci mi w twarz rękawicę. Ta mała spędzi lato w Brighton - to decydujący argument przeciwko Paryżowi, nie sądzisz? Naturalnie, Paryż zostawiam sobie na jesień.

- Ta kobieta to straszna flirciara - zauważył lord Pelham - i ma niezbyt ciekawą reputację, Ken.

- W przeciwnym razie zaledwie by mnie zauważała, tak, Edenie? Czyżbyś był zazdrosny?

- Myślałem, że przynajmniej jesień zechcesz spędzić w Anglii, Ken - zauważył Gascoigne. - Lady Hav...

- To źle myślałeś - Kenneth przynaglił konia do galopu, a uszczęśliwiony Nelson

popędził za nim. W zamyśleniu patrzył na starannie utrzymane trawniki i drzewa, mijane po drodze grupki jeźdźców i licznych, pomimo wczesnej jeszcze pory, spacerowiczów. Od chwili przyjazdu do Londynu jego życie upływało wśród nieustannych rozrywek, a było ich znacznie więcej, niż doba ma godzin. Pod ręką zawsze byli dżentelmeni, z którymi można było pogawędzić, i damy, z którymi można było poflirtować.

Kto w tej sytuacji mógł mieć czas na samotność? Kiedykolwiek mu się to jednak zdarzyło, to zawsze było to późno w nocy albo tak wcześnie rano, że natychmiast zapadał w głęboki sen.

W Londynie przez kilka ostatnich tygodni była również jego matka, i także Helen i Ainsleigh. Kenneth lakonicznie poinformował ich o swoim ślubie, ani słowem nie wspomniał jednak, że jest z żoną w separacji. Nie wysłał listów, które napisał w dniu ślubu. Na ich pełne oburzenia pytania odpowiedział zdawkowo, że nie ma nic więcej do dodania, ale jeśli mają zamiar powiedzieć coś obraźliwego o nowej hrabinie Have - ford, to lepiej niech nie robią tego w jego obecności.

Jeśli chodzi o Nata, Reksa i Edena, to ograniczył się do poinformowania ich o swoim ślubie. Jako jego najbliżsi przyjaciele rozumieli, że Kenneth nie chce na ten temat powiedzieć nic więcej, i oni tę decyzję szanowali. Zdarzały się oczywiście jakieś przypadkowe uwagi czy aluzje, takie jak ta sprzed kilku minut.

Nie postanowił jeszcze, co będzie robił podczas lata. Wiedział jedynie, że decyzja musi zapaść szybko. Za miesiąc sezon się skończy i Londyn opustoszeje. Cały świat stał przed nim otworem. Nie mógł pojechać tylko w jedno miejsce.

I właśnie to miejsce prześladowało go w dzień i w nocy.

Watkins poinformował go, że Moira wróciła już do zdrowia. Sama do niego nie pisała. On również nie wysyłał do niej listów.

„Tydzień temu, madam, powiedziałaś mi, że nie chcesz mnie więcej widzieć. Czy wciąż sobie tego życzysz?

Tak”.

Eden i Nat zaśmiewali się z czegoś.

- Trudno wyobrazić sobie Reksa urządzającego pokój dziecinny - rzekł Gascoigne. - Widziałeś jego minę, jak tłumaczył, że Brighton nie służy lady Rawleigh i że pod koniec czerwca ma zamiar zabrać ją do domu? Nie można było wyrazić tego jaśniej.

- Grozi nam poważne niebezpieczeństwo, że i my wkrótce staniemy na ślubnym kobiercu - dodał lord Pelham. - Dwóch już ubyło. Czyż tylko ty i ja mamy samotnie walczyć o zachowanie wolności, którą jeszcze rok temu wszyscy razem tak bardzo się cieszyliśmy?

Podczas gdy dwaj pozostali będą zajmowali się dbaniem o coś tak nudnego i szacownego jak ciągłość rodu?

- A więc zdecydowałeś już, że w obydwu przypadkach to będą chłopcy? - zapytał Gascoigne. - Ken, co ty...

Ale Kenneth znowu przynaglił konia do galopu i po chwili zniknął im z oczu.

Tego samego dnia wszystko się jednak wyjaśniło. Wracając z balu, Gascoigne i hrabia Haveford postanowili, że nie będą już szukać tej nocy dalszych rozrywek. Mimo to, kiedy powóz zatrzymał się przed domem hrabiego na Grosvenor Square, Gascoigne bez wahania przyjął zaproszenie na kieliszek brandy.

- Panna Wilcox najwyraźniej chce cię złapać na męża - powiedział, siadając w fotelu ze szklaneczką w ręku. - Tańczyła z tobą trzy razy. Może się mylę, ale wygląda na to, że za trzecim sama cię poprosiła.

- Cóż mogę na to poradzić, że mam taki nieodparty urok.

- Chce cię zaciągnąć do łóżka - orzekł Gascoigne. - To publiczna tajemnica, iż wcale nie będziesz pierwszy. Pamiętaj, mój drogi, że chociaż ta dama jest dosyć swobodnych obyczajów, to jednak należy do towarzystwa i możesz mieć kłopoty.

- Tak jest, mamusiu - Kenneth podniósł szklanekę... i jedną brew.

- To nie byłoby rozsądne.

- Trudno by jej było zaciągnąć mnie do ołtarza, nie sądzisz? - zauważył Kenneth.

Gascoigne usiadł wygodniej w fotelu i przez jakiś czas uważnie obserwował przyjaciela.

- Jakoś nie mogę się z tym wszystkim pogodzić, Ken - odezwał się w końcu. - Od dwóch miesięcy jesteś najbardziej zabawowym facetem w mieście. Przy tobie Eden i ja czujemy się jak stare ciotki. Jesteś jak beczka prochu czekająca na lont, żeby eksplodować na milion części. Martwimy się o ciebie. Rex również. On twierdzi, że pospiesznie zawarte małżeństwo nie ma szans na przetrwanie, jeśli mąż nie trzyma żony przy sobie. Chyba wie, co mówi.

- Lepiej niech Rex pilnuje swojego nosa - rzucił ze złością Kenneth. - Ty i Eden również.

- Czy ona jest taka... okropna? - zapytał Gascoigne.

Kenneth pochylił się i z brzękiem postawił szklanekę na stojącym obok stoliku.

- Zostaw to, Nat - odrzekł. - Moja żona to nie jest temat do dyskusji. Jego przyjaciel zakolysał zawartością swojej szklanki i wpatrywał się w nią w zamyśleniu.

- Czy twój syn lub córka mają wzrastać, nie znając ciebie? - zapytał po chwili.

Kenneth opadł na oparcie fotela i powoli wciągał powietrze.

- Zawsze byłeś... rozwiązły - ciągnął Gascoigne. - Wszyscy byliśmy. Nigdy jednak nie byliśmy nieodpowiedzialni. Zawsze mi się wydawało, że jesteśmy ludźmi z gruntu przyzwoitymi i że kiedy przyjdzie czas, by się ustatkować... - Podniósł głowę znad szklanki i umilkł.

Kenneth siedział z zamkniętymi oczami, a jego palce zaciśnięte były kurczowo na poręczy fotela.

- Nie będzie dziecka, Nat - wyrzucił z siebie zduszonym głosem. - Straciliśmy je w noc poślubną. - Dlaczego powiedział mi? To przecież ona je straciła. Poza tym to jeszcze nawet nie było dziecko. Cięża trwała zaledwie trzy miesiące. Nagle zdał sobie sprawę z czegoś, co wyjaśniało milczenie Nata. Po jego twarzy płynęły łzy. Wstał gwałtownie i podszedł do okna.

- Ken, stary druhu - odezwał się po chwili Gascoigne - mogłeś nam o tym powiedzieć. Moglibyśmy spróbować cię pocieszyć.

- Dlaczego miałbym potrzebować pociechy? - zapytał. - To dziecko to owoc jednej nocy spędzonej z kobietą, której właściwie nawet nie lubię. Dowiedziałem się o jego istnieniu na tydzień przed ślubem. Poroniła w noc poślubną. Nie potrzebuję żadnego pocieszenia.

- Nigdy przedtem nie widziałem, żebyś płakał - zauważył Gascoigne.

- I nigdy już nie zobaczysz, możesz być tego pewny. - Sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Do diabła, Nat, czy nie masz na tyle przyzwoitości, żeby wyjść?

Przez dłuższy czas panowało milczenie.

- Pamiętam - odezwał się w końcu Gascoigne - jak szedłem pod nóż chirurga i jak strasznie się wtedy bałem, że będę krzyczał, że zemdleję albo skompromituję się w jakiś inny sposób, zanim wyciągną ze mnie tę cholerną kulę. Błagałem cię wtedy - kłamałem nawet - żebyś wyszedł, żebyś wrócił do regimentu. Ty jednak stałeś przy stole przez cały czas. Kiedy było już po wszystkim, również na ciebie kłamałem. Nigdy ci nie powiedziałem, ile to dla mnie wtedy znaczyło, że byłeś przy mnie. Przyjaciele, Ken, dzielą ze sobą nie tylko radości, ale również i ból. Opowiedz mi o niej.

Cóż można było powiedzieć o Moirze Hayes - o Moirze Woodfall, hrabinie Haveford? Gdy przychodziła z Seanem na plażę i obserwowała, jak chłopcy bawią się i walczą ze sobą, ledwie ją dostrzegał. Była wtedy chudym ponurym i niezbyt ładnym dzieckiem. Jakże się jednak zmieniła, kiedy zobaczył ją po kilku latach pobytu w szkole. Smukła, gibka, urocza i fascynująca Moira - nieosiągalna zarówno dlatego, że pomiędzy ich rodzinami trwała odwieczna nienawiść, jak i dlatego, że była panną z dobrego domu.

Spotykał się z nią tak często, jak tylko to było możliwe, oczywiście nie tak często, jak tego pragnął. Rozmawiał z nią, śmiał się wraz z nią i kochał ją, chociaż ich fizyczne kontakty nigdy nie wykraczały poza trzymanie się za ręce i zupełnie niewinne pocałunki. Często mówił, że ją kocha, ale ona, najwyraźniej bardziej świadoma nierealności ich związku, w odpowiedzi zawsze się tylko uśmiechała. Niepewność co do jej uczuć doprowadzała go do rozpacz. Był gotów przeciwstawić się wówczas zarówno swojemu, jak i jej ojcu. Nie wyobrażał sobie życia bez niej.

- Jednak zwyciężył twój ojciec? - zapytał Gascoigne. - A jej? To dlatego poszedłeś do wojska, Ken?

Jego przyjaźń z Seanem Hayesem, w miarę upływu lat, zamieniała się we wrogość. Kenneth nie mógł zrozumieć, a tym bardziej zaakceptować, awanturniczego stylu życia Seana, hazardu i długów. Brzydził się jego oszustwami podczas gry w karty czy kości, a przede wszystkim tym, że potrafił siłą zdobywać względy kobiet, jeśli tylko same nie chciały go nimi obdarzać. Przez jakiś czas wybaczał Seanowi, że zajmuje się przemytem. W okolicy Tawmouth to nie było zbyt lukratywne zajęcie, ale gdy zaczął otaczać się bandą rzezimieszków, stosować zastraszanie i przemoc, nie mógł dłużej milczeć.

- Zerwałeś z siostrą z powodu brata? - zdziwił się Gascoigne. Dowiedział się o dwóch ważnych sprawach: po pierwsze, że Sean planuje wyładunek w Tawmouth, i po drugie, że Sean flirtuje z Helen. O tej drugiej powiedziała mu sama Moira, chociaż nie użyła słowa flirt. Cieszyła się, myślała, że on również się ucieszy. Miała zapewne nadzieję, że cała ich czwórka potrafi wreszcie skończyć z nienawiścią, która od tak dawna dzieliła ich rodziny.

Postanowił, że sam to załatwi. Musi być świadkiem przemytu i następnego dnia postawić Seanowi ultimatum. Oskarży go o przemyt albo Sean przestanie interesować się Helen. Szantaż? O tak, z pewnością tak można by było to nazwać. Kiedy jednak zjawił się tamtej nocy na urwisku nad zatoką, wpadł na kogoś, kto stał na czatach i kto skierował pistolet prosto w jego serce. Moira.

- Ona była jedną z nich, Nat - rzekł. - Należała do tej bandy złodziei i rzezimieszków.
- Miała broń. Gdyby to był ktoś inny, a nie ja, z pewnością by strzeliła.

- Jesteś pewien? - zapytał Nat. - Może ona była...

- Poradziła mi, żebym poszedł do domu i zapomniał, co widziałem - ciągnął Kenneth - albo będzie zmuszona mnie zabić.

Wrócił wtedy do domu i opowiedział ojcu o tym, że Sean jest przemytnikiem, a na dodatek flirtuje z Helen. Jak się później okazało, było to coś znacznie poważniejszego, niż flirt: Sean i Helen planowali ucieczkę. Młodzieniec doszedł prawdopodobnie do wniosku, że

choć hrabia Have - ford nigdy nie zgodzi się na ich związek, to jednak po fakcie nie odbierze jej posagu, jeśli będzie chciał uniknąć gorszego skandalu. Hrabia działał w sposób niezwykle powściągliwy. Dał Seanowi możliwość wyboru: albo stanie przed sądem za przemyt, albo zaciągnie się do wojska. Sean wybrał wojsko, chociaż sir Basil Hayes złagodził trochę jego los, kupując mu patent oficerski w regimencie piechoty. Sean zginął w bitwie pod Tulużą.

- Ja również poszedłem do wojska - dodał Kenneth. - Nie mogłem wybaczyć Moirze, a ona nie mogła wybaczyć mnie. Nie była taka, jak myślałem. Przysięgłem sobie, że już nigdy nie wrócę do Dunbarton. Jednak wróciłem. A teraz ona jest moją żoną.

- Zawiodłeś jej zaufanie - rzekł Gascoigne. - Ona chciała jedynie bronić swojego brata wbrew tobie, a nawet przeciw tobie.

- To był mężczyzna, który nie zasługiwał na to, żeby broniła go jakakolwiek kobieta. Chyba, żeby sama była tak samo bezwzględna jak on.

- Był jej bratem, Ken - powtórzył Gascoigne. - Czy wciąż ją kochasz?

Kenneth roześmiał się.

- Sądzę, że po ostatnich dwóch miesiącach odpowiedź jest oczywista.

- Właściwie tak - powiedział w zamyśleniu Gascoigne. - Te pół godziny z tobą wiele mi wyjaśniło. Rex miał rację, ty wciąż ją kochasz...

- To, że zostawiłem ją samą w tydzień po ślubie, przysięgając, iż nigdy nie wrócę, ma być dowodem na to, że ją Kocham? - zawołał Kenneth, odwracając się od okna i patrząc na przyjaciela spod uniesionych brwi.

Gascoigne podniósł się i odstawił pustą szklankę.

- Czas iść do domu - rzekł. - Uznaliśmy, że to do ciebie niepodobne, żebyś porzucił żonę, gdyby była ci obojętna. Miłość i nienawiść... dobrze wiesz, co się o nich mówi. Zastanów się, czy mężczyzna płakałby nad dzieckiem, które znajdowało się w łonie matki zaledwie przez trzy miesiące, jeśli do kobiety, która je straciła, nie żywił bardzo głębokiego uczucia? Nienawiści lub miłości?

- Czuję się po prostu za nią odpowiedzialny - zaprotestował Kenneth. - Tak strasznie cierpiała, Nat. Rzuciła mi potem w twarz, że nie chce mnie więcej widzieć. Chciałem wierzyć, że powiedziała tak, ponieważ minęło zaledwie kilka godzin od poronienia. Dałem jej tydzień. Kiedy jednak zapytałem ponownie, powiedziała to samo.

- I powiedziała to tydzień po tym, jak straciła dziecko - rzekł z naciskiem Gascoigne. - Jeden tydzień, Ken? I ty jej uwierzyłeś?

- Od kiedy to stałeś się ekspertem od kobiet?

- Od kiedy mam pięć sióstr i kuzynkę rezydentkę - odparł Gascoigne. - Uwierz mi, nigdy nie mówią tego, co naprawdę myślą, kiedy są pod wpływem emocji. Pod tym względem niewiele się zresztą różnią od mężczyzn. Wiesz, wyklinanie cię za słowa pociechy i wsparcia po tym jak byłem pod nożem, dobrze zrobiło - szybciej doszedłem do siebie. W twoim przypadku, wcale nie jestem przekonany, czy kiedykolwiek wrócisz do równowagi, jeśli nie przyznasz się sam przed sobą, że cierpisz. Zostawiam cię z tą bezcenną życiową mądrością. Zobaczymy się rano w White's?

Kenneth odprowadził przyjaciela do drzwi i położył się do łóżka. Jednak minęła godzina i zaczęło świtać, a on wciąż leżał, patrząc w sufit i nie mogąc zasnąć. Przez jakiś czas starał się rozerwać, wyobrażając sobie, jak wieszka Nata Gascoigne za ręce i nogi i jak poddaje go wymyślnym torturom. Gdy jednak stwierdził, że przyglądanie się cierpieniom przyjaciela nie sprawia mu żadnej przyjemności, wstał, narzucił szlafrok, po czym zszedł do biblioteki i zabrał się do pisania.

Kiedy skończył, położył list na tacy w holu, aby został zabrany z po - ranną pocztą.

* * *

Kiedy Moira wróciła do zdrowia, zaczęła rozsadzać ją energia. czasu spędzała poza domem, rozmawiając z głównym ogrodnikiem o zmianach na dziedzińcu i w otaczającym Dunbarton parku. Wkrótce fontanna która od lat pełniła jedynie rolę dekoracyjną, ponownie tryskała wodą a otaczające ją puste dotąd trawniki cieszyły oko barwnymi rabatami.

Składała wizyty albo przyjmowała gości prawie każdego dnia, niej, dbając o to, co mówi się o niej w kręgu jej przyjaciół i sąsiadów. Nie wie - działa, co sądzą o jej zerwanych zaręczynach z sir Edwinem, o jej pospiesznym ślubie, chorobie i o tym, że została sama. Nikomu niczego nie wyjaśniała i wszyscy jej znajomi - nawet Harriet - o nic ją nie pytali. Oczywiście była w pełni akceptowana. Wszystko, co jej dotyczyło, budziło powszechny szacunek - była przecież hrabiną Haveford, panią Dunbarton.

Często spacerowała samotnie, a ogromny park wokół Dunbarton już jej nie wystarczał. Jak dawniej chodziła więc nad morze, gdzie godzinami wędrowała wzdłuż urwiska, po piaszczystej plaży i otaczających dolinę wzgórzach. Obserwowała, jak mija wiosna i jak jej miejsce zajmuje lato.

Wciąż powtarzała sobie jak wielkie spotkało ją szczęście. Uniknęła małżeństwa z rozsądku, uniknęła też grożącego jej życia w ubóstwie. Miała wspaniały dom i wystarczającą ilość pieniędzy, żeby sobie kupić wszystko, o czymkolwiek mogła zamarzyć. Przekonała się o tym, gdy zamówiła dla siebie nowe stroje i gdy po pewnym czasie zapytała pana Watkina o

rachunek, ten spojrział na nią ze zdumieniem i zapewnił, że jego lordowska mość już dawno wszystko załatwił. Tak więc miała do końca życia zabezpieczony byt. Jej matka również. Kiedy sir Edwin zdecyduje, że lady Hayes powinna opuścić Penwith, w każdej chwili będzie mogła przenieść się do Dunbarton.

To było znacznie więcej, niż jeszcze parę miesięcy temu mogła oczekiwać. Poza tym prowadziła spokojne życie i nie musiała się obawiać, że ktoś jej to życie zakłóci. Kenneth wyjechał na zawsze, była szczęśliwa, że miała już to wszystko za sobą. Pocieszała się nawet, że teraz, kiedy straciła dziecko, nie było już nawet powodu, by miał do tego domu wrócić. Poczula się o wiele lepiej, kiedy wyjechał. Prawda była taka, że nie chciała go już nigdy więcej widzieć.

Pewnego poranka, gdy wróciła ze spaceru, lokaj wręczył jej pocztę. Stała w holu i przeglądała plik korespondencji, gdy nagle jej ręka zatrzymała się na jednym z listów. Twarz jej gwałtownie pobraźla, szybko pobiegła na górę i wpadłszy do saloniku, zamknęła oczy, oparła się o drzwi i przycisnęła dłonie do mocno bijącego serca.

To na pewno formalne zapytanie o zdrowie, pomyślała lub skarcenie za zbyt duży rachunek u krawcowej. Równie dobrze mogła to być również reprimenda za niepotrzebne wydatki na remont fontanny i rabaty. Mogło to być... Otworzyła oczy i spojrzała na list. Jej ręka drżała. Dlaczego na list od niego reagowała w taki sposób?

Usiadła na szeszlunku i otworzyła list. Był krótki. Czego się spodziewała? Czegoś bardzo osobistego? Na dole zauważyła wyraźny podpis - Haveford.

- Madam - pisał - będzie mi bardzo miło, jeśli w ciągu dwóch dni od otrzymania tego listu zechcesz pani przyjechać do Londynu. Mój rząd - 'ca zadba o szczegóły. Mam nadzieję, że te kilka tygodni, które pozostały do końca sezonu, będą dla ciebie miłą rozrywką. Z wyrazami poważania, Haveford.

Długo patrzyła na list. To brzmi jak rozkaz, pomyślała. „Będzie mi miło... Z wyrazami poważania...”. To jedynie nic nieznaczące grzeczności czy polecenie? Ale dlaczego? Dlaczego miałoby być mu miło? Dlaczego miałoby mu zależeć, aby miło spędziła czas w Londynie? Dlaczego chciał ją znowu zobaczyć?

Mogłaby odmówić. Mogłaby napisać, równie krótko jak on, że nie ma ochoty jechać do miasta i że nie sądzi, aby londyński sezon mógł być dla niej miłą rozrywką.

Mogłaby pojechać do Londynu. Kiedy miała szesnaście lat, była w Bath. Poza tym nigdy nigdzie nie wyjeżdżała. Mogłaby pojechać do Londynu podczas sezonu. Będą bale, przejażdżki, koncerty i teatr, i ogrody Vauxhall, i Hyde Park. O tym wszystkim słyszała, o wszystkim marzyła, nigdy jednak nie spodziewała się, że kiedyś to zobaczy.

Mogła wyjechać już pojutrze.

Mogła znowu go zobaczyć. Nagły ból w dole brzucha był tak dojmujący, że pochyliła głowę. Może znowu go zobaczyć.

Wstała i w zadumie patrzyła przed siebie. Wzywał ją. Wydał Watkinsowi dyspozycje. Przysięgała, że będzie mu posłuszna. Doskonale, a więc dotrzyma przysięgi.

Może pojechać do Londynu. Może zobaczyć go znowu.

Przez ponad tydzień Kenneth zastanawiał się, kiedy przyjedzie Moira. Jeśli jego list dotarł do Dunbarton w takim czasie, jak przewidywał, i jeśli Watkins zorganizował wszystko tak, jak mu polecił, a powóz pokona drogę do Londynu w normalnym czasie, to mógłby jej oczekiwać już jutro. Najwcześniej jutro. Najbardziej prawdopodobne jednak, że przyjedzie dopiero pojutrze lub, jeśli spadnie deszcz, nawet dzień później. Nie, jutro na pewno nie przyjedzie.

A może lepiej by było, gdyby nie spodziewał się jej w ogóle? Godzinę zajęło mu zredagowanie i przepisanie krótkiego listu. Bardzo się starał, aby to, co napisał, nie brzmiało jak rozkaz. Rozkaz, w przypadku Moiry, miał znacznie mniejszą szansę powodzenia niż życzenie czy prośba. Jeśli Moira nie będzie chciała przyjechać, bądź uzna, że zademonstrowanie sprzeciwu warte jest każdej ceny, to, po prostu, nie przyjedzie.

I co on wtedy ma zrobić? Pojechać do niej? Wiedział, że to niemożliwe. Jeśli Moira nie zgodzi się przyjechać, to będzie musiał zamknąć pewien rozdział swojego życia - zapomnieć o Dunbarton, zapomnieć, że był kiedyś żonatym mężczyzną. Będzie podróżować po całym świecie. Może weźmie sobie kochankę. Nie będzie zabiegał o względy żony, która go nie chce. Tak samo jak o spłodzenie syna - prawowitego spadkobiercy majątku i nazwiska.

Najwcześniej mógł się jej spodziewać jutro.

Wiedział, że jeśli zostanie w domu, będzie się czuł jak niedźwiedź w klatce. Udał się więc na przyjęcie do Richmond i spędził tam miłe popołudnie - przechadzając się z lady Rawleigh, rozmawiając z panną Wishart i jej narzeczonym, poważnym, młodym człowiekiem, do którego najwyraźniej żywiła głębokie uczucie, grając w krokieta z panią Herrington - dość śmiałą wdową, która już tydzień temu nie omieszkała mu powiedzieć, że szuka właśnie nowego kochanka i że gustuje w dobrze zbudowanych blondynach.

Potem przeniósł się do White's, gdzie zjadł kolację w gronie przyjaciół, wśród których byli również Nat i Eden. Postanowił, że nie pójdzie ani do teatru, ani na przyjęcie do pani Somerton. Być może wpadnie później do Almack's, powiedział przyjaciołom, którzy wybierali się do opery.

- Wyglądasz rzeczywiście jak niedźwiedź w klatce, Ken - zauważył lord Pelham.

Kenneth uśmiechnął się i przestał bębnić palcami po blacie stołu.

- Coś mi się zdaje - dodał lord Pelham - że zastanawiasz się, czy nie zaakceptować czasem propozycji wdowy. Sama mi o tej swojej propozycji powiedziała, kiedy sądziła, że

mam zamiar złożyć jej własną.

- A miała rację, Ed? - zapytał z chichotem Gascoigne. - Naprawdę o tym myślałeś?

- Pomyśl lepiej o tej swojej małej tancereczce - odparł Kenneth, a lord Pelham roześmiał się od ucha do ucha.

- O jej pełnym wigoru przedstawieniu również - dodał. - Zarówno na scenie, jak i poza nią. W stosunku do pani Herrington staram się być po prostu szarmancki.

- Powiedzmy - mruknął Gascoigne.

- Powiedziała mi - ciągnął lord Pelham - że jasnowłosi mężczyźni doprowadzają ją do szaleństwa - takiego właśnie określenia użyła - szczególnie gdy są wysocy i postawni i mają chłodne, stalowoszare oczy. Święta prawda. - Podniósł do góry prawą rękę, a jego dwaj przyjaciele wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Aktualnie nie w głowie mi kochanka - odparł Kenneth, wstając od stołu. - Macie ochotę na szklaneczkę porto u mnie? Do Almack's pójdziemy później, zgoda?

- Żebyśmy tylko zdążyli przed jedenastą - dodał Gascoigne. - Inaczej te goryle nas nie wpuszczą, nawet jeśli wypchniemy cię do przodu, Ken, żebyś ich zaczarował blond włosami, muskularną klatką piersiową i chłodnymi stalowoszarymi oczami.

Znowu wybuchnęli śmiechem i wyszli na zewnątrz.

Wciąż jeszcze zanosili się od śmiechu, gdy powóz zatrzymał się przed domem Haveforda przy Grosvenor Square. Wesołe usposobienie, skłonność do śmiechu i umiejętność skupiania się na rzeczach błahych bardzo im pomagały w latach, gdy tak niewiele było powodów do radości.

- Przyślij porto i brandy do salonu - polecił Kenneth szefowi służby.

- Tak jest, milordzie - odparł służący. - Milordzie...

- Możemy wysłać z tobą Eda jako asystę - powiedział Gascoigne. - Jego błękitne oczy dobrze są znane z tego, że potrafią zniszczyć tych, którzy mają pecha, aby w nie zajrzeć.

- Gdyby stary Boney dał się namówić i przysłał nam jakąś swoją faworytkę... - westchnął lord Pelham.

- A ona przerzuciłaby się pewnie na latynoskich kochanków - dodał Kenneth. - Takich o czarnych, wypomadowanych włosach, podkreconych wąsach i białych zębach. - Znowu wybuchnęli śmiechem.

Kenneth otworzył drzwi do salonu i wprowadził gości do środka. Jednak już po kilku krokach zatrzymał się, a na jego twarzy odmalowało się bezgraniczne zdumienie. Ze stojącego przy kominku fotela podniosła się kobieta - wysoka, smukła i bardzo wytworna. Miała na sobie jasnyniebieską, modną suknię, a jej włosy, ciemne i lśniące upięte były w

elegancki kok. Pociągła, owalna twarz znowu przypominała renesansową madonnę, policzki były lekko zaróżowione, a oczy żywe i promienne. Wyglądała prześlicznie.

- Madam - powiedział - mam nadzieję, że czujesz się dobrze?

- Bardzo dobrze, dziękuję, milordzie.

- Ufam, że podróż nie była zbyt wyczerpująca.

- Była bardzo przyjemna, milordzie.

Wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie. To wszystko wydawało mu się takie nierealne. Moira w Londynie. Przyjechała. Nie zawiodła go. Postąpił kolejne dwa kroki w jej kierunku.

- Pozwoli pani, że przedstawię moich przyjaciół: pan Gascoigne, lord Pelham. - Odwrócił się i wskazał ich kolejno, z satysfakcją obserwując ich zaintrygowane miny. - Hrabina Haveford, panowie.

- Panie Gascoigne. Lordzie Pelham. - Złożyła dworski ukłon.

- Pani hrabino.

- Madam. Skłonili się przed nią. Wszyscy czuli się niezręcznie.

- Ależ wy się już przecież znacie - dodał Kenneth. Natowi pierwszemu zaczęło coś świtać.

- Kiedy byliśmy w Dunbarton - rzekł - pewnego wieczoru grała pani do tańca na fortepianie. To prawdziwa przyjemność widzieć panią znowu, madam.

- Ma pani duży talent, madam - dodał Eden, który pod maską obojętności starał się ukryć ogromne zakłopotanie.

Uśmiechnęła się.

- Usiądź, proszę, moja droga - powiedział Kenneth i zaklął w duchu, że zdecydował się na słowa, które zabrzmiały tak nienaturalnie. - Poleciałem przynieść porto. Czy kazać również podać herbatę?

- Tak, proszę. - Moira usiadła w tym samym fotelu, z którego podniosła się, gdy wchodzili do pokoju i uśmiechnęła do gości. Kenneth zadzwonił na służbę, po czym wrócił i stanął przy fotelu Moiry.

- Moja żona przybyła z Kornwalii, żeby spędzić ze mną ostatnie tygodnie sezonu - wyjaśnił. Byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby im o tym powiedział wcześniej. Obawiał się jednak, że jeśli Moira mu odmówi, wyjdzie na głupca.

- Uzna pani miasto za znacznie bardziej ruchliwe, niż bywa zazwyczaj. Wszędzie pełno byłych oficerów takich jak my - zauważył lord Pelham.

- Nigdy jeszcze nie byłam w Londynie, milordzie - odparła. - Nigdy też nie

wyjeżdżałam z Kornwalii, jeśli nie liczyć wyprawy do Bath, kiedy byłam dzieckiem.

Kenneth spojrzał na nią ze zdumieniem. Nie wiedział o tym. Był przekonany, że jej ojciec musiał ją tu przywieźć przynajmniej na jeden sezon.

- Powinna się więc pani przygotować na wiele niespodzianek - stwierdził z uśmiechem Gascoigne. - Sezon w Londynie to wydarzenie, w którym koniecznie trzeba uczestniczyć.

- Czekam na to z niecierpliwością - odparła ciepło. - Czy panowie znają mojego małżonka z wojska?

Kenneth nagle uświadomił sobie, że dotychczas widział ją spiętą i zakłopotaną w towarzystwie sir Edwina lub złą i upartą, gdy była z nim, a teraz stojąc obok jej fotela, czuł się tak, jakby ją widział po raz pierwszy. Była ciepła, urocza i fascynująca. Ze zdumieniem obserwował, jak jego przyjaciele z każdą chwilą coraz bardziej ulegają jej urokowi. Po pół godzinie Nat, a za nim Eden z determinacją wstali i zaczęli się żegnać.

- Sami odprowadzimy się do drzwi - rzekł lord Pelham, unosząc do góry dłoń w wymownym geście, gdy Kenneth chciał wyjść z nimi z pokoju. - Lady Haveford, to prawdziwy zaszczyt i przyjemność móc panią poznać.

Kenneth przez jakiś czas patrzył w milczeniu na zamknięte drzwi.

- A więc, madam... - rzekł w końcu, odwracając się w jej kierunku. Stała przed kominkiem. Jej twarz nie była już tak pogodna i promienna, ale lekkie rumieńce wciąż barwiły jej policzki. Nie mógł uwierzyć, że w ciągu dwóch miesięcy nastąpiła w niej tak ogromna zmiana. Oczywiście nie widać było po niej, aby usychała za nim z tęsknoty. Co za absurdalna myśl.

- A więc, milordzie - powiedziała spokojnie, ponownie siadając w fotelu.

Podszedł do kominka i oparłszy rękę na jego obramowaniu, przez jakiś czas patrzył na wygasłe palenisko. Czuł się dziwnie niezręcznie, że był z nią sam na sam i przez chwilę wyrzucał sobie nawet, że posłał po nią.

- Nie byłem pewien, czy mogę się pani spodziewać. Myślałem, że może pani odmówić.

- Kiedy poślubiłam pana - odparła - przysięgałam panu posłuszeństwo, milordzie.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, po czym znowu skierował wzrok na palenisko. Uśmiechnął się leciutko. Nie mógł uwierzyć w tę zaskakującą potulność.

- Znakomicie wyglądasz - zauważył.

- Dziękuję.

Nie robiła nic, żeby podtrzymać rozmowę, tak jak to robiła, kiedy byli tu jeszcze jego przyjaciele. Nie widać było po niej, żeby jego komplementy sprawiały jej przyjemność.

Kłopotliwa cisza przedłużała się.

- Dlaczego przyjechałaś? - zapytał. - Poza tym, oczywiście, że czułaś, iż jest to twoim obowiązkiem.

- Chciałam przyjechać - przyznała - i zobaczyć Londyn podczas sezonu. Nie byłabym kobietą, gdybym tego nie pragnęła.

- A czy nie chciałaś zobaczyć mnie? - zapytał.

Uśmiechnęła się lekko, ale nic nie odpowiedziała. To było idiotyczne pytanie. Krepujące milczenie znowu się przeciągało.

- Faktem jest - dodał - że jesteśmy małżeństwem.

- Tak.

- Żadne z nas tego nie chciało - ciągnął - i na nieszczęście, kiedy zostaliśmy do tego zmuszeni, to, co nas wówczas połączyło, nie było nawet obojętnością. Od tak dawna panowała między nami niechęć, a nawet wrogość, że przebywając ze sobą, nie potrafiliśmy być już w stosunku do siebie przynajmniej uprzejmi.

- Tak.

- Powiedziałaś mi dwa miesiące temu - dodał - i to dwukrotnie przy dwóch różnych okazjach, że nie chcesz mnie już więcej widzieć. Zastosowałem się do twojego życzenia, ponieważ, w jakiejś mierze, było zgodne z moimi odczuciami. Wydaje mi się jednak, że działaliśmy wówczas pod wpływem silnych emocji. Pomyślałem, że teraz, kiedy minęło już trochę czasu, możemy na wszystko spojrzeć z dystansu i zastanowić się nad podjętą wcześniej decyzją o spędzeniu reszty życia w separacji.

- Tak - powiedziała tylko.

Ta Moira, która w ogóle się z nim nie sprzeczała, która wydawała się z nim we wszystkim zgadzać, ogromnie go zaskoczyła. Czyżby było to jedynie chłodne posłuszeństwo? Emocjonalna obojętność? A może jednak wszystko przemyślała i sama doszła do podobnych wniosków? Czyżby dotychczasowa sytuacja stała się dla niej nie do zniesienia? Może poczuła to samo, co on, gdy pewnego wieczoru Nat zdjął warstwę lodu z jego serca i doprowadził do tego, że w jego oczach pojawiły się łzy?

- Hrabina Haveford - rzekł - powinna być przedstawiona w towarzystwie. Sezon w Londynie, kiedy to organizuje się tyle zabaw i różnych spotkań, stwarza ku temu wiele okazji. Nie można się dziwić, że chcesz w nich uczestniczyć, nawet jeśli nie przybyłaś tu z żadnego innego powodu.

- To brzmi rozsądnie - przyznała.

- Jednocześnie, być może będziemy w stanie zdecydować - dodał - czy nasz związek

ma jakąś przyszłość.

Znowu zaległo milczenie, ale kiedy ponownie odwrócił do niej głowę, jej twarz była spokojna i opanowana.

- To również wydaje się brzmieć rozsądnie - odparła.

- Z mojej strony nie będzie żadnych nacisków - rzekł. - Pod koniec sezonu podejmiemy decyzję. Żadne z nas nie wie jeszcze, czy przebywanie blisko siebie w ogóle wchodzi w grę. Należy tylko mieć nadzieję, że dojdziemy do takich samych wniosków. Jeśli nie, to miejmy nadzieję, że przynajmniej potrafiemy znaleźć jakieś polubowne rozwiązanie. Jeśli przebywanie razem nie będzie możliwe, będziesz mogła wrócić do Dunbarton i żyć tam własnym życiem. Moim domem będzie reszta świata. I nie będę domagał się, abyś do mnie dołączyła. Chociaż, w tym przypadku to nie był rozkaz, a jedynie życzenie, Moiro. - W jego głosie brzmiała uraza. Miał tylko nadzieję, że ona tego nie dostrzegła.

Uśmiechnęła się leciutko.

- Czyż życzenie małżonka nie jest jednocześnie rozkazem? - zapytała.

- Nie - odparł sucho. - Przynajmniej nie tego małżonka. Nie chcę, żebyś się ze mną sprzeczała przy każdej nadarzającej się okazji, tak jak to było w Kornwalii. Chciałbym jedynie, żebyś odnosiła się do mnie tak, jak nakazują zasady dobrego wychowania.

- Czy to rozkaz, milordzie? - zapytała.

Jego oparta o kominek dłoń zacisnęła się i wyprostowała.

- Parę minut temu zgodziłaś się dać nam szansę - powiedział. - Zadałem sobie wiele trudu, żeby wyjaśnić ci, iż w rozwiązaniu problemu, jaki stoi przed nami, będziesz miała tyle samo do powiedzenia, co ja. Czy wciąż chcesz spróbować?

- Tak - odparła. - Tak sądzę. Tak, jestem gotowa spędzić z tobą najbliższe tygodnie lub przynajmniej ich część. Masz tu wielu przyjaciół i pewnie zechcesz spędzać z nimi czas. Nie będziemy więc nawzajem siebie krępować. Zresztą przebywanie ze sobą przez cały dzień nie wyszłoby nam na dobre, nie uważasz?

- Jeszcze jedno - dodał po namyśle. - Decyzja, oczywiście, należy do ciebie. Czy chcesz się ze mną kochać w tym czasie? Powiedz szczerze.

Zmieszała się. Jej policzki oblały się purpurą.

- To byłoby nierozsądne - odpowiedziała.

- Nierozsądne? Co ty mówisz?

- To się robi z miłości - odparła spokojnie. - Między nami nie ma mowy o miłości.

- W małżeństwie często nie ma miłości - zauważył. - Czasem robi się to po prostu dla przyjemności. Czasem z innych powodów.

- O przyjemności też nie ma mowy - odparła. - Zgodziliśmy się sprawdzić - w ciągu tych kilku tygodni, czy istnieje jakakolwiek szansa, żebyśmy mogli być razem, przynajmniej od czasu do czasu. Jestem przekonana, iż najpierw musimy stwierdzić, że ta szansa istnieje. Jesteś człowiekiem mającym i zechcesz mieć spadkobiercę. W tej chwili jednak, milordzie, między nami nie istnieje nic poza chęcią spróbowania i lekko zawołowaną wrogością, która już tego wieczoru zdążyła się ujawnić.

Zabrzmiało to brutalnie, ale Kenneth nie wątpił, że mówiła szczerze. Czy czuł się rozczarowany? Pragnął jej, to oczywiste. Jeśli nie mógł jej mieć, to nie chciał żadnej innej, przynajmniej tak długo, aż zdecydują, że nie chcą być razem. Jednak, być może, lepiej nie dać się ponieść emocjom, które nieuchronnie prowadzą do fizycznego kontaktu.

- Czy mam rozumieć, że to twoja ostateczna odpowiedź? - zapytał. - Nie będzie fizycznych kontaktów między nami?

Chwilę milczała.

- Nie - odparła. - To nie jest ostateczna odpowiedź. Zależy ona od decyzji, jaką podejmiemy odnośnie naszej przyszłości. Musimy się lepiej poznać.

- Zapytam więc jeszcze raz.

- Zapytaj. Nie mogę jednak obiecać, że moja decyzja ulegnie zmianie.

Skinął głową.

- To uczciwe postawienie sprawy.

Był rozczarowany. Wszystko nagle stało się przeraźliwie realne. To, że była jego żoną i że stała przed nim w jego domu w Londynie - pewna siebie, elegancka i piękna - i że to była Moira.

- Musisz być zmęczona - powiedział, patrząc na stojący na kominku zegar. - O której godzinie przyjechałaś?

- Późnym popołudniem - odparła. - Wyruszyliśmy wczesnym rankiem, żeby nie zatrzymywać się na nocleg.

- Pozwól więc, że odprowadzę cię teraz do twojego pokoju - zaproponował, idąc w jej kierunku.

- Dziękuję. - Podniosła się i położyła rękę na przegubie jego dłoni. Uzmysłowił sobie znowu, jak bardzo była wysoka i jak bardzo mu się to podoba. Nagle poczuł, że i on jest zmęczony, zarówno tańcem, jak i spacerem z kobietami, które, jak panna Wilcox czy pani Herrington, nawet nie sięgały mu do ramienia.

W milczeniu szli po schodach, a potem korytarzem w kierunku jej sypialni. Spod drzwi wydostawała się smuga światła. Pomyślał, że pokojówka rozpakowywała rzeczy

Moiry, czekając na jej przyjście, aby posłać łóżko.

- Z przyjemnością zostanę jutro rano w domu, żeby być do twoich usług - powiedział.

- Nie wstawaj jednak, zanim w pełni nie wypoczniesz.

- Dziękuję.

Pochylił się i ucałował jej dłoń, a potem otworzył przed nią drzwi.

- Dobranoc - rzekł. - Cieszę się, że cię znowu widzę i że wróciłaś do zdrowia.

- Dobranoc. - Uśmiechnęła się do niego, ale nie zdobyła się na to, by w rewanżu powiedzieć mu coś równie miłego. Jakież to było dla niej typowe. Zawsze tak postępowała. Gdy była jeszcze dziewczyną, kilka razy powiedział jej, że ją kocha. Ona jednak nigdy nie powiedziała mu tego samego.

Kiedy weszła do środka i zamknął za nią drzwi, stał jeszcze przez chwilę, wolno wciągając powietrze. Nie będzie mu łatwo. Mieć ją tak blisko i nie móc jej nawet dotknąć. Być może jednak podjęła właściwą decyzję. Tego, co złe w ich małżeństwie, nie da się naprawić przez łóżko. To mogłoby wszystko jeszcze bardziej skomplikować, szczególnie gdyby ponownie zaszła w ciążę. Bóg jeden wie, że nadchodzące dni wcale nie będą łatwe.

* * *

Moira stała przy oknie swojej sypialni, bawiąc się przerzuconym przez ramię ciężkim warkoczem i patrząc w zadumie przed siebie. W domu po przeciwnej stronie placu widać było światła, a przed wejściem stały dwa powozy. Stangreci siedzieli na stopniach, rozmawiając i śmiejąc się głośno. Londyn, pomyślała, jestem w Londynie.

Zastanawiała się, czy będzie mogła zasnąć. Wszystko wydawało się takie nowe, jakby znalazła się w zupełnie nowym świecie. A spotkanie z Kennethem...

Nie była pewna, czy którakolwiek z podjętych przez nią w ubiegłym tygodniu decyzji była właściwa. O ile łatwiej byłoby je podejmować, pomyślała, gdyby zawsze było wiadomo, co jest słuszne, a co nie, albo gdyby przynajmniej można było znać ich konsekwencje. Czy dobrze zrobiła, decydując się na przyjazd do Londynu? Jej życie biegło tak spokojnie, poza tym, jak Kenneth sam powiedział, jego list nie był rozkazem, lecz prośbą. Mogła odmówić.

Czy dobrze postąpiła, godząc się, by przedstawił ją w towarzystwie? Że zgodziła się spędzić z nim sezon? Jaki jednak byłby sens tego przyjazdu, jeśli nie miałyby zgodzić się nawet na tak niewiele? Czy dobrze zrobiła, zgadzając się, żeby spróbowali uratować ich związek? Jak mogli, jeśli ich wzajemna wrogość zaszła aż tak daleko? Z drugiej jednak strony, jak mogli tego nie zrobić? Będą małżeństwem do końca życia, nawet jeśli po tych kilku tygodniach nigdy się już nie zobaczą.

Czy miała rację, nie zgadzając się na fizyczne kontakty? Jeśli chcą uratować swój związek, to muszą traktować go jak prawdziwe małżeństwo. Jak jednak mogła powiedzieć „tak”? Nie mogła. Gdyby wpuściła go do łóżka, nie mogłaby podjąć żadnej rozsądnej decyzji. Była o tym przekonana, jak tylko go ujrzała, na długo przedtem, zanim ją o to zapytał.

Widziała, jak, poprzedzając przyjaciół, wchodzi do pokoju, zanosząc się od śmiechu, nieświadomy jej obecności. Serce biło jej jak oszalałe. Nie nazwałaby tego jednak miłością. Nie kochała go. Nie nazwała - by tego również pożądaniem, chociaż bardzo go pragnęła. Wiedziała jednak, że doświadczenia sprzed prawie dziewięciu lat i te sprzed kilku miesięcy udowodniły, że to nie jest mężczyzna, któremu mogłaby zaufać, którego mogłaby lubić i szanować. Nie wierzyła, że te czekające ich wspólne tygodnie sprawią, że zmieni o nim zdanie. Instynktownie czuła, że jeśli pozwoli na intymność, jaka połączyła ich tamtej burzliwej zimowej nocy, może nie być w stanie podjąć racjonalnej decyzji i stracić szacunek dla samej siebie.

Bała się - panicznie się bała - że zakocha się w Kennecie. Nie pokocha go, lecz zakocha się w nim. A jeśli tak się stanie, może zapragnąć pozostać z nim na resztę życia, nawet jeśli rozsądek będzie dyktował jej coś zupełnie innego.

- Kenneth - wyszeptała. Zastanawiała się, czy zauważył, jakie wrażenie zrobił na niej jego widok, gdy tak stał przy kominku z ręką na jego obramowaniu i stopą opartą o wygasłe palenisko, imponująco swobodny i męski, przystojny, elegancki i taki daleki. Tak bardzo go pragnęła.

„Cieszę się, że znowu cię widzę”.

O tak, I ona również, niech Bóg ją ma w opiece, cieszyła się, że znowu go widzi.

Jakież to było dziwne uczucie obudzić się z myślą, że jego żona jest tuż obok, w pokojach przylegających do jego pokoi. Przyjechała na jego wezwanie i wysłuchała spokojnie tego, co miał do powiedzenia i, co najdziwniejsze, zgodziła się z nim. Zgodziła się na wspólne uczestnictwo w imprezach organizowanych przez śmietankę towarzyską Londynu i na poddanie ich związku próbie. Zaskoczył go też fakt, iż przez całą noc spał kamiennym snem.

Wiedział, że to śmieszne, ale był zdenerwowany. Zastanawiał się, jak to będzie, kiedy się dziś spotkają, jak będą się do siebie odnosić, o czym rozmawiać. Nie miał jednak zbyt wiele czasu na rozważania. Moira, pomimo wielu godzin spędzonych w podróży, wstała wcześnie. Ubrana była elegancko i szykownie, nawet jeśli na pierwszy rzut oka niezbyt modnie. Wyglądała tak samo pięknie jak poprzedniego dnia.

- Pomyślałem - powiedział, pomagając jej zająć miejsce przy stole i czekając, aż obsługujący ich lokaj napełni jej talerz - że może zechcesz wybrać się dziś na zakupy, a później po subskrypcję do biblioteki.

- To chyba nie jest rozrywka, za którą tęsknią dżentelmeni - zauważyła. - Czyżbyś chciał mi towarzyszyć, milordzie?

- To będzie dla mnie przyjemność, madam - odparł, machinalnie bawiąc się leżącym przy talerzu widelcem. Dziś rano Moira wydała mu się jakaś inna, chociaż nie mógł powiedzieć, żeby ta inna Moira mu się nic podobała. To naprawdę byłaby przyjemność, pomyślał. Jakoś nie tęsknił do porannej przejażdżki konnej ani do tych kilku godzin, które zwykle spędzał w White's na czytaniu gazet i rozmowie ze znajomymi.

Uśmiechnęła się do niego. Pomyślała, że nie jest dziś sobą. Grała rolę czarującej lady, która stara się dotrzymać warunków umowy. Tego ranka wyglądali jak dwoje dobrze wychowanych, ale zupełnie obcych sobie ludzi. Może to jednak wcale nie było takie złe?

- A więc zgadzam się na wszystko - odpowiedziała. - Nie wątpię, że sklepy w Londynie przyćmiewają te w Tawmouth pod każdym względem.

- Jestem zaskoczony, że twój ojciec nigdy nie zabrał cię podczas sezonu do Londynu.

- Taki sezon w mieście jest bardzo kosztowny, milordzie - zauważyła - a Sean... - wbiła widelec w kawałek parówki i podniosła go do ust, nie kończąc zdania.

Patent oficerski, mundur, szpada i cała reszta wyposażenia dla Seana musiały nadszarpnąć znacznie finanse Penwith, już wcześniej przecież poważnie uszczuplone przez

długi Seana. Wracanie do przeszłości nie ma jednak sensu, pomyślał Kenneth. Nic już nie może jej zmienić. Tak, jak prawdopodobnie nic już nie może uratować przy szóści. Mimo to, jeśli jest jakaś, najmniejsza nawet, szansa, to muszą ją wykorzystać.

- Tak więc cała przyjemność pokazania ci Londynu, jego sklepów, osobliwości i rozrywek należy do mnie - rzekł. - To z pewnością egoizm, ale bardzo się cieszę, że to wszystko będzie dla ciebie czymś zupełnie nowym.

- To miłe, dziękuję. - Znowu się uśmiechnęła.

Przez cały ranek rozmawiali bardzo grzecznie, bez cienia kłótni czy sprzeczki i chwilami wyglądało to nawet nieco sztucznie. Być może, pomyślał Kenneth, kiedy spacerowali po Oxford Street, wcale nie było to takie złe, że, w pewnym sensie, stali się sobie obcy. Ze zdumieniem zauważył, jaką przyjemność sprawia mu, iż mają obok siebie i że mijający ich przechodnie często odwracają się, by jeszcze raz na nią spojrzeć. Z pewnością intrygowało ich, komu towarzyszy hrabia Haveford. Nikt nie miał wątpliwości, że nie jest to jego kolejna przyjaciółka, ale nikt też nie wiedział, kim naprawdę jest, aż do chwili, gdy przedstawił ją jako swoją małżonkę.

Kiedy podziwiała kapelusze na wystawie jakiegoś sklepu, natychmiast wprowadził ją do środka i już po chwili przymierzała przed lustrem dziesiątki różnych modeli.

- Ależ ja nie potrzebuję kapelusza, milordzie - zaprotestowała. Lecz hrabia z zachwytem patrzył na jej głowę ozdobioną wyjątkowo pięknym słomkowym kapeluszem, przybranym kwiatami i niebieską wstążką zawiązaną pod brodą.

Widać było, że bardzo się jej podoba i że pragnie go mieć.

- Proszę zapakować - powiedział do ekspedientki.

- Milordzie... - zaczęła, ale jej twarz pokryła się rumieńcem, roześmiała się więc i już nie myślała o proteście.

W innym sklepie kupił jej parę eleganckich rękawiczek w kolorze słomkowym, znakomicie pasujących do kapelusza.

- To już chyba zbyt ekstrawagancja - zauważyła, nieco tym wszystkim zakłopotana, ale podziękowała mu i Kenneth ponownie ze zdumieniem zauważył, że sprawia mu to ogromną przyjemność.

- Och, jakie śliczne wachlarze - zawołała po chwili, zatrzymując się przed kolejną wystawą na Bond Street. - Proszę tylko spojrzeć, milordzie, na te malunki. To prawdziwe dzieła sztuki. Piękne!

Stał obok niej, spoglądając to na rozłożone na wystawie wachlarze, to na nią.

- Który ci się podoba najbardziej? - zapytała.

- Chyba ten z kupidynem wypuszczającym strzałę w kierunku uciekającej nimfy - odpowiedział. - Równie dobrze mogłaby się zatrzymać. Nie ma szans na ucieczkę.

- Ja również uciekałabym przed tak głupawo wyglądającym pastuchem - odparła, śmiejąc się i Kenneth pomyślał, że wygląda jak uosobienie młodości i szczęścia. - Mnie podoba się ten z siedzącą na omszałej ławeczce nimfą i podziwiającym ją z ukrycia dżentelmenem. To bardzo romantyczna scena.

Pomimo jej gorących protestów, wszedł do środka i kupił jej wachlarz.

- Będę się teraz pilnowała, by nie pokazać po sobie, że coś mi się podoba z obawy, iż znowu mi to kupisz - postanowiła, kiedy wyszedł ze sklepu. - Nie musisz tego robić, milordzie. Wyznaczyłeś mi tak dużą sumę na moje potrzeby, że niczego mi nie brak.

- Madam, kupowanie ci pięknych rzeczy to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Zmarszczyła lekko brwi i jej oczy jakby się trochę zamglily, ale już po chwili znowu się uśmiechnęła.

- A zatem, dziękuję - odparła.

Milczała konsekwentnie, kiedy zatrzymali się przed wystawą jubilera, chociaż robił wszystko, żeby zwrócić jej uwagę na przepiękną kolekcję bransolet.

- Wejźmy do środka - powiedział w końcu. - Klejnoty najlepiej oglądać z bliska, a nie przez szybę.

W sklepie zachowywała się z ogromną powściągliwością. Zgodziła się z jubilerem, że wszystkie bransolety są śliczne, ale twierdziła, że nie potrafi wybrać tej, która podoba jej się najbardziej.

- Poproszę tę - zdecydował w końcu Kenneth, wskazując najpiękniejszą i najbardziej kosztowną bransoletę, wysadzaną brylantami. - Proszę to zapakować.

Moira stała przy ladzie, podczas gdy Kenneth poszedł na zaplecze uregulować rachunek i odebrać klejnot. To będzie spóźniony prezent ślubny, pomyślał. Nie podarował jej wtedy nic, jeśli nie liczyć ślubnej obrączki.

Nie odwzajemniła jego uśmiechu, gdy dołączył do niej przed sklepem. W jej oczach widać było zakłopotanie.

- To musiało kosztować fortunę - powiedziała. - Nie powinieneś być tego robić. Nie musisz kupować moich... moich względów.

- Dobry Boże - zawołał, pochylając głowę, żeby zajrzeć pod rondo jej eleganckiego, brązowego kapelusza. - Rzeczywiście tak myślisz? Jesteś moją żoną, zaledwie od trzech miesięcy. Kupiłem ci te wszystkie drobiazgi, ponieważ sprawiło mi to przyjemność, a brylanty, ponieważ nie otrzymałaś ode mnie żadnego prezentu ślubnego.

- Prezentu ślubnego? - zdziwiła się. - Co jednak będzie, jeśli nie zostaniemy razem?

Nie chciał dziś myśleć o takiej ewentualności.

- To nie zmieni faktu, że ślub się odbył - odrzekł. - Ten prezent jest właśnie z tej okazji. Bransoleta należy do ciebie bez względu na to, co stanie się z nami. Będzie ci przypominała ten... sympatyczny poranek.

- Dobrze więc. Niech tak będzie - powiedziała spokojnie. - Dziękuję. Jednak część poprzedniej radości i spontaniczności ulotniła się gdzieś bez śladu. Miał zamiar zaprosić ją na lody, gdyby to jednak zrobił, musieliby usiąść przy stole i o czymś rozmawiać. O czym? Czyż nie zrobił już z siebie błazna, kupując jej tę błyskotkę, jakby był zakochanym bez pamięci młodzikiem? Lepiej już, jeśli pójdą prosto do biblioteki, a później wrócą do domu.

W chwili, gdy ofiarował jej ramię, zatrzymała się przy nich inna para.

- Ken? - zawołał znajomy głos.

Kiedy Kenneth odwrócił się, ujrzał wicehrabiego Rawleigh i lady Rawleigh. Przywitał się z przyjacielem i uklonił jego małżonce.

- Dziś rano spotkałem w parku Nata. Uczyni mi ten honor, Ken, i przedstaw nas.

Kenneth dokonał prezentacji, z satysfakcją obserwując, z jakim zaciekawieniem Rex patrzy na Moirę, podczas gdy ona uśmiechała się i prowadziła rozmowę z taką samą lekkością i wdziękiem jak poprzedniego dnia.

- Pan Gascoigne przekazał mojemu mężowi wiadomość o pani przy - jeździe - powiedziała lady Rawleigh do Moiry. - Zamierzaliśmy wpaść do was po południu, prawda, Rex? Pan Gascoigne wspominał, że to pani pierwsza wizyta w Londynie.

- Proszę więc nas odwiedzić - odparła Moira. - Będzie nam bardzo miło.

- Mam lepszy pomysł - rzekła lady Rawleigh. - Czy państwo wybieracie się dziś na bal do lady Algerton?

Moira spojrzała pytająco na Kennetha.

- Oczywiście - potwierdził Kenneth.

- Może więc najpierw wpadniecie do nas na kolację - zaproponowała lady Rawleigh. - Czyż nie byłoby wspaniale, Rex?

- Nie mogę się doczekać, najdroższa, żeby bliżej poznać lady Haveford - rzekł wicehrabia. - Na pogawędkę z tobą również, Ken. Mam nadzieję, madam - dodał, patrząc na Moirę z uśmiechem - że zarezerwuje pani dziś dla mnie drugi taniec.

- Wydają się bardzo mili - zauważyła Moira, gdy po kilku minutach rozstali się i każda z par poszła w swoją stronę. - Lord Rawleigh jest również twoim przyjacielem z wojska, milordzie?

- Było nas czterech i kochaliśmy się jak bracia. Czy masz ochotę pójść na kolację do państwa Rawleigh?

- Tak - odpowiedziała. - Przecież po to tu przyjechałam, nieprawdaż? Spotykać się z ludźmi, szczególnie z tymi, którzy są tobie bliscy. Czy lady Rawleigh podróżuje ze swoim mężem? Jak się zdaje, termin rozwiązania jest już bliski.

- Niedawno się pobrali. Zaledwie parę tygodni przed nami.

- Ach, tak. Wyglądają na bardzo szczęśliwych.

- Tak - przyznał. - Sądzę, że są szczęśliwi.

Szli w milczeniu w kierunku biblioteki zatopieni we własnych myślach. Nie powiedział Moirze, że małżeństwo Reksa zostało zawarte w podobnych okolicznościach jak jego, z różnym tylko skutkiem. Tamtym dwojgu udało się jakoś pokonać przeszkody i dojść do porozumienia. Jemu i Moirze niestety nie. Jeszcze nie. Dziś rano był pełen optymizmu. Teraz jednak coś stanęło między nimi. Przeklęta bransoletka. Powinien był minąć tego nieszczęsnego jubilera i zaprosić Moirę na lody.

* * *

Po południu Moira miała ochotę na chwilę odpoczynku. Najchętniej wybrałaby się na spacer po Hyde Parku, tyle przecież o nim słyszała. Z niecierpliwością czekała, co jej przyniesie zbliżający się wieczór. Wicehrabia Rawleigh wydał się jej bardzo sympatyczny, a jego żona niezwykle czarująca. Przyjemnie byłoby mieć w Londynie jakąś przyjazną duszę. Poza tym jej mąż nie będzie chciał towarzyszyć jej codziennie od rana do wieczora. Przypomniała sobie o czekającym ją dziś balu, który, z tego co słyszała, miał być wydarzeniem sezonu, i pomyślała, że kiedy stąd wyjedzie, wszystkie te przeżycia na zawsze pozostaną w jej pamięci. Miała tylko nadzieję, że będą to tylko miłe wspomnienia.

Przedpołudnie nie należało do specjalnie udanych i Moira musiała przyznać, że to ona ponosiła za to winę. Jej życie w Penwith było bardzo skromne i nie pozwalała sobie na żadne ekstrawagancje. Kapelusz, a później rękawiczki do takich właśnie ekstrawagancji należały. Jednak jej mąż był bardzo bogaty, a sezon w Londynie ma swoje prawa. Poza tym nie potrafiła ukryć, że ten kapelusz bardzo się jej podobał. Powinna była ucieszyć się z tych prezentów, lecz swoim zachowaniem tylko wszystko popsowała.

Niestety, później był wachlarz, aż w końcu bransoleta, która musiała kosztować więcej, niż ona i jej matka wydawały przez cały rok. Nie chciała prezentów. Chciała przyjaźni, być może jakiejś formy przywiązania. To mogłoby im pomóc uratować ich związek. Nie zgadzała się, żeby kupował jej uczucia, nie chciała też, aby uważał, że pieniądze

i prezenty mogą jej zastąpić miłość.

Zauważyła, jak zmienił się jego nastrój po wyjściu od jubilera. Zorientowała się, że źle go oceniła. Kupił jej bransoletę, ponieważ sam tego chciał. Tymczasem ona tak źle go potraktowała. Musi to jak najszybciej naprawić. Wiedziała, że nie będzie to proste. Pomyślała, że spacer w parku stworzy doskonale warunki do swobodnej rozmowy, bez tych wszystkich sztywnych konwenansów.

Jednak szybko okazało się, że popołudnie nie będzie wcale miłe. Jej mąż poinformował ją podczas lunchu, że chce wraz z nią złożyć wizytę swojej siostrze, a kiedy po usłyszeniu tej wiadomości żołądek podszedł jej do gardła, dodał, że jego matka też tam będzie.

- Nie - powiedziała zdecydowanym tonem. - Nigdy, milordzie. Nigdy nie złożę im wizyty. - Tego nie było w umowie. Zgodziła się przyjechać, aby spędzić tu kilka miłych tygodni i nie pozwoli wciągnąć się w pułapkę. Nie miała nic do powiedzenia ani jego matce, ani siostrze.

- Tak - powiedział z takim samym zdecydowaniem. - Zrobisz to. Jesteś moją żoną. Muszę cię przedstawić.

- Rzecz w tym, że za kilka tygodni już nią nie będę - odparła. - Będę jedynie nosiła twoje nazwisko. Poza tym obydwie panie podczas świąt wyraziły dosyć jasno, co o mnie myślą. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

- Podczas świąt - odparł - nie byłeś jeszcze moją żoną, nie byłeś nawet narzeczoną. Złożymy tę wizytę, Moiro. Są zasady, o których nie wolno zapominać. Ta jest właśnie jedną z nich.

- A więc to rozkaż - zauważyła, zaciskając usta. - Widzę, że nie mam wyboru.

Jego oczy były zimne. Znowu miała przed sobą dawnego Kennetha.

- Tak, to jest rozkaż - przyznał. - Nie byłby jednak potrzebny, gdybyś wiedziała, że są zasady, których się nie lekceważy.

Ten zarzut bardzo ją dotknął.

- Teraz wreszcie rozumiem, po co była ta bransoleta, kapelusz i wachlarz - odparła. - Że nie wspomnę o rękawiczkach.

- Jesteś dziecinna.

- Zawsze tak się kończy, nie uważasz? - powiedziała. - Spieramy się o coś i wtedy słyszę, że jestem dziecinna. A ty, milordzie, jesteś prostackim tyranem. Byłam głupia, że tu przyjechałam i byłam głupia, że zgodziłam się spróbować zmienić łączące nas stosunki. Prawda jest taka, że nic nigdy ich nie zmieni.

- Rzeczywiście, chyba że my zdecydujemy inaczej.

- Nie ma żadnego „my” - zaprotestowała. - Jedyne ty i ja. Ty wydajesz rozkazy, a ja mam je wypełniać.

Bębnił palcami w blat stołu.

- Tak więc odmawiasz przestrzegania zasad dobrego wychowania i nie złożysz dziś wizyty mojej matce? - zapytał.

Wstała, zmuszając go, aby podniósł się również, chociaż nie skończył jeszcze jeść. Nie, to mu się nie uda. Nie oskarży jej, że to przez nią próba naprawienia ich związku spaliła na panewce, zanim skończył się pierwszy dzień.

- Będę gotowa - powiedziała chłodno - gdy tylko zechcesz po mnie posłać, milordzie.

Długo stał w tym samym miejscu, gdy Moira wyszła z pokoju.

W ciągu najbliższej godziny i podczas mi leżącej jazdy powozem jej gniew i irytacja nie ustępowały. Jak śmiało zmuszać ją do składania wizyty jego matce, która, niewiele brakowało, a wypędziłaby ją z Dunbarton w zimną noc, i jego siostrze, która z taką pogardą i lekceważeniem odnosiła się do niej, kiedy spotkały się w jednym z salonów Tawmouth. Czego się jednak mogła po nim spodziewać. Nie było w nim nigdy żadnych ludzkich uczuć.

- Czy oni wiedzą? - zapytała, gdy powóz zatrzymał się przed rezydencją wicehrabiego Ainsleigh. - Czy wiedzą, dlaczego wzięliśmy ślub? - Znając odpowiedź, wiedziałyby przynajmniej, jak ma się zachować.

- Niczego im nie wyjaśniałem, bo nie było takiej potrzeby, madam. Gdybyś jednak chciała zmienić nieco wyraz twarzy, łatwiej by nam było udawać, że to małżeństwo z miłości.

- Byliśmy w sobie aż tak zakochani - odparła - że rozstaliśmy się zaledwie w tydzień po ślubie i żyliśmy z dala od siebie przez całe dwa miesiące? Nigdy w to nie uwierzą.

- Sądziłem, że nie zależy ci na mojej rodzinie - zauważył. - Czyżby więc zależało ci na tym, w co uwierzą?

- Nie - odpowiedziała.

- Zatem to chyba bez znaczenia, czy uda się nam wprowadzić ich w błąd, nieprawdaż? Jeśli jednak, madam, uśmiechniesz się do mnie, ja uśmiechnę się do ciebie. - W tej samej chwili jego twarz rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

- Oczywiście, milordzie - dodała. - Tobie na nich zależy, prawda? I zależy ci również na tym, w co uwierzą?

- Jeśli to potwierdzą, Moiro, to mogę być pewien, że będziesz patrzyła na mnie wilkiem przez najbliższą godzinę.

- W pełni na to sobie zasłużyłeś - odparła.

- Ależ, oczywiście.

Zabrzmiało to tak podejrzenie ugodowo, że Moira zaczęła się zastanawiać, czy on czasem z niej nie kpi. Może dla niego to był powód do żartów, ale jej wcale nie było do śmiechu. Ze wszystkich rzeczy na świecie, ta była ostatnią, na którą miała ochotę. Po chwili hrabia Haveford podał jej rękę i pomógł wsiąść z powozu.

Hrabina Haveford i wicehrabina Ainsleigh najwyraźniej nie były uprzedzone o tej wizycie, chociaż przyjmowały w tym dniu gości. Dwie damy i jeden dżentelmen siedzieli w salonie wraz z nimi i wicehrabią Ainsleigh. Chociaż, gdy po zaanonsowaniu przez lokaja weszła wraz z Kennethem do salonu, twarze zarówno jej teściowej, jak i szwagierki wyglądały jakby je zwarzył mróz, dobre wychowanie wymagało, żeby przyjęły ją uprzejmie. Lady Haveford posadziła nawet Moirę przy sobie na sofie i naląła jej herbaty.

- Spodziewam się, moja droga, że zostawiłaś lady Hayes w dobrym zdrowiu - powiedziała.

- Tak, dziękuję - odparła Moira. - Czuję się doskonale.

- Spodziewam się również, że miałaś dobrą podróż?

- Tak, dziękuję - ponownie potwierdziła Moira. - Mój małż... Kenneth polecił przydzielić mi kilku służących dla bezpieczeństwa i kazał zarezerwować najlepsze pokoje w najlepszych zajazdach. To bardzo przyjemna i interesująca podróż, szczególnie że wszystko było dla mnie zupełnie nowe.

- Nie byłaś więc nigdy w Londynie? - zapytała Helen. - Wyobrażam sobie, jakie to wszystko musi ci się wydawać dziwne w porównaniu z życiem na wsi.

Moira udała, że nie słyszy tonu lekceważenia i protekcjonalności w jej głosie.

- Przyjechałam dopiero wczoraj wieczorem - powiedziała. - Jednak muszę przyznać, że sklepy są tu rzeczywiście wspaniałe. Kenneth zabrał mnie dziś przed południem na spacer po Oxford Street i Bond Street.

- Lady Haveford, czy będzie pani dziś wieczorem na balu u lady Algerton? - zapytała któraś z zaproszonych dam.

- Tak - odparła Moira - i nie ukrywam, że bardzo się z tego cieszę. - Musiała wydawać się tym ludziom naiwną prowincjuską, ale nie miała zamiaru przybierać pozy osoby doświadczonej i znudzonych życiem. Uśmiechnęła się.

- Z pewnością Kenneth zatańczy z tobą pierwszy taniec - rzekł wicehrabia Ainsleigh. - Czy zechcesz zarezerwować dla mnie drugi, Moira? Mam nadzieję, że wolno mi się tak do ciebie zwracać, skoro jesteśmy teraz bratem i siostrą?

- Byłoby mi miło - uśmiechnęła się jeszcze cieplej. Polubiła wicehrabiego od

pierwszej chwili, gdy go spotkała na balu w Dunbarton i gdy tak bardzo starał się pokryć jakoś grubiaństwo, jakie jej i sir Edwinowi okazała jego żona. - Obawiam się jednak, że drugi taniec obiecałam już wicehrabiemu Rawleigh, sir.

- Michael - poprawił ją. - Wobec tego proszę o trzeci, chyba że i ten jest już zarezerwowany?

- Dziękuję, Michaelu - powiedziała.

Kenneth stał obok sofy, nieco z tyłu za Moirą. Jedną rękę położył lekko na jej ramieniu i Moira bez chwili namysłu podniosła swoją i musnęła palcami palce jego dłoni. Wiedziała, że to był gest, którego nie mogła nie zauważyć ani teściowa, ani szwagierka, ani ich goście - gest niezbyt dyskretny, ale zapewne do wybaczenia u niedawno poślubionej pary, która jest bardzo w sobie zakochana. To nie był, oczywiście, przypadek. Prawdopodobnie Kenneth chciał jej okazać moralne wsparcie, a ona czuła potrzebę pokazania mu, że to docenia i akceptuje. Naturalnie nie miało to głębszego znaczenia. Być może, tak jak sugerował w powozie, w ten sposób łatwiej będzie przekonać ich, że to małżeństwo z miłości. Podniosła głowę i spojrzała na niego, a kiedy się do niej uśmiechnął, ona uśmiechnęła się również.

- Przyrowadzisz, oczywiście, swoją żonę do mnie, jak tylko zjawicie się na balu - powiedziała stara hrabina, kiedy w chwilę później odprowadzała ich do wyjścia. - Dopilnuję, żeby została zaprezentowana wszystkim tym, z którymi hrabina Haveford powinna zawrzeć znajomość.

- Jak sobie życzysz, mamó - rzekł Kenneth, pochylając głowę.

- Dziękuję, madam - dodała Moira. Hrabina spojrzała na nią chłodno.

- Dobrze się stało, że poroniłaś - powiedziała. - Nowa hrabina, której brak zarówno miejskiego obycia, jak i znanego nazwiska, nie powinna dodawać do tego plotek, które z pewnością błyskawicznie by się rozeszły, gdyby poród nastąpił zaledwie sześć miesięcy po ślubie.

Okłamał ją. Powiedział im. Przez cały czas, kiedy siedziała z nimi w salonie, oni wiedzieli. Moira podniosła głowę i wyprostowała się.

- Domyślałam się, że korespondowałaś z gospodynią mego domu, panią Whiteman - zauważył Kenneth. - Będę musiał porozmawiać z nią o źle pojmowanej przez nią lojalności. Moira długo dochodziła do siebie, mamó. Strata dziecka, które, bez względu na wszystko, było naszym dzieckiem, była niezwykle bolesnym przeżyciem. Byłbym wdzięczny, gdybyś nikomu o tym nie wspominała.

- Trudno chyba przypuszczać, że mogłabym to zrobić - odrzekła, Tak więc zdobyłaś

wszystko, Moira - bogactwo, pozycję i bezpieczeństwo. Nic nie mogę zrobić, żeby to zmienić. Chcę jedynie wierzyć, że będziesz żyła zgodnie z tym, czego się od ciebie oczekuje, i zaofiarować, pomoc, byś w miarę gładko weszła do towarzystwa.

Oferta była najwyraźniej wymuszona okolicznościami. Nie wypływała z jakiegokolwiek przyjaznego uczucia. Tak czy inaczej, jest to jakaś oferta, pomyślała Moira. Jeśli miała zostać z Kennethem - jeśli - to głupotą byłoby ją odrzucić.

- Dziękuję, madam - powtórzyła po raz kolejny.

- Lepiej będzie, jeśli zdecydujesz się mówić do mnie mamó - do - dała hrabina. - Mam jeszcze gości w salonie. Muszę do nich wracać.

Kenneth skłonił się przed nią. Moira ukloniła się również.

Po chwili ponownie siedzieli w powozie. Sztywni i milczący.

- Bardzo mi przykro - odezwał się Kenneth, kiedy powóz ruszył. - Nie miałem pojęcia, że ona wie. Pani Whiteman zostanie, oczywiście, zwolniona. Nie będę tolerował gospodyni, której lojalność wobec mojej matki jest silniejsza niż lojalność wobec ciebie. Zdaję sobie sprawę, że to, co powiedziała moja matka, musiało cię zranić.

- Tak - przyznała. Jednak to, co on powiedział, nieoczekiwanie ją wzruszyło. Mówił tak, jakby strata dziecka dotknęła go w takim samym stopniu jak ją. - „Nie mogliśmy się pozbierać po stracie dziecka... „, I był zdecydowany zwolnić gospodynię za to, że, działając za jej plecami, donosiła o wszystkim, co się dzieje w Dunbarton swojej dawnej pani. Och, Kennece, pomyślała, nie wprawiaj mnie w zakłopotanie...

- Czy wizyta była aż tak okropna, jak się spodziewałaś? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała, wpatrując się w swoje, leżące na kolanach, dłonie. - Gdybyśmy nie złożyli tej wizyty dziś po południu, moglibyśmy ich spotkać dziś wieczorem, prawda? To byłaby bardzo niezręczna sytuacja.

- Tak - przyznał.

- Pomyślałaś o tym. - Ona w swej bezdennej głupocie, nie. - Nie, było lepiej, niż się spodziewałam. Przynajmniej nikt nie pokazał mi drzwi.

- Nie ośmieliliby się - odparł. - Jesteś moją żoną. Uśmiechnęła się, wciąż nie podnosząc wzroku.

- Jestem więc rozgrzeszony z wydania tego rozkazu? - zapytał.

- Masz prawo wydawać mi rozkazy - odparła.

- To zaskakująco potulna odpowiedź - zauważył, patrząc na nią spod oka.

Wzruszyła ramionami i zmieniła temat.

- Lubię wicehrabiego Ainsleigh, Michaela - powiedziała. - To prawdziwy dżentelmen.

- Helen miała szczęście - rzekł, a kiedy gwałtownie podniosła głowę i spojrzała mu w oczy, dodał cicho: - Zostaw to, Moiro. Postarajmy się dobrze wykorzystać przynajmniej te dwa tygodnie. Dosyć dobrze nam dzisiaj poszło, nie uważasz?

- Dosyć dobrze - przyznała.

- Przecież nie oczekiwaliśmy, że natychmiast zakochamy się w sobie bez pamięci i że nagle odkryjemy, iż każde z nas jest chodzącym ideałem? - zapytał.

- Boże uchroni! - zaprotestowała.

- Umarłbym z nudów po tygodniu - dodał.

- Ja już po sześciu dniach.

Żadne z nich się nie roześmiało. Nawet nie spojrzeli na siebie. Jednak tak się jakoś stało, że znowu zapanowała między nimi atmosfera przyjaźni i porozumienia, którą tak się cieszyli, aż do momentu, gdy kupił jej ten nieszczęsny wachlarz.

Popatrz tylko, Ken, jaki nas spotkał smutny koniec, i to zanim zdążyliśmy się nacieszyć tak niedawno odzyskaną wolnością - rzekł do przyjaciela wicehrabia Rawleigh, gdy lady Rawleigh zabrała Moirę do salonu na herbatę, pozostawiając obydwu panów przy szklaneczce porto.

- Smutny? - zdziwił się Kenneth. - Aż tak źle? Wicehrabia uśmiechnął się i wyprostował na krześle.

- Obydwaj jesteście żonaci, jednak nie z własnego wyboru - rzekł. - Widziano mnie, jak o północy wymykam się z domu Katherine, gdy, po złożeniu jej niezbyt stosownej propozycji, odprawiła mnie z kwitkiem. Stało się to później powodem licznych plotek i komentarzy. W rezultacie mój brat zagroził mi śmiercią albo czymś jeszcze gorszym, jeśli nie zachowam się honorowo. No i zachowałem się. Rozumiem, że twoja sytuacja nie różniła się zbyt od mojej?

Kenneth nie miał ochoty na opowiadanie o śnieżycy i konsekwencjach pewnej zimowej nocy, nawet jednemu z najbliższych przyjaciół.

- Mimo to sprawiacie wrażenie, że jest wam ze sobą zupełnie nieźle - zauważył.

- Więc doskonali z nas aktorzy - odparł wicehrabia, śmiejąc się. - W rzeczywistości jest nam ze sobą znacznie lepiej niż nieźle.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - zapytał Kenneth. - Żeby się pochwalić?

- To również - przyznał. - To niesamowite uczucie, kiedy nagle odkrywasz miłość w swoim życiu, w swoim małżeństwie. Wtedy natychmiast czujesz wewnętrzną potrzebę, aby podzielić się swoim szczęściem z innymi. Lady Haveford to niezwykle czarująca osoba, Ken. I do tego niezwykle przystojna, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Lady Haveford i Katherine chyba się polubiły.

Kenneth upił trochę porto i zacisnął usta.

- Powiedz mi, Rex - rzekł. - Czy masz zamiar pokłócić się ze mną, czy też zrobić mi wykład?

- Wydaje się bezspornym faktem, że porzuciłeś damę na trzy miesiące po pewnym, powiedzmy, zdarzeniu - zauważył lord Rawleigh. - Następnie w pośpiechu wróciłeś do domu i ożeniłeś się z nią, po czym znowu wróciłeś do Londynu. Teraz, po dwóch miesiącach, sprowadziłeś ją tu na kilka tygodni. Czy znowu ją odeślesz do domu, zanim wyruszysz do Brighton? Z tego, co wiem, Eden również się tam wybiera. Lub może do jakiegoś innego

kurortu? Na przykład do Paryża?

- Byłbym ci wdzięczny - odparł Kenneth - gdybyś nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, Rawleigh.

- Przecież jestem twoim przyjacielem i dobrze cię znam - ciągnął niezrażony reprimendą wicehrabia. - Znam twoje poczucie przyzwoitości, które często tak nas zdumiewało, a czasem nawet denerwowało. Od kiedy się ożeniłeś, stary, nie miałeś chyba żadnej kobiety, mam rację, prawda? - Podniósł rękę. - Nic nie mów. Nat i Eden obdzielają swoim nasieniem wszystkie chętne ślicznotki, mimo iż Ed uwił sobie ostatnio ciepłe gniazdko ze swoją małą tancerką, podczas gdy ty stałeś się seksualnym abstynentem. A przecież potrzebujesz kobiety. Zawsze byłeś takim samym pełnokrwistym ogierem jak my.

- Jestem żonaty - burknął Kenneth.

- Jasne. - Rex uniósł brwi. - Nawet ja uświadomiłem sobie, że małżeńska przysięga nakłada na nas pewne ograniczenia. Jednak, jeśli nie zostaniesz z lady Haveford, to skazujesz się na celibat.

- Bzdura - rzucił gniewnie Kenneth.

- I na nieszczęśliwe życie. Mogę, mój drogi, postawić na to cały mój majątek. Obserwowałem was dzisiaj przy stole. Siedzieliście obok siebie sympatyczni i czarujący w stosunku do mnie i Katherine, zachowując się jednocześnie tak, jakby tej drugiej waszej połowy w ogóle nie było w pokoju.

- Bzdura - zaprotestował Kenneth.

- Może źle to odczytałem - rzekł lord Rawleigh, podnosząc rękę w geście bezradności.

- A może - odparł Kenneth przez zaciśnięte zęby - w przeciwieństwie do lady Rawleigh, Moira nie pozwoliła mi na honorowe zachowanie po pewnym, jak to eufemistycznie określiłeś, zdarzeniu. Może zrobiła to nie jeden, a kilka razy, uciekając się nawet do kłamstwa w sprawie tak istotnej jak jej stan. Może po tym, jak okoliczności zmusiły ją do małżeństwa, oświadczyła mi, iż nie chce mnie więcej widzieć. Może zaprosiłem ją do Londynu w nadziei, że potrafimy jakoś to nasze małżeństwo poskładać. A może nie potrzebuję, żeby moi przyjaciele wtykali nos w moje sprawy. Poza tym, chyba powinniśmy dołączyć wreszcie do naszych pań.

- I może - wicehrabia śmiał się - ta kobieta, Ken, to twoje przeznaczenie. Czy ona rzeczywiście tak wrednie cię traktuje? Czy nie jest czasem odwrotnie? Widziałem wiele kobiet, które używały wszelkich sposobów, byle tylko zaciągnąć cię do ołtarza lub choćby tylko do łóżka. Nigdy, natomiast, nie spotkałem takiej, która odesłałaby cię z kwitkiem. Aż do dziś. Tak, chodźmy lepiej do pań, Ken. Muszę się lepiej przyjrzeć tej, która tak tobą

wstrząsnęła. - Podniósł się i wskazał ręką na drzwi do salonu.

Matka zamierza wziąć Moirę pod swoje skrzydła, z irytacją pomyślał Kenneth, odsuwając krzesło. Lady Rawleigh zamierza się z nią zaprzyjaźnić. Rex zamierza bliżej się jej przyjrzeć, a Nat i Eden, chociaż w Tawmouth nazwali ją bladym straszidłem, teraz zamierzali ulec jej urokowi. Ainsleigh i Rex, i zapewne połowa męskiej populacji w Londynie, zamierzała z nią tańczyć dziś wieczorem. Nie przypominał sobie, by opinia publiczna była kiedykolwiek bardziej zgodna. Co za głupiec z niego. Powinien był sam pojechać do Dunbarton, zamiast ściągać ją tutaj.

Tego wieczoru to on chciał tańczyć z nią każdy taniec. Do diabła z dobrymi obyczajami.

- Jeśli będziesz miał taką minę, Ken - rzekł lord Rawleigh, klepiąc go po ramieniu - to przerazisz Katherine i sprawisz, że twoja żona ucieknie od ciebie na co najmniej kolejne dwa miesiące.

- Idź do diabła! - burknął Kenneth, widząc, jak jego przyjaciel chichocze.

- Och, z pewnością zostaniemy tu do końca sezonu - odparła lady Rawleigh, w odpowiedzi na pytanie Moiry. - Muszę przyznać, że bardzo się z tego cieszę, tym bardziej że pani tu jest. Będziemy razem chodziły na spacer, buszowały po sklepach i odwiedzały znajomych. Nie zna tu pani chyba zbyt wielu osób?

- Prawdę mówiąc, nikogo poza Kennethem, jego matką i siostrą - przyznała Moira.

- Wkrótce będzie się tu pani czuła jak w domu - zapewniła ją Katherine. - Ważne jest jednak, żeby w gronie nowych przyjaciół mieć również przyjaciółki. Rex nie lubi chodzić po sklepach. Ja uwielbiam. - Roześmiała się. - Bardzo się cieszę, że w końcu pani przyjechała. Wszyscy byliśmy ogromnie zaintrygowani.

Uśmiechnęła się i Moira uśmiechnęła się również.

- Spędzimy lato w Stratton - ciągnęła Katherine. - Prawdopodobnie zostaniemy tam również na jesień i zimę. Jestem w ciąży i Rex nie pozwala mi na zbyt częste podróże, mimo iż nigdy nie czułam się tak wspaniale.

- Musi być pani bardzo szczęśliwa - zauważyła Moira, nie mogąc opanować nagłego przypływu zazdrości.

- Tak - przyznała Katherine. - Przyzwyczyłam się już do myśli, że nigdy nie wyjdę za mąż. Pogodziłam się z moim staropanieństwem i przelałam prawie wszystkie uczucia na Toby'ego. - Spojrzała z czułością na małego teriera, który wcześniej swoim ujadaniem przeraził Moirę, a teraz drzemał wyciągnięty przed kominkiem. - I nagle zjawił się Rex. Nawet nie wyobraża sobie pani, jak bardzo go wówczas nienawidziłam za to, że zakłócił

spokój moich samotnych dni - znowu się roześmiała. - Jednak teraz jestem bardzo szczęśliwa. Nigdy nie przypuszczałam, że tak cudownie jest być mężatką i kochać kogoś, kogo przedtem tak bardzo się nie cierpiało, i spodziewać się dziecka, gdy, jeszcze tak niedawno, wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne.

Spojrzała na Moirę i jej uśmiech znikł nagle.

- Och, proszę mi wybaczyć - szepnęła. - Straciła pani dziecko, prawda? To musi być straszne uczucie.

- Tak - przyznała Moira.

- Nic o tym nie wiedzieliśmy. Pani mąż jest taki skryty. Biedaczysko nie wyznał prawdy nawet najbliższym przyjaciołom. Pan Gascoigne wspomniał Reksowi, że kiedy w końcu wyrzucił to z siebie, nie mógł opanować łez. Świadczy to tylko o tym, jak bardzo jest do pani przywiązany. Byliśmy zaskoczeni, że zostawił panią w Kornwalii tak szybko po waszym ślubie. Wszystko się jednak w końcu wyjaśniło. Ból najwyraźniej był dla niego zbyt silny. Poza tym musiał się pewnie czuć bezradny, że nie jest w stanie ulżyć pani w cierpieniu.

- Poronienia często się zdarzają - zauważyła Moira. - Być może, nie powinno się tego aż tak bardzo przeżywać.

- Kiedyś również straciłam dziecko - powiedziała nagle Katherine. - Parę godzin po porodzie. Było to kilka lat temu. Może lord Haveford powiedział pani o pojedynku, który mój mąż stoczył z ojcem dziecka, człowiekiem, który mnie uwiódł? Powinnam była się cieszyć, że je utraciłam, pamiętając o okolicznościach jego poczęcia. Nie cieszyłam się jednak, lady Haveford. Mam nadzieję, że nigdy już nie będę musiała przeżywać tych strasznych, nocnych koszmarów, które dręczyły mnie długo po odejściu mojego syna.

- Jednak zaryzykowała pani ponownie? - zapytała Moira, marszcząc brwi.

Katherine uśmiechnęła się.

- Pragnienie dawania życia jest silniejsze niż strach - odrzekła. - Szczególnie, kiedy tak bardzo kocha się męża. Poza tym nie można pozwolić, żeby strach rządził naszym życiem, prawda? Chyba że chce się być wiecznie nieszczęśliwym i samotnym. Czy nie pragnie pani spróbować znowu? A może to jeszcze za wcześnie? Czy nie wprawiam pani w zakłopotanie? Chcę tylko powiedzieć, że kiedyś tę potrzebę z pewnością pani poczuje, zapewniam panią, lady Haveford. Och, czy mogę mówić do pani, Moira? Ja mam na imię Katherine.

- Przez cały czas czułam się okropnie - odrzekła Moira. - Myślę, że to dlatego, że... - zagryzła wargi.

- Wiem, jak to jest - ciągnęła Katherine. - Ja także przez cały czas chorowałam i byłam bardzo nieszczęśliwa. Nie mogłam jeść ani spać. Natomiast teraz tryskam zdrowiem. A to

wszystko dlatego, że jestem szczęśliwa.

Moira uśmiechnęła się.

Rozmowa pań urwała się, gdy do pokoju weszli obaj panowie. Lord Rawleigh usiadł obok Moiry i przez pół godziny, które pozostało im do wyjścia, wypytywał o Kornwalię, uważnie przysłuchując się jej odpowiedziom. Kenneth dotrzymywał towarzystwa Katherine, stojąc przy znajdującym się w przeciwległym końcu salonu fortepianie i przysłuchując się jej grze.

„Nie można pozwolić, żeby strach rządził naszym życiem... Chyba że się chce być bezgranicznie nieszczęśliwym... i samotnym”.

Moira rozmawiała i uśmiechała się, jednak te słowa wciąż dźwięczały jej w uszach. Ale ona nie czuła przecież strachu. Może jedynie przed ponownym zajściem w ciążę. Przed niczym więcej. A już na pewno nie przed miłością. Nie przed tym, że pokocha Kennetha. Nie można przecież czuć strachu przed czymś, co nie mogło się wydarzyć, „...bezgranicznie nieszczęśliwym i samotnym”.

* * *

Bal u Algertonów był bezsprzecznie jednym z największych wydarzeń sezonu. Przybyła na niego cała londyńska śmietanka, nadarzyła się więc znakomita okazja, by wprowadzić Moirę na salony. Tego dnia Moira wyglądała olśniewająco. Miała na sobie elegancką, prostą suknię w kolorze złota, a jedynym błyszczącym dodatkiem była założona na długą rękawiczkę brylantowa bransoletka.

Ogromną satysfakcję sprawiały Kennethowi pełne podziwu spojrzenia, które kierowały się na jego żonę, gdy wsparta na jego ramieniu wchodziła na salę balową. W Londynie wszelkie informacje zawsze rozchodzą się lotem błyskawicy i Kenneth mógłby się założyć, że już po pięciu minutach wszyscy obecni na balu doskonale wiedzieli, kim jest towarzysząca mu dama. Mógłby się również założyć, że w ciągu minionych dwóch miesięcy jedną z największych sensacji stanowiła zagadkowa nieobecność hrabiny Haveford.

Zatańczył z nią pierwszy taniec otwarcia. Tańczyła z wdziękiem i gracją... i nieskrywaną radością. Musi zatańczyć z nią również walca, postanowił - oczywiście trochę później, prawdopodobnie po kolacji. Wiedział, że zgodnie z obowiązującą etykietą nie może to nastąpić zbyt szybko i że potem nie zatańczy już z nią przez cały wieczór. To było nie do zniesienia.

Kiedy pierwszy taniec dobiegł końca, wszystko zdawało się wskazywać, że rola Kennetha, przynajmniej na razie, dobiegła końca. Jego matka, zgodnie z wcześniejszą

obietnicą, wzięła synową pod rękę i, idąc z nią przez salę balową, przedstawiała ją wszystkim żeńskim cerberom, których każde słowo było w Londynie prawem. Widział, że Moira radziła sobie doskonale. Kenneth nie towarzyszył obydwu paniom, uznając, iż jego obecność nie jest Moirze potrzebna. Nie wiedział, czy Moirę cieszy obecność jego matki, ale wszystko wskazywało na to, że rozsądek wziął w końcu górę nad emocjami i że bez widocznych oporów przyjęła jej pomoc.

No i oczywiście Moira tańczyła - każdy taniec. Rex był jej drugim partnerem, Ainsleigh trzecim. Nat i Eden tańczyli z nią również, tak samo lord Algerton i wicehrabia Perry, młodszy brat lady Rawleigh. Walca, po którym zaanonsowano kolację, zatańczyła z Claude'em Adamsem, bratem Reksa - i do sali jadalnej poszła wsparta na jego ramieniu.

Po kolacji święciła dalsze triumfy. Tańczyła z jednym z najbardziej szanowanych dżentelmenów w Londynie, któremu została przedstawiona przez matkę Kennetha. Można by powiedzieć, pomyślał Kenneth, obserwując ją z mieszaniną dumy i zazdrości, że londyński wielki świat uznał hrabinę Haveford za swoją już przy jej pierwszym pojawieniu się na towarzyskiej scenie.

- Ona jest rzeczywiście dosyć przystojna - usłyszał za sobą jakiś kobiecy głos i kiedy się odwrócił, ujrzał panią Herrington, omdlewającym ruchem wachlującą twarz. - Oczywiście, jeśli ktoś gustuje w nienaturalnie wysokich kobietach, czarnych jak Hiszpanki. Słyszałam, milordzie, że niektórzy oficerowie mają dosyć hiszpańskich ślicznotek po zbyt długim przebywaniu w ich towarzystwie.

- Naprawdę? - powiedział, bawiąc się rączką monokla. - To bardzo ciekawe.

- Oczywiście - ciągnęła, uśmiechając się zza rozłożonego wachlarza - niektórzy mężowie bardzo szybko mają dosyć żon z tego samego powodu. Jeśli spotkało to również ciebie, milordzie, to zapewniam, że pocieszenie masz w zasięgu ręki.

- Czasem, madam - rzekł, podnosząc do oka monokl i obserwując żonę, jak śmiejąc się, wykonuje jednocześnie jakieś wyjątkowo skomplikowane taneczne pas - można być głęboko wdzięcznym losowi, że się nie jest ani niektórymi mężami, ani niektórymi oficerami.

Pani Herrington westchnęła głęboko, wyraźnie rozczarowana, ale natychmiast się roześmiała.

- Oczywiście są inni wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni - powiedziała. - Są też inni byli oficerowie i są inni jasnowłosi panowie. Żaden jednak nie ma tych wszystkich atrybutów jednocześnie, milordzie. Wypada mi tylko żałować, że pańska żona musiała przybyć do Londynu właśnie teraz. Nie rezygnuję jednak. Może następnym razem znajdę u ciebie uznanie albo będę miała szczęście spotkać cię w lepszym nastroju. - Uderzyła go złożonym

wachlarzem po ramieniu i zniknęła.

Jest nieprawdopodobnie bezwstydna, pomyślał i zaśmiał się cicho.

Nie było mu jednak do śmiechu, gdy po skończonym tańcu podszedł do żony i dowiedział się, że nie może z nią zatańczyć walca, ponieważ obiecała go już komuś innemu i tak się jakoś składało, że za każdym razem, gdy chciał z nią zatańczyć, okazywało się, iż i ten taniec jest już zajęty.

- Sam widzisz, Kennecie, że nie musisz się o mnie martwić - powiedziała.

Jej policzki płonęły, a oczy błyszczały i Kenneth nie miał złudzeń, że to nie jego osoba była tego przyczyną.

- Nawet przez chwilę nie wątpiłem - odparł, kłaniając się głęboko - że będziesz miała więcej partnerów, niż jest tańców w programie balu. Baw się dobrze. - Po chwili podszedł do siostry Reksa, lady Baird, i poprosił ją do tańca.

Tak więc ich pierwszy wspólny dzień dobiegł końca, pomyślał, gdy po skończonym balu pomagał żonie wsiąść do powozu. Niezupełnie było tak, jak oczekiwał. Kiedy sugerował, żeby korzystali z rozrywek sezonu i zapomnieli o innych sprawach, wyobrażał sobie, jak beztrudnie spędzają razem czas, śmiejąc się i przekomarzając, jak wtedy, gdy byli bardzo młodzi. Zapomniał, że cała idea sezonu polegała na tym, że każdy ma bawić się z każdym i że małżonkowie rzadko spędzają ze sobą więcej niż kilka minut dziennie.

Może jutrzejszy dzień okaże się lepszy.

- Lady Rawleigh... Katherine, zaprosiła mnie jutro rano na spacer do parku, w tym czasie, gdy lord Rawleigh będzie w White's - powiedziała Moira, odwracając do niego głowę.

- Czy ty też wybierasz się do White's?

- Może. Bardzo się cieszę, że masz przyjaciółkę.

- Lady Baird będzie również. Wiesz, to siostra lorda Rawleigh - dodała Moira. - Twoja matka życzy sobie, żebym po południu złożyła wraz z nią kilka wizyt. Pomyślałam, że postąpię rozsądnie, jeśli się zgodzę. Poza tym była dziś dla mnie bardzo uprzejma, a składanie popołudniowych wizyt to taki sam zwyczaj jak u nas na prowincji. Czy nie masz nic przeciwko temu, milordzie?

Oczywiście, że miał. Równie dobrze mogła go spoliczkować. W programie jutrzejszego dnia nie było dla niego miejsca.

- Chcesz wiedzieć, czy masz moją aprobatę? - zapytał. - Jeśli powiem, że nie, to pomyślisz, że zrobiłaś coś złego i zmienisz wszystkie swoje plany. A więc zdecydowanie nie aprobuję, madam. - Spojrzał na nią ukosa i odniósł podobne wrażenie, jak wtedy, gdy wrócili od hrabiostwa Ainsleigh. Jakby drażnienie się ze sobą było rodzajem flirtu, który zaczynała

sprawić im przyjemność.

Być może, tak już będzie przez wszystkie kolejne dni i niczego więcej, poza krótkimi chwilami życzliwości i przyjaźni, nie powinien już oczekiwać. Stanowczo za mało, by na tym budować małżeństwo. W powozie zaległo milczenie.

* * *

Moira była śmiertelnie zmęczona, ale zarazem ogromnie podekscytowana i bardzo szczęśliwa. Debiut na londyńskich salonach przeszedł jej najśmielsze oczekiwania. Wciąż miała w uszach muzykę, czuła zapach kwiatów, widziała wirujące kolory jedwabiu i atlasu i błysk klejnotów. Była również trochę rozczarowana. Zatańczyła wprawdzie z Kennethem pierwszy otwierający bal taniec, ale potem mąż ani razu nie podszedł do niej i nie zamienił z nią nawet słowa, poza jednym przypadkiem, kiedy wyraził chęć zatańczenia z nią walca. Tak bardzo tego pragnęła. Pamiętała, jak tańczyli walca na balu w Dunbarton. Poza tym spodziewała się, że spędzą ze sobą znacznie więcej czasu.

Z niepokojem myślała o tym, co przyniesie kolejny dzień. Bardzo cieszyła się na jutrzejszy spacer z Katherine i lady Baird, ale zgodziła się na ten spacer, zanim matka Kennetha zasugerowała jej wspólne złożenie kilku popołudniowych wizyt. Tak nie zobaczy się z mężem przez cały dzień. Wiedziała, że panie nie spędzają tu zbyt wiele czasu ze swoimi mężami, szczególnie w ciągu dnia. Tak samo zresztą było w Kornwalii. Jednakże ich sytuacja była inna. Kiedy poprzedniego wieczoru Kenneth sugerował, że powinni cieszyć się londyńskim sezonem, wyobrażała sobie, iż będą razem zarówno w ciągu dnia, jak i wieczorem.

Lecz czy naprawdę chciała spędzać z nim całe dni? Czyż nie lepiej cieszyć się Londynem i sezonem w towarzystwie nowych przyjaciół? Skąd jednak, po upływie tych kilku tygodni będzie wiedziała, czy chce zostać z Kennethem lub czy chce widywać się z nim od czasu do czasu?

Zaczęła zastanawiać się, po co właściwie ściągnął ją do Londynu. Dlaczego zapragnął nagle naprawić ich małżeństwo? Widziała, jak inne kobiety patrzą na niego zarówno wtedy, gdy spacerowali po Oxford i Bond Street, jak i wieczorem na balu. Dlaczego więc potrzebował właśnie jej?

Przypomniała sobie tamtą koszmarną noc, kiedy straciła dziecko. Szarą jak popiół twarz Kennetha i jego głos powtarzający bez końca: „Moira, moja miłości, nie umieraj, nie pozwolę ci odejść, moja miłości”. Później uznała to za wytwór swojej wyobraźni, ponieważ tak bardzo kontrastowało to z bijącym od niego chłodem, kiedy przyszedł do niej rankiem i

potem, w ciągu całego tygodnia, zanim ją opuścił.

Jednak... „Pan Gascoigne wspomniał Reksowi, że hrabia Haveford, kiedy w końcu wyrzucił to z siebie, nie mógł opanować łez”. Kenneth przez długi czas nic nie powiedział przyjaciółom. Dlaczego? Ponieważ darzy ją głębokim uczuciem, jak sugerowała Katherine.

Jest taki czas, gdy małżonkowie mogą być sami, bez towarzystwa innych osób, pomyślała.

Szybko jednak odepchnęła od siebie tę myśl.

„Nie można pozwolić, żeby strach rządził naszym życiem. Chyba że się chce być bezgranicznie nieszczęśliwym i samotnym”.

- Kenneth? - odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

Siedział w przeciwległym kącie powozu i obserwował ją w milczeniu.

- Tak?

„Nie można pozwolić, żeby strach...”.

- Pytałeś mnie o coś wczoraj wieczorem... - powiedziała zduszonym głosem. - Gdybyś zapytał ponownie...

Doskonale wiedział, o czym mówiła.

- Tak? - powiedział cicho.

- Powiedziałabym „tak”.

- Tak?

Wciąż patrzyli na siebie. Powóz musiał być blisko domu.

- Chcesz, żebyśmy byli ze sobą jak mąż i żona? - zapytał.

- Myślę, że powinniśmy spróbować - odparła. - W końcu nie o przyjaźń tu chodzi, ani nawet o narzeczeństwo.

- Tak - odrzekł. - A więc wolno mi przyjść do twojej sypialni? Tej nocy? A może jesteś zbyt zmęczona?

- Nie, nie jestem zmęczona - odparła.

Powóz zakołysał się na resorach i stanął. Spojrzeli na drzwi, które za chwilę miały się otworzyć.

Moira czuła się tak, jakby biegła, a nie jechała powozem. Musiała włożyć wiele wysiłku, aby nie pokazać tego po sobie. Co ona właściwie zrobiła? Nie zastanowiła się, nie rozważyła wszystkich za i przeciw, nie pomyślała o konsekwencjach. Jak w takich warunkach można mówić o podjęciu właściwej decyzji?

Przypomniała sobie wszystkie lęki, które przeżywała, gdy po raz pierwszy to się stało. I wcale nie chodziło tu o ból, który właściwie był mniejszy, niż się spodziewała. Chodziło o

sam akt, o uczucie gwałtu zadanego jej intymności, rezygnacji z siebie, z własnego ciała, i absolutne poddanie się mężczyźnie.

Było w tym jednak również coś ogromnie ekscytującego. Wciąż czuła jego dotyk, żar i rozkosz, którą jej dawał.

Wtedy właśnie zaszła w ciążę.

Być może tej nocy stanie się to znowu. Przez ułamek sekundy poczuła strach. Ścisnęła w dłoni wachlarz, aż boleśnie wbił się jej w palce.

„Nie można pozwolić, żeby strach rządził naszym życiem”.

Lokaj otworzył drzwi. Kenneth wyskoczył z powozu i odwrócił się, żeby pomóc Moirze wysiąść. Przez chwilę patrzyła na jego wyciągniętą dłoń. Była duża, silna i ciepła. Budziła lęk i jednocześnie... tak ogromnie ekscytowała.

Nie wiedziała, czy rozpuścić włosy, czy też spleść je w warkocz, tak jak to robiła zawsze przed pójściem spać. Rozpuściła je. Nie wiedziała, czy pozostać w narzuconym na nocną koszulę szlafroku, czy też go zdjąć. Zdjęła. Nie wiedziała, czy położyć się do łóżka, czy też stanąć gdzieś w pokoju - na przykład przy oknie lub obok kominka. Lecz kiedy wyobraziła sobie, że będzie musiała przejść przez cały pokój, czując na sobie jego wzrok, położyła się do łóżka. Nie wiedziała, czy oprzeć się o poduszki, czy też położyć się zupełnie płasko. Położyła się na plecach, po czym przekreśliła na bok. Zorientowała się, że pozostawiła zbyt dużo zapalonych świec. Powinna była zgasić wszystkie, poza tą przy łóżku.

Było już jednak za późno, żeby to zmienić. Usłyszała pukanie do drzwi i zanim zdążyła się odezwać, Kenneth wszedł do pokoju. Czowała, że jest zdenerwowana i że zachowuje się jak wylękniona, cnotliwa panna młoda. Pragnęła gorąco, żeby kolor jej policzków nie zdradził żaru, jaki w niej płonął.

Miał na sobie długi szlafrok z brokatu w kolorze głębokiej zieleni, z którą kontrastowała widoczna w wycięciu pod szyją śnieżna biel nocnej koszuli. Nagła fala pożądania, która ją ogarnęła, zaszokowała ją. Nie potrafiła znaleźć innego określenia na to, co czuła. Z pewnością jednak nie była to miłość. Nie kochała go.

Zgasił palcami świece i ruszył w stronę łóżka, obok którego płonąła jedna świeca.

- Chciałbym ci przypomnieć, że to nie będzie pierwszy raz. Tej nocy nie musisz obawiać się bólu.

A więc policzki ją zdradziły. Czowała, że płoną.

- Nie jestem zdenerwowana - odparła. - Czyżbyś miał zamiar zgasić i tę świecę?

Zdjął szlafrok i odrzucił przykrycie łóżka.

- Nic podobnego - zaprzeczył. - Chcę widzieć, że to, co robię, robię z tobą, Moiro. Chcę również, żebyś ty widziała, że robisz to ze mną. To bardzo ważne dla nas obojga.

- Czyżbyś sugerował, że w wyobraźni mogłabym zamienić cię na kogoś innego? - zapytała, nie kryjąc zdumienia.

- To wcale nie jest takie niemożliwe - odparł. - Jestem Kenneth, chłopak, którego kochałaś, chociaż nigdy mi tego nie powiedziałaś; mężczyzna, którego nienawidziłaś i którego, być może, wciąż nienawidzisz; twój mąż.

Starła się skupić jedynie na ostatnim określeniu. Czy w tym szczególnym momencie musiał wracać do tego, o czym w ciągu tych wspólnych tygodni zgodzili się zapomnieć?

- A ty jesteś Moira - ciągnął. - Dziewczyna, którą uwielbiałem; kobieta, która groziła kiedyś, że strzeli mi prosto w serce, i której nieomal się to udało; moja żona.

Tak, pomyślała, patrząc mu w twarz i czując, jak jego ręce manipulują przy zapięciu pod jej szyją. Być może, jeśli chodzi o wyobraźnię, miał absolutną rację. Być może bez tej świecy, bez jego słów, wyobrażałaby go sobie jedynie jako bardzo przystojnego, eleganckiego przybysza, z którym spędziła dziś trochę czasu i z którym wcześniej tak bardzo pragnęła zatańczyć walca.

- Tak - przyznała - to rzeczywiście bardzo ważne. - Właściwie nie była nawet pewna, co chciała przez to powiedzieć.

Pocałował ją.

Nigdy nie myślała, że pocałunek może być tak podniecający. Całowała w swoim życiu wiele osób, wyrażając w ten sposób swoje uczucia. Nawet wtedy, gdy była młodziutką dziewczyną i całował ją Kenneth, jego pocałunki przeżywała jako coś bardzo romantycznego i zupełnie pozbawionego zmysłowości. Ale teraz przypomniała sobie, jak to było, gdy całował ją w chatce pustelnika - wyłącznie po to, żeby podnieść temperaturę jej, mocno już wychłodzonego, ciała. W tamtym pocałunku nie było żadnego uczucia. Teraz całował ją znowu, otwierając jej usta swoimi ustami, wsuwając głęboko język, wodząc jego koniuszkiem po ich wnętrzu i poruszając nim rytmicznie.

Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo brak jej doświadczenia. Podczas gdy całą uwagę skupiła na ustach, jej nocna koszula była już rozpięta. Jedną ręką gładził teraz delikatnie jej piersi. Jego kciuk masował i ugniatał brodawki aż do granic bólu. Po chwili przesunął rękę w dół i jego palce zagłębiły się w intymnej części jej ciała. Czowała, że jest wilgotna. Szarpnęła się, zażenowana.

- Nie, nie - wyszeptał wprost do jej ucha - wszystko w porządku. Twoje ciało przygotowuje się na to, co za chwilę nastąpi.

Nienawidziła swojej ignorancji i braku doświadczenia. Czowała się taka bezradna w jego, bez wątplenia, bardzo doświadczonych rękach. Przez chwilę zastanawiała się, z iloma kobietami robił to w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Wszystko było takie inne bez warstw ciężkiej odzieży, bez przenikającego do szpiku kości chłodu. Jego ciało nie ciążyło jej tak jak wtedy; było cudownie twarde, sprężyste, męskie i... zupełnie nagie. Nawet nie zauważyła, kiedy zdjął nocną koszulę. Podciągnął jej koszulę powyżej talii i ułożył się między jej udami, jednocześnie napierając na nie, żeby rozsunęły się jak najszerzej. Nie pamiętała, aby wtedy czuła swoją fizyczność tak bardzo, jak tej nocy.

Tym razem nie było bólu. Ustawiła stopy płasko na materacu, rozszerzając jednocześnie kolana i unosząc do góry biodra, aby zjednoczenie było pełniejsze. To było z całą pewnością najsilniejsze i najbardziej naturalne doznanie na świecie - zjednoczenie mężczyzny i kobiety. W pewnej chwili zorientowała się, że przytłaczający jej klatkę piersiową ciężar ustępuje i otworzyła oczy. Wspierał się na łokciach i patrzył na jej twarz.

- Tak, to jest bardzo ważne - powiedział. Opuścił ją i czekał chwilę, wciąż ją obserwując.

Przymknęła oczy w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić. Po chwili wszedł w nią ponownie - powoli i głęboko. Westchnęła. To było niezwykle przyjemne, nie tylko dlatego, że niosło ze sobą ciepło.

Opadł na nią, chociaż obawiała się, że nie wytrzyma ciężaru jego ciała, i zaczął się cud zjednoczenia - powolny, rytmiczny ruch, który tym razem sprawiał jej tyle przyjemności i satysfakcji. Było jej cudownie ciepło i wygodnie i czuła go całą sobą, a nie tylko w miejscu, gdzie ich ciała tak całkowicie się połączyły. On również mógł poruszać się o wiele swobodniej w ciepłym pokoju i na ogromnym szerokim łóżu. Jego ruchy były silniejsze i głębsze niż tamtej, pamiętnej nocy. Mógł znacznie lepiej dopasować się do jej rytmu, a ona czuła, jak fala przyjemnego ciepła płynie w górę jej brzucha i dociera do piersi. Leżała bez ruchu, śledząc każdy jego ruch, każde drgnienie.

Chciała, by to się nigdy nie skończyło. Słyszała nawet swój cichy protest, gdy jego ruchy uległy wyraźnemu przyspieszeniu, zapowiadając nieuchronnie zbliżający się finał. W końcu wykonał ostatni, konwulsyjny ruch i zamarł, ciężko dysząc, po czym tak dobrze jej znany gorący strumień nagle wypełnił jej łono.

To Kenneth, pomyślała, kiedy opadł na nią całym ciężarem ciała. Nie otworzyła oczu, ale nie było to jej potrzebne. Nie potrzebowała płomienia świecy. Przez cały czas trwania tego aktu była świadoma, że to był Kenneth, że to nie mógł być nikt inny i że tam, gdzie był, nigdy nie będzie nikogo innego.

Muszą to zrobić, powiedziała mu wcześniej w powozie, jeśli mają podjąć rozsądną decyzję. Jak jednak mogła podjąć taką decyzję teraz? To, co się stało, uświadomiło jej, że go kocha i że zawsze będzie kochała. Westchnęła.

- Przepraszam, muszę być bardzo ciężki. - Zsunął się z niej i nagle poczuła chłód. Obciągnął jej koszulę, po czym, otuliwszy ją troskliwie, położył się obok i, wsparty na łokciu, przez jakiś czas spoglądał na nią w milczeniu. - Myślę, że miałaś rację - rzekł w końcu. - Musimy wziąć pod uwagę zarówno ten, jak i inne aspekty naszego małżeństwa, żeby móc zdecydować o naszej przyszłości. Jeśli pozostawimy sobie wystarczająco dużo czasu,

będziesz wiedziała, jak osiąga się pełną rozkosz. Tymczasem musisz się jeszcze wiele nauczyć. Już późno. Pewnie wkrótce zacznie świtać. Jesteśmy zaproszeni do Adamsów dopiero na kolację, pamiętasz? Możesz się więc wyspać. Później idziemy do teatru. Spotkamy się przed wyjściem na kolację.

- Tak - odparła. - Dziękuję. - Nie miała go więc widzieć aż do wieczora? Marzyła, że położy się obok niej, że będzie mogła go dotykać, że zaśnie z głową na jego piersiach, tak jak wtedy, w chatce pustelnika.

Jednak nic nie było takie, jak wtedy. Kenneth wstał z łóżka i zaczął zakładać koszulę nocną i szlafrok, bez pośpiechu i bez śladu zakłopotania. Dlaczego jednak miałby się tak czuć? Okres zakłopotania nagością mieli już przecież za sobą. Poza tym był tak wspaniale zbudowany. Nawet liczne blizny po starych ranach nie były w stanie go oszpecić.

- Dobranoc - powiedział, odwracając się, aby spojrzeć na nią jeszcze raz. - Cieszę się, że tu jesteś, Moiro.

- Dobranoc - odparła. Czekał chwilę, ale Moira nie mogła się przemóc, aby przyznać, że ona cieszy się również. Nie była nawet pewna, czy się cieszy, lub raczej nie była pewna, czy powinna się cieszyć.

Nie spodziewała się, że zostanie sama. Poczula chłód i zapięła koszulę aż pod szyję. Nieoczekiwanie przyszło jej na myśl, że już do końca życia może być sama i że bardzo by nie chciała, by chwilowe uczucie osamotnienia zamieniło się w prawdziwą samotność.

„Będziesz wiedziała, jak osiąga się pełną rozkosz”. Co on miał na myśli? Czyżby nie zauważył, co czuła i ile rozkoszy jej dawał? Nie było na świecie niczego, co mogłoby sprawić jej większą. „Musisz się jeszcze wiele nauczyć”. Czuła wstyd i upokorzenie. Zorientował się, że go pragnie. Oczywiście, że się zorientował. Była taką ignorantką. To, co się stało, uważała za najwspanialsze doświadczenie w swoim życiu, a on uważał, że musi się wiele nauczyć.

Ciężko westchnęła i przekręciwszy się na bok, w poczuciu bezradności uderzyła ręką w poduszkę. Cały dzień i prawie cała noc były dla niej ogromnie ekscytujące. Prawdę mówiąc, w ciągu jednego dnia i nocy przeżyła tyle, ile mogłaby w ciągu miesiąca. Zastanawiała się, czy kolejne dni będą podobne i czy ona to wytrzyma.

Kiedy jednak pomyślała o spokojnym, nudnym i samotnym życiu w Dunbarton, wcale nie była pewna, co by wybrała. Podniosła głowę i ponownie uderzyła kilka razy w poduszkę, usiłując wygodniej się ułożyć.

Pragnęła - och, jakże bardzo pragnęła! - żeby jej najgłębiej skrywana tajemnica nigdy nie ujrzała światła dziennego i żeby nigdy, nawet przed sobą, nie musiała przyznać, że go kocha. Chciała jedynie, by został i trzymał ją w ramionach tak jak tamtej nocy.

Być może znowu zaszła w ciążę.

Zwinęła poduszkę pod głowę i odganiając wszystkie myśli, powiedziała sobie, że najwyższy czas wreszcie zasnąć.

* * *

Kenneth spędził miłe przedpołudnie z przyjaciółmi. Chociaż spał zaledwie kilka godzin, jadąc konno przez park, czuł się wypoczęty i pełen energii. Nawet przejmujący chłód i pochmurny poranek nie były w stanie popsuć mu humoru.

Lord Pelham przez parę minut z wyraźnym zakłopotaniem przeproszał go za swoje zachowanie w Tawmouth.

- To nauczy mnie, aby nie bawić się kosztem kogoś, kogo się nawet nie zna - rzekł. - Nie wiedziałem, że ona jest dla ciebie kimś więcej niż tylko sąsiadką. Jednakże, nawet gdyby nie była, w niczym nie zmienia to faktu, że to nie w porządku robić sobie żarty za czyimiś plecami.

- Chyba jednak lepiej tak, niż miałbyś to powiedzieć w jej obecności.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że ostrzyłeś sobie dowcip kosztem lady Haveford, Eden - zdziwił się lord Rawleigh. - Rozumiem, iż miało to miejsce, zanim się dowiedziałeś o jej związkach z Kennethem? Masz wyjątkowe szczęście, stary, że nie skończyło się to pojedynkiem.

- Była już wtedy w ciąży, chociaż nie powiedziała mi o tym. Poza tym wciąż jeszcze była zaręczona z kimś innym - odparł Kenneth. - Na szczęście to już przeszłość. Zapomnij o tym, Ed.

- Zaręczona z kimś innym? - zdziwił się lord Pelham. - Coś takiego! Nieważne jak wówczas wyglądała, za to teraz wygląda fantastycznie. Katherine i Dafne zabrały ją na spacer po parku, lecz zdziwiłbym się, gdyby ten spacer nie zakończył się rundą po sklepach. Możesz się uważać za szczęściarza, Ken, jeśli w ciągu tygodnia nie stracisz fortuny i jeśli będziesz widywał żonę przynajmniej na tyle, aby zdążyć jej powiedzieć dzień dobry i dobranoc.

- Czyżbyś się skarżył, Rex? - Gascoigne wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście - odparł wicehrabia. - Chociaż nie na lekkomyślność mojej żony, ponieważ nigdy taka nie była i wcale jej to nie grozi. Sami jednak wiecie, że sezon w Londynie rządzi się swoimi prawami i że mężowie i żony nie spędzają ze sobą zbyt wiele czasu. Nie ukrywam więc, iż z największą przyjemnością wrócę na lato do Stratton, a może nawet na jesień i zimę.

Kenneth zamyślił się. Ostatnie słowa wicehrabiego Rawleigh zastanowiły go. To

prawda, że Londyn podczas sezonu nie jest najodpowiedniejszym miejscem do spędzania czasu z własną żoną. Kiedy zapraszał tu Moirę, nie zdawał sobie z tego sprawy. On również byłby szczęśliwy, gdyby mógł wrócić do Dunbarton na lato, ale tego ich układ nie przewidywał. Powinien z nią o tym porozmawiać. Wciąż nie mógł przestać o tym myśleć: Dunbarton latem. Z Moirą.

To była bardzo nęcąca wizja.

Zawsze chętnie spędzał przedpołudnia z przyjaciółmi. Tym razem było podobnie. Po południu wybrał się na wyścigi. Cały dzień prześladowała go jednak myśl, że ma jedynie dwa tygodnie na przekonanie Moiry, że ich małżeństwo ma sens, i oto jeden dzień mijał zupełnie bezproduktywnie i obawiał się, że inne dni będą podobne.

Późnym popołudniem wracał do domu z wyścigów prześladowany wciąż tą samą myślą: „Czy powinien przekonywać Moirę, żeby z nim została?”. Czyż to nie był eksperyment, w który zaangażowani byli obydwój? Czy wyznacziliby sobie te dwa tygodnie na podjęcie decyzji gdyby przynajmniej nie mogli się wzajemnie tolerować, gdyby nie widzieli sensu ratowania ich związku? Kiedy właściwie zaczął myśleć, że musi ją przekonać? Czyżby już wiedział, czego naprawdę chce?

Wrócił myślami do poprzedniej nocy. Moira zaskoczyła go. Miniony dzień z pewnością nie należał do zbyt udanych, ten akt był jednak czymś, co sprawiło mu ogromną przyjemność. Zorientował się, że jej również. Nie była zbyt aktywna i nie osiągnęła orgazmu, chociaż starał się dać jej tyle czasu, ile potrzebowała. Jednak otworzyła się przed nim i wyglądała na szczęśliwą. Wiedziałby, gdyby była rozczarowana. Nie była.

Czy to właśnie wtedy zdecydował, że chce z nią spędzić resztę życia? Chodziłoby więc jedynie o seks? Nie wydawało mu się to prawdopodobne. Nawet wtedy, gdy miał bardzo doświadczone kochanki, nigdy nie myślał o stałym związku. W przypadku Moiry nie chodziło o seks. Poza tym Moira bezsprzecznie należała do najmniej doświadczonych kochanek, jakie kiedykolwiek w życiu miał.

Nie, to nie to, pomyślał. Był tylko jeden powód, dla którego mężczyzna chce być w stałym związku z kobietą i gotów jest zrezygnować z naturalnej skłonności do zmiany partnerek. Nie pożądanie, a jego przeciwieństwo. Bronił się przed tym słowem. Mógł go nie wymawiać, ale nie był w stanie o nim nie myśleć.

Kochał ją. Mogła być nieznośna, uparta i złośliwa, i mógłby znaleźć jeszcze wiele innych, nawet gorszych określeń. Mimo to kochał właśnie ją.

Nie mógł się doczekać, kiedy znów ją zobaczy, i gdy tylko zatrzymał się przed domem, rzucił wodze parobkowi i pospiesznie wbiegł do środka. Czy Moira już jest? Nie

widział się z nią od chwili, gdy o świcie opuścił jej sypialnię. Bardzo pragnął zostać z nią wtedy i patrzeć, jak usypia w jego ramionach, lecz nie był pewien, czy ona tego pragnie. Z pewnością jest już w domu, pomyślał. Było dosyć późno.

- Jej lordowska mość jest na górze w salonie - powiedział lokaj, zginając się w pół.

Biegł po schodach po dwa stopnie na raz i nagle poczuł się głupio, gdy uświadomił sobie, że służący pewnie go obserwują i wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

Moira siedziała przed kominkiem, jak zawsze wyprostowana i jak zawsze wytworna. Widząc, że wchodzi, odłożyła robótkę. Poczul onieśmienie. Zrobił parę kroków w jej kierunku i skłonił się przed nią.

- Mam nadzieję, że miło spędziłaś dzień - rzekł.

- Późno przychodzisz, milordzie - zauważyła. - Być może zapomniałeś, że jesteśmy dziś zaproszeni na kolację?

Uniósł brwi i spojrzał na stojący na kominku zegar.

- Późno, madam? - zdziwił się. - Nie sędzę. Czy to jedyne powitanie, na które mogę dziś liczyć? Zimne oczy i zacięte usta? - Czuł, jak ogarnia go irytacja. Ależ on był naiwny, błędząc przed godziną z głową w chmurach. Prawdziwa Moira była właśnie taka i takie były jego prawdziwe uczucia do niej.

- Uważam, iż gdybyśmy spóźnili się do państwa Adamsów, byłoby to ogromnym nietaktem - zauważyła. - Milordzie, musisz wziąć kąpiel, jesteś spocony.

- Mogę cię zapewnić, madam, że moi służący też to dostrzegli i że już niosą gorącą wodę do mojego pokoju. Proszę o wybaczenie, iż ośmieliłem się zjawić przed tobą w takim stanie.

Nie odpowiedziała. Sięgnęła po robótkę, ale po chwili zmieniła zdanie i znowu położyła ręce na kolanach.

- Co się stało? - zapytał. - To chyba nie ma nic wspólnego z moim wymyślanym spóźnieniem czy niewymyślanym spoceniem?

Patrzyła na niego badawczo, a w jej oczach widać było wrogość.

- To była twoja inicjatywa? - zapytała. - Mówiła zgodnie z twoimi instrukcjami? Czuję się głęboko dotknięta, że oszukałeś mnie, sprowadzając pod kłamliwym pretekstem.

Podszedł bliżej i zatrzymawszy się przed nią, założył do tyłu ręce.

- Czuję się głęboko dotknięty twoim zachowaniem, madam - odparł. - Jeśli miałbym ci coś do powiedzenia, sam bym to zrobił. Co takiego powiedziała moja matka, że tak bardzo się czujesz tym urażona?

- To była cała lista różnych insynuacji i sugestii, których musiałam wysłuchiwać przez całe popołudnie i to zazwyczaj wtedy, gdy byłyśmy akurat w towarzystwie innych pań i z oczywistych powodów nie mogłam na to zareagować. Usłyszałam więc, że muszę nad sobą popracować, aby wykorzenić nawyki, typowe dla osoby pochodzącej z niższych sfer. Przede wszystkim, kiedy wrócę do Dunbarton, powinnam zmienić towarzystwo na bardziej ekskluzywne przez wysyłanie bardziej przemyślanych zaproszeń czy też przeprowadzanie selekcji tych, które otrzymuję. Nie mogę też, oczywiście, przyjaźnić się z Harriet Lincoln. Muszę przyjmować w Dunbarton gości na lato, tak więc powinno się mnie widywać w otoczeniu bardziej odpowiednim dla hrabiny Haveford. Powinnam też odradzić mojej matce ciągle przyjazdy i wyjazdy z Dunbarton. Powinnam również obdarzyć cię synem i to możliwie jak najszybciej. Czy mam kontynuować?

Był wściekły - na matkę, ale i na Moirę.

- Pomyślałaś więc, że to wyszło ode mnie? - zapytał.

- Dlaczego mnie tu sprowadziłeś?

- Zaprosiłem cię tu z powodu, o którym rozmawialiśmy przedwczoraj wieczorem - odparł. - Moja matka mówiła wyłącznie w swoim imieniu. Jeśli to, co powiedziała, dotknęło cię, zwrócę mojej matce uwagę. Oczywiście lepiej będzie, jeśli sama również z nią o tym porozmawiasz. Pragnę ci przypomnieć, że to ty jesteś hrabiną Haveford i panią Dunbarton, a nie ona. Możesz utrzymywać stosunki z sąsiadami na takim poziomie, jaki sama uznasz za stosowny, i nazywać ich, jeśli zechcesz, swoimi przyjaciółmi. Lady Hayes, jeśli takie jest twoje życzenie, w każdej chwili może się przenieść do Dunbarton. Jeśli natomiast chodzi o syna - chociaż równie dobrze może to być córka - to przyjdzie na świat z naszą czy bez naszej woli, gdy będziemy kontynuowali nasze małżeńskie kontakty. W każdej chwili możesz mi odmówić przyścia do twojej sypialni i możesz być pewna, że nigdy siłą nie będę egzekwować moich praw. - Miał wszystkiego dosyć. Gdyby teraz powiedziała mu, że chce wrócić do Kornwalii, byłby nawet z tego powodu szczęśliwy. Jak mogło jej przyjść do głowy, że jego matka zrobiła to w jego imieniu?

- Byłam w stosunku do ciebie niesprawiedliwa - powiedziała zduszonym głosem. - Wybacz mi, proszę.

Jednak nic nie było już w stanie poprawić mu nastroju. I może dobrze się stało, pomyślał. Musi teraz bardziej krytycznie spojrzeć na swój stosunek do niej.

- Mam nadzieję, że przynajmniej przedpołudnie miałaś udane? - zapytał.

- Tak, dziękuję. Towarzystwo było bardzo sympatyczne. Po spacerze poszliśmy na zakupy.

Uśmiechnął się nieznacznie. Rex, jak widać, miał rację.

- Kupiłam coś - powiedziała, pochylając się nad małym stolikiem do robótek. - Zapłaciłam za to z własnych funduszy. Nie otrzymasz więc za to rachunku.

- Możesz wystawiać na mnie rachunki, kiedy tylko zechcesz.

- Ale to jest prezent. - Podała mu małą paczuszkę. - To ślubny prezent ode mnie.

Wziął od niej paczuszkę i rozwinął ją. W środku była prześlicznie emaliowana tabakierka.

- Nigdy nie widziałam, żebyś zażywał tabaki - zauważyła. - Jednak bardzo mi się spodobała.

Z Moirą życie nigdy nie będzie nudne, pomyślał. Jego nastrój w ciągu kilku minut uległ radykalnej zmianie. Nie potrafił ukryć wzruszenia. Nie był to oczywiście szczególnie kosztowny prezent, widział tabakierki o znacznie większej wartości. Nie zażywał tabaki i to emaliowane cacko na nic mu się nie przyda. Ale to był prezent od jego żony.

- Może zacznę zażywać tabakę - powiedział. - Wyobrażasz sobie, jak będę na ciebie kichał?

W jej oczach pokazały się iskierki rozbawienia.

- Bardzo dziękuję - dodał. - Jest rzeczywiście śliczna.

- Już późno, milordzie - zauważyła, wstając z fotela.

- A ja wciąż spocony. Czy mogę ci podać ramię i odprowadzić do twojej gotowalni?

Dni mijały szybko, dostarczając tylu atrakcji, że chwilami wydawało się, iż doba ma za mało godzin, aby ich wystarczyło na sen i wypoczynek.

Czasem Moira tęskniła za cichym i spokojnym życiem w Kornwalii, innym razem myślała ze smutkiem, że te wspólne tygodnie są być może jedynymi, które kiedykolwiek spędzi w Londynie. Czasem chciała być od niego z daleka, żeby móc spokojnie pozbierać myśli. W zasadzie nie było dnia, żeby nie dochodziło między nimi do sprzeczki, szczególnie wtedy, gdy mieli okazję spędzić ze sobą trochę więcej czasu. Innym razem znowu wpadała w panikę na myśl, że przyjdzie jej przeżyć życie bez niego. Czasem miała dosyć zarówno swoich, jak i jego przyjaciół, przez których nie widywali się przez wiele godzin, a czasem nawet przez cały dzień. Innym razem znowu przychodziło jej do głowy, że mogliby być lepszymi przyjaciółmi, gdyby widywali się jeszcze rzadziej.

Pozostawały noce. Wtedy się nigdy nie kłócili, wręcz przeciwnie - stanowili przyjazną i doskonale zgraną parę. Związek nie może jednak opierać się jedynie na tej jednej, choćby najwspanialszej rzeczy. Moira coraz częściej zastanawiała się, jakie będą jej noce, kiedy wróci do Dunbarton. Nie będzie jej łatwo teraz, kiedy wiedziała, co traci. Oczywiście, wciąż jeszcze się uczyła. Każda ich noc była inna - i każda cudownie niepowtarzalna.

Kiedy nie byli umówieni z przyjaciółmi, szli razem na spacer, odwiedzali galerie, chodzili na pikniki, a wieczorami do teatru, na koncerty, przyjęcia i bale. Ciągłe też otrzymywali zaproszenia na kolacje i tylko raz udało im się spędzić wieczór w domu. Nie mogli więc narzekać na brak towarzystwa, a tym bardziej na brak rozrywek...

Jedno, zupełnie przypadkowe spotkanie, było dla Moiry szczególnie pamiętne. Pewnego dnia, kiedy spacerowała po Hyde Parku z lady Rawleigh i lady Baird, dosłownie wpadła na siostrę Kennetha, Helen, która szła w towarzystwie kuzynki lorda Ainsleigh. Panie zatrzymały się, żeby wymienić grzeczności, kiedy jednak po chwili Moira i jej przyjaciółki chciały iść dalej, ku jej zdumieniu Helen i jej towarzyszka najwyraźniej zmieniły plany i ruszyły w tym samym co one kierunku. Helen manewrowała tak, żeby znaleźć się z Moirą w pewnej odległości od pozostałych pań.

- Mama jest wściekła - powiedziała, gdy wyczerpały temat pogody. - Musiałaś jej nieźle nagadać.

- Bardzo mi przykro, że tak źle to odebrała - odparła chłodno Moira. - Chciałam tylko, by zrozumiała, że za swoje zachowanie odpowiadam jedynie przed moim mężem.

- Och, mama szybko dojdzie do siebie - zapewniła ją Helen. - Nie może znieść, że jest w niełasce u Kennetha, a jak zapewne wiesz, jeszcze bardziej jej nagadał niż ty.

Moira nie wiedziała. Była jednak mile zaskoczona.

- Rzecz w tym - ciągnęła Helen - że Michael nie ma w ogóle siostr, a jedynie braci. Jesteś więc moją jedyną siostrą, tak jak ja jestem twoją. Smutne byłoby, gdybyśmy miały być wciąż do siebie wrogo nastawione.

- Aż do ostatnich świąt Bożego Narodzenia nie zdawałam sobie sprawy, że my obydwie możemy być wrogami - odparła Moira. - Kochałaś kiedyś Seana i ja kochałam go również.

- Aż do ostatnich świąt Bożego Narodzenia - dodała Helen - kiedy to przyjechałam do Dunbarton i zobaczyłam tam ciebie, nie zdawałam sobie sprawy, jak głęboko zraniła mnie ta cała historia z Seanem. W ciągu roku wyszłam za mąż za Michaela i z czasem go nawet pokochałam. Tak jakoś już jednak jest, że pierwsza miłość na zawsze pozostaje w naszym sercu. Kochałam go, Moiro, a ty nas zdradziłaś. Powiedziałaś Kennethowi, że chcemy uciec, a on, przy jego wyjątkowym poczuciu odpowiedzialności, czuł się w obowiązku natychmiast powiadomić o tym ojca. I to był koniec wszystkiego.

- Nie powiedziałam mu, że chcecie uciec - zaprotestowała Moira, marszcząc brwi. - Nawet o tym nie wiedziałam. Powiedziałam mu tylko, że się kochacie i że chcecie się pobrać. Myślałam, że się ucieszy. Widzisz, my również się kochaliśmy i sądziłam, że on również chce mnie poślubić. Myślałam, że razem, wszyscy czworo, będziemy mieli większą szansę przekonać naszych ojców.

Helen roześmiała się.

- Kto wie, jak było naprawdę? - odparła. - Byłaś jednak bardzo naiwna, Moiro. Nasz ojciec nigdy by się nie zgodził na małżeństwo żadnego ze swoich dzieci z kimś, kto nosiłby nazwisko Hayes. Nawet pomijając naszą odwieczną waśń, twój ojciec był zaledwie baronetem, a przy tym niezbyt zamożnym. Kenneth nigdy by mu się nie sprzeciwił.

- Dziękuję ci - rzuciła chłodno Moira.

- Nie wiem właściwie, co się w tym roku wydarzyło - ciągnęła Helen. - Nie wiem, dlaczego Kenneth tak nagle przyjechał do Dunbarton, dlaczego cię poślubił, a potem wrócił do Londynu bez ciebie. Podejrzewam... To nieistotne. Najważniejsze, że jesteśmy siostrami, Moiro. Na dobre i na złe. Jeśli wybaczysz mi tamtą nieuprzejmość, ja wybaczę ci twoją zdradę. Być może nigdy nie byłabym szczęśliwa z Seanem. Widzisz, dobrze się czuję w moim środowisku. A więc, co o tym sądzisz?

- Wybaczam - odparła Moira.

- Wspaniale. - Helen ścisnęła jej rękę. - Żałuję, że nie słyszałam, co powiedziałaś mamie. Poza Kennethem, który zawsze robił to tak spokojnie i chłodno, nikt nigdy na coś podobnego się nie zdobył. Ja bym się nie ośmieliła. Przy mamie wciąż czuję się jak dziecko.

- Kiedy z nią rozmawiałam, miałam wrażenie, że mi serce wyskoczy - przyznała Moira. - Jednak Kenneth zwrócił mi uwagę, że powinnam pamiętać, kim jestem, i musiałam to zrobić. Nie mogłam pozwolić, żeby uważał mnie za tchórza.

Tym razem roześmiały się obydwie.

- O mnie może tak myśleć, kiedy zechce - dodała Helen. - Zawsze okropnie się go bałam. - W tobie, jak sądzę, spotkał godnego przeciwnika. Ludziom, takim jak Kenneth, nie wolno pozwalać, by nami rządzili. Kochasz go?

- Tak - przyznała Moira po chwili i roześmiała się. - Tylko proszę, nie mów mu o tym. Helen ponownie ścisnęła jej rękę.

- To będzie nasza tajemnica - powiedziała. - Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami. Zawsze chciałam mieć siostrę. Kiedyś spodziewałam się, że to właśnie ty nią będziesz.

- Ja również mam taką nadzieję - dodała Moira.

Wiedziała jednak, że nie będzie to łatwe. Musi minąć trochę czasu, zanim znikną wciąż istniejące między nimi bariery. Poza tym, nie miała wątpliwości, że jeśli wróci do Dunbarton sama, nie będzie mogło być mowy o przyjaznych stosunkach z rodziną męża.

Mimo to było jej przyjemnie, że pierwsze lody zostały przełamane. Teraz wszystko zależało od tego, jak ułożą się jej stosunki z Kennethem.

* * *

Sezon w Londynie powoli dobiegał końca. Wiele osób opuściło już miasto, udając się albo do swoich wiejskich posiadłości, albo do któregoś z bardziej znanych uzdrowisk. Większość z tych, którzy jeszcze pozostali, wkrótce miała pójść w ich ślady. Moira i Kenneth, z oczywistych powodów, nie rozmawiali o wyjeździe z Londynu. Ona miała wrócić do Dunbarton, pozostawało jedynie ustalić, kiedy ma to nastąpić. Czy jednak wyjedzie sama? Wciąż unikali odpowiedzi na to pytanie, zdając sobie sprawę, jak wiele od niej zależy.

Czekali jeszcze na wieczór w Vauxhall, który miał być ukoronowaniem sezonu. Lord i lady Rawleigh nazajutrz rano wyjeżdżali do Strafton Park, a państwo Adams do Derbyshire, zaś lord Pelham wybierał się do Brighton. Moira podejrzewała, że zabierał ze sobą swoją kochankę, ponieważ, gdy zapytała, czy Gascoigne jedzie wraz z nim, zaległa wymowna cisza. Gascoigne, jak się zdaje, wracał do domu. Jego ojciec od pewnego czasu zapadł na zdrowiu i

trzeba było zająć się dość liczną rodziną.

Bardzo się cieszyła, że widziała wszystkie najszlachetniejsze zabytki Londynu i wzięła udział we wszystkich ważniejszych imprezach sezonu, chociaż ta najbardziej ekscytująca była dopiero przed nią. Słyszała, że Vauxhall to niezwykle miejsce, szczególnie nocą, kiedy cały pawilon oświetlony jest ogromną liczbą lamp i świec, a alejki, po których spacerują goście, skąpane są w świetle rozmieszczonych wśród drzew lampionów. Wewnątrz pawilonu jest wiele przytulnych zakątków, gdzie można usiąść i coś zjeść, słuchając występów muzyków. Można tam również potańczyć, a na zewnątrz często organizowane są pokazy ogni sztucznych.

Tylko pogoda mogła popsuć ten wieczór. Moira z niepokojem spoglądała rano na zasnute chmurami niebo. Na szczęście po południu chmury powoli zaczęły się rozwiewać, a wieczorem niebo było już zupełnie czyste i zrobiło się znacznie cieplej.

- Wyglądasz ślicznie - powiedział Kenneth, kiedy Moira dołączyła do niego w holu.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem.

Miała na sobie dosyć ekstrawagancką suknię z bładozielonego atłasu, bogato zdobioną koronką, do której kupna namówiły ją Katherine i Dafne, chociaż prawda była taka, iż nie musiały tego robić zbyt długo.

- To nowa suknia? - zapytał, otulając szalem jej ramiona. - Czy otrzymałem już rachunek?

- Sama go uregulowałam - odparła.

- Jutro mi więc go pokażesz - powiedział, pomagając jej wsiąść do powozu i siadając obok niej. - Twoja pensja, Moira, przeznaczona jest na twoje osobiste wydatki. Ubieranie ciebie to mój obowiązek.

Nie odpowiedziała. Właściwie powinna być szczęśliwa - suknia kosztowała majątek, jednak Moira nie znośła być zależna od mężczyzny. „Ubieranie ciebie to mój obowiązek”. Było w tym coś upokarzającego. Przez całe życie zależała od jakiegoś mężczyzny - najpierw od ojca, a później od sir Edwina. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna.

- I tak już będzie zawsze, madam - dodał chłodno, jakby czytał w jej myślach. - Nie ma sensu się upierać. Nawet jeśli po tym tygodniu nigdy mnie już nie zobaczysz, zawsze będziesz moją żoną.

- Równie dobrze mogłeś powiedzieć moją własnością.

- Zawsze więc będziesz moją własnością - odparł szorstko. Kłócili się z powodu jego wspaniałomyślności. Czy ona straciła rozum? Czuła, że wpada w panikę.

- Dziś wieczorem będą tańce - nieoczekiwanie zmienił temat. - Każdy będzie chciał z

tobą zatańczyć: Rex i jego brat Baird, Nat i Eden. Ja chciałbym zatańczyć z tobą walca. Pierwszego po kolacji. Zarezerwuj go dla mnie.

- Czy to rozkaz, milordzie? - zapytała.

- Tak, na Boga, to jest rozkaz - odparł, patrząc na nią spod oka.

- Nie mam więc wyboru, milordzie.

- Szybko się uczysz, madam - stwierdził.

- Tak, milordzie - odrzekła potulnie.

Vauxhall, gdzie przyплыnęli łodziami w towarzystwie innych uczestników przyjęcia, wywarł na Moirze ogromne wrażenie: światła niezliczonej ilości kolorowych lampionów mieniły się i odbijały w Tamizie, a kiedy weszli na tereny wspaniałych ogrodów, zdawało jej się, że wkracza w bajkowy świat, ten realny zostawiając za sobą.

- Och, Kennecie - zawołała, z zachwytem rozglądając się dookoła. - Czy widziałeś kiedykolwiek coś piękniejszego?

- Tak. - Przykrył dłonią jej wspartą na jego ramieniu dłoń. - Światło księżycy odbijające się od powierzchni morza w Tawmouth.

Pewnego dnia spotkała się z nim po zapadnięciu zmroku w wykrocie na szczycie klifu. Siedzieli długo, przytuleni do siebie, obserwując scenę, którą opisywał przed chwilą. Pocałował ją, a ona nie czuła przed nim żadnego lęku. Och, słodka niewinna młodości!

On, być może, już nigdy nie zobaczy Tawmouth. Ona, być może, będzie tam żyła samotnie. Ze swoimi wspomnieniami.

* * *

Był ciepły, prawie bezwietrzny wieczór. Ogrody Vauxhall pełne były gości, którzy przed końcem sezonu chcieli wziąć udział w jednej z ostatnich, organizowanych w mieście imprez. Korzystali ze wszystkich oferowanych przez Vauxhall atrakcji: spacerowali więc wśród przepięknych drzew i krzewów, chociaż nikt tu nie dotrzymywał towarzystwa własnej małżonce czy małżonkowi, słuchali orkiestry, wykonującej utwory Haendla, jedli cienkie plastry szynki i truskawki i pili szampana, rozmawiali, śmiali się i tańczyli.

Jednak w atmosferze tego wieczoru był jakiś smutek. Za dwa dni, pomyślała Moira, wszyscy przyjaciele rozjadą się w różne strony kraju i nikt nie wiedział, kiedy znowu się spotkają. Oprócz smutku rozstania z przyjaciółmi, dręczyła ją jeszcze straszliwa niepewność. Co będzie z nią i Kennethem? Wkrótce wszystko się wyjaśni. Nie mogli dłużej zwlekać z podjęciem decyzji. Muszą to zrobić jutro.

Obydwoje doskonale o tym wiedzieli. Obydwoje też z determinacją oddawali się

przyjemnościom wieczoru. Nie siedzieli obok siebie przy zarezerwowanym przez sir Claytona Bairda stole. Nie spacerowali razem, ani też razem nie tańczyli. Ani razu nie spojrzeli sobie w oczy. W końcu orkiestra zaczęła grać walca. Pierwszego walca po kolacji. Popatrzył na nią, po raz pierwszy tego wieczoru. Śmiała się z czegoś, co opowiadał Eden, ale nagle umilkła i podniosła na niego oczy.

- Mam nadzieję, że ten walc należy do mnie, Moiro? - rzekł, wyciągając do niej rękę.

- Tak. - Patrzyła na nią przez chwilę, zanim podała mu swoją. Wstając z miejsca, nie uśmiechnęła się, chociaż śmiała się przez cały wieczór. Obydwoje czuli, jak bardzo wyjątkowa jest ta chwila. Zachowywali się tak, jakby jakaś magiczna siła przyciągała ich do siebie. Ich przyjaciele musieli to dostrzec, ponieważ nagle zapanowała cisza i wszystkie oczy zwróciły się na tych dwoje, którzy szli w stronę parkietu jak zahipnotyzowani.

* * *

- No i co o nich powiecie? - zapytał Gascoigne.

- Moim zdaniem - odezwał się lord Pelham - ta dama niełatwo poddaje się czyjemuś panowaniu. Nasz Kenneth tego nie lubi.

- Właściwie powinienem się z tobą zgodzić, Ed - rzekł wicehrabia Rawleigh. - On rzeczywiście tego nie lubi. Coś mi się jednak wydaje, że tym razem wpadł, i to po uszy.

- Tak, ona rzeczywiście lubi być niezależna - dodała lady Baird - i jeśli hrabia Haveford będzie mądry, to zmieni nieco ten swój chłodny i trochę despotyczny sposób bycia.

- Musisz jednak przyznać, Dafne, że on to robi tak uroczo - odparła ze śmiechem lady Rawleigh. - Tak czy inaczej, wierzę, że Moira da sobie z nim radę. Poza tym oni naprawdę się kochają. To przecież widać na pierwszy rzut oka.

- Ot, kobieca logika - zauważył sir Adams. - Oni się kochają i basta. - Spojrzał na swoją bratową z wyraźną sympatią.

- Jedno jest pewne - dodał Gascoigne - to nie będzie spokojne małżeństwo.

- Szczerze mówiąc, Nat - wtrącił lord Rawleigh - nie wierzę, żeby Kena nie znudził spokojny związek.

- W każdym razie ci dwoje z pewnością wiedzą, jak razem się bawić - zauważyła lady Rawleigh, patrząc na męża z uśmiechem.

- Wszystko więc zdaje się wskazywać na to, że odtąd będą żyli długo i szczęśliwie - stwierdził sir Clayton, podnosząc się z miejsca. - Może i my, Dafne, zatańczymy tego walca?

Dobrze się bawisz? - zapytał Kenneth, prowadząc Moirę na parkiet na zewnątrz pawilonu.

- Cudownie - odparła. - Wiedziałam, że to piękne miejsce i że to będzie wspaniały wieczór, i nie rozczarowałam się. Żadne jednak słowa nie są w stanie oddać tego, co czuję, kiedy tańczę w tym cudownym ogrodzie. Czy moglibyśmy, milordzie, tańczyć tak aż do świtu? - Jedną rękę położyła na jego ramieniu, drugą wsunęła w jego dłoń.

- Nie sądzę - odparł. - Mam inne plany na resztę tej nocy. Zabrzmiała muzyka i Moira popłynęła wraz z nim w rytmie walca.

Od jej przyjazdu do Londynu tańczyli ze sobą kilka razy, ten walc był jednak pierwszy od pamiętnego balu w Dunbarton. Kenneth pomyślał, że wszystkie zastrzeżenia co do przyzwoitości walca nie były znowu takie bezpodstawne.

- Zgoda - odparła, nawiązując do tego, co powiedział przed chwilą. - Tym bardziej że, jak sądzę, to będzie bardziej fascynujące niż ten taniec.

Wirowali w rytmie walca, a Kenneth nie mógł oderwać od niej wzroku. Znowu była tamtą, pełną życia dziewczyną, która, odrzucając konwenanse, zawsze mówiła, co myśli. Teraz nie wierzył jednak swoim uszom. Moira wyraźnie z nim flirtowała i to nie tak, jak inne damy z towarzystwa, które znał: śląc powłóczyście spojrzenia, trzepocąc rzęsami i rozchylając wargi. To był flirt godny najlepszej kurtyzany. Czyż mogła go jeszcze czymś zaskoczyć?

- Pod wieloma względami przypomina to taniec. Na przykład ten walc - spójrz tylko, jak znakomicie dopasowałaś się do mojego rytmu.

- Nietrudno - odparła - podążać za mężczyzną, który porusza się z tak nadzwyczajną zręcznością.

- Nie ma na świecie niczego - powiedział, pochylając ku niej głowę - co dwojgu ludziom sprawiałoby większą przyjemność, niż taniec, w którym poruszają się, jakby byli jednym ciałem.

- Poza, oczywiście, takim - dodała prawie szeptem - który taniec jedynie udaje.

Nieźle! Nie miała więc zamiaru ustąpić mu pola. I, co najważniejsze, nie była w ogóle zażenowana pikantnym charakterem tej konwersacji. A te jej spojrzenia, ileż one obiecywały! Najzwyczajniej w świecie, go uwodziła. Chwilami zapominał, gdzie był. Ratując sytuację, zwiększył nieco dystans między nimi.

- Doskonale tańczysz walca - zauważył. - Tyle się wydarzyło od czasu, gdy

tańczyliśmy go po raz pierwszy.

- Tak - odpowiedziała i nagle zauważył rozmarzenie w jej oczach. - To był mój pierwszy w życiu walc. W Tawmouth ten taniec miał wówczas opinię bardzo nieprzyzwoitego.

- I całkowicie na tę opinie zasłużył.

- To najcudowniejszy taniec, jaki kiedykolwiek istniał na ziemi. Tak myślałam wtedy i tak myślę dziś.

Tańczyli dalej w milczeniu, ale myślami byli już przy innym tańcu, który mieli odtńczyć w zaciszu swego domu, zanim jeszcze ta noc dobiegnie końca.

* * *

Kiedy wracali do domu, do świtu pozostało już niewiele godzin. To był ostatni bal sezonu i wszyscy żegnali się z żalem. Moira przymknęła oczy, oddając się marzeniom o tym, co ją czekało w sypialni.

Starła się nie myśleć o dniu jutrzejszym.

- Mam nadzieję, że nie śpisz, moja droga? - odezwał się Kenneth. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Nie, nie śpię. Po prostu odpoczywam.

- Dobry pomysł - odparł, patrząc na nią wymownie.

Zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie nie podjęli jeszcze decyzji. Wprawdzie kłócili się podczas tych dwóch tygodni, ale nie przez cały czas. Częściej wcale się nie kłócili. Podejrzewała, iż znalazłoby się wiele takich małżeństw, których wzajemne uczucia dalekie są od przyjaźni, i to w znacznie większym stopniu niż jej i Kennetha. Mimo to inne pary jakoś nieźle sobie radzą.

Nieźle sobie radzą, westchnęła w duchu. W tym problem. Słowo „nieźle” zupełnie jej nie odpowiadało i podejrzewała, że Kennethowi nie odpowiadałoby również. Chociaż, jeśli chodzi o nią, nie było to do końca prawdą. Miała przecież poślubić sir Edwina, pomimo iż zdawała sobie sprawę, że to małżeństwo, w najlepszym razie, będzie zaledwie znośne. Jednak wówczas to było coś zupełnie innego. Nie kochała sir Edwina.

Wszystko wydawało się takie skomplikowane. Zbyt skomplikowane, żeby myśleć o tym teraz. Wkrótce będzie jutro, chociaż tak bardzo by chciała, żeby jutro nigdy nie nadeszło, a noc trwała wiecznie.

- Jesteśmy w domu - usłyszała cichy głos tuż przy uchu. Otworzyła oczy. Jej głowa wygodnie spoczywała na szerokim, ciepłym ramieniu.

- Może powinienem odprowadzić cię do twojego pokoju i powiedzieć dobranoc? - rzekł.

- Nie - zaprotestowała gwałtownie. - Nie chcę jeszcze spać.

- Czyżbyś znowu chciała zatańczyć, madam? - zapytał.

- Powiedziałam ci, że chcę przetańczyć całą noc.

- Pani życzenie, madam, jest dla mnie rozkazem - wyszeptał.

* * *

To był taniec, w którym szybko zapanowała między nimi absolutna harmonia. Zapalił wszystkie świece, błyskawicznie ściągnął z niej nocną koszulę, po czym to samo zrobił ze swoją i już po chwili klęczeli nadzy na łóżku zwróceniem twarzą do siebie. Jego ręce delikatnie przesuwały się po jej ciele, jej ręce robiły to samo; obserwował ją spod pół - przymkniętych powiek, ona również na niego patrzyła; rozchyłonymi ustami dotykał jej twarzy a ona szeptała jego imię.

Kiedy ujął w dłonie jej piersi i pochylił się ku nim, aby je pieścić, przytrzymała obręcz jego głowę, wplatając palce w jego włosy, drżąc i jęcząc z rozkoszy.

Płonął z pożądania. Żadnej kobiety nigdy nie pragnął tak, jak tej nocy pragnął jej. Przed Moirą zawsze było to po prostu kobiece ciało, które miało dać mu rozkosz. Nagle uświadomił sobie, że przez całe dorosłe życie w marzeniach zawsze widział tę chwilę, chociaż nigdy, nawet przed sobą, się do tego nie przyznawał. W tych marzeniach zawsze była Moira, jakby stanowiła nieodłączną część jego życia, jakby była powietrzem, którym oddychał.

Klęczała z rozchyłonymi udami i odrzuconą do tyłu głową. Ustami wciąż pieścił jej szyję, a pożądanie rozsadzało jego lędźwie, tętniło w skroniach i zapierało dech w piersiach.

Z doświadczenia wiedział, że kobiety większą przyjemność czerpią z gry wstępnej niż z samego aktu. Więc jeśli ona tego potrzebuje, będzie cierpliwy. Będzie na nią czekał nawet całą noc. Tym razem Moira pozna pełnię rozkoszy, jeśli tylko on potrafi jej taką rozkosz dać.

- Dobrze ci? - zapytał z ustami przy jej ustach. - Chcesz więcej? Chcesz mieć mnie w sobie? Powiedz, czego chcesz?

- Chodź... - wyszeptała.

Położył ją, rozsunął jej uda, po czym, chcąc, żeby objęła go nogami, uniósł jej biodra do góry i wszedł w nią mocno i zdecydowanie. Czekał chwilę, aż przyjmie odpowiednią pozycję i otoczy go ramionami.

- Tańcz ze mną - rzekł.

- Prowadź więc - wyszeptala - a ja podążę za tobą.

Przez jakiś czas, tak jak zawsze leżała spokojnie, podczas gdy on zaczynał już swój taniec. Po chwili i ona przyjęła jego rytm, starając się dotrzymać mu kroku. Zupełnie stracił poczucie miejsca i czasu, wszystko stało się zmysłowe: przyspieszone oddechy, zapach wody kolońskiej, zapach potu i kobiety, wrażenie ciepłej, gładkiej głębi i instynktowna chęć, żeby to trwało jak najdłużej, aż poczuje, że Moira umiera z rozkoszy. Moira - nieodłączna część tego aktu. Ani przez chwilę jego ciało nie wątpiło, że to była Moira.

Znieruchomiała nagle, zaciskając się na nim konwulsyjnie.

- Tak - wymruczał jej do ucha, zatrzymując się w niej głęboko. Po chwili powoli się wycofał, po czym wszedł głęboko jeszcze raz, uwalniając się od bolesnego napięcia i pożądania. - Tak. To już koniec naszego tańca. - Westchnął z ulgą, wtulając twarz w jej włosy.

- Miałaś rację - powiedziała jakiś czas potem. - Nie wiedziałam, że to może dawać aż tyle rozkoszy.

- Zawsze do usług, madam - odparł, delikatnie całując czubek jej nosa.

- Rozkosz jest cudowna, nawet jeśli trwa tylko chwilę - zauważyła.

- Tak, jest cudowna. - Zastanawiał się nad tym, co przed chwilą powiedziała: „nawet jeśli trwa tylko chwilę”.

- Sen również, kiedy taniec dobiegnie końca. - Wstał, przykrył ją starannie, powoli podniósł rzuconą na podłogę koszulę, po czym spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Dobrej nocy, Moiro. Było cudownie.

- Dobrej nocy, Kennecie - odpowiedziała. Nie oddała mu uśmiechu. Zamknęła oczy, zanim odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Jutro porozmawiamy. Żadne z nich nie powiedziało tego głośno, a jednak te słowa dźwięczały im w uszach. Jutro porozmawiają.

* * *

Pomimo iż mieli za sobą wyczerpującą noc, wstali stosunkowo wcześnie, aby pożegnać wicehrabiego Rawleigh i jego żonę, którzy dziś wyruszali w podróż do Stratton. Kiedy wychodzili z domu, niebo było błękitne bez żadnej, najmniejszej nawet chmurki i dzień zapowiadał się upalnie. Zdecydowali więc, że przejdą pieszo.

- To sygnał - zauważył Kenneth - że najwyższy czas opuścić Londyn i poszukać przestrzeni i świeżego powietrza gdzieś na wsi lub nad morzem.

- Rzeczywiście - przyznała Moira.

Nie miała wątpliwości, że on równie dobrze jak ona zdawał sobie sprawę z tego, jak różna była minioną noc od wszystkich innych nocy, które spędzili razem. I, oczywiście, on równie dobrze jak ona zdawał sobie sprawę, że muszą podjąć decyzję najdalej w ciągu dwóch dni.

Pozostałą część drogi odbyli w milczeniu.

Wicehrabia Rawleigh i jego żona byli w znakomitych nastrojach. Wyraźnie cieszyli się, że wracają do swego domu w Stratton. Gascoigne zjawił się również, by pożegnać przyjaciół. Nie było tylko lorda Pelhama.

- On naprawdę miał zamiar przyjść, Rex - powiedział Gascoigne, śmiejąc się szeroko.
- Pewnie zasnął po... atrakcjach ostatniej nocy w Vauxhall.

- Obawiam się, że masz rację, Nat - zauważył sucho wicehrabia, podczas gdy Katherine, napotkawszy wzrok Moiry, wymownie spojrzała do góry i pokręciła głową.

Lord Pelham, pomyślała Moira, chyba świata nie widzi poza swoją nową kochanką.

- Dziękuję, że przyszedłeś pożegnać się z nami, moja droga - rzekł lord Rawleigh, ściskając dłonie Moiry. - Będziemy za wami tęsknili. Prosiłem Kena, by przywiózł cię do Stratton na parę tygodni, ale powiedział, że macie inne plany. Życzę wam więc dobrego wypoczynku. To była prawdziwa przyjemność poznać ciebie. - Podniósł jej dłonie do ust.

Katherine uściskała ją serdecznie.

- Wiesz, Moiro - powiedziała - mam wrażenie, jakbym znała cię całe życie, a nie zaledwie dwa tygodnie. Tak się cieszę, że będziemy się nadal przyjaźniły. Napiszę do ciebie... do Dunbarton? Czy ty i lord Haveford tam właśnie jedziecie?

Moira uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Musicie nas tam odwiedzić, prawda, Moiro? - rzekł Kenneth, żegnając się z Katherine.

- Oczywiście. - Ponownie się uśmiechnęła. - To jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie.

- Może w przyszłym roku - roześmiał się wicehrabia, patrząc z czułością na żonę. - Po szczęśliwym rozwiązaniu.

Katherine uśmiechnęła się również i jej twarz oblał rumieniec. Moira, patrząc na nich, poczuła ukłucie zazdrości.

Gascoigne podniósł dłoń Katherine do ust i ucałował ją.

- A pan? - zapytała. - Czy możemy spodziewać się pana w Stratton? Obydwoje byłibyśmy panu niezmiernie radzi. Mam nadzieję, że stan zdrowia pańskiego ojca na to pozwoli?

- Podejrzewam - odparł Gascoigne, uśmiechając się - iż niedyspozycja mojego ojca ma swoje źródło w tym, iż posiada pięć córek na wydaniu i do tego wyjątkowo nieznośną siostrzenicę.

- O Boże! - westchnęła Katherine.

- Pewnie wyobraża sobie, jak ustawiam w szeregu wspaniałych kandydatów na mężów dla moich sióstr, biorę kuzynkę na kolano i przetrzepuję jej skórę. Oczywiście, jego marzenia nigdy się nie ziszczą. Jednak, bez względu na wszystko, jadę - dodał z rezygnacją.

- Gdybym był na twoim miejscu, Nat - rzekł Kenneth - wolałbym wyemigrować do Ameryki choćby dziś. A jeszcze lepiej wczoraj.

- Nie ma czasem czegoś bardziej odległego? - zapytał Rex. Gascoigne uśmiechnął się niemal przepraszająco.

- Pojechałem do domu, jeśli pamiętacie, tuż przed Waterloo - powiedział. - Spędziłem tam pięć dni, po czym uciekłem w popłochu. Tyle kobiet i wszystkie znęcają się nad biednym ojcem, który najchętniej cały dzień przesiedziałyby w bibliotece. Jednakże teraz, kiedy doszedłem już do siebie po szoku, że te dziewczyny tak szybko dorosły, muszę przyznać, że bardzo je kocham i bardzo za nimi tęsknię.

- I nie możesz się pewnie doczekać, żeby zrobić porządek z tymi konkurentami - rzekł wicehrabia Rawleigh, klepiąc go po ramieniu. - Do dzieła więc, stary druhu. - Roześmiał się. - Musimy ruszać, najdroższa.

Pomógł Katherine wsiąść do powozu i po kilku minutach ruszyli, machając na pożegnanie przez otwarte okno powozu.

- To, z takim pośpiechem zawarte, małżeństwo wydaje się być zupełnie szczęśliwe.

Moira zeszywniała. Kenneth nie odezwał się ani słowem. Gascoigne odwrócił się do nich, czując, że strzelił gafę i uśmiechnął się przepraszająco.

- Właściwie to chciałem powiedzieć... - zaczął.

- Nie przejmuj się - odrzekł Kenneth. - Właściwie masz rację. Moira i ja mamy zamiar przejść się trochę po parku. Dołączysz do nas?

- Chciałbym ruszyć w drogę jeszcze dziś - odparł Gascoigne. - Wybaczycie mi więc? Lady Haveford - ujął dłoń Moiry. - To była ogromna przyjemność poznać panią. Wielki szczęściarz z tego Kena, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Wyciągnął rękę do przyjaciela, po czym obydwaj padli sobie w ramiona i uściskali się serdecznie. Po chwili Gascoigne ruszył w swoją stronę, zostawiając ich na chodniku przed domem wicehrabiego Rawleigh.

- Przejdziemy się po parku? - zapytał Kenneth.

Moira skinęła głową i wzięła go pod rękę, chociaż wyobrażała sobie raczej, że usiądą w salonie i tam podejmą decyzję w sprawie ich przyszłości. Czują, jak rośnie napięcie między nimi, a utrzymujące się od dłuższego czasu milczenie wcale w jego rozładowaniu nie pomagało. Wszystko więc wyjaśni się w parku, pomyślała. Musieli podjąć najtrudniejszą decyzję w życiu.

- Zaczekajmy, aż znajdziemy się w parku - powiedział cicho, jakby odgadując jej myśli. - Pójdziemy chyba w stronę stawu.

- Doskonale.

* * *

- A zatem, Moiro.

Milczeli od ponad piętnastu minut. Szli wolno pod drzewami nad brzegiem stawu. Przyglądali się grupie dzieci, które puszczały na wodę łódeczki. Opiekunka ostrzegała je, niezbyt zresztą skutecznie, żeby były ostrożne.

Kenneth słyszał, jak Moira oddycha głęboko.

- Trzy miesiące temu - rzekł - pobraliśmy się, ponieważ zmusiły nas do tego okoliczności. Rankiem następnego dnia i tydzień później powiedziałaś mi, że nie chcesz mnie więcej widzieć. Dwa tygodnie temu przyjechałaś do mnie, ponieważ cię wezwałem. Zgodziłaś się zostać, żeby skorzystać ze wszystkiego, co oferuje londyński sezon. Dobrze się bawiłaś?

- Tak - odpowiedziała.

- I żeby zdecydować, czy czujesz wciąż to samo co przed trzema miesiącami. Prawda?

Po długiej chwili milczenia Moira rzekła:

- Obydwoje mieliśmy zdecydować. Odnosiłeś się do naszego małżeństwa równie niechętnie jak ja i zostawiłeś mnie, a ja nie miałam nic przeciwko temu. Nie wiem, dlaczego zdecydowałaś, że powinniśmy tę decyzję ponownie przemyśleć, ale faktem jest, iż rzeczywiście musimy to zrobić obydwójce. Czy wciąż jesteś tego zdania?

Spodziewał się, że ta rozmowa nie będzie łatwa. Chociaż decyzja miała być wspólna, to jednak któreś z nich musi pierwsze powiedzieć, co czuje. Co stanie się, gdy ich decyzje nie będą zgodne?

Jeśli jednak czuła to samo, co wówczas w Dunbarton, to dlaczego nie powiedziała o tym wprost?

Zanim zdołał odpowiedzieć na jej pytanie, Moira zadała kolejne:

- Dlaczego płakałeś? Gdy mówiłeś panu Gascoigne, że poroniłam, dlaczego wtedy

płakałeś?

- Do diabła! On ci to powiedział?

- Nie, nie on - zaprzeczyła. - Powiedziała mi o tym Katherine.

- Wielki Boże!

- Dlaczego płakałeś? - zapytała ponownie.

- Straciłem dziecko - odparł. - Dziecko, o którego istnieniu dopiero co zdążyłem się dowiedzieć i którego przyjścia na świat dopiero uczyłem się oczekiwać. I nagle odeszło - w bólu i udęce. Straciłaś dziecko, moje dziecko. Zmarło tamtej nocy, a wraz z nim dwie inne istoty. Przez jakiś czas żałowałem, że nie zginąłem w bitwie. Nie chciałem dalej żyć. Kiedy rozmawiałem z Natem, prawdopodobnie czułem to samo. Myślałem o tym, ile bym dał, żeby tylko nie stało się to, co się stało. Myślałem, że to nie ta istota powinna była umrzeć tamtej nocy. Sam zresztą nie wiem, czy w tym, co mówię, jest jakiś sens.

- Dlaczego posłałeś po mnie? - zapytała.

- Może, aby się przekonać, czy jest jeszcze coś, dla czego warto jest żyć.

- I jak sądzisz, jest? - zapytała.

Czy jest? Każdy marzy... Nie, musi to powiedzieć głośno.

- Każdy marzy o doskonałości. O wiecznym szczęściu. O romantycznej miłości, która jest zdolna pokonać przestrzeń i czas i jest silniejsza niż śmierć. Bardzo trudno jest zaakceptować tak dalece odbiegającą od doskonałości rzeczywistość. Problem w tym, Moiro, czy my jesteśmy w stanie to zrobić? Zaakceptować mniej niż marzenie? Każde z nas musi sobie odpowiedzieć na to pytanie. Co o tym sądzisz, Moiro?

- Nie wiem - odparła. - Usiłowałam wyobrazić sobie życie bez ciebie. Usiłowałam wyobrazić sobie, jak wracam do Dunbarton sama, wiedząc, że już nigdy cię nie zobaczę.

- I?

- To obraz ciszy i spokoju.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo chciał, by zaprzeczyła wszystkiemu, co przed chwilą powiedział. Nagle poczuł lęk, że wszystkie jego nadzieje rozsypią się jak domek z kart. Nie mógł jej jednak o to winić. Decyzja miała być wspólna.

- To również obraz pustki - dodała.

Mały chłopczyk i jego ojciec usiłowali puścić latawca. Wiatr był za słaby, lecz mimo to ojciec chłopca uparcie ponawiał próby, pochylając się nad synkiem i układając jego rączki na przyczepionym do latawca sznurku. Kenneth poczuł, jak oblewa go fala zazdrości i tęsknoty.

- Moiro - zapytał - kiedy spodziewasz się okresu?

- Już - odpowiedziała. - Dziś, wczoraj, jutro. Wkrótce.
- Co będziesz czuła, gdy się okaże, że znów jesteś w ciąży?
- Strach. Ekscytację.
- Wiesz, że nie zgodzę się, by moje dziecko chowało się bez ojca?
- To dla mnie oczywiste.
- Czy chcesz mieć dziecko?
- Tak - odpowiedziała po dłuższej chwili milczenia.
- Ja również. Jeśli nawet nie teraz, to może za miesiąc lub dwa.
- Tak.

Czekał, aż podejmie ostateczną decyzję. On już dał do zrozumienia, czego pragnie.

- Kenecie - wyszeptała - jedź ze mną do domu.
- Na lato? - zapytał. - Na zawsze?
- Nie musimy podejmować decyzji teraz. Możemy przyjąć, że na lato lub do świąt Bożego Narodzenia lub... tak długo jak zechcesz. Zgadzasz się?
- Tak.

- Więc jedźmy. - Położyła drugą dłoń na jego ramieniu i przytuliła do niego głowę. - Zobaczysz fontannę, kwiaty i wszystkie zmiany, jakich dokonałam. Będziemy mogli biegać po plaży. Będziemy mogli...

- ...kochać się w chatce pustelnika - dokończył i uśmiechnął się. Była taka podekscytowana i taka promienna.

- Tak - powiedziała cicho.
- Spróbujemy więc przez lato. Jeśli się przekonamy, że nic z tego nie wychodzi, i jeśli nie będziesz w odmiennym stanie, zdecydujemy co dalej.
- Tak.

- Teraz nie będziemy już o tym myśleli.

- Jeszcze tak daleko do jesieni - rozmarzyła się. - Och, Kenecie, drzewa jesienią są zawsze takie piękne.

- Prawie już zapomniałem, jak wyglądają. Będę to musiał zobaczyć w tym roku.
 - Koniecznie. Kiedy więc wyjeżdżamy? Szczerze mówiąc, nie mogę się już doczekać.
 - Jutro? - zasugerował. - Będziesz gotowa?
 - Tak, jutro - rozpromieniła się. - Za tydzień o tej porze będziemy już w Dunbarton.
- Razem. Będą w domu razem - przez całe lato, a może nawet i jesień. Może aż do świąt Bożego Narodzenia. Może, jeśli będzie dziecko - na zawsze.

Marzenia bywają bolesne. Mimo to znowu marzył.

Po powrocie do Kornwalii życie wydawało się nieprawdopodobnie spokojne. W Dunbarton każde z nich oddawało się swoim obowiązkom, które zajmowały im większą część dnia. Odwiedzali i przyjmowali sąsiadów, często razem. Część nocy spędzali w łóżku Moiry, po czym Kenneth szedł do swojej sypialni. Po pewnym czasie wszystko wyglądało tak, jakby stanowili, jeśli nie szczęśliwą, to przynajmniej zadowoloną z życia parę.

Jednak wciąż jeszcze nie zapadła żadna decyzja i Moirze kolejne dni miały w niepewności. Zgodzili się przedłużyć okres próbny ich małżeństwa i to było wszystko. Oczywiście znowu spodziewała się dziecka. Po trzech tygodniach nie było już co do tego żadnych wątpliwości. Jednak ta ciąża mogła znowu zakończyć się tak jak poprzednia, chociaż teraz Moira czuła się znakomicie, dobrze jadła i świetnie spała. Zastanawiała się, czy jeśli i tym razem poroni, znowu powie mu, że nie chce go więcej widzieć? A on, czy posłuszny jej decyzji, znowu ją opuści?

Nie, Moira doskonale wiedziała, że nigdy mu już tego nie powie, chyba że on sam ją do tego sprowokuje. Czy, mimo wszystko, Kenneth nie odejdzie? Czy nie zdecydował się wrócić do Kornwalii tylko dlatego, iż jej odpowiedzi sugerowały mu, że jest w ciąży? Czasem podejrzewała, że były ku temu inne jeszcze powody. Bała się jednak zbyt mocno w to wierzyć. Nie chciała znowu cierpieć.

Jeśli donosi ciążę i jeśli dziecko przeżyje, Kenneth zostanie z nią na zawsze. Jednak ona nie chciała, żeby pozostał jedynie z powodu dziecka. Chciała, żeby pozostał dla niej.

Czasem gardziła sobą za to, że tak bezwarunkowo i bezkrytycznie go kochała. Czuła, że jest od niego uzależniona i walczyła z tym uzależnieniem - często w zupełnie irracjonalny sposób.

Pewnego popołudnia mieli wybrać się z wizytą do jej matki. Rozmawiali o tym podczas śniadania. Po tygodniu mgieł i mżawki wypogodziło się nagle, postanowili więc pieszo wybrać się do Penwith Manor. Wydawało się, że istnieje między nimi jakieś ciche porozumienie. Moira zastanawiała się, czy tak jej się tylko wydaje, czy naprawdę ich umysły łączy jakaś niewidzialna nić. Tym razem obydwójce pomyśleli o chatce pustelnika, znajdującej się w pobliżu wiodącej ku dolinie drogi. Obydwójce pragnęli zatrzymać się tam w drodze powrotnej z Penwith. Wspomnieli o tym, kiedy spacerowali niedawno w parku. Powiedział, że mogliby kochać się w opuszczonej chatce.

Nigdy nie kochali się w ciągu dnia. Jeśli nie liczyć pierwszego razu, zawsze kochali

się w łóżku Moiry. Było coś niezwykle ekscytującego już w samej tylko myśli, że mogliby kochać się w tej chatce, w świetle letniego dnia, przy otwartych drzwiach, przez które przenikałyby promienie słońca i lekki, ciepły wiatr. Mogliby patrzeć na płynącą w dole rzekę i szumiący wodospad.

Głębia uczuć, jakie do niego żywiła, przeraziła ją.

- Może masz po południu jakieś inne, ważniejsze zajęcia, Kenneth - powiedziała do niego podczas lunchu. - Jeśli tak, to nie ma potrzeby, żebyś szedł dziś ze mną do mamy.

- Naprawdę? - patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek. - Chcesz więc być z nią sam na sam, żeby poskarżyć się na mnie, kiedy nie będę w stanie się bronić? Podejrzewam, że twoje skargi trafią na bardzo podatny grunt.

Najeżyła się.

- Byłam przekonana - powiedziała - że Penwith to jedno z ostatnich miejsc, które miałbyś ochotę odwiedzić, i że moja matka to jedna z ostatnich osób, z którą miałbyś ochotę rozmawiać.

Ze zdumieniem zauważyła, do czego zmierza. Prowokowała go do kłótni. To było tak, jakby czuła się znacznie bezpieczniej, gdy się kłócili.

Uniósł brwi i Moira, widząc wyraz jego twarzy, wiedziała, że ryba chwyciła przynętę.

- Naprawdę? Czyżbyś uważała, że mamy identyczny stosunek do naszych teściowych, Moiro?

- Z tą tylko różnicą - zauważyła - że twoja matka była w stosunku do mnie nieuprzejma w obecności osób trzecich.

- Och, nie sądzę - odparł, wykonując niecierpliwy ruch dłonią. - Moja matka lubi po prostu rządzić. Ma swój pogląd na to, jaka powinna być hrabina. Ona chce cię jedynie wziąć pod swoje skrzydła. Ma nadzieję - zupełnie złudną - że zrobi z ciebie taką hrabinę, jaką ona zawsze była. Z pewnością nie chciała być nieuprzejma.

- Pozwolisz, że każde z nas pozostanie przy swoim zdaniu - odparła. - Wyjaśnijmy jeszcze jedno: chciałeś powiedzieć, że to złudna nadzieja, ponieważ nie potrafię być prawdziwą hrabiną?

- Prawdziwa hrabina - zauważył - nie kłóci się ze swoim mężem o każde słowo, nadając mu takie znaczenie, jakiego on nigdy nie miał na myśli jedynie dlatego, że czerpie perwersyjną radość z doprowadzania go do szału.

- Ja doprowadzam cię do szału? - zawołała. - Proponując, iż sama pójde do Penwith, chciałam uwolnić cię od nudnego obowiązku.

- Możesz to oczywiście zrobić, madam - dodał. - Tak, jak sugerowałaś, mam

ważniejsze rzeczy na głowie, niż siedzenie z matką i córką, które zdecydowanie wolą być same. Polecę przygotować powóz.

- Pójdę pieszo - zaprotestowała.

- Zrobisz, jak zechcesz - odparł. - Weź ze sobą pokojówkę. Wcale się jej to nie uśmiechało, ale zdawała sobie sprawę, iż nie może naciskać na niego zbyt mocno. Z drugiej jednak strony ciężko było pogodzić się z myślą, że podczas spaceru do Penwith i w drodze powrotnej do Dunbarton będzie musiała znosić przy sobie cerbera w postaci służącej. Po chwili zupełnie przewrotnie pomyślała, że smutno jej będzie samej. Dlaczego to zrobiła? Tak bardzo cieszyła się na to popołudnie, a teraz wszystko zepsuła.

- Co będziesz robił? - zapytała.

W jego oczach nie było już tej miękkości i rozmarzenia, jakie widziała przed chwilą.

- Coś bardziej dla mnie stosownego, niż to, co uprzednio zaplanowałem. Możesz być tego pewna, madam - odparł.

Nie cierpiała, kiedy zwracał się do niej „madam”. Teraz, kiedy była jego żoną, kiedy kochali się każdej nocy i kiedy spodziewała się jego dziecka, wydawało się jej to dosyć dziwaczne. Nie przyznała się jednak do tego, ponieważ podejrzewała, że wówczas nigdy by już inaczej się do niej nie zwrócił.

- Cieszę się więc, że moja przezorność kazała mi to zasugerować - odparła, uśmiechając się promiennie. Zachowywała się jak dziecko. Najpierw specjalnie go zirytowała, a teraz czuje się obrażona. Sama zepsuła sobie popołudnie, a teraz, użalając się nad sobą, chce całą winę zrzucić na niego.

A wszystko to na nic, pomyślała ze smutkiem. Nie ma sposobu, żeby obronić się przed miłością.

* * *

Szedł szybko zboczem doliny, aż dotarłszy do brzegu morza, zatrzymał się na chwilę, po czym wolno ruszył wzdłuż stromego urwiska. Nie patrzył w dół na połyskującą w promieniach słońca morską toń. Jego wzrok błędził po nagich szczytach skał z rzadka tylko porośniętych kępami ostrej, pozółkłej trawy. Był rozdrażniony, chociaż nie bardzo wiedział dlaczego. Tylko Nelson, nie ulegając złemu humorowi swego pana, szalał jak zwykle. To biegł do przodu, to znowu, zatoczywszy koło, wracał, aby po chwili odpoczynku, znowu popędzić przed siebie.

Kenneth bardzo przywykł do domowego życia. Był szczęśliwy, że wrócił, że znowu miał zajęcie i że znowu mógł czuć się użyteczny. Był szczęśliwy, że jego żona tak

kompetentnie i z tak ogromnym zapałem wywiązywała się ze swoich obowiązków. Z przyjemnością uczestniczył w spotkaniach towarzyskich i z prawdziwą ulgą myślał o tym, że nie wisi już nad nim konieczność podjęcia decyzji i że zostaje w Dunbarton. Każdej nocy odwiedzał sypialnię żony, było więc oczywiste, że Moira musi być w ciąży.

Wprawdzie ich najbardziej intymny kontakt realizował się w łóżku i miał zdecydowanie seksualny charakter, to jednak czuł, jak jednocześnie powstaje między nimi coraz silniejsza więź, rodzaj harmonii, tak niezbędnej w małżeństwie. Kenneth zakładał, iż powody, które sprawiały, że nie mogli dojść do porozumienia, przestały istnieć. Spodziewał się więc, że nigdy już nie dojdzie między nimi do konfliktu.

To było naiwne oczekiwanie i naiwna nadzieja. Jak można oczekiwać spokoju i rozsądku po Moirze? Podczas lunchu sprowokowała kłótnię, a on, jak marionetka, dał się w to wciągnąć. Nikt nigdy nie potrafił nim manipulować. Już jako mały chłopiec znany był z niezwykłego uporu, a potem, jako dorosły mężczyzna, z żelaznej woli. Do furii doprowadzał go fakt, że kobieta potrafiła z nim zrobić to, co dotychczas nie udało się żadnemu mężczyźnie, i że przychodziło jej to z taką łatwością.

Czasem jej nienawidził. Tego popołudnia tak właśnie było.

Dwie panny Grimshaw szły w jego kierunku w towarzystwie dwóch braci Meeson. Musiał krzyknąć na Nelsona, gdy jedna z panien Grimshaw wpadła na jego widok w histerię, najwyraźniej wykorzystując sytuację, żeby jeszcze bardziej przytulić się do swojego partnera.

Kenneth zatrzymał się i przez parę minut rozmawiał z młodymi ludźmi o pogodzie, zdrowiu lady Haveford i rodziców panien Grimshaw i braci Meeson. Po chwili ruszył w swoją stronę, jednak jego irytacja wcale nie minęła. Zauważył, że cała czwórka czuła przed nim ogromny respekt, właściwie bała się go. Pomyślał, że większość ludzi tak na niego reaguje i jego twarz zasepiła się jeszcze bardziej. To nie jego tytuł, majątek czy bogactwo były tego powodem. Musiało być coś w jego zachowaniu, w jego sposobie bycia, coś, co jeszcze bardziej pogłębiło się, kiedy służył w kawalerii jako oficer. Pamiętał, jaką przyjemność sprawiało mu, gdy widział, jak zaprawieni w boju żołnierze drżeli na sam jego widok. Teraz jednak taka sama reakcja jego sąsiadów wprawiała go w zakłopotanie.

Moira należała do tych nielicznych osób, które nie czuły przed nim lęku. Zmarszczył brwi. Być może powinien się postarać, by czuła go chociaż trochę. Ta idiotyczna myśl sprawiła, że zasepił się jeszcze bardziej. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby to osiągnąć. Poza tym nie potrafiłby żyć z potulną Moirą.

Nagle zachichotał i dobry humor znowu mu wrócił. Potulna Moira to tak, jakby góra miała być płaska, lodowiec gorący, ocean suchy, a świnia umiała pływać.

Kiedy wrócił do domu, w holu spotkał pokojówkę Moiry. Było wiele powodów, dla których nie powinno jej tu być. Podejrzał, że to obecność przystojnego lokaja, który pełnił służbę przy wejściu, przyciągnęła ją tutaj. Spojrzał spod oka na dygającą przed nim splonioną dziewczynę.

- Czy jej lordowska mość już wróciła? - zapytał, chociaż doskonale wiedział, że tak nie jest.

- Och nie, milordzie - odpowiedziała pokojówka. - Jej lordowska mość poszła do Penwith.

- Ach tak. Powiedz mi, proszę, kogo wzięła ze sobą?

- Jej lordowska mość poszła sama, milordzie.

Domyślił się tego, kiedy tylko ujrzał dziewczynę w holu. Czyż nie polecił Moirze, zęby zabrała ją ze sobą? Czy jednak naprawdę sądził, że ona go posłucha? Zawsze lubiła samotne przechadzki, teraz jednak była jego żoną i, dla własnego dobra, nie powinna mu się sprzeciwiać.

- Dziękuję ci - powiedział sucho i wyszedł z domu. Zaszedł do stajni po Nelsona, który przywitał go tak, jakby się nie widzieli co najmniej od miesiąca.

* * *

Moira wracała do domu drogą przez dolinę. Pomimo że dzień był słoneczny i ciepły, pomimo cieszącej oko zieleni drzew, bujnych traw i paproci i lazuru nieba przeglądającego się w lustrze rzeki, pomimo bardzo sympatycznego spotkania z matką, nie mogła opanować wciąż rosnącego przygnębienia. Ten wieczór nie zapowiadał się zbyt sympatycznie. Zastanawiała się, czy powinna przeprosić Kennetha. To byłoby jednak przeciwne jej naturze. Poza tym zachował się wyjątkowo paskudnie, twierdząc, że jej skargi na niego trafią u jej matki na podatny grunt. Tak jakby kiedykolwiek skarżyła się na niego matce. Nigdy by tego nie zrobiła, była na to zbyt dumna.

Nagle zatrzymała się, ale widoczne na jej twarzy przerażenie szybko zniknęło i na jego miejscu pojawił się szeroki uśmiech. Otworzyła ramiona, jakby chciała w ten sposób zachęcić pędzące zwierzę do jeszcze szybszego biegu. Po chwili, gdy Nelson, witając się z nią, niemal ją przewrócił, zaniósła się śmiechem, usiłując jednocześnie odwrócić od niego twarz.

- Nelson - powiedziała - nie masz zbyt miłego oddechu, wiesz?

Zły nastrój szybko minął i serce ponownie przepełniła radość. Obecność Nelsona wskazywała, że gdzieś w pobliżu musiał być również i Kenneth. A więc wyszedł jej na

spotkanie. Rozejrzała się dookoła. Był niedaleko. Stał na moście, w tym samym miejscu, w którym ujrzała go tamtego styczniowego popołudnia, gdy zapytał ją, czy jest w odmiennym stanie, a ona zaprzeczyła. Wydawało jej się, że od tamtego dnia upłynęły wieki. Pospiesznie ruszyła w stronę mostu. Prawie biegła, żeby jak najszybciej znaleźć się przy mężu.

Zimne, szare oczy obserwowały ją w milczeniu.

- Czyżbyś tak bardzo się spieszyła, że twoja służąca nie była w stanie za tobą nadążyć? Może zaczekamy tu na nią?

Nie miała wątpliwości, że Kenneth przyszedł tu nie po to, żeby się z nią spotkać, ale żeby ją skarcić. Był wściekły. Gdyby tylko chciała, mogła wywołać niezłą awanturę. Gdyby tylko chciała...

Na jej twarzy wciąż malował się rozbrajający uśmiech.

- Nie gniewaj się - powiedziała cicho. - Bardzo, bardzo przepraszam. To się już nigdy nie powtórzy.

Jego nozdrza drżały, a oczy stały się jeszcze bardziej zimne.

- Postanowiłaś zdrwić ze mnie? - rzekł tak spokojnie, że w głowie Moiry odezwały się nagle dzwonki alarmowe.

Spojrzała na niego spod oka, oceniając zagrożenie. Jej uśmiech jeszcze bardziej złagodniał. Podeszła do niego bliżej i wyciągnawszy rękę, dotknęła palcami kłapy jego płaszcza.

- Nie gniewaj się - powtórzyła. - Nie gniewaj! Nie miał zamiaru tak łatwo się poddać.

- Czy możesz mi podać choć jeden sensowny powód, dla którego nie powinienem? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Niestety, żadnego. Mimo to, mój mężu, nie gniewaj się.

Zaskoczyła go. Siebie zresztą również. Nigdy dotąd nie rezygnowała z okazji do kłótni. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna. Nie potrafiła już nie usłuchać swego serca.

- Jeśli wydaję jakieś polecenie, to nie po to, żeby pokazać, kto tu rządzi, Moiro - rzekł.

- Mam obowiązek dbać o twoje bezpieczeństwo.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Jesteś w dosyć osobliwym nastroju - zauważył, marszcząc brwi. - Kiedy podczas bitwy nagle milkła artyleria, skóra cierpła nam ze strachu, ponieważ wiedzieliśmy, że za chwilę nastąpi atak.

- Twoja skóra też teraz cierpnie ze strachu? - zapytała.

Patrzył na nią w milczeniu, tylko zmarszczki na jego czole pogłębiły się jeszcze

bardziej.

Nagle pomyślała o czymś i roześmiała się szeroko.

- Och, Kennecie - zawołała. - Muszę ci o tym opowiedzieć. To takie zabawne. -
Znowu się roześmiała.

Jedną jego ręką wciąż spoczywała na balustradzie mostu, ale druga wolno przesunęła się w kierunku zaciśniętej na wyłogu płaszczka dłoni i nakryła ją.

- Mama dostała list od sir Edwina - ciągnęła Moira. - Och, Kenneth, okazuje się, że kiedy sir Edwin był w Londynie, poznał - jak sam mówi - dziedziczkę wielkiej fortuny i szlachetnego rodu, która poszukuje mądrego i doświadczonego dżentelmena, człowieka skromnego, o solidnych zasadach moralnych. Poszukuje jako kandydata na męża. Ma zamiar wyjść za mąż, jak tylko skończy się roczny okres jej żałoby po zmarłym niedawno ojcu. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym mniej więcej czasie kończy się okres żałoby sir Edwina. Wszystko wskazuje na to, nie uwierzysz, Kennecie, że sir Edwin uważa siebie za takiego właśnie dżentelmena i, jak się zdaje, udało mu się przekonać o tym tę szlachetnie urodzoną dziedziczkę przez wyjaśnienie jej, że hrabia Haveford, pan Dunbarton, jednej z najwspanialszych rezydencji w Kornwalii, jest jego krewnym po kądzieli i jednocześnie drogim przyjacielem, i że jego matka wywodzi się z Grafionów z Hugglesbury - w takiej właśnie kolejności! Czy nie czujesz się ogromnie zaszczycony?

- Ogromnie - przyznał. - Pewnie w przypiływie rozpaczy, rzuciłbym się z mostu do wody, gdyby tej kolejności nie zmienił.

- Efekt jest taki - ciągnęła Moira - że w najbliższej przyszłości sir Edwin nie przeniesie się do Penwith. Napisał, że będzie zaszczycony, jeśli mama wciąż będzie tam mieszkała jako - och. posłuchaj tylko - jako wdowa po nieodżałowanym sir Basilu Hayesie i jako teściowa hrabiego Haveforda, pana... Czy muszę to powiedzieć do końca?

- Czyżby więc nie miał być naszym sąsiadem? - zapytał Kenneth i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jak ty to przeżyjesz?

- To nie będzie wcale łatwe - odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. - Życie to ciągle rozczarowania, z którymi musimy dawać sobie radę. Zrobię, co będę mógł.

- Czyżbym wyciągnęła cię z chandry?

- Wcale nie miałem chandry, Moiro - zaprotestował. - Skąd ci to przyszło do głowy! Miałem powód, żeby się rozzłościć, ale dzięki temu, co zrobiłaś, już nie jestem zły. Sprytnie to wymyśliłaś.

Uśmiechnęła się.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - zapytała.

- Żeby dać ci reprimendę i pokazać, jak bardzo jestem niezadowolony.

Pokręciła głową.

- Nie - powiedziała cicho. - Dlaczego przyszedłeś? - W Vauxhall w Londynie odkryła, że posiada pewną umiejętność, z której dotychczas nie zdawała sobie sprawy. Była to umiejętność prowadzenia flirtu, i to w sposób zdecydowanie perwersyjny. Odkryła również, że flirtowanie może być niezwykle ekscytujące, jeśli widzi się, jaki przynosi efekt. Podeszła jeszcze bliżej i położyła drugą rękę na drugiej klapie jego płaszcza, po czym spojrzała mu prosto w oczy i wyszeptała:

- Powiedz mi, dlaczego przyszedłeś.

- Kokietka! - rzekł. - Czyżbyś sądziła, że nie wiem, do czego zmierzasz? Nie będzie więc reprimendy. Jesteś zadowolona? Cały mój gniew ulotnił się gdzieś bez śladu. - Wciągnął gwałtownie powietrze. - Lepiej, madam, nie zaczynaj czegoś, czego nie jesteś w stanie skończyć.

Odnalazła na jego szyi miejsce niezakryte fularzem i musnęła je ustami. Nigdy nie przypuszczała, że może być aż tak bezwstydną - pod gołym niebem, w biały dzień, kiedy to nie on pierwszy podjął inicjatywę.

- Zawsze jestem w stanie skończyć wszystko, co zaczęłam - odrzekła, całując czułe miejsce pomiędzy jego brodą a płatkiem ucha. - I pracować sumiennie na każdym etapie zadania, którego wykonania się podjęłam. Moja zasada: wszystko, co robisz, rób dobrze. Nie uważasz, że jest wspaniała?

- Moiro - zapytał matowym głosem - czy ty mnie uwodzisz?

- Czyżbym robiła to tak nieudolnie, że musisz pytać? - odrzekła. Dotknęła koniuszkiem języka jego ucha, sprawiając, że zadrżał.

- Kokietka! - powtórzył. - Nie przypuszczam, żebyś chciała robić to, co jest tego flirtu naturalnym następstwem, na środku mostu? Czy mogę wobec tego zaproponować chatkę pustelnika?

- Możesz. - Podniosła głowę i ponownie się uśmiechnęła. - To dlatego tu przyszedłeś?

- To ty zaczęłaś - powiedział.

- Nie. - Pokręciła głową. - Gdybyś nie stał tu, na tym moście, nie miałabym czego zaczynać, nie uważasz? Powiedz, dlaczego tu przyszedłeś?

- Nie żeby się z tobą kłócić, ale żeby się z tobą kochać - przyznał w końcu. - Postawiłaś na swoim.

- Taki miałam zamiar. Zawsze tak będzie. Do końca życia. - To chyba nazywa się -

spalić za sobą mosty. Otwierała się na odrzucenie i na ból. Nie dbała o to. Poza tym, czy mogła się przed tym obronić?

- Chcesz więc wziąć sprawy w swoje ręce - stwierdził. - Jednak nie tym razem, moja droga. Tym razem zrobimy to wspólnie.

Objęci w pół szli wąską dróżką, pnącą się w górę w cieniu drzew. Tuż przed szczytem wzgórza skręcili w stronę chatki pustelnika. Przed drzwiami zatrzymali się na chwilę. Przyciągnął ją do siebie i pocałował z długo tłumionym żarem i namiętnością. Pomyślała, że po raz pierwszy od dziewięciu lat całował ją nie w jej sypialni, jeśli nie liczyć pocałunku na balu pod jemiołą i bardzo symbolicznego w dniu ślubu. Czuła na twarzy ciepło słonecznych promieni.

- Tak - przyznał, unosząc głowę i patrząc jej w oczy. - Dlatego przyszedłem, Moiro. Kochać się z tobą tu, gdzie robiliśmy to po raz pierwszy.

- Tak. - Wyraz jej oczu i ton głosu miały przekonać go o tym, że ona także tego pragnie.

- A później - dodał, sięgając ręką do tyłu w kierunku uchwyty do drzwi - porozmawiamy, Moiro. O wszystkim. Porozmawiamy.

- Tak - wyszeptała, kiedy otwierał drzwi i wprowadzał ją do środka.

Kochali się w promieniach słońca, które wpadały przez otwarte drzwi chatki. Był w tym pewien dreszczyk emocji, że może ich odkryć jakiś przypadkowy wędrowiec. Nelson siedział w wejściu i obserwował dolinę. Z pewnością zdąży ich ostrzec. Poza tym prawie nikt nie zapuszcza się w te strony, zapewniał Kenneth. Po chwili położył się na plecach na wąskiej koi i podciągnąwszy suknię Moiry, posadził ją na sobie.

- Chodź - rzekł, chwytając ją za ramiona i przyciągając do siebie. Palce jego dłoni wplotły się w jej włosy, które, po uwolnieniu od spinek, ciemną kaskadą spłynęły na jej ramiona i twarz. - Och, moja piękna, kochaj mnie...

Ta pozycja nie była dla niej nowa. Lubiła ją, tak jak wszystkie inne, których ją nauczył. Lubiła swobodę poruszania się i dostosowywania do jego szybkości i rytmu. Lubiła wyobrażać sobie, że ma nad nim władzę. Oczywiście, dawno już przekonała się, że to jedynie iluzja. Wiedziała, że prawdziwa satysfakcja w seksie to wzajemne branie i dawanie.

Poruszała się więc powoli, a on poruszał się wraz z nią. Jego kciuki podtrzymywały jej suknię, podczas gdy pozostałe palce z cudowną zręcznością pieściły brodawki jej piersi.

Miłosny akt jest czymś niepowtarzalnym, chociaż pewne jego symptomy zawsze są takie same. Moira wiedziała, że podniecenie będzie rosło, aż osiągnie punkt kulminacyjny, który jest połączeniem przyjemności i bólu i po przekroczeniu którego istnieje już tylko niewysłowiona rozkosz. Nauczyła się wyczuwać, kiedy ten moment się zbliża. Wiedziała więc, że wkrótce napięcie dojdzie do zenitu, aby w ułamku sekundy rozładować się w cudownym spełnieniu. Jednak jeszcze nie teraz. On wiedział o tym również, chociaż Moira zdawała sobie sprawę, że on dochodzi do spełnienia nieco inaczej niż ona. Potrafił jednak odczytać sygnały wysyłane przez jej ciało i podążać za nimi, dając niewysłowioną rozkosz.

Tuż przed punktem kulminacyjnym ujął w dłonie jej twarz i patrząc w oczy, powiedział:

- Kocham cię. Kocham aż do bólu.

- Ja także cię kocham. Zawsze kochałam - wyszeptała.

Nie miał zamiaru przerywać aktu, a jedynie zrobić coś, co go tylko przyspieszy. Chwycił ją mocno za biodra, zatrzymał jej ruch i wszedł w nią głęboko. Wznoszenie się, zdobycie szczytu i opadanie, wszystko wydarzyło się jednocześnie w jednej wstrząsającej, cudownej eksplozji światła i ciepła, odprężenia i miłości. Słyszała swój krzyk zmieszany z jego krzykiem. Czuła gorący strumień gdzieś w głębi swego ciała. Jak przez mgłę słyszała tuż

obok łóżka niespokojne szczekanie Nelsona, zanim ponownie wrócił na swój posterunek przy drzwiach.

W jakiś czas potem odwróciła głowę, żeby wygodniej wtulić się w zagłębienie jego ramienia. Uwielbiała chwile, kiedy wciąż jeszcze byli ze sobą. Uwielbiała to wrażenie zjednoczenia.

Nie zasnęła. Uczucie spełnienia było zbyt cudowne, żeby go nie przeżywać na jawie. Kenneth zapadł w krótką drzemkę. Moira upajała się cudownym ciepłem jego ciała, jego spokojnym, równym oddechem. To, co przed chwilą od niego usłyszała, nie wiązało się bezpośrednio z seksem. Nie powiedział tego, ponieważ satysfakcjonujący go akt dobiegał końca. Często mówił do niej, kiedy się z nią kochał. Czasem było to jakieś pytanie bądź życzenie, czasem aprobata dla tego, co robiła, a czasem tylko jakieś erotyczne określenia. Nigdy jednak nie mówił o miłości. Aż do dzisiejszego popołudnia. Wiedziała, że zrobił to świadomie. Wybrał ostatni moment, by to, co ich połączy po tych słowach, było nie tylko seksem, ale miłością. Seks i miłość połączone w perfekcyjnym związku małżeńskim.

Była szczęśliwa, że powtórzyła za nim te słowa. Kiedyś nie mogła się przemóc, by je wypowiedzieć. Nie chciała obnażać swej duszy. Wciąż się tego bała, jednak przekonała się, że nie może pozwolić, by strach kierował jej życiem. Ktoś powiedział jej to niedawno. Nie pamiętała kto.

- Spałaś? - Musnął ustami jej czoło.

- Nie.

Przez jakiś czas panowała cisza. Jego palce delikatnie gładziły jej włosy.

- Mam nadzieję, że tym razem czujesz się dobrze? - zapytał w końcu.

- O, tak - zapewniła. - Czuję się doskonale. Zupełnie inaczej niż poprzednio. - Po raz pierwszy obydwójce odnieśli się do jej odmiennego stanu.

- Boisz się? - Jego usta znowu muskały jej czoło.

- Tak - przyznała.

- Bardzo bym chciał cię pocieszyć - rzekł. - Zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Niestety, nie potrafię. Sam przeraźliwie się boję.

- Nie mam zamiaru ulec strachowi - odparła. - Mam zamiar żyć pełnią życia. Jeśli będę miała dziecko, będę się uważała za najszczęśliwszą kobietę na ziemi. Jeśli będę miała kilkoro dzieci, będę się zastanawiała, czym sobie zasłużyłam na takie szczęście. Jeśli nie będę miała żadnego, będę pamiętała wszystkie inne dobrodziejstwa, którymi obdarzyło mnie życie. W żadnym wypadku nie ulegnę strachowi.

Zaśmiał się cicho.

- To brzmi bardzo znajomo. Takie mniej więcej było motto Reksa, Nata, Edena i moje. Cieszyliśmy się sławą szaleńców i ludzi nieobliczalnych. Ktoś nazwał nas Czterema Jeźdźcami Apokalipsy. Byliśmy zuchwali nie z powodu szaleństwa czy nadzwyczajnej odwagi. Byliśmy zuchwali, ponieważ nie chcieliśmy pozwolić, aby zapanował nad nami strach. Często wypowiadaliśmy te słowa chórem.

- A więc nie będziemy wpadać w panikę tylko z tego powodu, że jestem w ciąży?

- Nie - westchnął. - Smuci mnie tylko, że nie będę mógł kochać się z tobą tak, jakbym chciał. Ze względu na dziecko, które w sobie nosisz, pozostaje mi tylko czekać i obserwować, jak ty to robisz. Upokarzasz mnie, Moiro. Sprawiasz, że czuję się przy tobie bezsilny. To cię pewnie cieszy.

Uśmiechnęła się. Wcale nie chciała nad nim panować, tak jak nie chciała, aby on panował nad nią.

- Niemniej jednak potrzebuję cię - odparła po chwili milczenia. - Tam, gdzie jest ból, a tym bardziej smutek, tam zazwyczaj jest również przeraźliwa samotność. Jeśli jednak znajdzie się ktoś... Kenecie, gdy straciłam nasze dziecko, zostałeś przy mnie, chociaż doktor Ryder kazał ci wyjść. Byłeś śmiertelnie blady i miałeś w oczach łzy. Błagałeś mnie, żebym nie umierała i nie zostawiała cię samego. Nazywałeś mnie swoją miłością. To nie działo się jedynie w mojej wyobraźni, prawda?

- Nie - powiedział cicho. - Oddałbym za ciebie życie.

Z trudem przełknęła ślinę. A więc to była prawda, a ona nazajutrz rano powiedziała mu, że nie chce go więcej widzieć. Wydawał się jej wtedy taki chłodny, a był po prostu nieszczęśliwy, niepewny i udręczony. Czyż nie mogła mieć go wtedy przy sobie, aby dodawał jej otuchy podczas tego straszego tygodnia i następnych, które przyszły po jego wyjeździe? Czemu tak trudno było im się wtedy porozumieć?

Podniosła się, nie patrząc mu w twarz. Nigdy nie lubiła tej chwili, kiedy ich ciała rozłączały się. Zapięła stanik, obciągnęła spódnicę, włożyła pantofle, odgarnęła do tyłu włosy i wyszła z chatki. Skierowała twarz ku słońcu i przymknąwszy oczy, rozkoszowała się ciepłem jego promieni. Po chwili zeszła z prowadzącej do chaty dróżki, usiadła na porośniętym trawą stoku i w zadumie spojrzała w dół, ku dolinie. Nelson, sapiąc z satysfakcją, rozłożył się obok niej, opierając łeb na wyciągniętych przed siebie łapach.

Życie dało jej kolejną lekcję, pomyślała. Musiała się nauczyć być zależną. Małżeństwo to wzajemna zależność, a nie podwójna niezależność. Musiała zaakceptować jego miłość, jego troskę, jego potrzebę chronienia jej - nawet jeśli oznaczało to obowiązek zabierania ze sobą służącej, gdy wychodziła z domu bez niego. Musiała się nauczyć rozumieć

jego lęki i chwilowe poczucie bezradności... i patrzeć na jego łzy. Musiała nauczyć się akceptować jego miłość. Miłość nie jest jedynie czymś, co się otrzymuje. Miłość się również daje, nawet kosztem utraty części niezależności.

Kochała go jednak. A on kochał ją. Oh, jak bardzo go kochała. W milczeniu oparła czoło na kolanach.

* * *

Zastanawiał się, czy powiedział lub zrobił coś, czym mógł ją obrazić. Wszedł na zewnątrz i rozejrzał się dookoła. Siedziała na trawie w pobliżu chaty i kiedy usiadł obok niej, podniosła głowę i uśmiechnęła się. To był ciepły, łagodny uśmiech. Położył dłoń na jej karku, czując pod palcami miękkiej jedwab jej włosów.

- Decyzja podjęta, Moiro? - zapytał. Nie czekał już z obawą na odpowiedź, nie miał też żadnych wątpliwości, co do swojej. - Zostaniemy razem bez względu na wszystko? Ponieważ tego chcemy? Ponieważ się kochamy?

- I ponieważ jesteśmy małżeństwem - dodała. - Ponieważ małżeństwo jest dla nas nowym wyzwaniem. Nie spodziewam się, że istnieje coś takiego jak wieczne szczęście. Ty chyba również?

- Na szczęście nie istnieje - odparł. - Wyobrażasz sobie, jakie by to było nudne, Moiro? Żadnych kłótni. Nie wierzę, że którekolwiek z nas mogłoby to wytrzymać.

Roześmiała się.

- Rzeczywiście - przyznała. - To brzmi okropnie. Tak, milordzie, i nie, milordzie czy też tak, madam, i nie, madam.

Zachichotał wraz z nią.

- Zostaniemy więc razem i zmierzmy się z tym nowym wyzwaniem - rzekł. - Tylko obiecaj mi, że już nigdy nie będziesz próbowała mnie zabić.

- Głuptasie - powiedziała. - Musiałeś chyba wiedzieć, że pistolet nie był naładowany. Dobrze wiesz, że nie znam się na broni. Nawet nie wiem, jak się ją ładuje. To zabawne, ale nie jestem nawet pewna, czy prawidłowo go trzymałam.

- Myślałem raczej o tych czterech rzezimieszkach, których przysłałaś do mnie trzy dni później - odparł. - Pobili mnie tak, iż niewiele brakowało, a spotkanie z nimi przypłaciłbym życiem. Szczęście, że nasz rządcą zjawił się w samą porę. Mniejsza o to. Prawdopodobnie miałaś ku temu jakieś swoje powody. Poza tym od tamtego zdarzenia minęło już tyle lat.

- Kennecie! - Odwróciła głowę, chcąc spojrzeć mu prosto w oczy. - Jakie rzezimieszki? Jakie pobicie? O czym ty mówisz?

- Jeden z nich, którego udało się mi ogłuszyć - ciągnął - przyznał się do tego, kiedy otrzeźwiliśmy go za pomocą wiadra wody. Powiedział, że to ty ich nasłataś za to, co zrobiłem Seanowi.

- Skąd przyszło ci do głowy, że miałam nad nimi taką władzę? - zapytała ze zdumieniem.

- To byli ludzie twojego brata - rzekł. - Twoi ludzie.

- Seana? Moi? - Zmarszczyła brwi. - Ja nie miałam z tym nic wspólnego. Nawet nie wiem, kim byli - odparła. - Wątpię, czy nawet Sean wiedział. Wszyscy byli albo zamaskowani, albo mieli uczernione twarze. Sean poszedł z nimi wtedy dla przygody. Lubił, jak się coś działo. Dowiedziałam się o tym od jednego ze służących i pobiegłam za nim, by go powstrzymać, zanim zostanie złapany. Wzięłam ze sobą ten nieszczęsny pistolet. Kennecie, ja nie miałam z tymi ludźmi nic wspólnego, a Sean bardzo niewiele. To był jego pierwszy raz i skończył się dla niego katastrofą, ponieważ nie zczekałeś, żeby porozmawiać z nami następnego dnia, gdy zdążyliśmy już ochłonąć i mogliśmy spokojnie sobie wszystko wyjaśnić.

- Oni mi powiedzieli, że byłaś członkiem gangu. Sean również mi to mówił.

- Nie wierzę ci - zawołała, po czym uniosła do góry rękę, jakby chciała to cofnąć. - Nie, to nie tak. Oczywiście, że ci wierzę. Musiałeś go jednak źle zrozumieć. On nie mógł tego powiedzieć, bo to nie była prawda.

Nagle wszystko stało się przerażająco jasne. W milczeniu podniósł się i odwrócony do niej tyłem patrzył w dół, na wodospad.

- To była zemsta - powiedział cicho. - Na Boga! To była zemsta. Powiedziałem o wszystkim ojcu i zniszczyłem jego plany ucieczki z Helen i zdobycia jej majątku. A on zniszczył coś, co było w moim życiu najcudowniejsze. Zniszczył moją miłość do ciebie. - Wciągnął głęboko powietrze. - Musiał ich namówić, by powiedzieli, że to ty ich na mnie nasłataś.

- Nie, Kennecie - powtarzała z uporem. - To był ktoś inny, ktoś, kto nienawidził nas wszystkich. To nie mógł być Sean. Był szalony i lekkomyślny, to prawda, ale nie był zły. On mnie kochał. Był twoim przyjacielem. Kochał Helen.

Odwrócił głowę i patrzył na nią w milczeniu. Na Boga, ona naprawdę w to wierzyła. Może lepiej było nie rozdrapywać starych ran. Jakoś się przecież z tym uporali. Znowu się kochają. Tak bardzo pragnął, aby zachowała o bracie dobre wspomnienie. Lecz było już za późno. Teraz już musi powiedzieć jej prawdę.

- Moiro - zaczął cicho. - Sean był przywódcą gangu przemytników. Zebrał

największych w tej części Kornwalii rzezimieszków i zorganizował z nich groźną, często uciekającą się do zabójstw bandę. Powinienem powiedzieć ci to dużo wcześniej. Powstrzymywała mnie przed tym pamięć o przyjaźni... i lęk, że cię stracę. - Roześmiał się gorzko. - On nie kochał Helen. Chciał tylko jej pieniędzy. W tej części Anglii jest wiele dzieci Seana. Nie wszystkie ich matki oddały mu się dobrowolnie. Wiem, że twój ojciec odłożył jakąś całkiem pokaźną sumę dla ciebie i twojej matki. Wiem również, że to wszystko poszło na spłatę długów twojego brata. Powiedział mi to Sean, kiedy zachowywaliśmy jeszcze pozory przyjaźni. Zdradziłem go, Moiro. Nigdy się tego nie wypierałem. On jednak zdradził nas wszystkich. Zemścił się na mnie, unieszczęśliwiając ciebie.

Pochyliła głowę i oparła czoło na kolanach. Czy mu uwierzyła? Czy wszystko skończone? Jakaś część niego żałowała, że w ogóle poruszył ten temat. Inna natomiast przekonywała go, że to było nieuniknione. Prędzej czy później dowiedziałyby się o wszystkim.

- Był dzielnym oficerem - ciągnął. - Należał do takich żołnierzy, których sława sięgała daleko poza własny regiment. Dziwię się, że nie słyszałem o jego śmierci, zanim ty mi o tym powiedziałaś. Nie mam jednak wątpliwości, że był w największym ogniu, kiedy to się stało.

Nie odezwała się.

- Bardzo mi przykro - rzekł. - Powinienem być pozwolić, żeby obraz twojego brata pozostał w twoich wspomnieniach czysty. Pokręciła głową. Na jej twarzy widać było znużenie.

- Nie - powiedziała. - Mimo wszystko nie przestanę go kochać. Był moim bratem. I bohaterem. Poszedł pod ogień dział po żołnierza, który został ranny. Udało mu się wynieść go z pola bitwy, zanim sam zginął. Ten żołnierz ocalał. Mój brat odszedł z honorem. Odkupił swoje winy.

- A co z nami? - zapytał Kenneth po chwili. - Czy tą rozmową zniszczyliśmy wszystko?

- Nie - zaprzeczyła. - Teraz przynajmniej wiesz, że nigdy nie byłam przemytnikiem. Czyżbyś rzeczywiście tak myślał przez te wszystkie lata? Wiesz również, iż, jeśli nie liczyć tego nieszczęsnego epizodu, kiedy mierzyłam do ciebie z nienaładowanej broni, nigdy nie zrobiłam czegoś, co mogłoby ci w jakikolwiek sposób zaszkodzić.

- Mam nadzieję - dodał - że wierzysz, iż zrobiłem to, co musiałem. Dla dobra wielu anonimowych ludzi, dla dobra mojej siostry, dla twojego dobra. Chciałem uwolnić cię od tej bandy, zanim ty również zostaniesz ujęta i skażana. Zdradziłem twoje zaufanie, bowiem, gdybyś nie powiedziała mi o Seanie i Helen, nie odkryłbym, że zamierzają uciec. Nigdy,

zresztą, tej zdrady sobie nie wybaczyłem, ale zrobiłem to, co do mnie należało. Jestem przekonany, że gdybym znowu znalazł się w podobnej sytuacji, postąpiłbym tak samo i czułbym się po tym tak samo winny.

- Gdybyś tylko mi o tym powiedział...

- Nie byłem wtedy zbyt przyjaźnie do ciebie usposobiony, Moiro - odparł. - Poza tym, podczas tego spotkania właściwie w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy. Wrzeszczeliśmy, Moiro. Żadne z nas nie słuchało.

Podniosła się i ujawszy jego dłoń, mocno zacisnęła na niej palce i przytuliła głowę do jego ramienia.

- Co za ulga - powiedziała cicho. - Od kiedy wyjechałam do Londynu, od kiedy ponownie cię pokochałam, często wracałam w myślach do naszej wspólnej przeszłości. Czasem nawet do dzieciństwa, kiedy tak bałwochwalczo cię uwielbiałam, podczas gdy ty zdawałeś się nawet nie dostrzegać mojego istnienia. I za każdym razem z uporem wracała do mnie myśl, że to ty odpowiadasz za śmierć Seana.

Pochylił głowę i wtulił twarz w jej włosy.

- Teraz łatwiej mi pogodzić się z jego śmiercią - ciągnęła. - Miał szansę odkupić swoje winy, a przecież równie dobrze mógł zostać skazany na deportację, na co w końcu w pełni zasłużył. Otrzymał szansę i skorzystał z niej. Czy to ty sugerowałeś swojemu ojcu zaciągnięcie do wojska zamiast deportacji?

- Tak - przyznał.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję - wyszeptała. - Kocham cię.

- Boże, jak bardzo chciałem to usłyszeć, kiedy byliśmy młodzi - powiedział, ściskając jej rękę. - To najpiękniejsze słowa na świecie, Moiro.

- I najtrudniejsze do wypowiedzenia, ponieważ oznaczają ofiarowywanie części siebie i otworzenie się na ból i odrzucenie.

- Ale i na radość - dodał z uśmiechem. - Nigdy świadomie cię nie zranię, ukochana, i nigdy cię nie opuszczę. Będę się na ciebie złościł, gniewał i kłócił się z tobą - i kochał do końca moich dni.

- Naprawdę? Obiecujesz?

Uniół do góry rękę, jak do przysięgi, i uśmiechnął się szeroko.

- Obiecuję. Solennie.

- A ja przyrzekam zawsze cię kochać.

- I kłócić się ze mną? - zapytał.

- Tak, to również - roześmiała się.

- Doskonale - rzekł. - Znosi się więc na bardzo interesujące życie. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. W milczeniu patrzyli w dół, ponad wierzchołkami uginających się pod ciężarem liści drzew na kamienny most, na rzekę oraz wodospad mieniący się błękitem w promieniach słońca. Nie wyobrażał sobie piękniejszego miejsca na ziemi, gdzie mógłby żyć... ze swoją pierwszą i jedyną miłością.

W tej samej niemal chwili odwrócili się do siebie, uśmiechnęli, po czym ich usta połączyły się w pocałunku. Drzemiący obok Nelson otworzył oczy, westchnął głęboko i znowu zapadł w drzemkę.